

Seria *Kitty Norville* z list bestsellerów „New York Timesa”



CARRIE  
VAUGHN

Srebrna kula



Seria *Kitty Norville* z list bestsellerów „New York Timesa”

CARRIE  
VAUGHN

Srebrna kula



**Vaughn Carrie**

# **Kitty Norville 04**

# Srebrna kula

*Audycja radiowa Kitty dla paranormali osiągnęła szczyt popularności, a Kitty ma wreszcie chłopaka, który ją rozumie. Ale to tylko cisza przed burzą. Kitty wraca do Denver – wprost w łapy wrogów, którym niedawno uciekła. Co gorsza wygląda na to, że szykuje się wojna między dwoma najstarszymi wampirami w mieście. Czy zagrozi wszystkim paranormalom? Czy żeby ochronić swoją miłość i siebie samą, Kitty będzie musiała opowiedzieć się po jednej ze stron? I zrobić coś, czego nienawidzi najbardziej...*

## Rozdział 1

Nie podobał mi się zapach tego miejsca: betonowy i instytucjonalny. Antyseptyczny. Choćby jednak nie wiadomo ile sprzątać i tak trąciłoby nieszczęściem, rozgoryczeniem, niewyraźną wonią moczu.

Złością.

Strażnik przy drzwiach do sali odwiedzin wskazał mnie i Benowi puste krzesła przy szklanej ścianie.

W pomieszczeniu było z pół tuzina jednakowych boksów. Rozmowę umożliwiano wyłącznie przez telefon.

Cała się trzęsłam. Nie lubiłam tu przychodzić. A właściwie i lubiłam, i nie lubiłam. Chciałam go odwiedzać, ale nawet przychodząc z wizytą, czułam się tu jak w potrzasku. Moja wilczyca nie znosiła tego zbyt dobrze. Ben ścisnął mi rękę pod stołem.

- Wszystko okej? - spytał. Przychodził tu raz w tygodniu, żeby zobaczyć się z Cormakiem. Ja nie przyjeżdżałam aż tak często - raz na cztery tygodnie, od pięciu miesięcy. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Właściwie miałam wrażenie, że za każdym razem było coraz gorzej, a nie lepiej.

Byłam strasznie spięta i wizyty mnie wykończyły.

- Chyba tak - powiedziałam. - Ale to miejsce źle na mnie działa.

- Nie daj po sobie poznać, że jesteś zdenerwowana - szepnął. - Powinniśmy dawać mu wsparcie.

- Wiem. Przepraszam. - Przytrzymałam jego dłoń obydwoma rękami i spróbowałam opanować drżenie. To ja powinnam

być silna. To ja powinnam dodawać Benowi otuchy, a nie na odwrót.

Po drugiej stronie szyby strażnik wprowadził mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie więziennym. Jasnobrązowe włosy miał przycięte krócej niż zwykle, przez co jego twarz wydawała się bardziej wychudła. Próbowałam przekonać samą siebie, że nie wyszczupłał. Miał takie same wąsy jak zawsze. I ten sam obojętny wyraz twarzy.

Ja natomiast czułam, że mój uśmiech jest sztuczny i wymuszony. Cormac zorientuje się, że uśmiecham się z przymusem. Musiałam być radosna, nie mogłam dać po sobie poznać, że się stresuję.

Łowca był skuty kajdankami. Kiedy podnosił słuchawkę, żeby z nami porozmawiać, musiał unieść obie ręce do twarzy! Ben trzymał słuchawkę pomiędzy nami. Nachylając się, oboje mogliśmy go słyszeć.

- Cześć - powiedział Ben.

- Cześć. - Cormac się uśmiechnął. Serce mi się krajało, kiedy widziałam jego uśmiech zza szyby. -

Dzięki, że przyszliście.

- Jak się masz? Wzruszył ramionami.

- Daję radę. Bez obaw.

Został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci. Zabił, aby ocalić moje życie, i przez to wylądował w więzieniu. Miałam wobec niego dług wdzięczności, który strasznie mi ciążył.

Mogło być gorzej. Jedyne, co pozwalało nam siedzieć tu i uśmiechać się do siebie, to myśl, o ile gorzej mogło się wszystko potoczyć. Jedno z nas lub nawet wszyscy mogliśmy zginąć, a Cormac mógł skończyć z dożywociem...

Niczego mi nie wypominał. Od samego początku traktował odsiadkę niczym pokutę, na którą sobie zasłużył. Jakby to była jeszcze jedna przeszkoda do pokonania, kolejna rzeka, którą trzeba przekroczyć.

Ben lepiej sobie z tym wszystkim radził.

- Potrzebujesz czegoś? Poza ciastem z pilnikiem w środku?

- Nie. Tylko więcej tego, co zwykle.

Zamawiałam dla niego książki. Na początku to miał być żart, bo zarzuciłam mu, że jest analfabeta.

Potem sprawa nabrała powagi. Czytanie pozwalało mu nie myśleć o tym, że siedzi w więzieniu.

Pozwalało mu nie oszaleć.

- Jakies życzenia? - spytałam, a Ben przesunął słuchawkę tak, żeby Cormac mnie słyszał.

Łowca pokręcił głową.

- Nie jestem wybredny. Zdaję się na ciebie. - Miałam listę klasyków, których mu podsuwałam. Za wyjątkiem Dostojewskiego.

Mieliśmy godzinę na rozmowę. Gadkę o niczym. Nie mogłam mu powiedzieć, że mi przykro, bo to by mnie rozstroiło. Musiało być pozytywnie. Chcieliśmy z Benem mieć pewność, że Cormac wyjdzie stąd w jednym kawałku, a przynajmniej nie bardziej skrzywiony niż w chwili, kiedy się tu zjawiał.

- Dasz wiarę, że niektórzy słuchają twojej audycji? - zagaił Cormac.

- Naprawdę? To dziwne.

- Mówię im, że tak naprawdę nie jesteś aż taka wredna. Psuję ci reputację.

- Wspaniale - powiedziała z uśmiechem. - Dzięki. Ben zachichotał.

- Dobrze wyglądacie - podsumował Cormac, opierając się w krześle. - Dobrze wyglądacie razem. -

Uśmiechał się niemal z zadowoleniem. Z ulgą.

Kazał nam dbać o siebie nawzajem. Jakby nie wierzył, że każde z nas z osobna potrafi się o siebie zatroszczyć, ale uważał, że razem damy sobie radę. Pewnie miał rację. Stworzyliśmy z Benem własną małą watahę i dobrze sobie radziliśmy. Ale mimo to miałam wrażenie, że czegoś nam brak. Cormac siedział naprzeciwko nas za szybą, a my udawaliśmy, że wszystko jest w porządku.

Za Cormakiem pojawił się strażnik. Koniec wizyty.

- Do zobaczenia za tydzień - powiedział Ben. Łowca zwrócił się do mnie:

- Dzięki, że przysłaś. Wszyscy są tu cholernie brzydcy. Dobrze raz na jakiś czas zobaczyć ładną buzię.

Kiedy to usłyszałam, znów zaczęło mi się krajać serce. Musiało być coś, co mogłam zrobić, poza siedzeniem tu w roli ładnej buzi, o ile w ogóle można mnie było tak określić z moją bladą skórą, blond włosami związanymi w krótki, potargany kucyk i z oczami pełnymi łez. Miałam ochotę przyłożyć rękę do szyby, ale to byłby strasznie oklepany i kiczowaty gest.

Cormac odłożył słuchawkę, wstał i wyszedł. Zawsze wychodził i się nie odwracał, a my zawsze zostawaliśmy i odprowadzaliśmy go wzrokiem, póki nie zniknął nam z oczu.

Ben położył mi rękę na ramieniu i ponaglił do wyjścia. Opuściliśmy w milczeniu więzienie i wyszliśmy prosto na jaskrawe letnie słońce i upalny parking. Wsiadliśmy w ciszy do samochodu; Ben zajął miejsce za kierownicą. A potem nastąpił wybuch.

Ben zamknął drzwi, siedział przez chwilę, po czym walnął pięścią w kierownicę. Potem zrobił to jeszcze raz i jeszcze, rzucając się na nią całym ciężarem ciała. Samochód się zatrzęsła, a ja tylko

patrzyłam.

Po chwili odchylił się przygarbiony. Złapał za kierownicę i oparł się o nią.

- Wkurza mnie to. Wkurza mnie, że tam siedzi, a ja nic nie mogę na to poradzić.

Obwinił siebie tak samo jak ja. Gdybym nie potrzebowała wtedy ratunku, gdyby Ben potrafił znaleźć jakieś rozwiązanie prawne... A do tego Cormac znosił to wszystko bez słowa skargi. Ben i on byli kuzynami. Dorastali razem, troszczyli się o siebie nawzajem, a teraz byli bezradni.

Ścisnęłam Bena za rękę, jakbym mogła usunąć z niej napięcie. Westchnął.

- Spadajmy stąd - powiedział.

Piątkowy wieczór, czas na imprezę.

- Dobry wieczór, witam w *Nocnej Godzinie*. Mówi Kitty Norville, wasza wesola gospodyni. Dziś rozmawiamy o wampirach. Chciałabym usłyszeć, co macie do powiedzenia na temat tych tajemniczych nocnych krwiopijców. Pytania, problemy, żadnych tabu. Opowiedzcie mi coś, o czym jeszcze nie słyszałam.

Ostatnio dość trudno mnie wystraszyć, ale chciałabym, żebyście spróbowali. A może lepiej przekonajmy się, czy ktoś z was może tchnąć we mnie odrobinę nadziei. Miałam ciężki dzień.

Byłam niewiarygodną szczęściarą. Prowadziłam audycję od dwóch lat, a na moim monitorze ciągle wyświetlały się połączenia. Słuchacze wyczekiwali na mój program z palcem na przycisku szybkiego wybierania. Pewnie niedługo ich poproszę, żeby zadzwonili, a telefon będzie milczeć. Wtedy będę musiała odejść. Ale to jeszcze nie był ten wieczór.

- Pierwszy słuchacz, który dodzwonił się do nas dzisiejszego wieczoru, to... Maledar... Maledar? Tak?

- Tak, właśnie tak. - Męski głos brzmiał nieco pretensjonalnie.

- Czy rodzice dali ci tak na imię?

- Nie - odezwał się z lekkim zadęciem. - Sam je dla siebie wybrałem. Przygotowuję się do nowej tożsamości. Do nowego życia.

Jęknęłam w duchu. Niedoszły wampir. Jeszcze bardziej zmanierowany niż prawdziwy.

- Czy mam zatem rozumieć, że chcesz zostać wampirem?

- Oczywiście. Kiedyś. Jak będę starszy.

Nagle wszystko załapałam... ten głos, to imię, całą tę tandetę.



- Zaraz... w jakim jesteś wieku? Żeby dzwonić, powinieneś być pełnoletni. - Dzieciak okłamał mojego realizatora. Pewnie miał jakieś piętnaście lat. Był jednak na tyle bystry, by wiedzieć, że skazanie się na życie wieczne w wieku piętnastu lat to dość kiepski pomysł.

- Jestem wieczny - wysapał. - Wieczny jak grób.

- No dobra, to zdecydowanie nie jest godzina poezji domorosłych wampirów. Takie gadki nadają się...

hm... do telewizji.

Cisza, która zapadła, nie wróżyła nic dobrego. I nagle usłyszałam:

- Wow, to odjazdowy pomysł.

Boże, co ja narobiłam? Pospiesz się, wymyśl coś szybko, zanim wpakujesz się w poważniejsze kłopoty.

- Nie wiem, o co chciałeś zapytać, ale kończymy rozmowę. Żegnam. Błagam o telefon od kogoś inteligentnego, z kim można by porozmawiać o Byronie albo o czymś innym na poziomie. Następny telefon, witam. - Znałem go. - Mężczyzna mówił uprzejmym, pewnym siebie głosem. Ten był prawdziwy. Starszy wampir demonstrujący swoje jak najbardziej uzasadnione znudzenie.

- Kogo?

- Lorda Byrona, rzecz jasna.

- Doprawdy? - spytałam przeciągle. - Podobno jest mniej więcej tyle samo wampirów, które utrzymują, że znały Byrona, co świrów, którzy twierdzą, że w poprzednim życiu byli Kleopatrami. Co by znaczyło, że Byron miał wokół siebie setki beznadziejnych, mizdrzących się cymbałów. A tak naprawdę miał tylko Keatsa i Shelleya.

Facet prychnął.

- Bardzo śmieszne.

- Przepraszam, ale trafiłeś po prostu w mój słaby punkt.

- Nie bierzesz w ogóle pod uwagę, że być może jeden z wampirów, który twierdzi, iż znał Byrona, może mówić prawdę? - No dobra. Kumałeś się z Byronem. Może opowiesz, jaki był? On i cała reszta?

O, a może będziesz mi umiał odpowiedzieć na jedno pytanie. Ten facet, który był z nimi tamtego wieczoru, kiedy opowiadali sobie historie o duchach, a Mary Shelley wymyśliła Frankensteina, ciągle zapominam, jak on się nazywał...

- Polidori.

- No właśnie. On. - Cholera, a co, jeśli on rzeczywiście znał Byrona? Czy wyjdę na skończoną idiotkę?

- Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego do niczego nie doszedł?

- Był zwykłym pochlebcą. To Mary była naprawdę inteligentna.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Tak mi się właśnie wydawało. Ale chyba nie zadzwoniłeś tylko po to, żeby pogadać o poetach romantycznych. W czym problem?

- W przeznaczeniu.

- No dobra, pytanie z gatunku poważnych. Chcesz wiedzieć, po co tu jesteśmy, jaki jest sens życia i takie tam?

- Ciekawi mnie twoje zdanie na ten temat. Wydęłam wargi.

- To moja sprawa.

- Powiesz mi czy nie?

Westchnęłam na tyle głośno, żeby na pewno było to słycać przez mikrofon.

- No dobra. Powiem. Oto, co myślę, ale zastrzegam, że mogę się mylić. Uważam, że jesteśmy tu po to, żeby uczynić świat lepszym niż był w chwili, kiedy go zastaliśmy. Myślę, że nie zawsze zasługujemy na karty, które przypadły nam w udziale, dobre czy złe. Ale będziemy oceniani po tym, jak rozegramy partię. Ci z nas, którzy trafili na złe rozdanie, muszą się po prostu bardziej starać, bo trudniej im czynić dobro. Nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie. Trzeba po prostu dawać sobie jakoś radę, nie wyrządzając przy tym zbyt wielu szkód.

Zwykle nawet w to wierzyłam.

- Hm, a to miło - powiedział niechętnie.

- No dobra. Wiem, że próbujesz mnie podpuścić. Dlaczego nie powiesz otwarcie, o co ci chodzi?

- Mówisz o nas, o wampirach i likantropach, jakbyśmy cierpieli na jakąś dolegliwość. Jakbyśmy byli niepełnosprawni. I jeśli zamierzasz uchodzić za człowieka, wtopić się w społeczeństwo, to przypuszczam, że rzeczywiście jesteśmy niepełnosprawni. Ale nie przyszło ci nigdy do głowy, że jesteśmy wybrani? Jesteśmy wybrancami losu i dlatego właśnie staliśmy się tym, kim się staliśmy.

Wyróżniamy się, zostaliśmy naznaczeni przez los i pewnego dnia będziemy rządzić światem Rody wampirów zdając sobie z tego sprawę. Przygotowują nas, panów ciemności, do pełnienia roli panów

świata. Znajdujemy się na szczycie drabiny pokarmowej. Pewnego dnia ludzie to zrozumieją.

Jak dotąd słyszałam już z tuzin wersji takiego rozwoju wydarzeń. Na szczęście w przypadku wampirów zawsze kończyło się jedynie na gadaniu o przejęciu władzy nad światem.

Zacznę się martwić, gdy przestaną o tym gadać.

- Po co mi o tym mówisz?

- Chcę, żebyś знаła prawdę.

- Cóż, dziękuję za ogłoszenia parafialne. Kończymy rozmowę, bo twoje ego jest dziś trochę za bardzo rozdmuchane. Następny telefon... och, chyba czeka nas dziś mała debata. Halo, Jake? Jesteś na antenie. Z czym dzwonicz?

- Halo, Kitty? O rany. A właściwie to cześć.

- Witaj. Masz więc odpowiedź dla naszego szacownego kolegi wampira.

- O tak, zawsze. Ten gość naprawdę gada straszne... - zamilkł zabawnie, chcąc ocenzurować samego siebie -.. .bzduury. Bo naprawdę bardzo bym chciał wiedzieć, jak zdobyć choć trochę tej wampirzej władzy. Sam jestem wampirem i pracuję na nocną zmianę w Speedy Marcie. Nie jestem na szczycie żadnego łańcucha pokarmowego.

- Nie należysz do żadnego rodu? Jake zachichotał.

- Gdyby nie twoja audycja, w ogóle bym nie wiedział o istnieniu rodów.

Ten aspekt mojego programu trochę mnie przerażał. Istnieli ludzie, dla których byłam jedynym źródłem informacji, którzy traktowali mnie jako jedyny kontakt ze światem. Strasznie mi to ciążyło.

Dla kogoś, kto trafił na naprawdę gówniane rozdanie - bo pracował całą wieczność na nocnej zmianie w Speedy Marcie - musiałam postarać się o optymizm.

- Wiem, że to sprawy osobiste, ale rozumiem, że zostałeś zamieniony w wampira w dość brutalnych okolicznościach, wbrew własnej woli - zaczęłam.

- Dobrze rozumiesz. A jeśli przeznaczenie ma z tym cokolwiek wspólnego, na pewno chciałbym wiedzieć co.

- Szkoda, że nie znam odpowiedzi, Jake. Przypadły ci w udziale kiepskie karty. Ponieważ oboje jednak wiemy, że coś takiego jak przeznaczenie nie istnieje, sam możesz zdecydować, co z tym wszystkim zrobić.

- Tak naprawdę chciałem tylko przedstawić drugą stronę medalu. Moją stronę. Ten gość nie mówił w imieniu wszystkich wampirów. Dzięki, że mnie wysłuchałaś.

- Po to tu jestem. Odbiorę teraz następny telefon, okej? Trzymaj się, Jake.

I tak to szło.

Dzwonili do mnie mężczyźni, kobiety, wampiry, ludzie, ludzcy służący wampirów, osoby zabawne, smutne, zagubione i złe. Problemy były zarówno błahe, jak i przerażające. Słyszałam opowieści osób, które utknęły w życiu, którego się nie spodziewały i z którego nie miały jak uciec. Niejednokrotnie nie wiedziałam, co mam im odpowiedzieć. Zupełnie się nie nadawałam na doradcę - sama ledwie umiałam o sobie zadbać. Ale bardzo szybko się przekonałam, że ludzie często potrzebowali tylko się wygadać; pragnęli, żeby ktoś ich wysłuchał. Chcieli porozmawiać, a wielu z nich nie miało z kim.

Rozmowa sprawiała, że ich problemy, słabości, obawy czy nadzieje stawały się bardziej konkretne i łatwiej się było z nimi skonfrontować. Łatwiej było je kontrolować.

Powinam sama o tym pamiętać.

- Został nam czas na jeszcze jeden telefon. Becky, jesteś na antenie.

- Cześć, Kitty - Głos kobiety brzmiał tak, jakby była na skraju załamania. - To nie ma związku z wampirami. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale sprawa jest chyba ważna.

Pod koniec audycji to nie miało większego znaczenia.

- Co się dzieje? - Nie było wątpliwości, że miała jakiś problem. Rozpoznawałam ten ton. Realizator napisał w temacie „przemoc domowa”.

- Jestem wilkołakiem. Należę do watahy i trochę się martwię. Zjawiała się u nas nowa wilczyca. Jest bardzo młoda, zupełnie bezbronna, a samiec alfa ją wykorzystuje. A nawet gorzej, bo ją bije. Tu już nie chodzi tylko o cholerną kwestię dominacji i uległości. Problem w tym, że ona nie chce odejść.

Próbowałam ją przekonać, żeby to zrobiła, ale bez skutku. Nie chce go zostawić. Nie wiem, co robić.

Jak mam ją przekonać, że nie musi się na to godzić? Że nie powinna? Sama nie stanie w swojej obronie.

Wszystko to brzmiało dziwnie znajomo. Przez pierwsze trzy lata życia jako wilkołak znajdowałam się najniżej w hierarchii i całkowicie podlegałam samcowi alfa, który był skrajnie agresywny. Wataha jednak oznaczała bezpieczeństwo, a ja nie chciałam odchodzić. Przyszedł jednak czas, kiedy musiałam wybrać pomiędzy watahą a własnym życiem - moją audycją, moimi celami, przyszłością.

Wybrałam siebie i nigdy tego nie żałowałam.

Pomimo własnych doświadczeń nie wiedziałam, co mam jej poradzić.

- Należą ci się wyrazy uznania za to, że chcesz pomóc. Ale czasem to nie wystarczy. Niezależnie od tego, jak sprawa wydaje się trudna, nie możesz wiele zrobić, jeśli osoba pokrzywdzona sama nie

chce sobie pomóc. Przykro mi.

- Ale... - powiedziała i westchnęła. - Wiem. Wiem, że masz rację. Pomyślałam sobie tylko, że może jest jakiś sposób. - Możesz być dla niej przyjaciółką, Becky. Rozmawiać z nią. Możesz dawać jej przykład. Może obie powinnyście wyjechać z miasta. - Nie byłam wielką entuzjastką hierarchii stadnej. Widać było, że jestem uprzedzona.

- Ciężko mi to zrobić - przyznała. - Jestem tu bezpieczna. Tyle że ja potrafię stanąć w swojej obronie, a ona nie. - W takim razie jedyne, co możesz zrobić, to opiekować się nią najlepiej, jak potrafisz.

Powodzenia, Becky. Nie można ocalić wszystkich. Już się o tym przekonałam. Przybrałam lżejszy ton, żeby podsumować audycję.

- No dobrze, moi drodzy, pora powoli kończyć. W miłej atmosferze czas szybko płynie. Odliczam godziny do przyszłego

tygodnia. Tymczasem odrobina bezwstydnej autoreklamy: nie zapomnijcie, że moja książka, *Podskórna*, właśnie tak, moja książka, własnoręcznie napisana, poruszająca ważne dla mnie tematy, za kilka tygodni ukaże się w sprzedaży. Jakbyście już nie mieli mnie dość. Uważajcie na siebie.

Mówiła Kitty Norville, głos nocy.

Dzینگiel na zakończenie z wyciem wilka - moim własnym, nagrany specjalnie na potrzeby programu.

Byłam wykończona. Czasem audycja tak mnie nakręcała, że nie mogłam spać do rana. Ale nie dziś.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do domu i walnę się do łóżka. Czułam się tak, jakbym nie spała od wielu dni.

Pogadałam z realizatorem, dokończyłam papierkową robotę i wyszłam z budynku. Ben czekał na mnie w samochodzie zaparkowanym przy chodniku. Wsiadłam od strony pasażera, nastawiłam się na szybkiego buziaka i uśmiechnęłam. To było urocze zakończenie wieczoru.

- Jak poszło? - spytał Ben w drodze do domu. Wynajmowaliśmy mieszkanie w Pueblo, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od Denver.

Ściągnęłam gumkę i rozpuściłam włosy, drapiąc się po głowie. Marzyłam o prysznicu.

- Wspaniale. To był udany wieczór. Ale jestem naprawdę wykończona.

- Dobrze się czujesz?

Ostatnio byłam notorycznie zmęczona. Powtarzałam sobie, że taka jest cena sukcesu.

- Tak - powiedziała z westchnieniem i zamknęłam oczy. Ben siedział obok, a jego obecność

dodawala mi otuchy.

Oboje nigdy nie mieliśmy zamiaru zaangażować się w związek. Wcieliliśmy się w role kochanków raczej przypadkowo. Ponieważ byliśmy wilkołakami, nasze wilcze strony natychmiast stworzyły więź

i uformowały stado. Dwuosobową watahę - tak ją nazywałam - złożoną z samca i samicy. Można by w związku z tym pomyśleć, że nasze wilcze i ludzkie strony to dwie różne rzeczy, oddzielne i niemające ze sobą nic wspólnego.

Jako ludzie nie sprzeciwiliśmy się jednak temu impulsowi. Łatwo się było w ten sposób związać.

Przyjaźniłam się z Benem, jeszcze zanim zamienił się w wilkołaka. Z czasem i przy sprzyjających okolicznościach być może narodziłoby się między nami coś więcej, ale teraz nie miałam się już jak o tym przekonać. Przez większość czasu udawało mi się ignorować tego męczącego robaka wątpliwości, który szeptał, że coś było nie tak i wszystko zdarzyło się trochę wbrew mojej woli. Ben był dobrym facetem i miałam szczęście, że znalazł się przy mnie. Troszczyliśmy się o siebie nawzajem. Niemniej czasem miałam wrażenie, że nasz związek znajduje się w stanie zawieszenia, a my jesteśmy razem tylko na chwilę.

Spałam jak kamień i gdy się obudziłam, poczułam mdłości. Powiedziałam sobie, że za ciężko pracuję.

Za mało wczoraj jadłam, ale nie mogłam nic w siebie wcisnąć podczas śniadania. Dziś była pełnia.

Musielismy pojechać za miasto w miejsce, gdzie będziemy się mogli bezpiecznie przemienić.

Bezpiecznie dla nas i dla innych.

- Wszystko okej? Jesteś dziwnie blada - zauważył Ben, kiedy pakowaliśmy bagaże do samochodu.

Zwykle podczas pełni to ja pytałam, czy wszystko w porządku. Ben był ciągle jeszcze młodym wilkołakiem, nadal uczył się samokontroli. Przyglądałam mu się: wydawał się odrobinę blady i nieco spięty. Zwykle starał się zapomnieć o swoich kłopotach, martwiąc się o mnie.

- Jestem tylko trochę zmęczona - odparłam. - Z jakiegoś powodu nie jestem gotowa na dzisiejszy wieczór.

Uśmiechnął się do mnie ponuro. Zaczynał wszystko rozumieć.

Nasze terytorium znajdowało się na pogórzu na południu Kolorado. Trzy godziny jazdy samochodem i już byliśmy w odludnym lesie parku narodowego. Nie wolno tu było rozbijać namiotów, nie trzeba się było martwić o zabłąkanych turystów. Byliśmy odizolowani.

Dojechalismy i siedzieliśmy w samochodzie.

- Ciągle wyglądasz na zmęczoną - odezwał się znów Ben.

- Nic mi nie jest.

- Jesteś pewna? Nie... - umilkł i wydał wargi, najwyraźniej skrępowany. - Nie pachniesz dobrze.

Spojrzałam na niego.

- Nie pachnę dobrze?

- Nie wiem, nie potrafię tego wyjaśnić. Pachniesz jakoś obco. Nieważne.

Cudownie. Teraz pachniałam obco.

- Jestem po prostu wykończona - mruknęłam.

- Nawet teraz?

Czas pełni należał do naszej drugiej natury. Wilki musiały pobiegać i z całych sił swojej dzikiej natury starały się wydostać na powierzchnię. Człowiek czuł się, jakby był pijany lub na haju, i pomimo naszych deklaracji, że tego nienawidzimy, nie mogliśmy się doczekać, aż będziemy mogli uciec i się przemienić. Zmiana nas pociągała.

Byłam dziwnie oziębiała.

- Nic mi nie jest - zapewniłam. - Miejmy to już za sobą. Wyszliśmy z samochodu i ruszyliśmy w bardziej odludne miejsce.

Ben już całkiem nieźle kontrolował swojego wilka. To była jego piąta pełnia. Był w stanie przejść od samochodu do lasu, nie tracąc nad sobą panowania i nie wypuszczając pazurów. Był niemal w stanie ukryć wszelkie oznaki tego, że się zaraz przeobrazi. Ale ja umiałam to rozpoznać: serce biło mu za szybko i się pocił.

Mieliśmy swoją norę, osłonięte miejsce, w którym znajdowaliśmy się poza widokiem i gdzie było ciepło i bezpiecznie. Rozebraliśmy się i schowaliśmy ubrania: koszule, dżinsy, buty. Wschodził

księżyc - wystarczająco jasny, żeby rzucać cienie w lesie.

Ben rozejrzał się wokoło, a jego oddech zamieniał się w chłodnym powietrzu w lekką mgiełkę.

Stałam obok niego, położyłam mu dłoń na rękę i przesunęłam ją wzdłuż ramion. W świetle księżycy wydawał się blady. Miał gorącą skórę; zadrżał pod moim dotykiem. Odwrócił się i przechylił głowę w moją stronę, żeby mnie pocałować. Naga w lesie, skąpana

w świetle księżycy, każdy nerw naładowany emocjami - to była pora wilczycy. Zaczęłam na niego patrzeć jej oczami, dzikimi i pełnymi życia.

- Tym razem ty pierwsza - wyszeptał mi do ucha. - Chcę na ciebie popatrzeć.

Wyczuwałam go: jego skórę i pot, feromony, pragnienie, potrzebę.

- Dasz sobie radę?

- Chyba tak.

Zawsze czekałam, upewniając się, że poradzi sobie z przemianą. Dodawałam mu otuchy. Pewnie nie potrzebował nadzoru - robiłam to raczej dla własnego spokoju. Nasze wilki wzywały się, chciały przeobrazić się razem. Czy uda mu się zapanować nad sobą, kiedy będzie na mnie patrzeć?

Może chciał się po prostu przekonać, czy faktycznie jest w stanie nad sobą zapanować.

- Okej - powiedziałam cicho. Pocałowałam go; odwzajemnił zapalczywie dotyk moich warg, ale odsunęłam się, drażniąc go. Nic nie mogłam na to poradzić. To ona - wilczyca - go drażniła, chcąc, żeby ją gonił. Wyczuwała jego żądzę i ją podsycala.

Cofnęłam się powoli, krok za krokiem. Było mi tak strasznie gorąco, miałam tak ogromnie dużo energii skumulowanej w brzuchu, że chciało mi się krzyczeć. Czułam, jak wilczyca drapie mnie od środka, jak się wyrывa. Musiałam tylko zrobić wydech i ją puścić, a sama się ze mnie wyrwie.

Popatrzyłam Benowi w oczy. Przykucnął, zacisnął dłonie w pięści i zaczął szybciej oddychać. Nie spuścił jednak ze mnie wzroku.

Nagle puściłam ją, pochyliłam głowę i zgięłam się w pół, a w tym samym momencie, w którym opadła zasłona, wzrok mi się zamazał.

*Otrzepuje się, każdy włoszek jest naelektryzowany, iskrzący. Pręży mięśnie, gotowa do biegu - truchta w miejscu, przyczaja się i skacze, unosi głowę i napotyka wzrok tego, z którym biega, bladą postać obserwującą ją rozszerzonymi oczami.*

*To jej samiec - ciągle na dwóch łapach. Wilczyca skomli cicho, wydaje krótkie warknięcie, woła go.*

*- Boże, spójrz tylko na siebie, jesteś niezwykła.*

*Podbiega do niego, ociera się. Wyciąga do niej nie-łapy i gładzi nimi jej futro. Głaskanie jest jednocześnie dziwne i przyjemne. Ona wyrывa się i znów skowyczy: chodź, już czas, no chodź...*

*On robi to, zgina się w pół, jęczy, a wydawany odgłos zmienia się, z niewłaściwego staje się coraz bardziej właściwy, aż zamienia się w wycie, do którego ona się dołącza, wypełniając lasy ich pieśnią.*

*On dyszy lekko, wciąż nieprzy-zwyczajony do swoich łap, futra i głosu. Ciągle jeszcze jest szczeniakiem, ale za każdym razem coraz silniejszym. Udzielają mu się jej nadzieja, pragnienie i siła...*

*oboje są panami tych lasów. Ona wita go, liże, gryzie i pozwala mu na to samo. Kręcą się wokół*



*siebie, płatanina futer i umięśnionych ciał.*

*Nagle on skacze w las. To zaskoczenie - tym razem on prowadzi pościg. Ona rzuca się do biegu, żeby za nim nadążyć. Polują z nosami przy ziemi, podążając za popłatanym tropem zwierzyny.*

*To on znajduje jelenia, małego, ale wystarczająco dużego, żeby się pożywić. Stoi pod wiatr, więc ich nie wyczuł. Zatrzymują się. Uda im się? Nigdy nie polowali razem na zwierzę takich rozmiarów. On jest podekscytowany, wyczuł krew, wytropił ją i wypełnia go żądza, bo przede wszystkim są myśliwymi.*

*Skomli poirytowany, bo ona się waha. Chce się rzucić na jelenka, wgrzyźć się w jego udo, powalić go.*

*Razem mogą to zrobić, jedno rzuci się na zad, drugie do gardła. Ona wie o tym, widzi to oczyma wyobraźni. On cały się trzęsie, tak bardzo chce się rzucić w pogoń.*

*Ale wilczyca czeka.*

*Nagle jelenź znika. Unosi głowę, strzyże uszami, wyczuwa coś, co podrywa go do biegu, skacze pomiędzy drzewa i krzaki. Ściganie go wymagałoby teraz za dużo wysiłku.*

*On otrząsa się, drapie wściekle pazurami ziemię, stawia uszy. Ona klapie zębami i odbiega w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy, którą mogą upolować z mniejszym trudem.*

*Po chwili biegnie za nią, bo tworzą watahę i wspólnie polują. Królik zamiast jelenia, ale ostatecznie krew to krew.*

## Rozdział 2

Nie czułam się dobrze.

Po pełni nigdy nie czułam się rewelacyjnie, ale zazwyczaj złe samopoczucie przypominało kaca po imprezie. Cierpiało się, ale nie narzekało, bo zabawa była przednia, a to była jej cena. A raczej wilczyca miała zabawę, a ja musiałam ponieść jej konsekwencje.

Ale teraz naprawdę nie czułam się dobrze, co było dziwne, bo nie byłam chora, odkąd stałam się wilkołakiem. To samo, co spowodowało likantropię, zapewniało mi odporność. Niemal niezniszczalność. Zwinęłam się na boku i złapałam za skręcany skurczami żołądek. Nie, to nie był żołądek, ale coś niżej. Głębiej. Jak bóle menstruacyjne, tyle że nigdy nie dokuczały mi aż tak mocno.

Czułam się tak, jakby coś rozrywało mi wnętrzności.

- Co się dzieje? - Ben poruszył się, przytulony do moich pleców. Podparł się na łokciu i pocałował mnie w ramię.

Musiałam jęknąć lub wydać jakiś dźwięk.

- Nie czuję się dobrze.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Jakieś skurcze.

- Zawsze są takie mocne?

- Ben, mieszkamy razem od pięciu miesięcy, więc powinieneś znać odpowiedź na to pytanie. -

Popatrzył na mnie poważnie. Pokręciłam głową. - Nie, nigdy.

- Co innego to może być? - Siedział już prosto, położył mi rękę na ramieniu i zmarszczył się z niepokojem.

- Nie wiem - powiedziałam z wyraźnym jękiem.

- Może powinnaś pojechać do szpitala?

- Nigdy nie musiałam jechać do szpitala.

- Kitty, a jeśli to coś poważnego? Od sześciu tygodni jesteś chora i zmęczona.

- To tylko skurcze. No bo co innego?

- Nie mam pojęcia, co by to mogło być... Rak? Połknęłaś wczoraj niechcący nóż myśliwski? Nie wiem. - Wilkołaki nie chorują na raka.

- Kitty. - Pochylił głowę. - Nieważne, rób, co uważasz za stosowne.

- Sądzisz, że powinnam iść do lekarza.

- Możesz w ogóle usiąść?

Nie mogłam nawet myśleć o siadaniu, tak bardzo wszystko mnie bolało. Co pewnie oznaczało, że miał

rację. - Nie mam ubezpieczenia zdrowotnego. Wilkołaki tego nie potrzebują. - Wyciągnęłam do niego rękę, a on ją uściśnił. Spojrzał na mnie z rozdrażnieniem, jak zawsze, kiedy byłam taka uparta.

- Jedna wizyta kontrolna Cię nie zrukuje.

- A jeśli coś naprawdę jest nie tak?

- Sama powiedziałaś, że wilkołaki nie chorują.

- W takim razie nie muszę iść do lekarza. Spojrzeliśmy na siebie ze złością. On pierwszy odwrócił wzrok... ulegając bardziej doświadczonej. Podległy wilk. Wygrzebał ubrania z jamy, do której je wepchnęliśmy, i rzucił je w moją stronę.

- Ruszmy się, a potem zobaczymy, jak się będziesz czuła. - Ben?

- No?

Złapałam go za rękę i przyciągnęłam bliżej. Pocałowałam go i ucieszyłam się, kiedy się uśmiechnął.

- Chodźmy.

Po powrocie do domu odpowiedziałam na niedzielny telefon mamy. Dzwoniła co tydzień, jak w zegarku. Wiedziała, że mnie nie będzie, bo jest pełnia, ale i tak zostawiła wiadomość.

- Oddzwoń, jak będziesz mogła, daj znać, że wszystko w porządku. - Na swój sposób próbowała mnie wspierać. Wmawiała sobie, że moje wilkołactwo jest jak przynależność do klubu zajmującego się czymś niebezpiecznym i ekscytującym, na przykład wspinaczką skałkową.

- Cześć, mammo.

- Cześć, Kitty. Jak ci minął weekend?

Och, zamieniłam się w wilkołaka, ubiłam jakieś zwierzę, obudziłam się goła w środku lasu, wróciłam do domu, umyłam zęby z sześć razy, żeby pozbyć się z ust smaku krwi.

- W porządku, chociaż nie czuję, się za dobrze, chyba się czymś stresuję.

- Ale czym?

- Może to ma związek z moją książką. Martwię się, jak wyjdzie.

- Będzie dobrze. Przeczytałam ją, jest naprawdę dobra. Ludziom się spodoba.

- Jesteś moją matką, musisz tak mówić.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła radośnie. I jak się z tym spierać?

- Ben uważa, że powinnam iść do lekarza.

- Wizyta na pewno nie zaszkodzi. Może poczujesz się lepiej, jak ci powiedzą, że nic ci nie jest.

A jeśli coś mi jest? Co w ogóle miejscowy lekarz może wiedzieć o likantropii?

- Nic mi nie jest - upierałam się.

- Oczywiście, że nie - zapewniła. - Nie jest źle, dopóki nie jest źle. - Nagle spoważniała.

- Co to miało znaczyć?

Zamilkła, jakby próbowała zdecydować, co odpowiedzieć. Potem westchnęła.

- To znaczy, że lepiej dmuchać na zimne.

- Mamo, czy coś się dzieje? - Ta rozmowa zrobiła się trochę dziwna.

- Nie, nie, nic. Tylko myślę, że Ben ma chyba rację. Nie wygram z nimi. Byłam osaczona.

- No dobrze. Przemyślę to. Zmieniła temat.

- Kiedy poznamy tego twojego Bena?

Wiedziała, że z nim mieszkam; nie udało mi się go utrzymać w tajemnicy. Wyraziła swoje głębokie obawy, że ni z tego, ni z owego, zamieszkałam ze swoim prawnikiem. Nie powiedziałam jej, że ostatnio stał się też wilkołakiem.

- Nie wiem, mamo. Może na Boże Narodzenie?

- Kitty, to za ładnych parę miesięcy. Został jeszcze prawie cały rok.

- Nie cieszysz się nawet, że w ogóle biorę pod uwagę możliwość przyjazdu na święta w tym roku?

- Przyznaję, że byłoby miło.

- Porozmawiam o tym z Benem. Może uda nam się coś wymyślić w lecie.

Najwyraźniej ucieszył ją ten kompromis, bo zmieniła temat i przeszła do kwestii rodzinnych, taty, mojej siostry i jej przychówku, jak podczas wszystkich innych naszych rozmów. Wszystko brzmiało tak kojąco. Bez względu na to, co zrobię lub co się ze mną stanie, zawsze zostanie mi mama i jej telefony.

Rozłączyłam się, a Ben powiedział:

- Ciągle jeszcze nie jestem gotowy, żeby poznać twoją rodzinę.

- Jak zauważyłeś, do niczego nas nie zobowiązałam.

- Tylko mówię.

Już niemal zaczęłam się kłócić. Mogłam powiedzieć mu mnóstwo różnych rzeczy, wbić mu parę szpil, nacisnąć na kilka ran, aż zaczną się jątrzyć: czemu nie, co jest nie tak z moją rodziną, nie chcesz po prostu przyznać, że jesteśmy parą, i tak dalej. Już otwierałam usta, żeby się przekonać, jaka będzie jego reakcja.

Ale odpuściłam sobie, bo nie byłam gotowa na kłótnię, tak samo jak Ben nie był gotowy, żeby poznać

moją rodzinę.

Tego popołudnia zaczęłam krwawić. Powinno mi ulżyć -dostałam okres i tyle. Ale spóźnił się, był zbyt obfity i coś z nim było nie tak. W poniedziałek więc poszłam do lekarza.

Pielęgniarka pobrała mi krew. Lekarka chciała jeszcze próbkę moczu. Poprosiła, żebym rozebrała się i usiadła na fotelu ginekologicznym w cienkiej papierowej koszuli. Potem zaczęło się grzebanie, macanie i cała reszta. Nie byłam w gabinecie lekarskim od jakichś pięciu lat i wcale mi tego nie brakowało, ani trochę. Panował tu dziwny zapach. Z wierzchu wszystko było zdezynfekowane, ale środki odkażające tylko maskowały ukrytą woń choroby, która mówiła mi, że przez cały dzień przewijali się przez to miejsce chorzy ludzie.

Siedziałam tam przez jakąś godzinę i czekałam. Kiedy pielęgniarka wsunęła głowę i powiedziała, że mogę się ubrać, omal nie zerwałam się z fotela.

- Czy doktor Luce tu przyjdzie? Mówiła coś?

- Zaraz będzie.

Zamknęła za sobą drzwi, a ja ubrałam się szybko. Chwilę później rozległo się stukanie. Drzwi uchyliły się, zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, a doktor Luce, zaaferowana kobieta w średnim wieku, niska, z siwiejącymi włosami, w śmiesznym kolorowym fartuchu lekarskim, weszła szybkim krokiem do środka.

- Dobrze, ubrała się pani. Proszę usiąść.

Podsunęła sobie krzesło do biurka, a ja usiadłam obok. W brzuchu wszystko mi się przewracało ze stresu. Nie uśmiechała się. Gdyby nic mi nie było, byłaby uśmiechnięta. Zerknęła na moje ręce, które tarmosiły dzinsy, po czym spojrzała mi w oczy.

- Kitty, wiedziałaś, że byłaś w ciąży?

Zamarłam z otwartymi ustami. Myślałam, że powie coś innego. Kiedy jednak się nad tym zastanowiłam, uznałam, że tego właśnie powinnam się była spodziewać. Miałam wszystkie oznaki: zmęczenie, nudności, od których - z tego, co słyszałam od innych - zawsze się zaczyna. Ale najwyraźniej mnie to nie dotyczyło. Z jakiegoś powodu nie potrafiłam przetworzyć usłyszanego pytania. Lekarka czekała cierpliwie, ale za bardzo mi zaschło w ustach, żebym mogła mówić.

Musiałam kilkakrotnie przełknąć ślinę.

- Nie. To znaczy... nie. Byłam? Byłam w ciąży?

- Poroniłaś. Bardzo mi przykro.

- Aha. - Tylko tyle potrafiłam z siebie wydobyć. Przeszła do rokowań.

- Wszystko w porządku. Nic ci nie będzie, to po pierwsze. Nie dziwi mnie, że nie wiedziałaś, bo sądząc po poziomie hormonów, byłaś pewnie dopiero w trzecim lub czwartym tygodniu. Jeszcze przez kilka dni będziesz miała skurcze; mogę ci coś na to przepisać. To zasadniczo dość typowe... - I tak dalej. Żałowałam, że nie ma ze mną Bena. Bardzo pragnęłam, żeby był tutaj i trzymał mnie za rękę. - Zalecałabym, żebyś odczekała kilka miesięcy, zanim znów spróbujesz.

- Tym razem to nie była próba - burknęłam. Zacisnęła usta.

- W takim razie sugeruję, żebyś przez kilka najbliższych miesięcy dodatkowo się zabezpieczała.

Zabezpieczała, dobre sobie. Poranki po pełni, gdy wilczyca ciągle jeszcze była tuż pod powierzchnią, wypełniając mnie, kiedy leżałam wtulona w Bena... zabezpieczenie nie było pierwszą rzeczą, o jakiej wówczas myślałam. Właściwie to pewnie właśnie wtedy do tego doszło, podczas ostatniej pełni. Było mi wstyd przyznać, że nie wiedziałam wystarczająco dużo na temat własnego cyklu, własnego ciała i własnej fizjologii, żeby stwierdzić, czy mogło do tego dojść właśnie wtedy.

- Pani doktor, widziała pani moją kartę. Moje... - Hm, jak to nazwać? - Moje wcześniejsze problemy.

Jaki to może mieć wpływ na te sprawy?

- No tak, likantropia. Obawiam się, że nie mam w tym względzie doświadczenia, a nie zostało to jeszcze opisane w literaturze fachowej. Nie wiem nawet, gdzie poszukać informacji na ten temat. Masz jakieś kontakty? Kogoś, kogo możesz o to podpytać?

- Tak, chyba tak. Dziękuję.

Oszołomiona, przyjęłam wszystkie jej zalecenia i wzięłam receptę. Pytała ciągle, czy mam jeszcze jakieś pytania, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Powinnam mieć jakieś pytania, mnóstwo pytań.

Ale cały świat się zamazał, jakbym patrzyła na niego przez jakiś filtr.

Doszłam do samochodu i znalazłam komórkę.

Po dwóch sygnałach usłyszałam:

- Halo, tu doktor Shumacher.

Doktor Elizabeth Shumacher była nową kierowniczką Centrum Biologii Paranaturalnej, rządowej jednostki badawczej, która naprawdę powinna zacząć wysyłać ulotki osobom pokroju doktor Luce.

Ale w sumie jak często przeciętny lekarz może się spodziewać wizyty kogoś takiego jak ja?

- Dzień dobry, pani doktor, z tej strony Kitty Norville.

- Och! Dzień dobry, Kitty, jak się masz? - Mówiła radosnym głosem, jakby była naprawdę szczęśliwa, że mnie słyszy. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, który zawsze zachowywał się tak, jakby grał w filmie szpiegowskim.

- W porządku. Mam pytanie. Co pani wie na temat likan-tropów i ciąży?

- Niezbyt wiele. Badania nie posunęły się aż tak daleko. Wszystko, co wiem, to pogłoski.

- A co mówią pogłoski?

- Cóż, każdy, z kim rozmawiałam, i wszystko, co słyszałam czy przeczytałam, potwierdza, że samice likantropów nie zachodzą w ciążę.

- Nie, to nie...

- A może powinnam raczej powiedzieć, że nie utrzymują ciąży. Mogą począć dziecko, ale embriion nie jest w stanie przetrwać zmiany postaci. Za każdym razem dochodzi do poronienia. Domyślam się, że samice likantropów mogą być w ciąży wiele razy i w ogóle o tym nie wiedzieć, bo zawsze do następnej przemiany zostanie im niewiele ponad dwa tygodnie. W sprzyjających okolicznościach może nawet miesiąc. Ale domyślam się, że to rzadkość.

Cholera. Oparłam się w siedzeniu, przytrzymałam ręką czoło i znów gorzej się poczułam. Jakbym miała gorączkę; chciało mi się wymiotować. Opuściłam szybę i wpuściłam do środka świeże powietrze.

Doktor Shumacher mówiła tonem naukowca, który wszedł na fascynujący dla siebie temat, nie myśląc przy tym specjalnie o reakcji słuchaczy.

- Jakby się nad tym zastanowić, to ma sens. Mutacja musi się powielać drogą zakażenia, ponieważ biologiczna reprodukcja nie jest możliwa. To samo zapewne odnosi się do wampiryzmu. Ten sam mechanizm, który u wampirów zatrzymuje proces starzenia, zapobiega wzrostowi komórkowemu niezbędnemu do reprodukcji biologicznej. Opracowanie tego typu teorii plasuje się dość wysoko na mojej liście priorytetów...

Po moim przedłużającym się milczeniu musiała się domyślić, że coś jest nie tak.

- Kitty, dlaczego pytasz? Czy coś się stało?

- Chodzi o znajomą - wyjaśniłam ze sztuczną beztróską. Domyśli się prawdy. - Pytam w jej imieniu.

Jak mogłam tego nie wiedzieć? Dlaczego ta sprawa nigdy wcześniej nie wypłynęła? Jak to się stało, że Meg - samica alfa z mojej starej watahy, która trzymała mnie za rękę, kiedy byłam nowa, a potem odpędziła, kiedy już nowa nie byłam - nic mi nie powiedziała? Czy o tym wiedziała?

Dlaczego ze sobą o tym nie rozmawiałyśmy? Nie ostrzegałyśmy się?

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować, prawda? Wiesz, że jesteś moim głównym źródłem informacji -zapewniła zaniepokojona. Nie mogłam jej o tym powiedzieć. Nie miałam ochoty o tym rozmawiać.

- Tak, tak, zadzwonię. Dzięki. - Poruszając się jak robot, odłożyłam telefon.

Złapałam się za brzuch. Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam? Czemu się nigdy nad tym nie zastanawiałam?

Nie chciałam dzieci. Nie pragnęłam ciąży. To nie powinno mieć żadnego znaczenia. Dlaczego więc czułam się tak okropnie?

O niczym nie wiedziałam, więc nie powinnam się przejmować. Ale przejmowałam się i było to więcej, niż mogłam znieść.

Ben wrócił z sądu późnym popołudniem. Zastał mnie w kuchni, gdzie siedziałam po ciemku przy trzecim piwie. Nie wykupiłam leków przepisanych przez doktor Luce. Alkohol chyba wystarczał, bo zaczynałam się czuć całkowicie zrelaksowana.

Ben postawił teczkę na podłodze, przysunął sobie krzesło

I siadł naprzeciwko mnie.

- Co się stało?

Odetchnęłam głęboko. Dokładnie przemyślałam, co powiem. Mąciło mi się jednak w głowie i wszystko wyszło dziwnie. Pokrętnie. Mówiłam bardzo powoli, żeby mieć pewność, że dobrze wymawiam słowa. Musiałam gadać jak wariatka.

- Miałaś kiedyś tak, że nie wiedziałaś, że czegoś chcesz, póki ktoś ci nie powiedział, że nie będziesz mógł tego mieć?

- Nie wiem. Zawsze chciałem porsche. Myślisz, że mogę je mieć? - Spróbował się słabo uśmiechnąć.

Zamknęłam oczy i pokręciłam głową.

- To nie tak. To... to mnie dręczy i nie wiem, co o tym myśleć.

- Kitty, przestań kręcić i powiedz, co się stało. Moje. Jego. Było nasze wspólne.

- Lekarka powiedziała, że poroniłam. Zadzwoiłam do Shumacher z Centrum, a ona powiedziała, że u likantropów zawsze dochodzi do poronienia. Zmiana postaci i ciąża... ciąża się nie utrzymuje.

Myślałam... chyba zawsze zakładałam, że jak będę kiedyś chciała mieć dzieci, to nie będzie problemu.

Tak sobie myślałam. Nigdy nawet o to nie pytałam. Ale nie mogę. I nie sądziłam, że to mnie do tego stopnia zdołuje. Przepraszam. Gadam bez sensu. - Wzięłam łyk piwa i odwróciłam się, żeby nie było widać mojej twarzy.

Ben nic nie powiedział. Nie byłam w stanie stwierdzić, co sobie myśli. Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć. Nie patrzyłam więc na niego. Próbowalam odgrodzić się od świata, żebym nie musiała przyjmować niczego, co nie działo się w mojej własnej głowie.



Nagle Ben się ruszył. Zsunął się z krzesła i uklęknął przy mnie. Objął mnie i przycisnął mocno do siebie, kładąc sobie moją głowę na ramieniu i mrucząc:

- Ćśś.

Wiedział, że płaczę, zanim sama zdałam sobie z tego sprawę. Widział, że się na to zanosi, choć ja nie miałam o tym pojęcia, póki nie zaczęłam szlochać mu w ramię i miętosić zdrętwiałymi palcami koszuli na jego plecach.

Kiedy już się wyplakałam, przenieśliśmy się na kanapę, gdzie zwinęłam się przy nim w kłębek i wtuliłam w jego ramiona.

- Wiedziałaś, że jesteś w ciąży?

- Nie. A powinnam była. Powinnam? Myślisz, że powinnam o czymś takim wiedzieć?

- Ja nic nie wiem o tych sprawach.

- Chyba się cieszę, że nie wiedziałam. A co, gdybym wiedziała, oswoiła się z tą myślą, może nawet się ucieszyła, a potem... - Pokręciłam głową. - Czy to brzmi nienormalnie?

- Nie wiem. A co by brzmiało normalnie?

- To zwykła sprawa, przydarza się wielu ludziom. Dlaczego w takim razie... A ty? Chcesz mieć dzieci?

- Odwróciłam się, żeby lepiej go widzieć. Odczekał dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

- Nie.

- To pewnie się cieszysz, że tak wyszło.

- Kitty, to nie tak. - Westchnął zirytowany. - Rok temu nawet przez myśl by mi nie przeszło, że istnieje taka możliwość. Nie podejrzewałem, że będę z kimś mieszkał i że w ogóle pojawi się taka kwestia.

Może zmieniłem zdanie. Nie wiem.

Ja też nie wiedziałam. To zdanie pojawiało się ostatnio wyjątkowo często.

Przytuliłam się do niego mocniej.

- Czuję się tak, jakby ktoś mi coś odebrał. Wkurza mnie to. Siedzieliśmy tak pewnie kilka godzin.

Byłam mu za to

bardzo wdzięczna. Nie wiedziałam, jakiej reakcji się po nim spodziewać. Nie winiłabym go, gdyby

wybiegł z krzykiem. Ale potrzebowałam jego bliskości, a on był przy mnie.

Zaczęłam zasypiać - musiało być już koło północy - kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Cholerny dzwonek.

- Kto to, do cholery, może być o tej godzinie? - powiedział zrzędlawie Ben.

- Wampir? - mruknęłam.

Uśmiechnął się i obrzucił mnie spojrzeniem w stylu „chyba sobie żartujesz”. Żadne z nas się nie ruszyło. Nikt na pewno nie oczekiwał, że otworzymy mu o północy.

Ale dzwonek znów zabrzmiał, tym razem dłużej, jakby nasz gość się o niego oparł.

Ben jęknął.

- To coś pilnego.

- Światła są włączone. Nie możemy udawać, że już śpimy.

Wyswobodził się z trudem z mojego uścisku i wstał.

- Zostań tu, a ja sprawdzę kto to. Nie oponowałam.

Równą minutę później usłyszałam od drzwi:

- Kitty, do ciebie.

Nie miałam pojęcia, kto to mógł być. Za wyjątkiem Bena nie znałam nikogo w Pueblo.

Przywlokłam się do drzwi. Ben trzymał klamkę i oglądał się na mnie. Za progiem stał Rick. Wampir.

Muszę przestać w ten sposób żartować.

- O Boże, Rick.

- Cześć, Kitty. - Był średniego wzrostu, miał bladą, nieco arystokratyczną twarz, która przypominała postać ze starego malowidła. W podobny sposób się nosił - był wyprostowany i opanowany. Nic nie mogło wytrącić go z równowagi. Jego ciemne włosy były zaczesane do tyłu i lekko opadały na ramiona. Miał ciemne spodnie, starannie wyprasowaną koszulę, eleganckie buty... i płaszcz, w lecie.

Rick był nietypowy. Choć należał do grupy Artura, mistrza wampirów z Denver, zachowywał też pewną niezależność. Nie byłam pewna, co robił dla Arturo ani co z tego miał. Nie byłam specjalistką w dziedzinie polityki wewnętrznej wampirów. Wiedziałam, że ma co najmniej dwieście lat i większość tego czasu spędził w tych okolicach. Znał świetne opowieści o Dzikim Zachodzie. W przeszłości wyświadczyliśmy sobie nawzajem przysługi, wymieniając się przydatnymi informacjami.

Żadne z nas nie cechowało się takim instynktem terytorialnym jak inni nasi pobratymcy.

- Co tutaj robisz?

- To długa historia. Mogę wejść? - Wskazał ręką na próg.

Musiałam zaprosić go do środka. Spojrzał na mnie wyczekująco, a ja odwzajemniłam jego spojrzenie.

Byłam zamroczona.

Ben nachylił się do mnie i szepnął mi poufnie do ucha:

- Zalatuje śmiercią.

- Tak - odpowiedziałam szeptem. - Tak właśnie pachną wampiry.

- Dziwne. - Zerknął z ukosa na Ricka.

Wampir czekał w milczeniu. Nie wiedziałam, co zrobić.

- Ufasz mu? - spytał Ben. On i Cormac polowali razem na wampiry. Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o stosunku Bena do wampirów, ale wiedziałam, że ogólnie nie miał o nich dobrego zdania. - Nie zjawilibym się, gdybym nie miał ważnej sprawy - wyjaśnił Rick.

Rick nigdy nie dał mi powodu, żeby mu nie ufać. Uważałam go za jednego z tych, którzy stoją po stronie dobra. Wyświadczał mi przysługi. A mimo to nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że tego pożałuję.

- Wejdz - powiedziałam z westchnieniem i odsunęłam się. Rick wszedł do środka z rękami wsuniętymi w kieszenie płaszcza.

Wyjrzałam szybko na ulicę. Chciałam zobaczyć, jakimi samochodami jeżdżą wampiry. Jak mogłam się spodziewać, zobaczyłam bmw cabrio, srebrne i zwrotne. W tej okolicy na pewno nikt nie jeździł takim autem.

Gwizdnęłam cicho.

- Niezłe.

- Dzięki - odparł Rick.

Wróciłam do środka i zamknęłam drzwi.

- Zaproponowałabym ci coś do picia, ale, no cóż... nie ma takiej możliwości. Bez urazy.

- W porządku. Napilem się przed wyjściem. Ben pokręcił z niezadowoleniem głową.

- Nienawidzę wampirów - odezwał się do mnie. Rick uśmiechał się z rozbawieniem.

- Kitty, kopę lat. Jak się masz?

- To nie najlepsza pora na takie pytania. Jestem trochę pijana. - I chora. Chora na duszy. - Ee, to mój przyjaciel, Ben. Ben, to Rick. - Ben O'Tarrell, zgadza się? - spytał wampir.

Ben cały się spiął i skulił ramiona, jakby jeżył sierść. Reagował na zagrożenie. Spojrzał ostro na Ricka. - Czy my się znamy?

- Nie, ale widniejesz w aktach, które Arturo przechowuje na temat tego łowcy głów, Cormaca. Nie ma w nich żadnej wzmianki o tym, że jesteś wilkołakiem.

Przez chwilę myślałam, że Ben na niego naskoczy, bo zadrgał mu chyba każdy mięsień ciała. Miałam ochotę go przytrzymać, ale się powstrzymałam. Musiałam jednak przyznać, że też się zdenerwowałam, słysząc, że Arturo przechowuje akta Cormaca i nie wiedzieć kogo jeszcze. Pewnie moje. Mimo woli ciekawiło mnie, co w nich jest.

Próbując zachować spokój, dotknęłam ramienia Bena.

- Masz zamiar przekazać mu tę informację? - spytał Ben.

- Nie - odparł Rick.

- A jak mnie znalazłeś?

- Matt dał mi twój adres.

Matt, dzwinkowiec z Pokrętła, mojej starej rozgłośni.

- No dobra, dał ci czy może, jakby to ująć... przekonałeś go, żeby ci go dał?

- On, hm, być może lekko się zasugerował. - Mówiąc to, uśmiechnął się.

Przewróciłam oczami. Byłam pewna, że Mattowi nic nie jest. Rick musiał pewnie tylko spojrzeć mu w oczy i odprawić nad nim trochę swoich wampirzych czarów. Gdybym spytała o to Matta, nie pamiętałaby, co się stało.

- Możemy gdzieś usiąść? - spytał Rick. Przeszliśmy do salonu. Ben i ja zajęliśmy kanapę, a Rick znalazł sobie krzesło i ustawił je naprzeciwko nas. Usiadł i nachylił się, opierając łokcie na kolanach.

Wyglądał zwyczajnie, niemal przyjacielsko, zupełnie nie pasując do wizerunku typowego wyrafinowanego wampira, który z reguły uwielbia być najbardziej odjazdową postacią na sali. Rick zwykle nie zwracał sobie głowy takim pozerstwem. Poza bmw.

Zawahał się, przyglądając się mnie i Benowi, mierząc nas wzrokiem. Nie patrzyłam mu w oczy. Nie

chciałam się natknąć na jego hipnotyzujące spojrzenie.

- Potrzebuję twojej pomocy - zaczął.

Nie miałam pojęcia, czego takiego mógł ode mnie potrzebować, żeby przyjeżdżać tu aż z Denver.

- Jakiego rodzaju pomocy potrzebujesz, że nie mogłeś po prostu zadzwonić?

- Chcę zająć miejsce Arturo. Potrzebuję wsparcia.

Tak mnie zaskoczył, że spojrzałam mu w oczy. Chciał przeprowadzić zamach stanu i przejąć władzę nad Denver? Nigdy bym nie pomyślała, że ma takie ambicje. Cholera, mówił, że nie ma. Najwyraźniej coś się zmieniło. - Dlaczego?

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął złożoną kartkę. Był to artykuł z gazety. Rozłożył go i wręczył mi tekst z pierwszej strony na temat serii ataków, do których doszło w nocnym klubie w centrum miasta. Nikt nie zginął, ale co najmniej trzy osoby poddano hospitalizacji z powodu poważnego

pogryzienia. Ofiary twierdziły, że zostały zaatakowane przez wampiry... choć te musiały być dość nieudolne, skoro ktokolwiek w ogóle pamiętał, że został zaatakowany. Z tekstu wynikało, że władze podchodziły do sprawy sceptycznie, ale w obecnych czasach trzeba było brać pod uwagę wszystkie opcje. W artykule cytowano również wypowiedź przedstawiciela Centrum Zapobiegania i Zwalczania Chorób, który zapewniał, że od zwykłego ugryzienia wampira nie można się zarazić wampiryzmem.

Mimo to ludzie i tak zaczęli panikować.

Fakt, że Rick pokazywał mi ten artykuł, dowodził, że to naprawdę była robota wampirów.

- Obawiam się, że Arturo traci kontrolę.

Mistrz miasta miał między innymi pilnować, żeby takie rzeczy się nie zdarzały. Powinien panować nad wampirami. Jeśli wampiry nie będą pod kontrolą, mogą ginąć ludzie. Jeśli zaczną ginąć ludzie, władze zaczną się interesować wampirami, a im nie było potrzebne tego typu zainteresowanie, jeśli chciały zachować swoje małe królestwa.

- To nie wszystko - ciągnął Rick. - Jeśli ktoś z zewnątrz uzna, że Arturo jest słaby, może się tu zjawić i spróbować przejąć władzę. Grozi mu utrata autorytetu. Jeśli zacznie szukać pomocy na zewnątrz, może całkowicie utracić autonomię.

- Czy w sprawę zamieszani są inni mistrzowie? Poza tobą?

- To skomplikowane. Nie chciałbym jednak, żeby władza nad okolicą przeszła w niewłaściwe ręce.

- A twoje są właściwe? Wyciągnął przed siebie dłonie, jakby chciał mi je ofiarować.

Instynktownie lubiłam Ricka, chociaż nie wiedziałam o nim zbyt dużo. Nie na tyle dużo, żeby mieć pewność, że jego ręce są właściwe. Niemniej miałam do niego większe zaufanie niż do Arturo, który nie cierpiał mojej audycji i próbował mnie zabić, żebym jej nie prowadziła. Już samo to sprawiało, że wołałam, żeby to Rick był u władzy.

- Co miałabym zrobić?

- Wilkołaki z Denver staną po stronie Arturo. Carl i Meg są mu posłuszni. - Carl i Meg, samiec i samica alfa, którzy

przewodzą watachę z Denver. Nie była to z pewnością moja najukochańsza para na świecie. Szczerze mówiąc, cieszyłabym się, gdybym już nigdy więcej o nich nie usłyszała.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Gdybyś mogła przejąć watachę... - zasugerował Rick.

- Nie - przerwałam mu.

- Jesteś wystarczająco silna. Zwłaszcza z pomocą. - Spojrzał znacząco na Bena. Jakby uważał, że bylibyśmy dobrymi przywódcami stada.

To był jakiś obłąd.

- Nie. Nie ma mowy. Przegrałam walkę. Zostałam wygnana i wiesz co? Dobrze mi z tym. Nie chcę wracać. Mogą sobie zachować swoją cholerną watachę. Przykro mi, Rick, ale będziesz musiał znaleźć inny sposób, żeby przeciągnąć wilkołaki na swoją stronę.

- Sytuacja się zmieniła, odkąd wyjechałaś. Na gorsze. Kiedy wyjechałaś? Pół roku temu?

- Minęło osiem miesięcy. A może dziewięć.

- Od tego czasu zginęły trzy wilkołaki z twojej watachy. Carl i Meg je zabili. Ty i T.J. podburzyliście grupę, a oni z trudem utrzymują nad nią kontrolę. Sytuacja jest niezdrowa, Kitty. Watacha jest na skraju anarchii. Potrzebna jest pomoc, żeby jej członkowie znów mogli być bezpieczni.

Nie mogłam zbawić świata. Nie byłam w stanie rozwiązać problemów wszystkich ludzi. Ledwie dawałam sobie radę z własnym życiem.

- Dlaczego uważasz, że mogłabym to zrobić?

- Bo prawie to zrobiłaś osiem miesięcy temu. Od tego czasu nabrałaś sił. Od razu to po tobie widać.

- Nie.

Ben wziął mnie za rękę i uścisnął. Teraz jego kolej na dodawanie mi otuchy.

- Kitty ma rację, to nie najlepsza pora, żeby o tym rozmawiać - powiedział.

- Przykro mi, ale nie zostało dużo czasu - stwierdził Rick. - Miastu nie zostało dużo czasu. Niektóre wampiry nie przejmują się kontrolą.

Pokręciłam głową.

- Rick, nie jestem w stanie wszystkich uratować. Problem w tym, że lubię samotnicze życie. Cenię niezależność. Podoba mi się, że nie muszę się martwić irytującym samcem alfa, który nieustannie patrzy mi na ręce, ani tym, co wyczynia za moimi plecami tuzin innych wilkołaków. Wolę mieć własne życie.

- Własne życie... z własnym samcem. Dwuosobowa wataha. Ciągle o tym zapomniałam.

- Właśnie tak.

- Co by cię skłoniło do powrotu do Denver? - spytał Rick. Spojrzałam na niego ze złością.

- Nic mnie nie skłoni do powrotu do Denver. Przykro mi.

- No cóż. Dziękuję za szczerość. - Wstał i strzepnął płaszcz.

Odprowadziłam go do drzwi, a Ben podążył za nami, starając się wyglądać jednocześnie groźnie i dyskretnie. Wyglądał przez to gburowato.

- Darzysz mnie dużym zaufaniem, skoro mówisz mi o swoich planach - powiedziałam do Ricka. - W Denver jest mnóstwo osób, które z chęcią by je poznały.

- Może bym się martwił, gdybyś była na dobrej stopie z którąkolwiek z nich. - Uśmiechnął się lekko.

A ty masz do mnie wystarczająco duże zaufanie, żeby zaprosić mnie do siebie do domu.

Odwzajemniam się tym samym.

Bez wahania zaprosiłabym do siebie przyjaciela. W przypadku Ricka jednak sprawa nabierała powagi.

W jego świecie tego typu zaproszenia nie były wcale oczywistością. Zaczęłam się zastanawiać, czy spodziewał się, że powiem nie? Czy odwróciłby się na pięcie i odjechał, gdybym go nie zaprosiła do środka? Czy wyjawiał mi swoje plany dopiero po tym, jak zdałam ten test?

- Kiedy to nastąpi? - spytałam, sprawdzając zaufanie, które najwyraźniej się między nami zrodziło.

Wzruszył ramionami.

- Ciągłe zbieram siły. Wkrótce.

- Skąd będę wiedziała, jak poszło?

- Przyjedź do Denver za jakiś miesiąc. Sprawdź, czy ktoś będzie chciał cię zabić. - I znów ten uśmiech.

- Nienawidzę was. Nienawidzę tego gówna.

- To zostań w Pueblo. - Po czym dodał nieco sarkastycznie: - Jestem pewien, że tu nikt cię nie będzie nachodził.

Byłam pewna, że to miał być przytyk. Był już w połowie drogi do samochodu, kiedy wychyliłam się przez drzwi.

- Powodzenia, Rick.

Zerknął na mnie przez ramię, schował ręce do kieszeni i poszedł dalej.

Ben stanął za mną i przyłgnął do mnie całym ciałem, kładąc mi ręce na biodrach.

- Nie muszę ci chyba mówić, że ten facet mnie zestresował, prawda?

- No cóż, miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał nigdy poznać faceta, którego chce zastąpić.

- Tego, co ma akta Cormaca?

- Mistrza wampirów Denver.

- Nie miałem pojęcia, że Denver w ogóle zasługuje na mistrza. Poznałaś go? Jaki jest?

- Powiem tylko, że dobrze by było, gdyby Rick go wyeliminował.

Wysunęłam się z jego objęć tylko na tyle, żeby zamknąć drzwi, po czym znów wtuliłam się w jego ramiona. Piwo w jednej chwili uderzyło mi do głowy i omal nie zasnęłam na stojąco. Pociągnęłam Bena za koszulę i miałam nadzieję, że nie bełkocę za bardzo, mówiąc:

- Chodźmy do łóżka.

Upicie się pomogło, bo zasnęłam, nie myśląc o dzieciach, poronieniach, krwi, wampirach, wojnach ani w ogóle o niczym.

Na stoliku nocnym zadzwoniła moja komórka. Poderwałam się gwałtownie, czując się tak, jakby ktoś uderzył w gong tuż

nad moją twarzą. W tej samej chwili dopadł mnie ból głowy. Jęknęłam i schowałam się pod poduszkę.



- Odbierzesz? - odezwał się poirytowanym głosem Ben.

- Która godzina?

- Wczesna.

A cholerny telefon ciągle brzęczał. Wzięłam go do ręki, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Na wyświetlaczu pokazywał się numer moich rodziców. Był wtorek, a mama przecież nie dzwoniła w inne dni niż niedziela. Chyba że coś się stało.

Nacisnęłam przycisk i odebrałam.

- Halo?

- Kitty? - usłyszałam głos taty.

Usiadłam prosto. Coś się stało. Kochałam tatę i dobrze się dogadywaliśmy, przynajmniej od czasu, kiedy się wyprowadziłam z domu. Ale tata nigdy do mnie nie dzwonił. Ręce pokryła mi nagle gęsia skórka. - Cześć, tato. Ben wsparł się na łokciu i popatrzył na mnie, marszcząc z niepokojem czoło.

Pewnie wyczuł coś w moim głosie i zauważył, że cała się spięłam. - Możesz przyjechać? Dziś rano?

- Co się dzieje? Co się stało?

- Mama idzie do szpitala.

- Co? - odezwałam się trochę zbyt piskliwie. - Dlaczego? Po co? - Ben położył mi rękę na nodze, chcąc dodać mi otuchy.

- Mówiła ci, że w zeszłym tygodniu robiła sobie mammografię?

- Nie. Zaraz... Od kiedy o tym wiedziała? - Podczas naszej ostatniej niedzielnej rozmowy wiedziała, że coś jest nie tak, i nie powiedziała mi o tym. Oczy zapiekły mnie nagle boleśnie.

Tata wziął głęboki oddech, który miał go uspokoić i przygotować do wyznania. Powiedziałam sobie, że nie mogło być aż tali źle. Skoro tata potrafił zachować spokój, nie mogło być aż tak źle.

- Idzie, bo wyczuła guzek - wyjaśnił. - To pewnie nic takiego, na pewno nie jest złośliwy. Usuną go i przebadają. Zostaje tylko na jedną noc. Rutynowy zabieg.

Czy on próbował przekonać o tym mnie czy siebie?

- Nie chciała, żebym ci mówił - ciągnął. - Mówiła, że nic chce cię martwić, bo to może nic takiego. Ale ja myślę, że bardzo by się ucieszyła, gdybyś tu była.

Jeśli nie ona, to on na pewno. Może ciężar strachu i niepewności będzie łatwiejszy do uniesienia, jeśli podzieli się go pomiędzy więcej osób.

- Oczywiście, że przyjadę. O której? Gdzie? - Poszłam z telefonem do drugiego pokoju, szukając czegoś do pisania. Znalazłam długopis i zanotowałam informacje, które podał mi tata. Powtórzyłam je na głos. Przyziemne szczegóły nie pozwalały za dużo myśleć.

- Przepraszam, że cię obudziłem. Nie dzwoniłbym, gdybym nie uznał, że to ważne.

- Nie, nic się nie stało. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Tato, a jak ty się masz?

- Wszystko będzie dobrze. Pójdziemy do szpitala, zajmiemy się tym i wszystko będzie dobrze. - W

jego głosie pobrzmiwała desperacja. Mówił te słowa w taki sposób, jakby sądził, że wypowiadając je na głos, sprawi, iż staną się faktem.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Trzymam się - powiedział po chwili. - Mama jest teraz najważniejsza.

- No tak. Już jadę. Zaraz wyjeżdżam.

- Do zobaczenia.

Rozłączyliśmy się. Odłożyłam telefon i wróciłam do sypialni. Zaczęłam grzebać w szafie. Ręce mi się trzęsły. - Kitty? - spytał Ben, przyglądając mi się z łóżka.

- Muszę jechać do Denver. Muszę jechać natychmiast.

- Tak po prostu? Koniec wygnania?

- Ben, chodzi o moją mamę.

- Wiem, słyszałem.

Pomyślałam, że powinnam wziąć prysznic, żeby się obudzić. Nie, za dużo czasu. Ubrania... dzinsy, koszulki. Nie, coś lepszego. Bluzka. Szybko się ubrałam. Związałam włosy.

Ben też się ubrał. Podeszedł ze mną do drzwi, patrząc, jak podnoszę torbę i szukam w pośpiechu butów, po czym wyjął mi z ręki kluczyki od samochodu.

- Ja prowadzę - powiedział.

- Nie musisz jechać.

- Kitty, jesteś w kiepskim stanie. Ja prowadzę. Zaczęłam płakać. Ben przytulił mnie. Trwało to tylko chwilę

i pozbierałam się do kupy. Nie ma czasu na panikę. To nieodpowiednia pora na rozpacz.

Dziesięć minut później zmierzaliśmy na północ.

## Rozdział 3

Przy porannych korkach droga do Denver zajęła nam trzy godziny. Ben wiedział, gdzie jest szpital, i od razu się tam udaliśmy.

- Nie jestem zwykłym prawnikiem - wyjaśnił z uśmiechem. - Jestem prawnikiem, który ściga się z karetkami.

Dobrze, że ze mną pojechał. Parking podziemny był zapełniony, ale on cierpliwie objeżdżał każdy poziom, dopóki nie trafiliśmy na wolne miejsce. Potem nie wiedziałam, który przycisk w windzie nacisnąć, żeby dojechać do głównego holu, a kiedy się w nim znaleźliśmy, stanęłam na skrzyżowaniu dwóch korytarzy i zamarłam, nie wiedząc, dokąd iść. Ben za każdym razem kierował mnie we właściwą stronę, aż dotarliśmy do informacji.

Trzymałam się za brzuch, który ciągle mnie bolał. Nadal odczuwałam skurcze. Moje wnętrzości jeszcze się oczyszczały. W dalszym ciągu byłam chora.

- Nic nie mów - powiedziałam, przysuwając się do Bena. - Nic im nie mów. O tym, że poroniłam.

- Dobrze.

Oparłam się o kontuar przy okienku informacyjnym.

- Przyszłam do Gai! Norville, miała się zjawić dziś rano.

Recepcjonistka potrzebowała zdecydowanie za dużo czasu na to, żeby znaleźć nazwisko w bazie danych. Już prawie zaczęłam myśleć, że to była jedna wielka pomyłka. Mama nie była tak naprawdę chora. Wcale jej nie było w szpitalu, zaszło nieporozumienie, a ja chyba uduszę później tatę za to wszystko.

- Mam - odezwała się radośnie recepcjonistka. - Jest na oddziale ambulatoryjnym, za godzinę będzie miała zabieg, ale obecnie przebywa jeszcze na sali numer 207, piętro wyżej na prawo.

Szybko odsunęłam się od kontuaru i ruszyłam do windy. Gdzieś za mną Ben rzucił:

- Dziękujemy.

Winda jechała strasznie wolno. Miałam ochotę warczeć. Staliśmy obok siebie z Benem, stykając się ramionami. Jego dotyk trochę mnie uspokajał. Przynajmniej na tyle, że nie zaczęłam krzyczeć.

Drzwi windy otworzyły się piętro wyżej na typowy szpitalny korytarz: podłogi i ściany w kolorze złamanej bieli, delikatnie szumiące jarzeniówki, drzwi i rozwidlające się korytarze. Widziałam, że coś się dzieje, że przechodzą jacyś ludzie, ale koncentrowałam się tylko na numerach nad drzwiami.

Skręcić w prawo, 201, 203...

Drzwi do pokoju 207 były otwarte. Nie miałam pojęcia, co zastanę w środku. Weszłam z

przygarbionymi ramionami, tak napięta, że myślałam, iż wybuchnę.

Wszyscy byli na miejscu - cała moja najbliższa rodzina. Mama, tata, moja starsza siostra, Cheryl, jej mąż, Mark, ich dwoje dzieci. Mama leżała w łóżku w szpitalnej koszuli. Wezgiłowie było uniesione tak, żeby mogła siedzieć, a na kolanach trzymała mojego szesnastomiesięcznego siostrzeńca, Jeffy'ego, bawiąc się z nim pluszowym tygrysiem. Trzypółletnia Nicky siedziała z tatą na krześle.

Miała zaczerwienione oczy, spuchniętą twarz, zapłakaną i nieszczęśliwą, jakby rozumiała, że dorośli się czymś martwią, ale nie wiedziała

czym, wyczuwając tylko, że coś jest nie tak. Mark próbował ją czymś zająć. Cheryl siedziała na krześle obok łóżka, nachylając się nad Jeffym, a mój ojciec, Jim Norville, pochylał się nad Cheryl.

- Cześć.

Wszyscy obrócili się w moją stronę. Przez chwilę ich uśmiechy przestały być tak strasznie wymuszone.

- Kitty! - powiedziała mama ze śmiechem.

Omam się na nią nie przewróciłam, kiedy podbiegłam, żeby ją uściskać, choć wypadło to dziwacznie, bo nachylając się, niemal zepchnęłam ją z łóżka.

- Jesteś, naprawdę tu jesteś! - wymamrotała mi we włosy.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Powinnaś mi była powiedzieć - mruknęłam.

- To samo powiedziała twoja siostra - odparła.

- Mamo!

Wzruszyła niezrażona ramionami. Jeffy mrugał w osłupieniu i walił rączką w tygryską. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem.

- Urósł, co? - Ostatnim razem, kiedy go widziałam, ledwie umiał samodzielnie siedzieć.

- Co ty powiesz - odparła Cheryl i uśmiechnęła się do mnie szeroko.

Potem musiałam wszystkich wyściskać, przechodząc na drugą stronę łóżka do Cheryl i taty.

- Dzięki, że przyjechałaś - szepnął.

- Musiałam - odparłam.

Pomachałam do Marka i Nicky. Mark odmachnął mi, a Nicky tylko patrzyła. Moje przybycie przerwało jej płacz i była teraz równie zafascynowana obecnością nowej osoby jak jej brat. Nie urosła tak bardzo jak Jeffy - właściwie niewiele się zmieniła od mojej ostatniej wizyty. Ona jednak

najwyraźniej mnie nie pamiętała. Nie byłam częścią jej życia w takim stopniu, żeby mnie pamiętała.

Dzieci. Cholera. Ta dwójka pewnie już zawsze będzie mi najbliższa.

Nie płacz, nie tutaj. Cofnęłam się i przyjrzałam się uważnie mojej rodzinie. Moim najbliższym.

Wyglądaliśmy na spokrewnionych - wszyscy mieliśmy raczej smukłą sylwetkę, byliśmy wysportowani, przypominając postaci z ulotki reklamowej jakiegoś klubu sportowego. Mama i tata poznali się w uniwersyteckiej drużynie tenisowej i ciągle jeszcze grali dwa razy w tygodniu. Brązowe włosy taty zaczęły wyraźnie siwieć. Wszystkie dziewczyny były blondynkami, chociaż włosy mamy przybrały już niemal kolor popiołu.

Przez chwilę mama nie przypominała dawnej siebie. Nie była umalowana, jej sięgające podbródka włosy były proste i nieuczesane, a w szpitalnej koszuli wyglądała niechlujnie i niemodnie. Mama była niezwykle elegancką kobietą. W takim wydaniu rzeczywiście wydawała się chora. Na pierwszy rzut oka niczego po niej nie było widać. Uśmiechała się z wystarczającą lekkością. Bała się jednak, co można było poznać po spiętych mięśniach twarzy i zaciśniętych dłoniach.

Tata pierwszy zauważył Bena, który wszedł cichutko do pokoju i oparł się o ścianę przy drzwiach.

Spojrzenie taty ściągnęło na niego uwagę wszystkich innych.

No cóż, to nie do końca miało się odbyć w ten sposób. Musiałam jednak iść na żywioł.

- To Ben - wyjaśniłam. Podeszłam do niego, wzięłam go pod rękę i pociągnęłam naprzód. Zaczęłam wskazywać kolejne osoby i przedstawiać je: - Ben, to moja mama i tata: Gail i Jim. To Cheryl, żona Marka, a te małe szkraby to Jeffy i Nicky.

- Witaj, Ben - powiedziała mama z szerokim uśmiechem i irytującym zadowoleniem. - Dobrze móc wreszcie cię poznać.

Ben bardzo grzecznie uścisnął ręce moich rodziców.

- Pani Norville, panie Norville.

- Boże, jak w liceum - mruknęłam i nagle poczułam się, jakbym miała szesnaście lat. Czy przedstawianie swojego chłopaka rodzicom nie powinno stać się z czasem łatwiejsze?

- Mów mi po imieniu - odezwała się miękko mama, cała w skowronkach.

Pokój wyglądał niemal radośnie: ściany pomalowano na różowo, a koce były optymistycznie żółte.

Widać, że starano się dodać szpitalnym wnętrzom trochę wesołości. Ciągle jednak pachniało tu jak w szpitalu. A mama nadal była chora.

- O co chodzi? Co się dzieje? - spytałam. Mama zbyła wszystko machnięciem ręki.

- Nic mi nie będzie. Tak czy inaczej, nic mi nie będzie. Biopsja może nawet dać wynik negatywny i nie będę się musiała niczym martwić. A jeśli guz okaże się złośliwy, przejdę tylko krótką radioterapię i będzie po wszystkim. Nie będę nawet musiała iść na zwolnienie. Wszystko będzie dobrze.

Była jedyną osobą w pokoju, która się uśmiechała. Spojrzałam na tatę. Nigdy nie widziałam, żeby miał taką minę. Nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek miał taką minę. Jego ból był czymś więcej niż usilnym powstrzymywaniem się od łez - nigdy nie płakał. Wyglądał tak, jakby widział, że świat się rozpada, i był przekonany, że tylko on jeden może go od tego uchronić. Domyślałam się, że rozmawiał

z lekarzem i wiedział tyle samo co mama na temat całej sytuacji. Z jakiegoś powodu nie podzielał jej optymizmu. Oczywiście było jeszcze za wcześnie na czarnowidztwo. Czy nie było za wcześnie, żeby spodziewać się najgorszego? Nawet jeśli naprawdę miała raka piersi?

Teraz właśnie mama chciała, żebyśmy byli tak samo radośni jak ona. Pragnęła, żebyśmy wierzyli, że wszystko będzie dobrze. Może miała rację. Łatwy zabieg, krótka radioterapia. Rak nie oznaczał od razu wyroku śmierci. Tysiące kobiet wychodziło z niego cało. Mama będzie jedną z nich.

Zanim zabrali ją na zabieg, uścisnęła mi rękę.

- Gdybym wiedziała, że wystarczy zachorować na raka, żeby cię tu ściągnąć, zrobiłabym to wcześniej.

Miałam ochotę ją za to uderzyć, niezależnie od tego, czy była chora, czy nie.

- Nawet w ten sposób nie żartuj, mamó. Na całe jej szczęście się speszyła.

- Przepraszam, masz rację. Cieszę się po prostu, że cię widzę. Już nie uciekniesz, prawda?

Pokręciłam głową.

- Będę na miejscu, jak się obudzisz.

- To dobrze.

I tak to się właśnie odbyło. Chirurg miał w sobie coś bardzo kojącego. Kiedy powiedział, że zabieg jest jak najzupełniej rutynowy, zaczęłam mu wierzyć. Czekaliśmy w jednej z tych zwyczajnych szpitalnych poczekalni z plastikowymi krzesłami i starymi czasopismami rozłożonymi na stolikach.

Sztuczne rośliny doniczkowe i zdjęcia kwiatów dopełniały atmosfery wymuszonej beztroski. Ben był

bardzo cierpliwy, siedząc ze mną cały ten czas. Tata zadawał mu zazwyczaj zadawane przez ojców pytania o pracę: „A więc, chłopcze, czym się zajmujesz?” Ben odpowiedział mu, nie przytaczając żadnych drastycznych przypadków ze swojej praktyki prawniczej. Jak na przykład Cormaca. Tata pogawędził chwilę o swojej pracy w banku. Poza tym dzieciaki dostarczały nam nieustannej rozrywki.

Okazały się w tym całkiem niezłe. Obserwowałam, jak czytają - to jest udają, że czytają - swoje dziecięce książeczki i jak rzucają pluszakami. Ben widział, że na nie patrzę, i żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Zabieg odbył się bez problemów. Chirurg był pewien, że usunął cały guzek - nikt nie wypowiedział jeszcze słowa nowotwór - ale wyniki miały być nie wcześniej niż za tydzień. Teraz więc musieliśmy jedynie czekać.

Po zabiegu wróciliśmy z Benem do domu... tym razem do nowego, przynajmniej dla mnie. Ben miał mieszkanie na drugim piętrze w północnym Cherry Creek. Pod jego nieobecność powietrze w domu nieco zateęchło. Zalatywało naftaliną. Nie pozwoliłam mu przyjechać tu samemu, bo bałam się, że Carl może go wytropić i uznać za naruszającego terytorium samotnika.

Było to typowe kawalerskie mieszkanie, którego właściciel niespecjalnie przykładął wagę do wystroju. W salonie znajdowała się przytulna skórzana kanapa i telewizor plazmowy. Na starym stoliku kawowym leżały stosy książek, czasopism

i teczek. Połowa pokoju była zamieniona w gabinet: biurko w rogu było zarzucone papierami, za wyjątkiem pustego skrawka wielkości laptopa. Z salonu wychodziło się na balkon. Kuchnia była mała, a sypialnia znajdowała się w głębi mieszkania. Miałam wielką ochotę pomyszkować w szufladach i szafach, żeby odkryć tajemnice Bena.

- Nie poszło z dymem - powiedział, zamykając za sobą drzwi. - Jestem niemal zszokowany.

- Jak długo tu mieszkałeś?

- Jakies cztery lata. Spodobało mi się i cena była dobra. -Podszedł do szklanych drzwi balkonowych i spojrzął na panoramę miasta, dywan drzew i szpaler budynków. Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. - Dobrze być znów w domu. Tęskniłem za nim.

Prawdę mówiąc, mnie też brakowało Denver. Moich ulubionych restauracji, starego rewiru, zarysu gór na zachodzie. Ale nie mogłam się cieszyć z powrotu. Miałam za dużo zmartwień.

Rzuciłam torbę i usiadłam na kanapie. Złożyłam ręce i rozejrzałam się nerwowo. Koniec wygnania, tak po prostu. Nie byłam u siebie od wielu miesięcy, odkąd wyjechałam z Denver. A teraz, kiedy wróciłam, w dalszym ciągu czułam się tak, jakbym nie była u siebie. Byłam gościem w obcym domu.

- Chyba powinniśmy zrobić zakupy - ciągnął Ben. - Poprosiłem mamę, żeby wyrzuciła jedzenie, kiedy przyjechała po moje rzeczy. Przynajmniej lodówka nie będzie śmierdzieć kwaśnym mlekiem.

Niespecjalnie go słuchałam, oparłam się i złapałam za głowę. Co miałam zrobić? Można by pomyśleć, że powinnam już się przyzwyczaić do tego, że moje życie się wali. Zdarzało się to dość często.

Ben opadł na kanapę obok mnie.

- Chcesz zobaczyć sypialnię? - Mrugnął przy tym okropnie.
- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.
- Widzę, że nie jesteś zachwycona tym miejscem.
- Nie o to chodzi. Po prostu nie wiem za bardzo, co mam dalej robić.
- Proponowałem sypialnię...

Jęknęłam z udawaną boleścią i przytuliłam się do niego, szukając pociechy.

- Ciągle mi się wydaje, że zaraz tu wpadną Carl i Meg.
- Naprawdę są aż tacy straszni? Opowiadałaś mi o tym całym gównie, do którego doprowadzili, ale jednak. Jesteś pewna, że nie przesadzasz i nie wyolbrzymiasz wszystkiego?

Gapiałam się na niego nieruchomo.

- Uwierz mi, niczego nie wyolbrzymiam. Zabili mojego najlepszego przyjaciela. - Carl, morderca i gwałciciel, i Meg, zaciekle zdzira, która ciągle go podpuszczała. Parka z piekła rodem.

Ben bawił się moimi włosami, a ja się uspokoiłam pod wpływem jego dotyku. To było jego mieszkanie, pachniało nim, czułam się tu bezpiecznie. Z grubsza. Znow westchnęłam.

- Nie jestem pewna, czym mam się bardziej przejmować - powiedziałam. - Mamą, sobą czy watahą.

Albo Rickiem. Boże, jeśli Rick się dowie, że tu jestem, opacznie to zrozumie.

- Jak miałby się o tym dowiedzieć? Denver jest wielkie i nikt się nie dowie, że tu jesteś.
- Och, Ben, jesteś taki słodki, kiedy jesteś taki naiwny.
- A ty jesteś taka słodka, kiedy wpadasz w paranoję.
- To nie paranoja...

- ...kiedy ktoś naprawdę cię ściga. Wiem. Pamiętasz, co mi powtarzałaś, kiedy fiksowałem i jęczałem, że nie wiem, co mam zrobić?

- Nie, co? - jęknęłam dokładnie tak, jak mówił.
- Wracaj do pracy. To lekarstwo na wszystko.

Moja stara radiostacja, moje dawne studio, Pokrętko, znajdowało się w Denver. Może mogłabym tam wrócić. Strasznie chciałabym się znów zobaczyć z Mattem, Ozziem i całą resztą.



- Wszyscy będą wiedzieli, gdzie mnie znaleźć - zauważyłam.

- Więc nie mów nikomu, że tam jesteś. Myślisz, że postawią wartę przy drzwiach?

- Może.

- Dobra, poddaję się. Schowaj się tu na zawsze. Ale jak zaczniesz chodzić po ścianach, sam cię wykopię.

Wytrzymałam jeden dzień w mieszkaniu Bena. Nie musiał mnie wykopywać. Następnego dnia był piątek i musiałam poprowadzić audycję. Nie mogłam pozwolić, żeby przeszkodził mi w tym taki drobiazg jak paranoja - niezależnie od tego, czy uzasadniona, czy też nie.

Budynek Pokręta w ogóle się nie zmienił. Była to trzypiętrowa kupa cegieł z lat siedemdziesiątych wciśnięta w boczną uliczkę. Gdyby z dachu nie wyrastał las anten, w środku mogłoby się mieścić cokolwiek.

Wślizgnęłam się głównym wejściem do środka... Córka marnotrawna wróciła.

Nie rozpoznałam recepcjonistki w holu. Była w moim wieku, nosiła okulary i ślęczała pilnie nad jakimiś dokumentami. Nie podniosła głowy, a ja nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Mam tak po prostu wejść, jakbym ciągle tu pracowała? Oddali komuś mój gabinet?

Dopasowując się do własnego nastroju, przemknęłam obok i weszłam po schodach na piętro. Strategia uniku zawsze się sprawdzała. Na pierwszym piętrze były biura, na drugim studia i biblioteki. Miałam ochotę iść na samą górę, odetchnąć atmosferą i zapachami tego miejsca. Chciałam odszukać mój ulubiony gąbkowy fotel i się na nim pokręcić. Spędziłam tu mnóstwo czasu, najpierw na stażu, a potem jako etatowy didżej, zanim zaczęłam prowadzić audycję. Tutaj właśnie wszystko się zaczęło.

Byłam za młoda na taką nostalgię.

Może dlatego nie poszłam od razu do studia na drugim piętrze, tylko zatrzymałam się na pierwszym, żeby znaleźć Oz-ziego, kierownika stacji i mojego szefa w jednym. Powinnam była wcześniej zadzwonić. Należało go uprzedzić.

Naprawdę powinnam przestać robić sobie wyrzuty.

Skradając się jak intruz, nasłuchiwałam głosów i próbowałam się domyślić, kto jest w środku i gdzie może być Ozzie. Może nie byłam aż tak długo nieobecna. Na tablicy wisiało trochę tych samych ulotek i ogłoszeń, żeby zabrać swoje śmieci z lodówki w kuchni i wpisać się na listę chętnych na piknik.

- Kitty!

Zza rogu na końcu korytarza wyszedł Matt - młody, krępy, z ciemnymi włosami związanymi w

kucyk. Prowadził dla mnie program, najpierw na żywo, potem zdalnie, kiedy musiałam ruszyć w drogę.

Uśmiechnęłam się szeroko i pisnęłam cicho.

- Matt!

Podbiegliśmy do siebie i uściskaliśmy się. Byłam w domu. Matt gadał jak najęty.

- Co ty tutaj robisz? Nie wiedziałem, że wróciłaś. Dlaczego nie zadzwoniłaś? Ej, jesteśmy przygotowani do nadawania audycji z Pueblo. Mamy wszystko przenieść tu z powrotem, wpadłaś tylko na chwilę czy jak? Odstąpiliśmy od siebie, a ja zaczęłam dukać onieśmielona:

- Chyba wróciłam. To stało się dość niespodziewanie. W porządku? Czy to jakiś problem?

- Nie powinno być... - Kitty!

Zjawił się Ozzie, wyłaniając się zza tego samego rogu co Matt. Był typem podstarzałego hippisa, z cieniutkim kucykiem i... rety, zapuścił sobie brodę. Bujną.

- Cześć, Ozzie.

Zgniół mnie w uścisku, podrywając do góry. Po tym wszystkim, co się stało, przy całym rozgłosie, nie traktowano mnie tutaj jak wilkołaka. To było jedyne miejsce, w którym byłam przede wszystkim didżejem, a dopiero potem likantropem. Świetnie się z tym czułam.

- Co tutaj robisz? - spytał i zmarszczył znajomo brwi. Był takim szefem, który robi się zrzędlawy, kiedy coś nie idzie zgodnie z planem. - Myślałem, że nie wracasz. Zamieniliśmy twoje biuro w składzik. No i miałam odpowiedź.

- Zmiana planów. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale zdecydowałam się w ostatniej chwili. - W bardzo ostatniej.

Czy naprawdę minęły dopiero dwa dni, od kiedy tata zadzwonił i powiedział o mamie? - To jakiś problem? Możemy nadać jutrzejszą audycję stąd?

- Jasne, pewnie, oczywiście. Matt? - Matt wzruszył ramionami, co Ozzie uznał za potwierdzenie. - Nie ma problemu. Co cię zatem sprowadza z powrotem? Wszystko w porządku?

Podjęłam decyzję. W tym miejscu było mi dobrze. Wszystkie problemy zostawały na zewnątrz, a to był mój dom.

- Wszystko w porządku - zapewniłam i uśmiechnęłam się.

Przez następny tydzień szłam jak przez pole minowe - ostrożnie stawiając każdy krok i czekając na nieunikniony wybuch. Wpadłam w pewnego rodzaju rutynę, choć dość stresującą. Głównym źródłem

stresu było oczekiwanie na telefon z wynikami biopsji mamy. Miały one stwierdzić, czy miała raka, a jeśli tak, to jakiego rodzaju, w jakim stopniu zaawansowania i z jakimi rokowaniami. Pojechaliśmy z Benem na chwilę do Pueblo, aby zabrać trochę rzeczy i drugi samochód. Przeprowadzka do Denver zaczęła wyglądać poważnie, chociaż myślałam, że jeśli wyniki okażą się dobre, znów wyjadę z miasta.

Unikałam centrum i północnego pogórza, gdzie zwykle biegała wataha. Unikałam wszelkich miejsc, w których według mojej wiedzy przebywali nadnaturalni. Nie wychodziłam zbyt często z domu.

Pokrętko, mieszkanie Bena, dom mamy i taty w Aurorze. I tyle. Nadrobiłam zaległości w czytaniu.

Ozzie nie uprzątnął składzika, w którym wcześniej znajdował się mój gabinet, tylko dał mi nowy -

równie przytulną dziurę, czekającą na nową asystentkę z działu marketingu, która jeszcze nie została zatrudniona. W pokoju szybko zapanował taki nieład, że wyglądało, jakbym pracowała w tym miejscu od wielu miesięcy. Na brzegu biurka leżały stosy gazet, czasopism, listów i e-maili - teraz musiałam sama się tym zajmować, bo nie miałam pomocnika - oraz odbiornik radiowy nastawiony na Pokrętko.

Miałam wrażenie, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała.

Był też telefon, który dzwonił o wiele częściej, niż chciałam. I ciągle sprawiał, że podrywałam się na jego dźwięk. Tym razem dzwoniła moja komórka.

- Halo - udało mi się odezwać dość przyjaznym tonem.

- Proszę, proszę, słynna pani wilkołak, Kitty Norville - odezwał się cyniczny kobiecy głos.

Znałam go.

- Pani oficer Hardin. Dzień dobry - odezwałam się z udawaną uprzejmością.

Oficer Jessi Hardin została przydzielona do sprawy serii zabójstw dokonanych przez wilkołaka przed moim wyjazdem z Denver. Była niezwykła, bo kiedy powiedziałam jej, że we wszystko zamieszany jest wilkołak, uwierzyła mi, zanim ktokolwiek nawet przyznał, że coś takiego jak wilkołak istnieje.

Wyprzedzała swoje czasy. Lubiłam ją, tyle że zawsze, kiedy dzwoniła, zadawała mi trudne pytania.

Byłam jej źródłem informacji w sprawach nadnaturalnych.

- Mam pytanie. Jesteś na bieżąco z sytuacją w Denver?

Nie wiedziała, że wróciłam. Dzwoniła do mnie na komórkę; mogłam być wszędzie. Czułam, że odniosłam małe zwycięstwo. Wyglądało na to, że strategia, żeby się nie wychylać, była właściwa.

Teraz muszę się tylko pilnować, żeby mi się nie wymknęło, że wróciłam. Bo wtedy zacnie mnie nachodzić osobiście i pokazywać mi ciała ludzi, którzy zginęli w straszny sposób.

Przypomniał mi się artykuł z gazety, który pokazał mi Rick.

- Słyszałam o atakach wampirów w nocnych klubach. Przydzielili pani tę sprawę?

- Tylko częściowo. Napastnicy byli wampirami i mamy ich rysopisy. Obstawiliśmy najbardziej prawdopodobne miejsca... że się tak wyrażę. Ale teraz mam inny kłopot.

- Tak?

- Właśnie zostałam szefem jednostki do spraw nadprzyrodzonych w wydziale policji w Denver. -

Mówiła z kpina w głosie, jakby to był świetny, ironiczny żart. - Mam napisać kodeks postępowania.

- Super. Gratuluję. Chyba. Niech mi pani w takim razie powie, co zrobić, gdy trzeba zamknąć wilkołaka podczas pełni księżyca?

- Pomalować kraty farbą ze srebrem. Cholera, była niezła.

- A co z dożywociem dla wampirów?

- Tego jeszcze nie rozpracowaliśmy. Osobiście skłaniam się ku temu, żeby przydzielać im ładną celę z południową ekspozycją.

I to miała być osoba pisząca kodeks postępowania karnego dla nadnaturalnych?

- Pani oficer, miło się rozmawia, ale czy chce pani ode mnie coś konkretnego?

- Nie można cię zmylić.

- To wszystko dzięki moim wyostrzonym zwierzęcym instyktom.

Zachichotała.

- Jasne. Chodzi mi o legendę na temat wampirów i luster. Podobno wampiry nie mają odbicia. Ile w tym prawdy, a ile fikcji?

Wzruszyłam ramionami, mimo że ona nie mogła zobaczyć tego gestu. W moim głosie dało się wyczuć niepewność.

- Nie wiem, nie miałam tak naprawdę okazji tego sprawdzić.

A powinnam. Powinnam być bardziej uważna. Spotykałam mnóstwo wampirów, ale w tej chwili nie potrafiłam sobie przypomnieć żadnych istotnych szczegółów, takich jak odbicie w szklanych drzwiach czy rozmazany obraz na porcelanowej filiżance. Nie było co do tego wątpliwości, wampiry

były dziwne, a także potężne w sposób, którego nikomu nie zdradzały. Czy to ja nie zwróciłam uwagi na to, czy się odbijają, czy może one miały w sobie coś takiego, co odwracało od nich wzrok i uwagę?

- Czemu pani pyta? - powiedziałam.

- Muszę rozwiać kilka wątpliwości. Jeśli naprawdę nie odbijają się w lustrze, to czy widać je na filmie? Czy odbijają

albo zaginają w jakiś sposób światło, przez co nie widać ich w lustrach i co jednocześnie mogłoby wpłynąć na to, że widać je na nagraniu filmowym?

- Nie wiem. Mogę popytać.

- Byłabym wdzięczna. Mam materiał z monitoringu sklepu całodobowego, w którym dwa dni temu doszło do kradzieży. Nagranie trafiło do mnie, bo jest z nim coś nie tak. Widać sprawców napadu przy kasie, skąd biorą pieniądze, ale ich tam nie ma. Wyglądają jak duchy albo powidok. Może to podwójna ekspozycja. Kasjerkę, pozostałych klientów i wszystkie inne osoby widać wyraźnie, tylko nie te dwie zamazane plamy. Co więcej, żaden ze świadków nie potrafi określić, jak wyglądali napastnicy. Kasjerka pamięta, że był napad, ale nie potrafi opisać złodziei, nie może sobie przypomnieć, co mówili ani czy mieli broń. Cała ta sprawa wygląda mocno podejrzanie.

To była z pewnością dość ciekawa hipoteza, chociaż nigdy nie słyszałam o tym, żeby wampir cokolwiek ukradł. Większość wołała zarabiać na długofalowych inwestycjach.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała zdjęcie wampira, ale też nigdy nie zwracałam na to uwagi.

- Przyda się każda wskazówka. Sceptycy z wydziału sugerują, że „wampir” znaczy po prostu tyle co „nie mam zielonego pojęcia”. Strasznie bym chciała udowodnić, że nie mają racji.

- Czyli jeśli zobaczę parę wampirów z torbami wyładowanymi pieniędzmi, mam do pani zadzwonić.

- Właśnie.

Rozłączyła się, a ja byłam wdzięczna, że nie spytała, kiedy mam zamiar wrócić do Denver ani czy może mi przysłać kopię nagrania z monitoringu, żebym mogła wypowiedzieć się na ten temat.

Poniekąd spodziewałam się, że to zrobi.

To nie był jedyny telefon, jaki odebrałam tego dnia. O nie, zawsze musiała być ich cała seria.

Następna osoba zadzwoniła na telefon biurowy, który prze-kierowano do mnie z głównej linii Pokrętała. Mówiła pewnym siebie, przesłodżonym głosem kogoś, kto pracuje w show-biznesie.

Rozpoznawałam ten ton.

- Dzień dobry. Czy to Kitty Norville? Nazywam się Judy Jones. Ma pani chwilę?

- Oczywiście. W czym mogę pomóc?

- Jestem rzecznikiem prasowym z Nowego Jorku i mam klientkę, która sądzi, że z przyjemnością gościłaby ją pani w swojej audycji, jeśli zgodzi się pani, żebym ją umówiła.

Ciągle miałam tego typu telefony. Moja audycja nie przyciągała wielu słuchaczy, ale dla niektórych była to odpowiednia grupa docelowa, co liczyło się nawet bardziej. Krótki wywiad w moim programie oznaczał dla nich darmową reklamę.

Zawsze mogłam odmówić. Moje następne pytanie było oczywiste.

- Kim jest pani klientka?

- Słyszała pani o Mercedes Cook?

- Jasne. To legenda Broadwayu. Od jakichś czterdziestu lat gra role pierwszoplanowe. Dlaczego pani sądzi, że będzie pasować do mojej audycji?

Jones odezwała się z nutą rozbawienia, jakby opowiadała żart, ale nie miała zamiaru zdradzać puenty.

- Pani Norville, muszę prosić, aby zachowała pani dalszą część naszej rozmowy w tajemnicy. Czy mogę panią do tego zobowiązać?

Czy potrafię dochować tajemnicy? Zawsze odpowiadałam na to pytanie w ten sam sposób:

- Oczywiście. O co chodzi?

- Ludzie zaczynają zadawać sobie pytania na temat kariery Mercedes Cook. Jak sama pani stwierdziła, od czterdziestu lat gra role pierwszoplanowe. Role amantek. Od kiedy pojawiła się po raz pierwszy w chórkach w latach sześćdziesiątych, w ogóle się nie postarzała.

Wzdłuż kręgosłupa przeszedł mi dreszcz. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. W ogóle nie przeszłoby mi to przez myśl. Złożyłam to na karb operacji plastycznych lub świetnej charakteryzacji.

Myślałam, że Mercedes Cook należała do grona tych szczęśliwców, którzy od chwili skończenia dwudziestu pięciu lat nie starzeją się przez następne dwadzieścia. Ale gdyby tak było, Judy Jones by do mnie nie dzwoniła.

Nigdy nie znajdowałam się w tym samym pomieszczeniu co Mercedes Cook, żeby ją powąchać i stwierdzić, czy nie jest do końca człowiekiem.

- Proszę mówić - powiedziałam.

- W ciągu ostatniego roku, jak pani być może wie, zrobiło się głośno na temat świata

nadprzyrodzonych... - Czyżby? A to nowość. - Ludzie zaczęli zadawać całkiem słuszne pytania na temat pani Cook i jej niezwyklej kariery. Chodzi o to, że wolelibyśmy ogłosić to na własnych warunkach, a nie pozwolić, żeby jakiś dziennikarzyna zdemaskował ją w wieczornym wydaniu wiadomości. Czyż to nie idealne rozwiązanie, pani Norville? Najsłynniejszy amerykański wilkołak przeprowadza na żywo wywiad z najsłynniejszą amerykańską wampirzycą.

Idealne, to fakt. Jedna z najbardziej uwielbianych gwiazd występująca w jednej z najbardziej uwielbianych instytucji jest wampirem? Ach, konserwatyści polujący na czarownice będą mieć używanie. Nie miałam jej na swojej liście - na mojej liście potencjalnych wampirów, na której znajdowała się każda znana osoba, która wyglądała młodziej, niż mogłaby to uzasadniać operacja plastyczna.

I nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. Jones była sprytna, dając mi doskonały powód do tego, żeby dochować tajemnicy. Musiałam to zrobić, jeśli chciałam mieć wyłączność. Ujawnić coś takiego w mojej audycji? Ha! To zbyt piękne.

Odetchnęłam i spróbowałam nadać swoim słowom nonszalancki ton.

- To dość intrygujące, pani Jones. Myślę, że znajdę czas na wywiad z panią Cook. - Zachowywałam się tak, jakbym kartkowała kalendarz. - Tak, jestem pewna, że gdzieś ją wcisnę. Kiedy jej pasuje?

- Czy dałoby radę w tym tygodniu, czy to za wcześnie? Ma w Denver koncert.

- Może być w tym tygodniu.

- A więc zjawi się u pani w studiu na wywiad. Tak chyba będzie dobrze, prawda?

- Tak, tak, oczywiście. Dopilnuję, żeby wszystko było przygotowane.

- Wspaniale. Czy chciałaby pani bilety na jej koncert? A właściwie czemu nie?

- Byłoby wspaniale. Dziękuję.

- Będziemy w kontakcie.

Rozłączyła się, a ja miałam ustalony program na następny tydzień. Dopiero po czasie zorientowałam się, że przyznałam, iż jestem w Denver. Ale rzeczniczka prasowa na pewno nie ujawni tego nikomu, kto mógłby mi sprawić kłopoty.

Po audycji będę musiała zadzwonić do oficer Hardin i powiedzieć jej, że Mercedes Cook miała setki zdjęć i mnóstwo nagrań z musicali. Wampiry były widoczne na filmach, więc ktoś inny musiał

obrabować ten sklep.

Rozdział 4

Judy Jones zarezerwowała dla mnie bilety na czwartek wieczór. Co więcej, dostałam zaproszenie na

spotkanie z Mercedes Cook po koncercie i przepustkę za kulisy. Zaczęłam się czuć tak, jakbym sama też była kimś ważnym. Po prostu się podlizywałam, żeby mi pozwoliła jej dobrze wypaść podczas wywiadu. Zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Miałam dwa bilety i chciałam się z kimś umówić. Ben nie chciał iść.

- To naprawdę nie w moim stylu - wyjaśnił, pracując przy biurku na dzień przed koncertem.

- Czy ty chociaż kiedykolwiek byłeś na takim koncercie? Światowej klasy śpiewaczka, światowej klasy sala koncertowa, padniesz z zachwytu.

Zerknął na mnie szybko przez ramię.

- Naprawdę nie jestem wielkim fanem muzyki. No tak, teraz mi to mówi.

- Ben, zaczynałam w radiu jako didżej. Nie możesz być ze mną i nie być fanem muzyki. Chcesz mi powiedzieć, że gdy za każdym razem, robiąc kolację, puszczałam The Clash, ty nie byłeś zachwycony?

- Szczerze mówiąc, wyłączałem się.

Jak do cholery można się wyłączać przy The Clash? Po-głośnionym na maksa? Znowu musiałam sobie przypomnieć, że Ben i ja byliśmy parą z przypadku. Czy w ogóle dobrze się znaliśmy?

- Ben, naprawdę chciałabym pójść. Z tobą.

Odchylił się w krześle i westchnął. Ciągłe na mnie nie patrzył.

- Nie możesz iść z kimś innym? Może z siostrą. O nie. Znowu to samo.

- Ciągłe mówisz, że nigdy nie byliśmy na prawdziwej randce, prawda? - Mieszkaliśmy razem, sypialiśmy razem. Byliśmy praktycznie małżeństwem. Pominęliśmy etap randek i przeszliśmy z miejsca do stabilizacji. Chciałam to zmienić. -Czy nie możemy tego zrobić teraz?

W końcu odwrócił się i popatrzył na mnie niemal tak, jakby jego wilk rzucał mi wyzwanie - jakby chciał walczyć i był na to gotowy. Po chwili uśmiechnął się przebiegle półgębkiem.

- Zapraszasz mnie na randkę? - spytał.

- Tak, zapraszam.

- W takim razie dobrze.

Podniosłam oczy do sufitu, jakbym mogła tam znaleźć odpowiedź na temat funkcjonowania jego mózgu.

- Jesteś naprawdę nieznośny, wiesz o tym?



Kiedy odwrócił się z powrotem do biurka, nadal szeroko się uśmiechał.

Przekonałam Bena, żeby się wyszykował - garnitur, krawat, te sprawy. Wiedziałam, że potrafi wyglądać jak z żurnala na

ważnej rozprawie albo podczas spotkania na szczycie. W pozostałych przypadkach nie bardzo o to dbał. Mieliśmy jednak spędzić wieczór na mieście i chciałam, żeby wszystko było jak należy. Kto wie, kiedy znów przytrafi nam się podobna okazja?

Skończył się ubierać, kiedy byłam pod prysznicem, a ja spieszyłam się, bo nie chciałam należeć do grona stereotypowych kobiet, którym przygotowanie do wyjścia zajmuje całą wieczność, a facet czeka w tym czasie w salonie, spoglądając na zegarek. Wysuszyłam i upięłam włosy, umalowałam się, włożyłam kolczyki, naszyjnik, nałożyłam małą czarną i szpilki. Pewnie za bardzo się wystroiłam, ale mało mnie to obchodziło. Obcisła, jedwabna sukienka na cienkich ramiączkach była seksowna, ale nie wyzywająca. Miałam ją na sobie tylko raz i przyniosła mi wtedy szczęście. Zaczęłam się wyginać, żeby przejrzeć się w wąskim, długim lustrze, upewniając się, że sukienka leży, jak trzeba, i że kosmyki włosów ładnie mi się układają wokół twarzy. Poprawiłam je raz, a potem drugi... i byłam gotowa.

- Kitty, powinniśmy chyba... - Usłyszałam kroki Bena, kiedy schyliłam się, żeby jeszcze raz poprawić pasek przy bucie. - Wow.

Zatrzymał się w drzwiach. Gapił się na mnie. Wyprostowałam się i odwzajemniłam jego spojrzenie.

Ten wzrok... sprawiał, że rumieniłam się w miejscach, o których nie wiedziałam, że mogą się rumienić.

Ben natomiast miał na sobie swój najlepszy garnitur, który wkładał do sądu, ciemnografitowy, idealnie dopasowany, z krawatem w kolorze rdzy. Miał prosty krój, dzięki czemu Ben wyglądał

szczerze i elegancko, emanując władzą i autorytetem. Miał odrobinę za długie włosy, żeby dało się je gładko zaczesać, więc opadały mu na czoło zawadiacko i niesfornie. Jak włoży ciemne okulary, będzie wyglądać wręcz przerażająco. Cudownie przerażająco.

- Wow, nieźle - powiedziałam. Siłą woli powstrzymałam się od tego, żeby nie oblizać warg, ale musiałam przełknąć ślinę.

- Ładnie się, hm, wystroiłaś. - Mówił lekko przytłumionym głosem i zaczął się bawić spinkami do mankietów.

- Ty też. - Nie miałam spinek do mankietów, więc splotłam ręce za plecami. Czerwieniłam się coraz mocniej. Byłam pewna, że rumieniec ogarnia całe moje ciało. Czy on miał pojęcie jak... fantastycznie wygląda?

- Mogę cię pocałować? - spytał bezceremonialnie, jakbyśmy nie całowali się wcześniej setki razy i ta myśl dopiero zaświtała mu w głowie.

Zamiast odpowiedzieć, zrobiłam powolny krok w jego stronę, i jeszcze jeden. Zanim się zorientowałam, Ben dotykał już mojej twarzy i przylgnął do mnie ustami. Jego pocałunek był gorący, wygłodniały. Złapałam go i przyciągnęłam bliżej siebie. Jego ręce zsunęły się w dół moich pleców, a jedna przesunęła się jeszcze niżej i objęła mój pośladek. Dzieliła nas tylko cieniutka warstwa jedwabiu. A my cały czas się całowaliśmy.

W końcu oderwaliśmy się od siebie, żeby złapać oddech.

- Chyba powinniśmy robić takie rzeczy częściej - powiedział.

- Tak - odparłam drżącym szeptem. Nagle straciłam ochotę na koncert. Ciągle się w niego wtulałam.

Pochylił głowę i spojrzał na mnie.

- Chciałem powiedzieć, że... chyba powinniśmy wychodzić. Spóźnimy się.

- Tak. - Ciągle staliśmy w miejscu.

Nagle, niemal w tym samym momencie, zaczęliśmy się śmiać. Przycisnęłam twarz do jego ramienia, żeby się uspokoić. Przytulił mnie, a intensywność tego, co przed chwilą między nami zaiskrzyło, minęła. Przynajmniej w dużej mierze.

- Chcesz iść ze mną na randkę? - spytałam z uśmiechem. - Oczywiście.

Wyglądaliśmy oszałamiająco. Idąc ramię w ramię, przeszliśmy przez dziedziniec Centrum Sztuki, kompleksu sal widowiskowych w samym sercu Denver, kierując się do sali koncertowej. Jakbyśmy występowali w reklamie diamentowej biżuterii albo w klipie muzycznym. Jasne, w porównaniu z większością osób byliśmy zdecydowanie za bardzo wystrojeni. Dlaczego niektórzy mieszkańcy Kolorado uważali, że na

koncert symfoniczny można włożyć dzinsy? Przez to wyróżnialiśmy się z tłumu, ale spojrzenia ludzi mówiły mi, że każdy chciałby być na naszym miejscu. Czułam, że uśmiecham się głupio, ale od razu zrobiło mi się lepiej, kiedy zerknęłam na Bena i zobaczyłam, że on uśmiecha się tak samo. Samiec i samica alfa, bez dwóch zdań.

Prawie zapomniałam, że powinnam się ukrywać. Powtarzałam sobie, że nie będzie tu żadnego z denverskich wilków, bo likantropy unikały tego rodzaju zgromadzeń, a wampiry nie pojawiały się w tych okolicach. Wszystko będzie dobrze. Nie wtopiłam się w tłum. Czułam się jak królowa.

Odebraliśmy w kasie bilety, zaprowadzono nas na nasze miejsca i usiedliśmy, gdy tymczasem muzycy stroili instrumenty. Zgasły światła, pojawił się dyrygent i orkiestra zaczęła uwerturę.

I wtedy ukazała się ona, wchodząc na scenę od prawej strony.

Mercedes Cook miała skórę w kolorze kości słoniowej i ceglastoczerwone włosy, które opadały na ramiona, mieniając się jak jedwab. Jej szczupłą sylwetkę opinała ciemnogrnatowa lśniąca suknia.

Kobieta była wiotka i miała arystokratyczne rysy twarzy przywołujące na myśl grecki posąg.

Siedzieliśmy w połowie środkowego rzędu i z tego miejsca nie byłam w stanie stwierdzić, jakiego jest wzrostu. Wydawała się zajmować całą scenę. Wydawała się nieziemską.

Siedziałam na tyle blisko, żeby podmuch z włączonej na sali klimatyzacji przyniósł mi jej zapach - zimny, czysty zapach wampirów. Gdyby nikt mnie nie ostrzegł, przeżyłabym szok. Poruszała się z tak ogromną energią, z taką żywością. Wybitna artystka z iskrą w oku.

Mogłam się domyślić jej historii: od zawsze chciała znaleźć się na scenie. Była utalentowana, a wampiryzm nie był w stanie zahamować jej ambicji. Może nawet sama chciała się zarazić albo natrafiła na taką możliwość i wykorzystała ją, żeby zachować ulotną przewagę młodości i urody. Była na scenie od lat sześćdziesiątych, w jej oficjalnej biografii na ten właśnie okres przypadał początek jej kariery. Może nawet występowała

wcześniej, była aktorką lub piosenkarką wodewilową w latach dwudziestych czy trzydziestych, która potem zniknęła i zmieniła tożsamość, żeby rozpocząć karierę na Broadwayu. Trzeba by trochę pogrzebać i poszukać, żeby poznać prawdę. Miałam nadzieję, że dowiem się tego od samej Mercedes.

Wampiry nie musiały oddychać. Płynęła w nich zapożyczona krew, a ich serca nie biły. Żyły w swoistym zastoju, nie ulegały rozkładowi, ale nie zachodziły w nich też żadne prawdziwe procesy komórkowe. Używały jednak płuc i wdychały powietrze, żeby mówić. I śpiewać.

Struny głosowe Mercedes w żaden sposób nie ucierpiały od tego, że była wampirem. Wykonywała popularne piosenki, a mimo to jej mezzosopran był dźwięczny i donośny. Śpiewała standardy musicalowe i pieśni miłosne. Szybkie jazzowe kawałki i powolne bluesowe. Niektóre znałam, a innych nie. Każdy sprawiał, że siedziałam zelektryzowana na brzegu krzesła. Mercedes zawłaszczyła sobie scenę i tylko orkiestra mogła jej dorównać. Nic innego nie było w stanie tego zrobić.

Dostrzegła mnie. Popatrzyła prosto na mnie ze sceny, spojrzała mi w oczy i wiedziała, kim jestem.

Umiała to stwierdzić z odległości dziesięciu metrów. Jej uśmiech przygasł, a oczy zwęziły się zmysłowo, jakby chciała do mnie mrugnąć, choć tego nie zrobiła. Potem odwróciła się i wszystko można było uznać za część piosenki, za element choreografii. Pewnie każda osoba na widowni wyobrażała sobie, że Mercedes patrzy właśnie na nią.

Jakaś część mnie nie wierzyła w jej talent. Wampiry miały to... coś. Energię, siłę, moc. Były uwodzicielskie, przez całe dziesięciolecia ćwiczyły się w sztuce uwodzenia. Co więcej, niektóre potrafiły wprowadzić człowieka spojrzeniem w trans. Zahipnotyzować. Człowiek poszedłby za nimi wszędzie, nie zdając sobie z tego w ogóle sprawy. Zwabiały do siebie swoje ofiary.

Być może rzucała urok na całą widownię. Ben siedział z otwartymi ustami.

Bisowała dwukrotnie, po czym zapaliły się światła i przedstawienie dobiegło końca. Pokręciłam głową, jakbym próbowała

się otrząsnąć. Czar prysł. Wyciągnęłam rękę, żeby zamknąć Benowi usta. Zamrugął zauroczony.

- Robi wrażenie - przyznał.

- Chcesz ją poznać? Mam wejściówkę za kulisy.

- Żartujesz?

- Zalety mojej pracy, mój drogi.

- Czy... czy ja to sobie wymyśliłem? Czy ona naprawdę...

- Tak. Dlatego właśnie tu jestem. Chodź.

Złapałam go za rękę i pociągnęłam do przejścia. Kiedy znaleźliśmy się znów w holu, poszłam za tym, co podpowiadał mi nos, i skręciłam w boczny korytarz, który prowadził do zwyczajnych na oko drzwi.

Wprowadziły nas one w zakulisowy chaos. Ciemne, betonowe ściany były pokryte lampami i płataniną kabli. Z ginącego w mroku sufitu zwisały aksamitne kotary. Wszystko wyglądało dziwnie przytulnie i zarazem industrialnie. Z jasno oświetlonej sceny schodzili muzycy, taszcząc futerały z instrumentami.

Nie zauważyłam nikogo, kto wyglądałby służbowo. Na większości koncertów rockowych i popowych w tym miejscu napotkalibyśmy już dawno całą zaporę pracowników i ochroniarzy. Przygotowałam sobie przemowę, dzięki której mieli mnie przepuścić do Mercedes. Ale nikt na mnie nie zwracał

uwagi. Niemal mi ulżyło, kiedy zobaczyłam ubraną na czarno kobietę z zestawem głośnomówiącym przy uchu. Ale to i tak ja musiałam ją zaczepić.

- Czy mogłaby mi pani pomóc? Zostałam zaproszona na spotkanie z panią Cook po przedstawieniu.

Nie wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

Kobieta tak po prostu pokierowała nas na koniec korytarza, gdzie znajdowały się przebieralnie.

- Jak tam? - spytałam Bena. - Gotowy? Wzruszył ramionami.

- To twoje przedstawienie.

- Pamiętaj, że to wampirzyca. Coś straszne. Nie daj się jej zwieść.

- Ej - powiedział oburzony, a ja zapukałam.

- Proszę wejść - odezwała się Mercedes Cook swoim pięknym mezzosopranem.

Otworzyłam drzwi. Kiedy to zrobiłam, odwróciła się do mnie olśniewająca ruda kobieta, siedząca przy długiej, jasno oświetlonej toalecie. Na suknię narzuciła czarny jedwabny szlafrok. Miała idealny makijaż, może trochę za mocny, ale to na potrzeby występu. Kosmetyki maskowały typową bladą karnację wampirów. Wyglądała niezwykle żywo, znacznie bardziej niż jakikolwiek znany mi wampir.

A w lustrze całkiem wyraźnie widać było jej odbicie.

Na stole i na podłodze stały wazony z kwiatami, nadającymi pomieszczeniu tropikalną, duszną atmosferę. - Pani jest pewnie Kitty Norville - zaczęła.

Podaliśmy jej rękę, a ona uściśniła ją, uśmiechając się pobłaźliwie. Miała chłodną dłoń. Wskazałam przez ramię na Bena.

- To mój przyjaciel, Ben.

- Wspaniałe przedstawienie, pani Cook - odezwał się Ben dyplomatycznie. Trzymał się o krok za mną, zostawiając mi cały bałagan.

- Bardzo dziękuję - odparła i uśmiechnęła się olśniewająco. - Proszę wejść i usiąść. Chyba znajdują się jeszcze jakieś krzesła. - Znaleźliśmy je, a ja przysunęłam swoje blisko niej, jakbyśmy były starymi znajomymi.

Rzadko miałam okazję w ten sposób przygotować się do wywiadu, spotkać się wcześniej ze swoim gościem i wy badać, jak będzie odpowiadał na moje pytania. Mercedes sprawiła, że po chwili czułam się swobodnie. Byłam pewna, że udzielili mi rewelacyjnego wywiadu.

- Wielkie dzięki za bilety. Bardzo nam się podobało.

- Cieszę się. Miałam dziś świetną publiczność, ale zawsze mam wątpliwości. Może ludzie chcą po prostu być mili.

Była przyjacielska i urocza, nawet nie mówiła jak typowy wampir. Może była młoda - jak na wampira

- i nie zdążyła jeszcze nabrać wielowiekowej arogancji. Już chciałam ją o to spytać, ale pomyślałam, że powinnam zostawić to na jutrzejszy wywiad.

- Jeśli zechce pani odebrać jutro podczas wywiadu kilka telefonów, będzie mogła pani sama spytać o to swoich wielbicieli.

- Nie mogę się doczekać. Udzielałam już mnóstwa wywiadów, ale ten będzie wyjątkowy. - Rozjaśniła się w uśmiechu. Nie pokazała przy tym ani koniuszka kła. Wydawała się autentycznie szczęśliwa na myśl o wywiadzie. - Chciałabym podziękować za tę możliwość. Kiedy zdecydowałam, że powiem światu, kim jestem, musiałam postanowić, w jaki sposób to zrobić. Udział w pani audycji to zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż zatłoczona konferencja prasowa.

Byłam pożądana. Moja audycja miała pewną wiarygodność. Rozpierała mnie duma.

Spróbowałam zachować spokój.

- Kiedy się pani ujawni, wszystko się zmieni. Nikt już nigdy nie będzie patrzył na panią w ten sam sposób. To może oznaczać koniec kariery.

- Lub też może wynieść ją na zupełnie nowy poziom. Ujawnienie się z pewnością nie zaszkodziło pani w karierze. - Nie zaprzeczę. Ale czuję się zasadniczo tak, jakbym szamotała się w wodzie, byle tylko nie pójść na dno. Roześmiała się, oczywiście dźwięcznie.

- To nie ma nic wspólnego z tym, że jest pani wilkołakiem. Takie jest życie.

Miała rację. Uśmiechnęłam się tylko.

- Nie obrażę się, jeśli zechce pani zrezygnować z wywiadu.

- Niech się pani nie martwi. Nie jestem młodą, niewinną nowicjuską w tej branży. Sama zdecydowałam, że chcę się ujawnić, i wiem, co robię.

W tego rodzaju wywiadach zarówno się dawało, jak i brało. Obu nam zależało na rozgłosie, ale dobrze by było, gdyby nie było w tym czuć wyrachowania. Chciałyśmy, żeby wywiad był zabawny.

Osobiście pragnęłam, żeby przypominał miłą pogawędkę, a jednocześnie chciałam wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji.

Uśmiechnęłam się przebiegle.

- Jak bardzo jest pani „niemłoda”, jeśli wolno spytać?

- Dlaczego każdy pyta o to w pierwszej kolejności, kiedy dowiaduje się, że jesteś wampirem? -

Nakryła oczy rzesami i uśmiechnęła się tajemniczo.

No cóż, zawsze warto spróbować.

- To chyba chorobliwa ciekawość. A mogę się dowiedzieć, czy należy pani do jakiegoś rodu? Ma pani nad sobą mistrza lub kogoś, z którym zdaniem musi się pani liczyć?

- Nie należę do rodu. Jestem mistrzynią własnego światka i odpowiada mi takie życie.

- Amen - podsumowałam. - Zakładam, że podczas wywiadu obwieścimy wielką nowinę, zadam pani kilka pytań, a potem uruchomię linię telefoniczną. Pasuje?

- Wspaniale.

- A więc widzimy się w studiu jutro o dwudziestej trzeciej. Ma pani mój numer? Zadzwoń pani, jeśli

będzie pani czegoś potrzebować?

- Dam sobie radę, dziękuję - odparła, a w jej głosie znów dało się wyczuć śmiech. - Jeszcze raz dziękuję za to, że się pani zgodziła.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Uścisnęłyśmy sobie ręce, Mercedes i Ben uśmiechnęli się do siebie i wyszliśmy z sali koncertowej. Tak mnie rozpieęła radość, że miałam ochotę skakać.

Zaczęłam gadać jak najęta:

- Będzie świetnie. Ona jest naprawdę ekstra, w ogóle nie zachowuje się jak wampirzyca. Większość z nich to totalne snoby i myślałam, że jako snobka, a na dokładkę gwiazda Broadwayu, okaże się okropna. Ale ona była bardzo skromna. Moi słuchacze ją pokochają.

Na ustach Bena pojawił się rozbawiony uśmiech.

- Może jest taka, ponieważ żyje jak człowiek. Jest taka jak ty, spędzasz sporo czasu, zachowując się jak człowiek, więc wydajesz się bardziej ludzka.

- Hm. Może coś w tym jest. - Odnotowałam sobie w pamięci, żeby wykorzystać to w jutrzejszym wywiadzie. Mogłabym zacząć od tego całą dyskusję. Ach, już się nie mogłam doczekać.

- Dobrze widzieć cię wreszcie w dobrym humorze - powiedział Ben.

Bo byłam w dobrym humorze, prawda? Uśmiechnęłam się i przytuliłam do jego ramienia.

- Jak myślisz, jak długo uda mi się go zachować?

- Musisz znaleźć jakiś sposób na to, żeby zająć czymś głowę i przestać się ciągle zamartwiać.

Na samo wspomnienie o zamartwieniach poczułam przyływ czarnych myśli. Musiałam zająć czymś głowę. Dokładnie tak, jak powiedział Ben. Wsunęłam się mu pod ramię i przywarłam do niego mocniej, żebyśmy szli tuż obok siebie.

- A jak twoim zdaniem powinnam to zrobić? Zatrzymał się i ujął moją twarz, żeby mnie pocałować, pieszcząc moje usta przeciągle i zmysłowo, z żarem i pożądaniem. Zrobiłam się czerwona na twarzy i podwinęłam palce u stóp.

Odsunęłam się i uśmiechnęłam.

- To już jakiś początek - powiedziałam.

Poszliśmy prosto do domu, a Ben zadbał o to, żebym przez dłuższy czas miała zajęta głowę.

Nadszedł kolejny piątkowy wieczór, zgodnie z planem.

Wysłałam jednego ze stażystów - takiego, który uwielbiał piosenki musicalowe i którego zachwyci

obecność Mercedes Cook - do holu Pokręta, żeby na nią zaczekał i przyprowadził do studia.

Dziesięć minut przed czasem Mercedes wślizgnęła się do pomieszczenia, pełna gracji i blasku.

Cieszyła mnie myśl, że jej zachowanie nie wyglądało na wystudiowane. Może cały czas się tak zachowywała. Miała na sobie czarną haleczkę, dopasowany pod kolor kardigan oraz długą, szeroką spódnicę i sandały - doskonały, wygodny strój na lato, a przy tym modny i fantazyjny. Włosy upięła w kok, a z uszu zwisały jej ozdobione koralikami kolczyki. Nigdy nie będę miała aż takiej klasy, nawet jeśli będę żyła tysiąc lat.

Przywitałam się z nią i przedstawiłam Matta, a potem wskazałam jej miejsce. Stażysta wkradł się do środka, żeby popatrzeć. Nawet Matt wydawał się lekko oszołomiony.

- Proszę, to pani słuchawki i mikrofon... - Sama go sobie ustawiła i spojrzała na mnie z rozbawieniem... ostatecznie robiła już takie rzeczy. Potrafiła się o siebie zatroszczyć.

- Trzydzieści sekund, Kitty! - zawołał Matt z kabiny.

- Gotowa? - spytałam. Byłam podekscytowana. Nadawaliśmy z tego samego studia, w którym ogłosiłam na antenie całemu krajowi, że jestem wilkołakiem. Doskonale. Kismet.

- W stu procentach - odparła Mercedes, sprawiając wrażenie równie podekscytowanej. Przysiadła na brzegu krzesła i oparła się o podłokietniki. Nie umiałam stwierdzić, czy jej pewność siebie była kwestią tego, że cechowała się nadprzyrodzonym opanowaniem wampirzycy, czy też tego, że była światowej klasy artystką. W jej przypadku granica się zacierała.

- To zaczynamy. - Matt odliczył i wpadłam w zwykłe tryby. Rozległy się pierwsze akordy *Bad Moon Rising* CCR, ale szybko ucichły, zastąpione głosem Mercedes Cook śpiewającej utwór Cole'a Portera.

- Dobry wieczór, moi wierni słuchacze, mówi Kitty No-rville, a słuchacie *Nocnej Godziny*, audycji, która nie boi się ciemności ani zamieszkujących ją istot. Dziś jest ze mną wyjątkowy gość, osoba, dla której w pewnym sensie noc nie ma tajemnic, legenda Broadwayu, Mercedes Cook. Od czterdziestu lat gra główne role kobiece na Great White Way i nie zanosi się na zmianę. Witaj, Mercedes.

- Dziękuję, Kitty. Cieszę się, że mogę tu być.

Ustaliliśmy wcześniej, że nie będziemy kręcić, tylko przejdziemy od razu do sedna sprawy, po czym zobaczymy, co z tego wyniknie. No więc zaczęliśmy.

- Mercedes, wiele osób pytało mnie, dlaczego zaprosiłam cię do audycji. Oczywiście darzę Broadway ogromnym szacunkiem, ale w programie nie dyskutuję o musicalach. Czy zechciałabyś powiedzieć słuchaczom, dlaczego tu jesteś?

- Cóż, znalazłam się tu, bo jestem wampirem. Uznałam, że już czas, żeby ludzie się o tym dowiedzieli.



Krótko i na temat, spokojnie i bez nerwów... no jasne, w końcu była zawodową aktorką. Ja dostałam gęziej skórki. Za szybko było widać Matta, który pokręcił głową z taką miną, jakby cicho gwizdnał.

Stażyście opadła szczęka.

- W porządku - powiedziałam. - Pamiętajcie, moi drodzy, że właśnie usłyszeliście o tym po raz pierwszy. Równie dobrze mogę spytać o dwie rzeczy, które każdy chciałby wiedzieć na temat wampirów. Po pierwsze, ile masz lat?

- Och, nie wiesz, że to niegrzecznie pytać kobietę o wiek?

- Nigdy nie stanowiło to dla mnie przeszkody. Może chociaż jakaś mała wskazówka?

- Powiem tylko, że zaczynałam w wodewilach. Ha! Dobrze zgadłam!

- Ekstra. Skoro już się ujawniłaś jako wampirzyca, czy istnieją szanse, że opublikujesz jakieś zdjęcia?

Powiesz nam, jakie role grałaś? Może ludzie mogliby wygrzebać ze strychów twoje zapomniane nagrania? - Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Muszę zobaczyć, co mi się uda znaleźć.

Ale mówiłaś o dwóch pytaniach. Jak brzmi to drugie?

- Jak stałaś się wampirem?

Spojrzała na mnie przebiegle, a wyraz jej twarzy przełożył się na ton głosu. Wiedziała, jak mówić wymijająco i zarazem uroczo.

- To chyba tak samo beznadziejne pytanie jak pierwsze.

- Czy to była twoja decyzja?

- Tak.

- Czy zrobiłaś to dla kariery? Czy chciałaś zostać wiecznie młoda ze względu na swoją pracę?

- Nie do końca. To było trochę bardziej skomplikowane... takie rzeczy zawsze są skomplikowane, nieprawdaż? Nie chciałabym, żeby jakaś początkująca aktorka, która może nas słuchać, pomyślała sobie, że wampiryzm to pewny sposób na sukces. Ostatecznie taka sytuacja ma mnóstwo wad.

Pamiętam,

jak poproszono mnie, żebym zaśpiewała na paradzie Macy's z okazji Święta Dziękczynienia, a ja nie miałam jak wyjaśnić, dlaczego muszę odmówić. W moim przypadku wampiryzm się sprawdził, bo chciałam, żeby tak było.

- Masz też coś, o czym zapewne marzy mnóstwo aktorek: wieczną młodość. Ale czy nie załujesz

czasem, że nigdy nie zagrasz znakomitych ról przewidzianych dla starszych kobiet, jak w *Hello, Dolly!* Albo w *Arszeniku i starych koronkach*?

- To właśnie jeden z minusów. Czasem żałuję. To by było dość absurdałne, gdybym postanowiła kiedyś ubiegać się o taką rolę i musiała nakładać na twarz grubą warstwę makijażu, żeby wyglądać staro.

Wampirzyca z poczuciem humoru. To lubię.

- Jak myślisz, co się teraz stanie z twoją karierą? Czy coś się zmieni, skoro ujawniłaś już, że jesteś wampirzycą?

- Podejmuję ryzyko - odparła Mercedes. - Stawiam na to, że reputacja, jaką zdobyłam jako aktorka i piosenkarka, okaże się ważniejsza niż to, że jestem wampirem. Tak naprawdę wszystko dopiero się okaże. - Ale może zakładasz również, że ludzie właśnie będą chcieli cię oglądać, bo jesteś wampirzycą? - Być może - zgodziła się.

- Czy to, że nią jesteś, pomogło ci jeszcze w jakiś inny sposób? Będiesz wiecznie młoda, ale co z występami na scenie? Z nawiązywaniem kontaktu z publicznością? Widziałam twój występ i muszę przyznać, że zrobił na mnie niezmiernie, niemal nadprzyrodzone wrażenie.

- Powinnam ci chyba podziękować. Mówisz jednak o mocach, które ponoć posiadają wampiry. O kontrolowaniu umysłów i tych sprawach. - Powiedziała to z kpina, jakby to był żart czy pogłoski, które nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości.

- Właśnie.

- Byłam aktorką i śpiewaczką, zanim zamieniłam się w wampirzycę. Naprawdę mam nadzieję, że mój talent jest autentyczny.

Nie była to odpowiedź na moje pytanie, co nie powinno mnie dziwić.

- Cóż, Mercedes, czy jesteś gotowa na rozmowę ze słuchaczami?

- Oczywiście, będzie mi bardzo miło.

Cała tablica była rozświetlona... niczym światła na Broadwayu. Ha.

- Witaj, Frankie, jesteś na antenie. O co chciałbyś zapytać panią Cook?

- O Boże, wiedziałem! Po prostu wiedziałem. Musiała pani być wampirzycą, nie zmieniła się pani ani trochę od czterdziestu lat.

- Czyżbyś tak długo był moim fanem? - spytała Mercedes, powstrzymując śmiech.

- Nie... tak długo to ja nie jestem nawet na świecie! Wtrąciłam się.

- Wow, Frankie, umiesz sprawić, żeby kobieta poczuła się wyjątkowa.

- Wiesz, o co mi chodzi. Ale właściwie chciałem tylko powiedzieć, że to była kwestia czasu, skoro tyle aktorów i aktorek wydaje się w ogóle nie starzeć. To wszystko nie może być efektem chirurgii plastycznej. Chciałem spytać Mercedes, czy zna inne gwiazdy, które są wampirami.

- Nie wolno mi zdradzać takich informacji. Ja byłabym wściekła, gdyby ktoś ujawnił, kim jestem, zanim byłabym na to gotowa.

- Żadnych podpowiedzi? Weszłam w słowo:

- Naprawdę się zastanawiam, czy wyjawienie, że jest się wampirem, jest takie super. Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem. Następny rozmówca, słucham.

- Pani Cook, od wieków jestem pani fanką. Pani spojrzenie na świat musi być wyjątkowe. Jakie zmiany zaszły w teatrze muzycznym od czasów, kiedy zaczynała pani karierę? Była pani świadkiem całej jego historii. Mogłaby pewnie pani napisać na ten temat książkę.

- Bardzo ciekawy pomysł, może nawet tak zrobię. Miałam wśród moich słuchaczy znacznie więcej wielbicieli

musicali, niż mogłabym przypuszczać, i strasznie się cieszyłam, że zadawali inteligentne pytania.

Wyglądało na to, że Mercedes się nie nudzi. Zadzwońło kilku matolów z pytaniem, jak zostać wampirem. Mercedes bardzo uprzejmie powtarzała za mną, że nie poleca takiego stylu życia.

Miałyśmy tu rozmawiać o problemach i trudnościach, a nie cokolwiek zachwalać. Dyskusja toczyła się dość lekko aż do samego końca.

- Dobrze, chyba mamy czas na jeszcze jeden czy dwa telefony. Następny rozmówca, słucham.

Mężczyzna, który zadzwonił, mówił niskim głosem, jakby przystawiał mocno usta do słuchawki i nie chciał, żeby ktoś go podsłuchał.

- Mercedes, zastanawia mnie, co zyskujesz, ujawniając się. Znam wampiry i znam ciebie, przynajmniej ze słyszenia. Wszystko, co robisz, ma jakiś cel.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi na myśl, że Mercedes mogła być znana wśród wampirów nie tylko jako wielka aktorka z Broadwayu.

- Mam wrażenie, że mówisz o innej Mercedes Cook niż ta, która siedzi naprzeciwko mnie w studio.

- Być może tak. Pamiętaj, że nie zaczynała jako ta sama osoba, która siedzi teraz przed tobą. Zapewne przez wszystkie te lata wielokrotnie zmieniała swój wizerunek.

- A ty skąd możesz o tym wiedzieć? Mężczyzna się rozłączył.

Spojrzałyśmy z Mercedes po sobie. Uniosła zgrabnie brew i wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała powiedzieć, że nie ma pojęcia, o co mu wszystkim chodziło.

- Wracamy do pytania o wiek - powiedziałam. - W dalszym ciągu nic mi nie zdradzisz, prawda?

- Nie, obawiam się, że nie.

- Naszemu tajemniczemu słuchaczowi chciałabym przekazać, że wiem doskonale, co zyskuje Mercedes, ujawniając prawdę o sobie. Zyskuje to samo co ja. Ogromny rozgłos.

Mercedes dorzuciła ze słodyczą w głosie:

- I może też pomyślałam sobie, że najwyższa pora, aby wampiry miały równie ładnego rzecznika, jak likantropy za sprawą Kitty.

Zarumieniłam się. Tego typu komplementy dawały mi energię na wiele tygodni.

- Moi drodzy, wygląda na to, że nasz czas dzisiejszego wieczoru dobiegł końca. Dziękuję wszystkim za świetne pytania i bardzo dziękuję też tobie, Mercedes.

- Nie ma za co, Kitty.

- Powodzenia na nowej drodze kariery. Do usłyszenia w przyszłym tygodniu, mówiła Kitty Norville, głos nocy. Po wywiadzie Mercedes podpisała stażycie płytę i uściśnęła rękę Mattowi. Osobiście odprowadziłam ją do holu. Strasznie żałowałam, że wieczór dobiegł końca. Nie byłam ani aktorką, ani muzykiem jak Mercedes, ale dobrze wiedziałam, jak to jest pracować przez dwie godziny na najwyższych obrotach, po czym starać się wrócić na ziemię z wyżyn dobrego show. Miałam ochotę przebiec się kilka razy wokół budynku. Zamiast tego rzuciłam:

- Ogromnie ci dziękuję. To był chyba mój najlepszy wywiad.

- Mój też - przyznała. - Ciężko uwierzyć, że już po wszystkim. Wyszło szydło z worka, jak to mówią.

Właściwie nie wiem, co teraz ze sobą zrobić.

- Doskonale rozumiem, co masz na myśli. Obdarzyła mnie tym swoim olśniewającym uśmiechem.

- Będę jeszcze kilka dni w Denver. Wpadnij do mnie jutro wieczorem na drinka do Brown Palace. I przyprowadź ze sobą tego miłego dżentelmena.

- Masz na myśli drinka w barze czy może coś innego? -W przypadku wampirów zawsze dobrze sprawdzić, co oznacza słowo „drink”.

Roześmiała się.

- Drinki będą tradycyjne.

Brown Palace... najbardziej eleganckie pokoje w Denver. Czy będę miała jeszcze kiedykolwiek okazję, żeby spędzić tam

wieczór? Nie mówiąc już o tym, że chciałam się jak najwięcej dowiedzieć od Mercedes, póki miałam okazję. Wywiad był dobry, ale zawsze można było spytać o więcej. Jak na przykład o wiek.

- Wspaniale. Przyjdziemy - zapewniłam.

- Cudownie. W recepcji pokierują cię do mojego apartamentu. Uprzedzę ich, że się zjawisz.

- Świetnie. Dzięki.

Kiedy wyszliśmy, noc była cicha, ciemna i było bardzo, bardzo późno. Mercedes zatrzymała się i wciągnęła w płuca chłodne powietrze. Była w swoim żywiole i uśmiechnęła się, wyraźnie rozkoszując się nocą. Kariera na Broadwayu była dla niej idealna; wyobraziłam sobie, jak wychodzi tylnym wyjściem i oddycha w ten sposób po każdym przedstawieniu. Nie z potrzeby tlenu, ale żeby wchłonąć atmosferę - zapachy, ostre powietrze.

Jej limuzyna już na nią czekała. Wydaje mi się, że na tej ulicy nikt jeszcze nie widział limuzyny.

Wyglądała niemal surrealistycznie. Szofer otworzył jej drzwi, a ona pomachała mi i wsiadła do środka.

Odprowadziłam samochód wzrokiem, pławiąc się w słodkim poczuciu odniesionego sukcesu.

Następnego dnia Ben pojechał do Cañon City, żeby odwiedzić Cormaca. Wyjazd miał mu zająć cały dzień, ale uspokoił mnie, że wróci na czas, żeby pojechać na drinka do Brown Palace. Być może ciągle jeszcze zależało mu na tym całym randkowaniu.

Zadzwoiłam do Hardin. Skoro wszystko już się wydało, mogłam jej wyjaśnić, że owszem, wampiry widać na filmie: przez wszystkie te lata Mercedes zdążyła pojawić się na tysiącach fotosów, a także na kilkunastu nagraniach różnych musicali. I na pewno było ją widać w lustrze w przebieralni. Kiedy powiedziałam o tym Hardin, nie wydawała się szczególnie zachwycona. Najwyraźniej tylko czekała, żeby zrzucić wszystko na nieumarłych.

- Marzy mi się - wyznała - żeby kiedyś zobaczyć, jak ktoś, kto dostaje ponad sto lat do odsiadki, rzeczywiście był w stanie odsiedzieć cały cholerny wyrok. - Jej zaangażowanie w sprawę było niemalże godne podziwu. Przerazające, ale godne podziwu.

Po audycji odpowiedziałam na telefony i wiadomości. Mercedes nie udzielała dziś żadnych wywiadów, więc to ja byłam drugą najbardziej rozchwytywaną osobą i wielu dziennikarzy z większości najważniejszych gazet i czasopism opiniotwórczych chciało ze mną porozmawiać na temat wczorajszej audycji: skąd się dowiedziałam o tym, że aktorka jest wampirem, jaki według mnie wpływ ujawnienie tej informacji będzie miało na jej karierę i tak dalej. Cieszyłam się, że moja audycja w dalszym ciągu wzbudza emocje. Udało mi się nawet przemycić kilka słów na temat mojej, książki, która miała się niedługo ukazać. Reklama to wspaniała rzecz.

Potem pojechałam do Cheryl na lunch, na który umówiliśmy się z mamą. Babski dzień, jak określiła moja siostra.

Byłam spóźniona. Cheryl przeprowadziła się przed moim wyjazdem z Denver, a ja nie byłam jeszcze w jej nowym domu. Trochę pobłądziłam. Dom znajdował się w Highlands Ranch i jak dla mnie okolica była trochę nadęta. Ale z drugiej strony spędziłam większość dorosłego życia w kawalerkach i nie mnie to było oceniać. Słodkie segmenty w trochę zbyt pastelowym odcieniu błękitu. Drzewa były niedawno zasadzone, małe i powiązane drutami.

Uśmiechnięta od ucha do ucha Cheryl wpuściła mnie do środka, trzymając na biodrze Jeffy'ego.

Zamknęła swojego goldena na podwórku z tyłu domu, ale i tak słyszałam, jak szczeka. Kiedy znajdowałam się w promieniu pięciu metrów, wszystkie psy zaczynały wariować. Wiedziały, kim jestem, i zdecydowanie nie darzyły mnie sympatią.

- Przepraszam - odezwała się Cheryl. - Ciągle jeszcze się przygotowuję. Chodź ze mną. -

Poprowadziła mnie przez przestronny salon do słonecznej kuchni.

- Mamy jeszcze nie ma?

Kiedy odwróciła się do mnie, skrzywiła się lekko i uśmiechnęła przepaszająco.

- Powiedziała jej, żeby przyjechała godzinę później. Pomyślałam, że może powinniśmy porozmawiać, no wiesz, same. O niej.

Moja pierwsza myśl, poza bolesnym przypomnieniem, że moja mama może być poważnie chora, brzmiała: O nie, zaczęło się. Nocne rozmowy, podczas których zastanawialiśmy się, co zrobić z mamą i tatą, kiedy zaczną się już starzeć. Żartowałyśmy sobie, że lepiej, żeby byli dla nas dobrzy, bo to my będziemy dla nich wybierać domy spokojnej starości. Nie sądziłam, że będę musiała poważnie zająć się tą sprawą w ciągu najbliższych dwudziestu lat. Nie, trzydziestu.

Odpowiedziałam zdecydowanie:

- No tak, a ona wcale się nie domyśli, że coś knujemy, kiedy zjawi się punktualnie i zobaczy, że przysłałam wcześniej.

Cheryl wsadziła Jeffy'ego do kojca, a on natychmiast znalazł tam coś plastikowego i kolorowego, czym mógł walić o materac. Cheryl wyprostowała się i przeczesła palcami włosy, wyciągając luźne pasemka z końskiego ogona. Nagle wydała się o dziesięć lat starsza. Wyglądała na zmęczoną. No pewnie, że wyglądała na zmęczoną, była przecież matką.

- Wiem, wiem - zgodziła się. - Pomyślałam tylko, że lepiej by było, gdybyśmy zaplanowały...

- Gdybyśmy spiskowały za jej plecami? To chcesz powiedzieć?

- No dobra. Masz rację. To był głupi pomysł. Przepraszam. Oparłam się o blat. Musiałam się

uśmiechnąć.

- Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze myślałam, że to ja się ustatkuję, będę miała dom na przedmieściu, dwójkę dzieci, podczas gdy ty będziesz robiła coś szalonego, na przykład śpiewała w zespole rockowym albo coś w tym stylu. A teraz spójrz na nas.

W szkole średniej Cheryl była prawie punkiem. Spóźniła się o kilka lat, żeby być poważną, oldschoolową punkową, ale słuchała punkowej muzyki i ubierała się w kurtki i buty wojskowe z demobilu. Zgubiła więcej agrafek niż większość ludzi widzi za życia. Byłam cztery lata młodsza i wielbiłam ziemię, po której stąpała. Pożyczałam od niej kasety i dzięki niej na dobre ugruntowałam swoje gusta muzyczne. W połowie studiów Cheryl z wszystkiego wyrosła. Zrobiła dyplom z informatyki i zajęła się zarządzaniem. Poznała Marka i wpisała się w podmiejskie statystyki.

Zasadniczo z wszystkiego wyrosła. Czasem zakładała ramoneskę, jakby chciała powiedzieć: „Nie zawsze taka byłam”.

Dziś miała na sobie gładką niebieską koszulkę, wypłowiałą od prania podobnie jak dżinsy.

- To zabawne, jak zmienia się perspektywa, kiedy spotka się właściwego człowieka.

- Chyba tak.

- Ten twój Ben... Czy to ten właściwy?

Sama chciałam znać odpowiedź na to pytanie. Wzruszyłam ramionami.

- Kto wie.

Jej głos przybrał przebiegły i wieloznaczny ton:

- Masz jeszcze czas. Sama możesz ciągle wylądować na przedmieściach z dwójką dzieci.

Przykleiłam do twarzy uprzejmy uśmiech. Nie chciałam jej mówić. Nie byłam gotowa na to, żeby powiedzieć jej o sprawie z dziećmi. Miałyśmy ważniejsze tematy do omówienia.

- A więc co z mamą? - spytałam.

- Co z tym zrobimy?

- To chyba nie od nas zależy, prawda? Mama jest dorosła. Cheryl zaczęła chodzić po kuchni.

- Wiem, ale będzie potrzebowała pomocy. Będziemy musiały jej pomóc, jeśli będzie musiała mieć jeszcze jakąś operację i chemię. Będziemy musiały się nią zająć, prawda?

- Chyba trochę wyprzedzasz fakty. Może najpierw dowiedzmy się, na ile to wszystko jest poważne, a dopiero potem zaczniemy svirować.

- Żebyśmy musiały podejmować ważne decyzje, jak już zaczniemy svirować?



- Cheryl, przez mosty przechodzi się dopiero wtedy, jak się do nich dojdzie.

- Musimy być gotowe na najgorsze, musimy być gotowe jej pomóc.

- Będziemy - zapewniłam. - Na pewno będziemy, bez względu na wszystko.

- A więc zostajesz? To znaczy, że będziesz tu na miejscu, że nie znikniesz gdzieś nagle bez słowa. -

Nie zapytała o to, ot tak sobie. Nachyliła się i spojrzała z desperacją w oczach, jakby chciała dźgnąć we mnie palcem.

Zrozumiałam, że wcale nie chodziło o mamę.

- Cheryl, o co właściwie pytasz? Chcesz się upewnić, że jeśli mama będzie potrzebowała pomocy, wszystko nie spadnie na ciebie? O to chodzi?

Stałyśmy tak, patrząc na siebie. Niemal po wilczemu. Otworzyły się drzwi i rozległ się głos mamy:

- Cześć. Cheryl? Kitty? To twój samochód?

Jak ona, do cholery, to robiła, że była taka radosna? Powinna być zmiażdżona psychicznie i roztrzęsiona jak my wszyscy.

Cheryl uśmiechnęła się i poszła do niej, żeby się przywitać, w jednej chwili zapominając o naszej rozmowie.

- Cześć, mamó! Tu jesteśmy!

Jeffy wstał i opierając się o barierkę kojca, mówił coś do mnie, ale nie rozumiałam z tego ani słowa.

Przypatrywałam się mu przez chwilę, po czym powiedziałam:

- Mimo upływu lat jest cały czas szurnięta, co?

Nicky zatrzymała mamę - babcię - w salonie i rozmawiały o zabawkach, kiedy dołączyłyśmy do nich z Cheryl. Cały dom wypełnił się teraz powitaniem i uściskami. Panowała babska, domowa atmosfera.

Mama chyba już wydobrzała po operacji. I w sumie czemu miałyby nie wydobrzeć? Wszyscy cały czas powtarzali, że to czysto rutynowy zabieg. Jakby słowa „czysty” i „zabieg” w ogóle do siebie pasowały. Była obolała, chociaż starała się to ukryć. Udało jej się nas uściskać bez użycia prawej ręki.

Jeśli stresowała się oczekiwaniem na wyniki, również tego nie dała po sobie poznać.

W kuchni czekały przygotowane przez Cheryl kanapki i wszyscy zasiedliśmy do jedzenia. Nicky zaczęła odrywać skórkę ze swojej kromki, a mama jej pomagała.

Przez cały czas mama nie mówiła o niczym konkretnym, zagłuszała tylko ciszę, żeby nikt nie mógł

wyrazić na głos niewypowiedzianych obaw. Cheryl zerkała na mnie cały czas znacząco, jakby chciała, żebym coś powiedziała. Jakby chciała, żebym spytała mamę, czy potrzebuje pomocy. Ale ja nie miałam zamiaru pierwsza zaczynać tego tematu. To ona była starsza, to był jej obowiązek. Mało mnie obchodziło, że to ja w naszej rodzinie byłam specem w dziedzinie poradnictwa.

Kiedy mama odbierze wyniki badań, nie będzie nawet musiała nam o nich mówić. Nie wiedziałam, czemu Cheryl aż tak bardzo martwiła się pomaganiem mamie - im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej nabierałam przekonania, że mama nie będzie chciała naszej pomocy. W miarę możliwości będzie się starała przejść przez wszystko samodzielnie.

Ja tak robiłam. Albo chociaż próbowałam.

Przynajmniej tego popołudnia udawałam, że nic się nie dzieje, i cieszyłam się dniem spędzonym z mamą i siostrą. Ostatnim razem, kiedy urządziłyśmy sobie tego typu babską nasiadówkę, Nicky była ruchliwym niemowlakiem.

To ja pierwsza wyszłam ze spotkania, bo musiałam wrócić do domu i przyszykować się na wieczór.

Pożegnałam się z dziećmiakami - Nicky chyba zapamiętała mnie ze szpitala - i uściskałam Cheryl, starając się jednocześnie przekazać jej bezgłośnie, żeby się nie martwiła. Nie wiedziałam, czy mi się to udało. Potem objęłam mamę, uważając na jej prawy bok.

- Dasz znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, tak? Jeśli będę ci mogła jakoś pomóc?

Odsunęła się i spojrzała na mnie kpiąco.

- Sama nigdy nie pozwalasz sobie pomóc, dlaczego więc ja miałabym postąpić inaczej?

No i wykrakałam.

- Bo... sama nie wiem. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że możesz do mnie zawsze zadzwonić.

- Wiem. Dziękuję, kochanie. - Uśmiechnęła się, cmoknęła mnie w policzek i to by było tyle.

## Rozdział 5

Hotel Brown Palace był prawdziwą ikoną miasta. Zbudowany w czasach gorączki złota, kiedy Denver było pełne nuworyszy, chcących zasmakować życia wyższych sfer, stanowił główny punkt orientacyjny i symbol statusu. Zatrzymywali się w nim prezydenci. Był naprawdę ekskluzywny. Po Mercedes nie spodziewałam się niczego z niższej półki.

Recepcjonistka przy głównym wejściu pokierowała mnie do apartamentu pani Cook. Pociągnęłam Bena do windy. Czekał w holu z rękami w kieszeniach, rozglądając się po obrazach, kominkach, witrażach i roślinach. Miał na sobie marynarkę, ale był bez krawata. Bardziej niechlujny niż elegancki, mimo wszystko wyglądał świetnie. Ja natomiast włożyłam spódnicę, bluzkę i szpilki.

Czułam się dość dobrze, choć pewnie mój strój nie dorówna ubraniu Mercedes.

- Jesteś pewna? - spytał, kiedy szliśmy wzdłuż korytarza. Mruczał coś na temat wpadania w czyjeś sidła.

- A czemu miałabym nie być?

- Nie ufam wampirom.

- A ile wampirów właściwie znasz? Oprócz tych, które przebiłeś kołkiem?

- Wcale tak wielu nie przebiłem.

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Tylko żartowałam. Wiedziałam, że czasem pomagał

Cormacowi podczas polowań na wampiry, zanim łowca wylądował w więzieniu. Nigdy jednak nie rozmawialiśmy na ten temat.

- A ile przebiłeś?

- Dwa. Tylko dwa - odparł po chwili.

- To wystarczająco dużo, nie sądzisz?

- I pomogłem Cormacowi przy czterech innych.

- A ile właściwie zabił Cormac? Ben uśmiechnął się tylko.

Ci faceci doprowadzali mnie do szału. Prychnęłam i poszłam dalej. Ben mnie dogonił, kiedy pukałam do drzwi apartamentu.

- Otwarte, proszę wejść! - zawołała ze środka Mercedes.

Nacisnęłam klamkę i wkroczyłam do przestronnego salonu, w którym znajdowały się duże pluszowe fotele i szezlongi ustawione wokół kominka i mahoniowego stolika kawowego. Piękne dywany i kryształowe żyrandole sprawiały, że wewnątrz wyglądało przytulnie i dostatnio.

Z obitego brokatową tkaniną fotela, który stał po drugiej stronie pokoju, podniósł się Rick. Jak zawsze był uprzejmy i wytworny, ale stał spięty, jakby się denerwował. Zaciskał ręce po bokach, ale zachował

obojętny wyraz twarzy.

- Cholera! - Spojrzałam na niego i zamarłam.

- Co za powitanie. Rozumiem, że się znacie? - Mercedes przyjrzała się mi ze spokojem, siedząc wygodnie na zabytkowej sofie.

Powinłam się była domyślić, należało się tego spodziewać. Nie mogła się tu znaleźć tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi miejscowych wampirów. Tak się na niej skupiłam, że zapomniałam o całej reszcie. Zapomniałam nawet o tym, żeby zadbać o własny tyłek. Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech i spróbowałam się uspokoić. Potem przyjrzałam się Mercedes Cook. Miała na sobie obcisłą popielatą sukienkę z koronki, która wyglądała jednocześnie nowoczesnie i staroświecko.

- No tak - zdołałam jedynie wykrztusić. Wyglądało na to, że kwestia ukrywania się została właśnie zamknięta. Zaczęłam się zastanawiać, kto jeszcze wiedział, że jestem w Denver.

Rick otrząsnął się z szoku... najwyraźniej był równie mocno zaskoczony moim widokiem, jak ja jego obecnością. Co oznaczało, że z jakiegoś powodu Mercedes nie powiedziała mu, że przyjdę. Ale co on tutaj robił?

Odzyskując swój zwykły spokój, wampir zajął swoje miejsce w fotelu.

- Widzę, że wróciłaś do Denver - stwierdził beznamiętnie. Mogłam się spierać, szukać wymówek, udawać głupią. Albo

być szczerą. Ale to naprawdę nie była jego sprawa.

- Na to wygląda - odparłam i obdarzyłam go najbardziej uroczym z moich uśmiechów.

- To ciekawe - podsumował tylko. Żadnego: jak, kiedy, po co.

- Od kiedy się znacie? - zapytałam. Spojrzeli po sobie w sposób, w jaki patrzą starzy znajomi - z powstrzymywanym uśmiechem i pytającym wzrokiem. Jakby chcieli ustalić, jak dużo mogą wyjawić lub czy w ogóle coś zdradzać.

Mercedes przejęła inicjatywę.

- Ach, znamy się już od jakiegoś czasu, nieprawdaż?

- Dajcie spokój, jesteście wampirami - powiedziałam. - Co to oznacza? Dziesięć lat, sto, trzysta?

- Przyjaźnisz się z Rickiem - zauważyła Mercedes. - Wiesz, ile ma lat?

Przyglądałam się Rickowi, który pozostał niewzruszony. Czy my się przyjaźniliśmy? Nie byłam pewna, czy naszą relację można tak określić. Znałam go, ale nic o nim nie wiedziałam. Czułam się tak, jakby to była jakaś gra albo stary żart. - Dwieście pięćdziesiąt - odparłam.

Mercedes spojrzała na niego i uśmiechnęła się szerzej.

- Oj, niektórzy z nas mają swoje tajemnice, co? Zamrugałam.

- Ile ma lat? Jak bardzo się pomyliłam?

- Już ci mówiłam, Kitty, że to niegrzecznie pytać o wiek. - Wygladziła swoją i tak idealnie gładką

spódnicę i zmieniła temat. - W którymś momencie złożę pewnie moje uszanowanie Arturo. Z nim również jesteś zaprzyjaźniona? Zmarszczyłam brwi.

- Znam go. Byłabym jednak wdzięczna, gdybyś mu nie mówiła, że jestem w Denver.

- Mam wrażenie, że coś się za tym kryje - powiedziała. Nie zapewniła, że dochowa tajemnicy. Byłam zmuszona zupełnie

zmienić zdanie na jej temat. Oceniałam ją pochopnie - wydawała się młodą, energiczną, odnoszącą sukcesy artystką. Ale to była tylko maska, którą chciała mi pokazać... i mówiąc szczerze, to była cała ona. Była aktorką, a ja dałam się nabrać. Wewnątrz kryła coś innego, mrocznego i podstępnego.

Wampirzyca. Ben miał rację... znowu. Staliśmy blisko siebie, dotykając się ramionami.

- To naprawdę nie jest aż tak ciekawe. Jeśli przeszkadzam, mogę wyjść.

- Ależ nie, proszę. - Mercedes wydawała się autentycznie dotknięta. Ale nie ufałam jej minie. W ogóle już jej nie ufałam, a ona zdawała sobie z tego sprawę. Widziałam to w jej lśniących oczach.

Wykorzystała mnie i dobrze się przy tym bawiła.

Powinnam była wyjść w tej właśnie chwili.

- Usiądźcie z nami. Rick opowiadał mi właśnie o sytuacji w mieście, o tym, co dzieje się wśród naszych. Chciałabym też poznać twoje zdanie. - Wskazała na fotele obok Ricka.

Spojrzałam na Bena.

- Sama zdecyduj - powiedział.

To były wampiry, ale nie sądziłam, żeby chciały nam zrobić krzywdę. A przynajmniej nie tutaj.

Usiedliśmy, a ja spróbowałam uspokoić oszalałe nerwy. Na stoliku stała odkorkowana butelka i cztery kieliszki, do których już nalano wino. Wzięłam jeden z nich i upiłam łyk. Zdecydowanie musiałam się napić. Cztery kieliszki. Ale wampiry nie pijały wina.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Och, to chyba moi kolejni goście. - Mercedes odchyliła się i uśmiechnęła promiennie.

Kolejni goście. Spojrzałam na Ricka, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Zmarszczył brwi i wyprostował się, zsuwając na brzeg fotela. On też nikogo więcej się już nie spodziewał.

Odstawiłam kieliszek na stół i usiadłam w gotowości.

Naciśnięto klamkę. Drzwi otworzyły się do środka, jak w zwolnionym tempie. Poczułam ich, zanim

zobaczyłam. Czulałam ich oddech, rozpoznałam bicie serc. Moje zmysły były maksymalnie wyostrzone i napięte w oczekiwaniu. Zrozumiałam, rozumiałam wszystko. Pojęłam to, zanim drzwi otworzyły się do końca, a oni weszli do środka.

Carl i Meg. Ramię w ramię, z ponurymi minami.

Wstałam i cofnęłam się, potykając się o fotel. Ciało miałam jak z waty, chwiałam się i ledwie trzymałam się na nogach. Nie było mnie tu, nie mogłam tutaj być, nie byłam w stanie się ruszać.

Czulałam każdą komórkę swojego ciała. Chciało mi się wymiotować, ale byłam zbyt zszokowana.

Kiedy Carl mnie zobaczył, zamienił się w zwierzę. Nie zmienił postaci, ale jego wilcza strona wzięła nad nim górę. To było fascynujące. Spojrzeliśmy na siebie, a on zrobił gwałtowny ruch do przodu.

Przygarbił plecy, zgiął ręce i rozczapierzył palce, jakby miał szpony i był gotowy do ataku. Wargi mu się rozchyliły, warknął i obnażył zęby. Z głębi gardła wydobył głuchy pomruk. Ten dźwięk wywołał z głębin mojej świadomości wspomnienie, od którego zmiękły mi nogi.

Arturo, który wszedł za nimi do środka, przytrzymał Carla, bo ten zrobił pierwszy krok w moim kierunku. Samiec alfa chciał na mnie naskoczyć, a Arturo - smukły, zblazowany mistrz wampirów Denver - usadził go w miejscu, łapiąc wilkołaka za rękę i przytrzymując mocno za kark. Carl wygiął szyję, odetchnął i zrobił krok w tył, powstrzymując się od skoku. Po Arturo nie było widać żadnego wysiłku.

- Margaret, ty też! Stój! - Głos Arturo chłaskał jak bicz, a Meg, samica Carla, skuliła się i przylgnęła do niego, szarpiąc go za rękę, jakby chciała mu ją urwać.

Arturo spiorunował nas wzrokiem. Dzieliły nas tylko trzy metry. Nie zauważyłam, żebym się ruszyła, ale Rick stanął przy mnie z jednej strony, a Ben z drugiej i obaj chwycili mnie za ręce, przytrzymując w żelaznym uścisku, kiedy zaczęłam się wrywać. Bolało mnie gardło... od warczenia. Zupełnie nie-

świadomie odpowiedziałam na agresję Carla. Byłam gotowa stanąć z nim do walki, tu i teraz, w eleganckim apartamencie Mercedes.

Rick wysunął się przede mnie i przesłonił mi widok.

- Uspokój się, Kitty. Zachowaj spokój - szepnął.

*Walcz, walcz, wynoś się stąd, walcz, uciekaj, biegnij...*

Wilczyca wysforowała się na przód mojego mózgu, działałam pod wpływem czystego instynktu.

Zacisnęłam mocno oczy i odetchnęłam, co zabrzmiało jak szloch. Odetchnęłam jeszcze raz, tym razem spokojniej, przytłumiłam wilczycę i uciszyłam ją. Głęboki wdech, weź się w garść.

Skoncentrowałam się na dotyku Bena na moim ramieniu, na jego ciepłe i bezpiecznym zapachu.

Carl przez chwilę próbował się wyrwać Arturo, a ja miałam ochotę wrzeszczeć.

- Ach - odezwała się Mercedes słodkim jak miód głosem diwy. - To dlatego wyjechałaś z Denver.

Suka.

- Wiedziałaś. Zrobiłaś to celowo - warknęłam. Wzruszyła lekko ramionami.

- Chciałam zobaczyć to na własne oczy.

- Puść mnie. Proszę, wypuść mnie i Bena - powiedziałam cicho, świadoma, że Carl i Meg zagradzają nam drogę do drzwi i uciekając, będziemy musieli ich minąć.

Mercedes nie odezwała się ani słowem i sytuacja pozostała bez zmian. Staliśmy jak posągi i czekaliśmy, aż ktoś odkaszlnie. Albo się wyrwie.

- Co to za gierki? - spytałam z rosnącą paniką.

- Ależ nie, to żadne gierki, tylko polityka. Czysta polityka - wyjaśniła.

Pocziwy nieumarły Arturo wydawał się na szczęście równie wzburzony, jak ja.

- Mercedes, ona ma rację. Grasz w jakieś gierki, a ja nie miałem w planach wieczoru, podczas którego będę trzymać watahę wilkołaków na smyczy. Meg!

Samica alfa - nemezis, rywalka, zdzira, główna bohaterka moich koszmarów sennych - zaczęła obchodzić swojego samca. Stała ostrożnie przed Carlem i wyprostowała się. Nie zaatakowała, w najmniejszym nawet stopniu nie okazała agresji. Po prostu mi się przyglądała. Mnie i Benowi, który napiął ramiona, jakby jeżył sierść.

Meg miała długie, proste, czarne włosy, mocno opaloną skórę i nieco egzotyczne rysy twarzy.

Wyglądała dziko i orientalnie, była szczupła i silna. Wyszukowała się na wyjście - włożyła rdzawą bluzkę, ciemne spodnie, sandały na obcasach, biżuterię. Zwykle widziałam ją na dworze, w koszulce i dżinsach. Carl miał na sobie koszulę i spodnie. Nie zmienił się znacznie - był wysoki, miał jakieś metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i szerokie bary... kupa mięśni i porywczy temperament. Komuś takiemu nie rzucało się wyzwania. Nie i już.

Chyba że się było moim najlepszym przyjacielem, T.J.-em, który rzucił Carlowi wyzwanie, a ten go zabił.

Meg znowu zaczęła odgrywać swoją starą rolę podżegaczki. Będzie mnie podpuszczać, aż nie wytrzymam, a Carl mnie zabije. A teraz to Ben, nowy, jedyna osoba, której nie znała w tym pokoju, przykuł jej uwagę. Przyglądała się mu przez chwilę. Modliłam się, żeby Ben zachował spokój, żeby się nie ruszał. Nie chciałam, żeby w jakikolwiek sposób reagował - ani agresją, ani uległością. Nie chciałam, żeby jej pokazał, choćby mimowolnie, że jest silniejsza.

Kiedy Meg się do mnie odezwała, jej głos brzmiał jak tłuczone szkło.

- Naprawdę to zrobiłaś. Wyjechałaś i stworzyłaś sobie samca, żeby móc wrócić i przejąć kontrolę nad miastem.

No tak, to była dawna Meg. Pewne rzeczy się nie zmieniały, a ja odetchnęłam spokojniej.

- Nie, Meg. To ty byś tak zrobiła.

- Mówiłem, żebyś nie wracała. Ostrzegałem, że cię zabiję - odezwał się Carl.

Zaprzeczyłam. Może zrozumieją. A nuż okażą się rozsądni.

- Nie przyjechałam szukać kłopotów, przysięgam, że ich nie szukam. Moja mama jest chora, Carl.

Muszę tu być, dopóki nie wydobrzeje. - Wpadłam w stary schemat i płaszczyłam się przed nim płacząco, z nisko spuszczoną głową i przygarbionymi ramionami. A tak bardzo się starałam, żeby już nigdy tego nie robić. T.J. zginął po to, żebym nie musiała tego robić. Wyprostowałam się, z wysiłkiem rozciągając napięte mięśnie.

Byłam prosta jak świeca. Przestałam się trząść. Spojrzałam Carlowi w oczy. Nie rzuciłam mu wyzwania, ale musiałam stanąć przed nim jak równa z równym. Nie... musiałam wierzyć, że jestem lepsza.

- Skoro nie szukasz kłopotów, to kim on jest? - Carl kiwnął na Bena.

Ben stał tuż za mną, wystarczająco blisko, żebym czuła żar bijący z jego ciała. Nie skulił się, widząc wybuch wściekłości Carla i Meg. Wyczułam w nim pewne napięcie i niepokój, ale stał prosto i patrzył

niewzruszonym wzrokiem.

- To przyjaciel. Jest tu tylko ze względu na mnie. Możesz się nim nie przejmować.

Nie spodobał się Carlowi. Drażniła go obecność konkurencji w postaci pewnego siebie samca, który nie musiał być względem niego lojalny. Ben stał w miejscu i ani drgnął, a Carl potraktował to jak wyzwanie.

Ale Ben nie stał ot tak. O nie.

- A więc ty jesteś Carl - wycedził Ben i zrobił w jego kierunku kilka powolnych kroków, mierząc go badawczo wzrokiem. - Myślałem, że okażesz się wyższy.

Palnęłam się w myślach w czoło. Musiałam jednak przyznać, że Ben zawsze wiedział, co powiedzieć.

Carl rzucił się z warknięciem naprzód, wyciągając ręce z rozcapierzonymi palcami. Byłam gotowa



zrobić unik i rzucić się do ucieczki. Ale Ben, niech go cholera, ani drgnął, bo najwyraźniej domyślił się, co zaraz nastąpi.

Arturo znów powstrzymał Carla. Błyskawicznie złapał go za rękę, wykręcił mu ją i wykorzystał siłę rozpędu potężniejszego mężczyzny, żeby rzucić go na kolana. Carl dyszał ciężko i szamotał się, oczy lśniły mu zwierzęcą wściekłością i był gotów wyrwać się z uścisku wampira. Ale wystarczyło tylko, że Arturo ścisnął go za ramię, żeby się uspokoił. Nie wiedziałam, skąd bierze się jego siła. Wydawało się, że Arturo nie wkłada w to żadnego wysiłku.

- Odpuść - powiedział Arturo.

- Zagrażają nam...

- Nie rzucili ci wyzwania. Zostaw ich, Carl. Wilkołak klęczał przez chwilę, dysząc ciężko, po czym wykręcił się z uścisku Arturo.

- To fascynujące - odezwała się Mercedes. Wciąż wcielała się w rolę pełnej wdzięku gospodyni. -

Usiądźcie, proszę. Nalałam już wino, żeby trochę pooddychało.

Cofnęłam się pod ścianę, trzymając Bena za rękaw i pozwalając, żeby Rick stanął między nami.

- Zostanę tutaj, dziękuję - mruknęłam.

Carl ruszył naprzód, ale Arturo zagroził mu drogę.

- Nie, wy dwoje zostaniecie tutaj. Nie pozwolę, żebyście zapaskudzili dywan.

Arturo ani na moment nie stracił zimnej krwi, opanowania i koncentracji. Wyglądał na niecałe trzydzieści lat, ale w jego oczach widać było ciężar stuleci. Miał złote włosy zebrane w kucyk i arystokratyczny wyraz twarzy.

On i Rick popatrzyli sobie w oczy, a ja nie potrafiłam odczytać tego spojrzenia. Z tego, co się domyślałam, obaj byli w podobnym wieku - zarówno powierzchownie, jak i w rzeczywistości. Wśród wampirów wiek oznaczał władzę i tych dwóch powinno ze sobą rywalizować, jednak od lat koegzystowali w pewnego rodzaju układzie. Arturo był mistrzem wampirów w Denver, ale Rick cieszył się na tym terenie pewną niezależnością.

Czy Arturo podejrzewał, że Rick chciał zmienić ten układ?

W tej chwili wydawało się, że starali się połączyć siły i zapanować nad wilkami.

Mercedes rozsiadła się wygodnie i przyglądała się scenie, którą zaaranżowała.

- Hm, może sytuacja wcale nie jest aż tak chaotyczna, jak sądziłam. Wygląda na to, że całkiem nieźle sobie radzicie' chłopcy.

- Ale nie dzięki tobie - rzucił Arturo ze swoim wyrafinowanym akcentem. - Do czego zmierzasz, Mercedes? Chcesz coś osiągnąć czy tylko wkładasz kij w mrowisko, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie?

- A to nie wystarczy? - spytała.

- Aż nadto - odparł, uśmiechając się kwaśno. - Jak długo chcesz tu zostać?

- Ach, jeszcze kilka dni. Może tydzień. Albo dwa. - Uniosła dłoń i przyjrzała się swoim paznokciom wystudiowanym, scenicznym gestem.

Jeśli chodziło o wampiry, to był teren Arturo i sprawował on nad nim tę samą władzę, co Carl wśród wilkołaków. Mógł jej kazać wyjechać. Mógł jej zagrozić i wprowadzić swoje groźby w czyn.

Dlaczego więc tego nie zrobił? Jaką miała władzę?

- Nie denerwuj się tak - rzuciła Mercedes do Arturo. - Jestem tutaj z czystej ciekawości. Dotarły do mnie pewne plotki i pomyślałam, że wpadnę i trochę sobie popatrzę.

Arturo zmrużył oczy i zmierzył ją wzrokiem.

- Dla kogo teraz pracujesz, Mercedes? To pytanie mnie zmroziło.

Wszyscy na nią spojrzeli. Ona jednak przywykła do tego, że znajduje się w centrum zainteresowania, więc ani trochę się nie speszyła.

- W przyszłym miesiącu mam zacząć próby do musicalu *Anything Goes*. Chyba można powiedzieć, że będę pracować dla wytwórni.

Arturo przewrócił oczami i odwrócił się.

- Jeśli powiesz mi otwarcie, szczerze i z przekonaniem -ciągnęła Mercedes - że w mieście panuje spokój, a pogłoski, że twój ród się destabilizuje, są bezpodstawne, uśmiechnę się uroczo i ci uwierzę.

Widzę, że wilkołaki mają niejakie problemy, ale u nich to typowe, nieprawdaż? Powiedz mi, Arturo, że jesteś tu mistrzem i nie masz żadnych konkurentów.

Arturo zerknął na Ricka. Ja bym się skuliła pod tym spojrzeniem, ale Rick ani drgnął. Spojrzał Arturo prosto w oczy i nie odezwał się ani słowem.

- Jestem mistrzem w Denver i nie mam żadnych konkurentów - powiedział Arturo. Do Ricka, nie do Mercedes. Zauważyła ten drobiazg i nieznacznie uniosła idealnie wyde-pilowaną brew.

Oho, nie będzie dobrze.

Podniosłam dłoń.

- Skoro najwyraźniej nie bardzo zaprzątacie sobie nami głowę, czy możemy sobie pójść? Proszę?

- Kitty - odezwała się Mercedes. - Ty i twój samiec obnosicie się jak para alfa. Dwie pary alfa nie mogą mieszkać na jednym terenie. Wiesz, że to niemożliwe.

Odwrociłam głowę, żeby ukryć uśmiech.

- A ja myślę, że możliwe. Odkąd wyjechałam, widziałam kilka interesujących rzeczy. Na przykład dwa tuziny likantropów w jednej sali, które w ogóle ze sobą nie walczyły. Jeśli wszyscy się zgodzą, można się dogadać. Carl, daję ci moje słowo, że nie chcę zajmować tego terytorium. Będę ci schodzić z drogi, jeśli tylko zostawisz mnie i Bena w spokoju. Zawsze byłam z tobą szczerą.

Skrzywił się.

- Już sama twoja obecność podważa mój autorytet. Nie, to twój brak kompetencji podważa twój autorytet.

Nie wyraziłam tego na głos. Ale to, co powiedziałam, nie było dużo lepsze.

- Czy możesz choć przez chwilę zachowywać się jak człowiek myślący?

Warknął jak na zawołanie.

Rick spojrzał na mnie przez ramię.

- Prowokujesz go.

Nic nie mogłam na to poradzić.

- Przepraszam.

Mercedes westchnęła dramatycznie. Czy nie umiała wzdychać inaczej?

- Widzę, że nie jesteśmy w stanie wszyscy razem prowadzić kulturalnej rozmowy. Kitty, masz rację, ty i twój samiec powinniście chyba wyjść. Dzięki, że wpadliście, zwłaszcza że wszystko było w pewnym sensie... ustawione. A wy... - Wskazała na trio stojące przy drzwiach. - Wy pozwolicie im odejść.

Kim ona była, że tak nam rozkazywała? Nagle nie miałam ochoty wychodzić, wręcz przeciwnie.

- Rick, odprowadzisz Kitty i Bena do drzwi? Dziękuję.

Arturo odsunął w dziwnym tańcu Carla i Meg od drzwi, a Rick zrobił miejsce dla mnie i Bena.

Zaganiał stado wilkołaków. To było niemal śmieszne.

Zatrzymałam się i odwróciłam. Mercedes siedziała na kanapie jak królowa. Była zupełnie inną

kobietą od tej, którą poznałam dwa dni temu. Nie wiedziałam, kim była. Carl, trzymając się z boku, w dalszym ciągu wyglądał tak, jakby chciał wyskoczyć z własnej skóry i rzucić się na mnie. Nawet widok Meg chowającej się za nim niczego mi nie wynagradzał i nie poprawiał samopoczucia.

- Dzięki za drinki - powiedziałam z czystym sarkazmem. A potem opuściłam pokój. Rick wyszedł z nami na korytarz i zamknął drzwi. Wraz z tym dźwiękiem kamień spadł mi z serca. Oparłam się o ścianę i westchnęłam. Ben przyglądał mi się cierpliwie... moim zdaniem o wiele za spokojnie. Miałam ochotę rzucić mu się w ramiona i zacząć się mazgać, ale się powstrzymałam.

- Nienawidzę go - mruknęłam i otarłam kilka zabłąkanych, nerwowych łez. - Tak strasznie go nienawidzę.

- Chodźmy - powiedział Rick. - Im dalej od niego, tym lepiej.

Kiedy zjeżdżaliśmy windą do holu, zaczęłam go maglować.

- Kiedy spytałam, czy zjawi się nowy mistrz, a ty odpowiedziałeś „nie do końca”, miałeś na myśli ją?

- Skrzywił się, a ja nie potrzebowałam innej odpowiedzi. - Co jej powiedziałaś? Masz pojęcie, co ona zamierza?

- Hm... nie do końca - odparł cicho. Miał napiętą, zbolałą twarz. Martwił się, przez co ja też zaczynałam się martwić. -Przyszedłem do niej po informacje. Może nawet po to, żeby się dowiedzieć, którego z nas poprze. Rozmowa jednak nie zaszła aż tak daleko.

- Kim ona tak naprawdę jest?

- Mistrzowie wampirów zawsze wiedzieli, że to wampirzyca. Od kilkudziesięciu lat przemieszcza się między miastami w roli posła. Jako artystka może podróżować bez przeszkód, a zgodnie z tradycją wampiry jej pokroju cieszą się nietykalnością, nawet jeśli nie obejmuje ich protekcja danego rodu. W

pewnym sensie Mercedes jest członkiem wszystkich rodów i żadnego z nich jednocześnie. Taki system pomaga utrzymać pokój, ale bywał również przyczyną wojen. Gdybym był mądry, odszedłbym. Wyjechałbym z miasta i znalazł sobie jakieś inne miejsce, tak jak robiłem dotychczas.

- Dlaczego więc tego nie zrobisz?

- Bo wcześniej czy później będę musiał się za coś opowiedzieć. Podoba mi się w Denver. Lubię tutejszych ludzi. -Spojrzał mi prosto w oczy. - Wydaje mi się, że to równie dobre miejsce i czas, jak każde inne.

Doszliśmy już do holu i zatrzymaliśmy się przy drzwiach frontowych, usuwając się poza zasięg słuchu portiera.

- Co właściwie oznacza „wcześniej czy później” w przypadku wampira?

- Oznacza, że nie myśli się o przyszłości. Oznacza, że nie ma żadnej przyszłości. Jest tylko teraźniejszość i to, co można chronić teraz. Wcześniej czy później zawsze oznacza teraźniejszość.

- Chronić. Przed czym?

- Przed drapieżnikami - wyjaśnił. - Ona nas ocenia. Przekazuje informacje pozostałym rodom. Nie jest już tak jak sto lat temu, kiedy Arturo się tu osiedlił. Teraz nie powstają nowe miasta. Wampir, który chce zostać mistrzem, musi użyć do tego siły. Lub podstęp. Jeśli wyda się, że Denver nie jest stabilne, zjawią się inni. Padlinożercy. Gdybym miał naprawdę źle wieszczyć, powiedziałbym, że ktoś przysłał tu Mercedes, żeby narobiła zamieszania i zdestabilizowała sytuację. To znaczy, zdestabilizowała ją jeszcze bardziej.

- Od jak dawna to robi? Ile ma lat?

- Bóg raczy wiedzieć. Powinienem tam wracać. - Zawrócił do windy. Ben wziął mnie za rękę i wyprowadził z hotelu.

- No cóż, niezły ubaw - powiedział z udawaną lekkością.

- Widzisz, co się tu wyrabia? - Maszerowałam chodnikiem, szybko oddalając się od tego miejsca.

Zaparkowaliśmy kilka przecznic dalej. Chciałam jak najszybciej dojść do samochodu.

- Pewnie. W pokoju Mercedes zgromadziło się sporo mocno niepewnych swojej pozycji istot.

Omał się nie roześmiałam, tyle że nagle zrobiło mi się niedobrze. Adrenalina zaczęła opadać.

- To prawda. Musiałeś go tak podjudzać? - spytałam. Ciągle widziałam wyraz twarzy Carla.

- To agresor. Uwielbiam takie typy. Cudownie łatwo wyprowadzić ich z równowagi.

Cholerny prawnik.

- Czy on cię w ogóle nie zestresował? Mam na myśli twojego wilka. Nie miałaś ochoty się przed nim płaszczyć albo wyskoczyć ze skóry?

- Owszem, ale byłaś ze mną, więc wszystko było okej. Kiedy jesteś obok, zawsze jest okej.

Miałam ochotę go za to uściskać. Ale to była zbyt duża odpowiedzialność. Nie chciałam być samicą alfa, nawet w dwuosobowej watasze.

- Pochlebiasz mi. Zwykle czuję się tak, jakbym była na skraju załamania.

- Ale się nie załamałaś. - Uśmiechnął się słabo, z niepokojem. Starał się zamaskować strach poczuciem humoru.

- Jesteś nieznośny, wiesz o tym? - Złapałam go za rękę, zarówno po to, żeby zaczerpnąć otuchy, jak i

po to, żeby mu jej dodać.

Nie do końca pomogło.

- O Boże. Mam przerąbane. Mam totalnie przerąbane. -Poczułam chłodne wieczorne powietrze na swojej spoconej skórze i zaczęłam się trząść. A może to był efekt tego, że żołądek podszedł mi do gardła. Przyspieszyłam kroku, jakbym mogła uciec przed własną reakcją.

Ben utrzymywał tempo i szedł cały czas przy mnie, przyglądając mi się uważnie.

- Nigdy nie widziałem cię w takim stanie. Trochę mnie to przeraża.

Zatrzymałam się i zgięłam w pół, łapiąc się za brzuch.

*Biegnij. Możemy uciekać. Zniknąć stąd, z jego terytorium, daleko...*

- Kitty. - Ben położył mi rękę na plecach, a jej ciężar dodawał mi sił. - Weź się w garść.

Każdy przechodzień prychnąłby pewnie na widok tej sceny, a może nawet uśmiechnąłby się z rozbawieniem... jakaś laseczka spiła się w barze, a jej troskliwy chłopak musiał się nią zająć. Urocze.

Moja wilczyca była jednak tuż pod powierzchnią i się wrywała. Carl ją pobudził, a ja nie potrafiłam jej okiełznać.

- Kitty.

Skoncentrowałam się na głosie Bena, na dotyku jego ludzkiej skóry. Przesuwał rękę po mojej koszuli.

Skupiłam się na swoim kręgosłupie i wyprostowałam się. Stałam prosto, ustawiając kręgosłup w pozycji pionowej, a nie poziomej jak wilczyca. Zaczęłam oddychać głęboko i uważnie.

Ben zdjął marynarkę i narzucił mi ją na ramiona. Wtuliłam się w nią, lgnąc do jej ciepła. Objął mnie i poszliśmy, blisko siebie, stykając się ciałami. Nasza dwuosobowa wataha.

- Jeśli spotka cię gdzieś samą, zabije cię, prawda? - spytał.

- Chyba tak.

Przeszliśmy jeszcze jedną przecznicę i dopiero wtedy się odezwał:

- No dobrze. Przynajmniej wiem, na czym stoimy. Musiałam się w końcu roześmiać.

Rozdział 6

Ciułam się zdradzona i nie wiedziałam nawet przez kogo. Nie przez Ricka, bo miałam wrażenie, że podobnie jak my padł tego wieczoru ofiarą intrygi. Ale z drugiej strony, czułam się tak częściowo

przez niego: musiał o mnie rozmawiać z Mercedes, zdradzić na temat mojej przeszłości coś, co naraziło

mnie na niebezpieczeństwo. Chciałam się zezłościć na Arturo, ale pewnie uratował mi skórę. Carl i Meg... oni zdradzili mnie już dawno temu.

Mercedes Cook. Ona była podejrzana. Ewidentnie coś knuła. Puściła całą tę machinę w ruch.

Poruszyła różne trybiki, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

Doprawdy, mogłam winić tylko siebie za to, że dałam się w to wplątać.

- Kitty, możesz na chwilę przyjść? - zawołał Ben z kuchni, nachylając się nad blatem, który wychodził

na pokój. Odeszłam od komputera i siadłam na stołku barowym, który mi wskazał.

Siedzieliśmy w ten sposób dłuższą chwilę, patrząc na siebie nad barem. Co tym razem? Co takiego robiłam?

Już miałam coś powiedzieć, kiedy położył pistolet na ladzie pomiędzy nami. Brzęknął, co zabrzmiało strasznie ostatecznie. Był przerażająco czarny.

Spojrzałam na niego. Broń była domeną łowcy. Pistolet bez Cormaca był czymś... niewłaściwym.

- Co to? - Mój głos zabrzmiał bardzo cicho.

- Dziewięćmilimetrowy półautomat, broń stosowana przez wszystkich stróżów prawa.

Kompaktowa, lekka, trochę rzuca, ale i tak jest warta swojej ceny. Potrafi narobić niezłych szkód.

Poczułam obezwładniający strach.

- Nie jesteśmy wystarczająco silni, żeby pokonać Carla i Meg w walce wręcz - ciągnął Ben. - Musimy mieć jakąś przewagę.

Akurat!

- Ben, nie, nigdy w życiu nie miałam broni w ręku...

- Dlatego zabiorę cię na strzelnicę, gdzie będziesz mogła poćwiczyć.

- Nie. Nie, nie, nie. To nieuczciwe. Powinniśmy korzystać tylko z pazurów i kłów. Dobór naturalny...

- I bzdury typu prawo dżungli? - spytał. - A myślisz, że oni by nie oszukiwali, gdyby tylko mogli?

Prawdę mówiąc, oszukiwali. T.J. zgodził się odejść, a wtedy Carl go zabił. Chyba po prostu nie chciałam używać broni.

- Zrób to dla mnie - poprosił. - Lepiej się będę czuł. Jeśli wpadniesz na tego faceta, jak będziesz sama, chcę wiedzieć, że możesz go załatwić na miejscu.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie byłam w stanie pojąć, że do tego doszło.

Kiedy odzyskałam głos, powiedziałam:

- Czy to jeden z pistoletów Cormaca? - Przez chwilę miałam wrażenie, że łowca jest z nami duchem.

Ben pokręcił głową.

- Myślisz, że on jeden ma pozwolenie na broń? - Uśmiechnął się chytrze.

No dobra. Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego. Nawet o facecie, z którym sypia.

Strzelnica znajdowała się w niskim betonowym budynku na północnych przedmieściach Denver.

Mogłoby się tam znajdować cokolwiek, a ja pewnie bym nie zauważyła skromnej tabliczki - czarnego napisu na białym tle, który brzmiał: „Broń, amunicja, strzelnica. Siedem dni w tygodniu”.

W środku pachniało Cormakiem. Albo raczej łowca załatwiał sklepem z bronią, gdybym miała wcześniej pojęcie, jak pachnie takie miejsce. Smar do pistoletów, metal, spalony proch. To coś mówiło na temat Cormaca.

Ben odebrał od faceta przy ladzie dwa pudełka naboju, słuchawki na uszy i okulary ochronne. Rany, pod ladą za szklaną witryną było sporo pistoletów. Wszystkie kojarzyły się z mrokiem i wściekłością.

Z tyłu sklepu, zza podwójnych metalowych drzwi, dobiegał dźwięk wystrzałów. Według mojej oceny z dwóch pistoletów, nie do końca zsynchronizowanych. Ktoś strzelał szybciej.

Ben położył mi rękę na plecach i poprowadził mnie do drzwi.

Zaplecze wyglądało jak żywcem wyjęte z serialu policyjnego - wzdłuż długiego korytarza ciągnęły się różne kabiny. Dwie z nich były zajęte, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Ben był zaaferowany i z miejsca zabrał się do roboty.

- Po pierwsze, oto powód, dla którego tak często dochodzi do przypadkowych postrzałów w przypadku półautomatów. - Nacisnął na zatrzask, a z uchwytu pistoletu wyskoczył magazynek. Potem odciągnął zamek i pokazał kulę wciąż tkwiącą w komorze. - Wysłunięcie magazynka wcale nie oznacza, że pistolet nie jest naładowany.

Przechylił broń, a kula wypadła mu do ręki. Zwolnił zamek.

- Teraz jest bezpieczny. - Wycelowwał, nacisnął kilka razy na spust i nic się nie wydarzyło.



- Zasada numer jeden: nigdy nie podnoś broni: pustej, naładowanej czy jakiegokolwiek innej, jeśli nie masz zamiaru strzelać. Jeśli w kogoś celujesz, to znaczy, że chcesz go zabić.

Wsunął luzną kulę do magazynka, włożył magazynek z powrotem do pistoletu, zaciągnął zatrzask, załadował. Ostra amunicja. Rock and roli. Cholera.

- Zasada numer dwa: jeśli musisz kogoś zabić, upewnij się, że broń jest naładowana. - Uśmiechnął się szeroko.

- Za dużo przebywałeś z Cormakiem - stwierdziłam.

- No cóż - odparł tylko.

- Kto cię tego nauczył? Zasada numer jeden, zasada numer dwa. - Obchodził się z bronią tak, jakby robił to całe życie. Może i tak było. Jako dzieciak mieszkał na ranchu w północnej części Front Range.

- Mój ojciec.

- Twój stuknięty ojciec z bojówki, który siedzi teraz w więzieniu? - Tak, mój chłopak miał ciekawą przeszłość. Dwie spośród trzech najbliższych mu osób miały odsiadkę.

- Tak. - Uśmiechnął się. Podał mi nauszniki i okulary. - Załóż to.

Jakim cudem, do cholery, w ogóle się z nim związałam? Byłam miłą dziewczyną z przedmieścia.

Włożyłam okulary i nauszniki, które w dużej mierze przytłumiły mi słuch, ale mimo to słyszałam polecenia Bena.

Przytrzymaj to w ten sposób, patrz między tymi dwoma punktami na lufie, nie szarp za spust...

naciśnij powoli, ro-

biąc przy tym wydech. Wystrzelił raz, potem drugi. Rozległ się straszny huk.

Wzdrygnęłam się. Ten dźwięk nigdy nie oznaczał niczego dobrego. Cieszyłam się, że będąc w zamkniętym, betonowym pomieszczeniu, mam słuchawki na uszach. Spojrzeliśmy na tarczę - zrobił

dwie małe dziurki lekko z boku, ale ciągle w obrębie czarnego pola.

- Teraz ty. - Podał mi broń.

Wzięłam ją do ręki, jakby była żywa i mogła mnie ugryźć. Ben stanął za mną z westchnieniem, zamknął mi dłonie w swoich rękach i ustawił je odpowiednio, pokazując, jak trzymać pistolet: prawa ręka na uchwycie, lewa pod spodem podtrzymuje prawą. Nasze ciała przylegały mocno do siebie.

Okej, to było nawet podniecające.

- Nie napinaj ręk - powiedział tuż przy moim uchu. - Rozluźnij się. A teraz wydech, naciśnij na spust...

Cyngiel był bardzo czuły, miałam wrażenie, że przesunął się tylko o milimetr, a zaraz potem szczęknął

i pistolet podskoczył mi w rękę. Huk, głośny jak przy wybuchu, poczułam nawet w swoich kościach.

Zdrętwiała mi ręka. Zupełnie bez powodu waliło mi serce.

- Chyba udało ci się trafić w tarczę. - Wskazał na białe rozdarcie na brzegu papieru, bardzo daleko od czarnego kółka.

- Nie sądzę, żebym celowała. - Zmarszczyłam brew i spojrzałam na broń.

- Co ty powiesz - skwitował sarkastycznie Ben. - Spróbuj jeszcze raz.

Przypomniał mi, żebym celowała przez muszkę i szczerbinkę, ale już mnie nie ustawiał. Musiałam to zrobić sama. Wystrzeliłam. Znowu poczułam mrowienie w rękę, ale teraz byłam na to przygotowana. I tym razem trafiłam w tarczę, ale nie w czarne kółko.

- Jeszcze raz. - Strzeliłam więc ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze. Zużyłam cztery magazynki, po piętnaście naboji w każdym, więc stałam teraz w kupie metalowych łusek. Przywykłam do hałasu, przywykłam do szarpania podczas wystrzałów. I o to właśnie chodziło.

Opróżniając ostatni magazynek, za każdym razem trafiałam w czarne pole. Przyglądałam się mojemu dziełu z niechętnym podziwem. Nie chciałam być z tego dumna.

Ben skrzyżował ręce i pokiwał głową, najwyraźniej zadowolony.

- A teraz wysuń magazynek. Sprawdź, czy komora jest pusta.

Wykonałam posłusznie jego polecenie, jakbym była w wojsku.

- Nie czujesz się teraz lepiej? - spytał.

- Nie. Możemy już iść?

Kiedy znaleźliśmy się w samochodzie, spytałam:

- Nie każesz mi nosić zawsze ze sobą broni, prawda?

- Jeszcze nie. Najpierw musimy ci załatwić pozwolenie. Nie przegadam go.

Przez następny tydzień siedziałam w pracy, zajmując się skutkami piątkowej audycji i przedstawienia pierwszej amerykańskiej gwiazdy wampirzycy. Robiłam to niechętnie, bo wiedziałam już, że mam do czynienia z manipulatką, a nie z genialną aktorką. Chociaż dwa telefony od agentów osób, które w

następnej kolejności chciały zostać sławnymi wampirami, były niezwykle intrygujące... Poczułam się jak w reality show.

Nie miałam ani pozwolenia, ani broni, kiedy złapali mnie na parkingu przed pracą.

Jeśli chcesz, żeby było cię trudno znaleźć, powinieneś zmieniać trasę na odcinku dom-praca.

Wychodzić o nieprzewidywalnych porach. Mieć nieprzewidywalne godziny pracy. Załatwić sobie skrytkę pocztową, a adres domowy utrzymywać w tajemnicy. Zastrzec numer telefonu. Ale w Pokrętle mógł mnie znaleźć każdy. Czekali na mnie po zmroku.

- Cześć, kotku. Uwielbiam twoją audycję. Usłyszałam ją i wyczułam jednocześnie, a moje nozdrza rozszerzyły się w tej samej chwili, w której wyszłam z budynku i wciągnęłam w płuca nocne powietrze. Była zimna, nie biło jej serce... nieumarła. Wampirzyca. Stała ze skrzyżowanymi ramionami oparta o ścianę tuż obok drzwi. Jej gęste, brązowe włosy były związane w niechlujny kucyk, a jej skóra była gładka i biała jak porcelana. Miała na sobie czarną, koronkową haleczkę, skórzane spodnie i kozaki na obcasach. I okulary słoneczne. Na jej czerwonych ustach pojawił się uśmiech.

Nie była jedną z miejscowych. Wampiry z klanu Arturo miały więcej klasy i nie ubierały się w punkowe ciuchy.

- Kim ty, do cholery, jesteś? - powiedziałam cicho i nieufnie.

- Ona jest ze mną. - Facet stał tuż za mną, opierając się o ścianę po drugiej stronie drzwi. Miał taką samą bladą skórę, nastroszone ciemne włosy i okulary słoneczne. Skórzaną kurtkę, koszulkę, dzinsy.

Ten sam zły, drapieżny uśmiech.

Cholera.

Ruszyłam przed siebie, jakbym udawała, że ich nie zauważyłam. Sekundę później byli już przy mnie, chwytając mnie z obu stron za ręce.

Westchnęłam.

- Czego chcecie?

Oboje uśmiechnęli się szeroko, zdecydowanie za dobrze się przy tym bawiąc.

- Chcemy porozmawiać - wyjaśnił facet.

- Słucham.

- Nie tutaj - odparł.

No pewnie, że nie. Obstawili mnie z dwóch stron i trzymając mocno, zaprowadzili do czarnego suwa

zaparkowanego za rogiem. Co zaskakujące, poczułam, że zamiast paniki ogarnia mnie dziwne poczucie fatalizmu, jakby w końcu się okazało, że mam za dużo na głowie. Nie byłam w stanie się już bardziej denerwować. Może wcale nie chcieli mnie zabić. Może założyli fanklub i chcieli, żebym trochę z nimi pogadała. Może chcieli mnie zapakować w skrzynię i posłać do niewoli.

Bez względu na to, o co chodziło, nie potrafiłam stwierdzić, czy jest naprawdę źle. Wyobraźnia mnie zawiodła.

Zdobyłam się na pokazową ucieczkę. Napięłam ręce i zaparłam się z całych sił... i byłam zdumiona, kiedy naprawdę udało mi się wyrwać z ich uścisku. Zamrugałam, spojrzałam na nich, a oni na mnie.

Wilczyca wzięła nade mną górę i rzuciła się do ucieczki. Odwróciłam się i zrobiłam to samo, pędząc co sił w nogach po chodniku.

Z pozoru w ogóle nic nie zrobili, a bez żadnego wysiłku znów mnie złapali. Nawet nie wiedziałam, kiedy się poruszyli. W jednej chwili biegłam, a w następnej szarpnęło mnie do tyłu i zawisłam jak ryba na wędce. Zaciągnęli mnie z powrotem do suwa. Zdołałam trzymać nogi pod sobą, więc nie zostałam tak całkiem zawleczona.

- Uroczo - skomentowała kobieta. - Naprawdę uroczo. Chociaż wcale nie mam ci za złe, że próbowałaś.

- Dzięki - mruknęłam.

Wsiadła od strony pasażera, a facet wpakował mnie do środka od strony kierowcy, tak że kiedy wsiedli, byłam uwięziona pomiędzy nimi.

- Nie martw się - pocieszyła mnie. - Będzie fajnie.

No jasne. Oboje wyglądali na jakieś dwadzieścia kilka lat. Byli raczej młodymi wampirami. To wszystko sprawiało im za dużą frajdę.

Nie zakryli mi oczu. Mało ich obchodziło, czy będę wiedziała, gdzie jedziemy, co mogło wróżyć zarówno dobrze; jak i źle. Może naprawdę chcieli tylko pogadać. Ale jeśli planowali mnie zabić, nie miało znaczenia, czy będę wiedziała, dokąd jedziemy.

Zaczęłam zgrywać chojraka.

- Jesteście z lat osiemdziesiątych, co?

Kobieta zachichotała i objęła mnie ramieniem, przysuwając się do mnie zdecydowanie za blisko, żebym dobrze się poczuła. Na rękach wyskoczyła mi gęsia skórka.

- Mówił, że tak właśnie powiesz - wyjaśniła.

- Kto? Kto tak powiedział?

Cisza. Facet uśmiechnął się szeroko, a dziewczyna znów stłumiła parsknięcie.

Oparłam się i usiłowałam spojrzeć na niego w lusterku wstecznym. Tyle że nie było go widać.

Nachyliłam się gwałtownie do przodu i sprawdziłam boczne lusterko... powinnam go zobaczyć, ale dostrzegłam tylko spowite cieniem oparcie siedzenia. Przecież brak odbicia w lustrze to bzdura. Sama widziałam.

- Co ty wyprawiasz? - spytała kobieta, patrząc, jak wyciągam szyję, starając się spojrzeć na lusterko pod różnymi kątami.

- Odbijacie się w lustrach czy nie? - W moim głosie było więcej paniki, niż chciałam okazać.

Kobieta przekręciła lusterko wsteczne w swoją stronę... a ja zobaczyłam w nim jej odbicie, w całej natapirowanej okazałości.

Potem chłopak obrócił lusterko do siebie. Nic w nim nie było widać. Może trochę więcej cienia. Zrobił

to szybko, po czym ustawił lusterko we właściwej pozycji, jakby tylko je poprawiał.

- To znaczy, że raz się pojawia, a raz nie? - Mówiłam odrobinę piskliwym głosem.

- To wszystko gra świateł - wyjaśnił. Kobieta tylko się uśmiechnęła.

Wspaniale. Czy istniało w ogóle coś, czego wampiry nie potrafiły? Opadłam na siedzenie i przez pozostałą część drogi siedziałam cicho i spokojnie.

Po półgodzinie znaleźliśmy się na południe od autostrady, niedaleko Broadwayu, za jednopiętrowym budynkiem magazynowym bez okien. Wszystko tu było ze stali i z betonu, a o tej porze było w tym miejscu całkiem pusto. Mogłam sobie krzyczeć, a i tak na nic by się to nie zdało.

Kobieta wyciągnęła mnie z samochodu od swojej strony. Złapała mnie mocno... tym razem nie było mowy o tym, żeby się wyrwać, zwłaszcza kiedy dołączył do niej jej partner.

W magazynie paliło się oświetlenie awaryjne, rzucając ciemne kręgi na obrzeżach i pozostawiając większą część pomieszczenia w półmroku. Poza tym skrzynie i pudła tworzyły ściany i kaniony, dziesiątki palet owiniętych w folię czekało na transport. Magazyn funkcjonował normalnie, niezależnie od tego, kto wykorzystywał go na kryjówkę.

Wyczułam ludzi. A raczej istoty. Były tu zarówno wampiry, jak i likantropy, a ich zapach mieszał się ze sobą, więc nie byłam w stanie stwierdzić, ilu ich było. W mroku nie było nikogo widać, ale wyczuwałam ich, czułam, że na mnie patrzą. Trzymałam się blisko drzwi. Może uda mi się uciec, jeśli nadarzy się okazja.

Rozległo się ciche warczenie i zbliżyło się do mnie jakieś pachnące piźmem zwierzę. Psowate, ale nie wilk. Wyróżniało się czymś ... czymś innym. Miało w sobie coś z człowieka. Cofnęłam się pod

drzwi, kuląc ramiona.

Zwierzę stanęło w kręgu światła, a ja stwierdziłam, że nigdy czegoś takiego nie widziałam. Było wielkości doga -a nawet większe - i poruszało się lekko na chudych nogach. Miało smukłe ciało i było w cętki - zdobiły je rude, białe, żółte i czarne plamy, jakby zderzyło się z paletą malarską. Miało lekko kwadratowy psi pysk i wielkie uszy mieszkańca pustyni, które skierowało w moją stronę niczym anteny satelitarne.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku, co uznało za wyzwanie: zniżyło łeb, napружиło ogon jak ster i warknęło.

- Spokój, Dack. Waruj. - W ciemności odezwał się jakiś głos, a zwierzę spojrzało w jego kierunku, położyło po sobie uszy i spuściło ogon.

Był tu przywódca, a ja znałam jego głos. Rick podrapał zwierzę za uszami, kiedy wyszedł z cienia i podszedł bliżej.

- Rick, ty draniu! O co tu, do cholery, chodzi? Zwierzę znów zaczęło warczeć, a ja cofnęłam się nieco.

Rick znów je uciszył, mruczając coś do niego łagodnie. Nie było wątpliwości, że tu rządzi, choć robił to subtelnie. Kiedy się pokazał, to samo zrobiła jego armia. Stanęli w świetle tak, żebym ich zobaczyła...

i żeby oni mogli mnie zobaczyć i ocenić. Siedem likantropów i dwa wampiry, oprócz tych, które mnie tu sprowadziły. Jeden z wampirów był kobietą. Podobnie jeden z likantropów... ale nie była to wilczyca. Nie wiedziałam, jakiego jest gatunku. Grupa była różnorodna i przerażająca; wszyscy wyglądali na niebezpiecznych i tak samo marszczyli brwi. Niektórzy mieli przy sobie broń – pistolety, noże. Nie chciałabym spotkać żadnego z nich w jakimś ciemnym zaułku.

Zapanowałam nad swoim strachem.

- No i? Sprowadziłeś mnie tutaj, żeby mnie zastraszyć czy zrekrutować?

- Chciałem ci udowodnić, że jesteś całkowicie bezbronna -odparł Rick. - Potrzebujesz mnie równie mocno jak ja ciebie.

- A w jaki sposób walka z Carlem i Meg sprawi, że będę mniej bezbronna?

Miał na tyle przyzwoitości, że nie odpowiedział.

- Rick, chcę wracać do domu i chcę, żebyś to ty mnie odwiózł. A nie Sid i Nancy.

- Charlie i Violet - powiedział. - Nazywają się Charlie i Violet. - Para wampirów opierała się o najbliższą ścianę. Mogłabym przysiąc, że dziewczyna żuła gumę. Charlie uśmiechnął się tak, żeby pokazać kły, i poruszył lekko palcami.

Kiwnęłam na dziwne długonogie zwierzę.

- A to? Co to jest?

- Likaon, odmiana likantropa. Dack i ja od dawna się przyjaźnimy.

To zwierzę-człowiek, musiałam przyznać, bo przecież od początku to wyczułam, nie wydawało się ani trochę bardziej sympatyczne po tym, jak zostało mi przedstawione. Trzymałam się na odległość. Rick szepnął coś do niego, a likaon odwrócił się i odbiegł pod ścianę. Zaczął iść wzdłuż muru, stając na straży. Powiedzieć menażeria to za mało, żeby opisać zbiorowisko, które miałam przed sobą.

Potem Rick przedstawił mnie całej reszcie, dziewiętnię pozostałych, jakbym była w stanie zapamiętać ich imiona. Jakby to, że poznam ich imiona, stawiało mnie w lepszej pozycji w tej konfrontacji. Jedną z tych osób, bliżej nieznanego gatunku kobieta-likantrop, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

- Uwielbiam twoją audycję.

Nie miałam wyjścia, musiałam mruknąć:

- Dzięki.

Chwilę później podeszłam do Ricka i powiedziałam cicho:

- To nie wystarczy, żeby pozbyć się Arturo.

- Tak. Dlatego potrzebne mi wsparcie miejscowych wilkołaków - odparł Rick.

- Nie. Nawet gdybym była przekonana, że jestem w stanie pokonać Carla i Meg, nawet gdybym przejęła watahę, nie zrobiłabym tego tylko po to, żeby zamienić moje wilki w mięso armatnie na potrzeby twojej wojenki.

- I właśnie dlatego powinnaś przewodzić miejscowym wilkom zamiast Carla. On bez wahania użyłby ich jako mięsa armatniego.

- Próbujesz odwrócić kota ogonem i odwołać się do mojego poczucia obowiązku. Ten jeden raz chciałabym się zachować jak egoistka i trzymać się od tego wszystkiego z daleka.

- Oczywiście zrobisz to, co uznasz za słuszne.

- O nie, przestań! Nie wzbudzisz we mnie poczucia winy.

- Wow - wtrąciła się Violet. - Miałeś rację, Rick. Jest nieco nerwowa.

- Kitty, chodźmy się przejść - powiedział Rick i wskazał głową drzwi.

Charlie zrobił krok naprzód i zmarszczył czoło.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne?

- Nic mi nie będzie - odparł Rick. Otworzył drzwi i wykonał ruch ręką, skłaniający mnie, żebym wyszła na zewnątrz. Zrobiłam, jak kazał.

Cieszyło mnie już samo to, że nie musiałam tkwić w dusznej atmosferze magazynu, wśród zapachów i spojrzeń istot, dla których byłam niespecjalnie ważna. Człowiek-likaon? Gdybym nie zobaczyła go na własne oczy... Zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda w ludzkiej postaci.

Rick poprowadził nas wzdłuż ściany, trzymając się cienia, poza zasięgiem latarni. Patrzył prosto przed siebie, jakby w ogóle nie miał żadnych zmartwień. Doszliśmy do rogu budynku, a on ciągle nic nie mówił. Nie mogłam powiedzieć, że znam go aż tak dobrze, ale zdawał się dziwnie zamyślony. Jakby zatracił się w myślach.

- Nie ufają ci - odezwał się w końcu. - Myślą, że popełniam błąd, starając się ciebie zrekrutować.

Pomyślałem, że zmienią zdanie, jak cię poznają.

- Rick, mam teraz dość własnych problemów. Mam za dużo do stracenia, żeby... żeby walczyć w cudzej wojnie.

- Myślałem, że może będziesz chciała się zemścić. Pokręciłam głową.

- Za bardzo się zdystansowałam względem nich, żebym miała jeszcze ochotę na zemstę.

- T.J. na pewno by stanął po mojej stronie.

- Ani się waż traktować go jak pionka w tej grze - powiedziałam ostro. - Nie zasłużył sobie na to. -

Chociaż Rick miał rację.

- Przepraszam. - Mówił stłumionym głosem. Zrobiliśmy jeszcze kilka kroków, aż milczenie stało się nie do zniesienia.

- Charlie i Violet - zagałam. - Skąd wytrzasnąłeś tę dwójkę?

Mimowolnie uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Charlie został zamieniony jakieś czterdzieści pięć lat temu przez znajomego wampira z Zachodniego Wybrzeża, trochę żądnego władzy, trochę szalonego. Pomogłem mu uciec z jego rodu. Jakieś trzydzieści lat temu poznał Violet i sam ją zamienił. Uznali, że są dla siebie stworzeni i nie można się z tym nie zgodzić. Od tego czasu funkcjonowali niezależnie. Chyba świetnie się bawią, dokonując drobnych przestępstw, ale rodom się to nie podoba.

- A więc nie są z lat osiemdziesiątych.

- Trochę utkwili w tamtych czasach, prawda? Charlie jest mi winien przysługę, więc się zjawił.



Pozostali mieli pewnie podobne historie. Rick im pomógł, a teraz oni odpowiedzieli na jego wezwanie. Czy to jednak wystarczy, żeby stanąć do walki z Arturo?

- To wszyscy? Zjawi się ktoś jeszcze?

- Przydałoby się więcej ludzi - przyznał. - Powinienem mieć więcej osób, żeby stawić czoła Arturo.

- Mówisz, jakby to miała być wojna. Jakbyście szykowali z Arturo swoje armie. Czy tak to właśnie będzie wyglądać? Wampiry i wilkołaki zaczną ze sobą walczyć na ulicach Denver? Nie może do tego dojść. Zawiadomię policję, mam z nimi kontakt.

- Takie rzeczy dzieją się od setek lat pod nosem ludzkich władz. Nikt nic nie zauważy.

Miał rację. Ludzie tacy jak my nieustannie ginęli i nikt nie zwracał na to uwagi. Nasz świat funkcjonował przez większość czasu za opuszczoną kurtyną.

- Ale to się zmienia. Policja w Denver ma jednostkę do spraw nadprzyrodzonych, wiedziałeś o tym?

Jeśli zaczną pojawiać się trupy, coś zauważą. Popatrz, jak gazety podchwyciły ataki w nocnych klubach. Stare zasady przestały obowiązywać.

Przyglądał się mi kątem oka.

- A co u ciebie? Jesteś na skraju załamania, zachowujesz się bardziej paranoicznie niż zwykle. Chodzi o coś więcej niż o chorobę twojej matki, prawda?

Omam mu nie powiedziałam. Miałam to na końcu języka. Poza Benem nikomu o tym nie mówiłam i przez chwilę sądziłam, że jeśli powiem Rickowi o poronieniu, wszystko mu to wyjaśni. A on da mi spokój.

Powinnam wzbudzić w nim jak największą litość.

- Rick, teraz jestem w stanie zająć się tylko sobą. Nie mogę ci pomóc. - Nie chciałam się angażować.

Nie mogłam tego zrobić.

Pokiwał głową i wydał z namysłem wargi.

- Niedługo zrobię pierwszy ruch. Muszę to zrobić, zanim Mercedes wyjedzie z miasta. Musi powiedzieć innym, że w Denver rządzi nowy, silniejszy mistrz i nie można już przejąć miasta.

- O co chodzi? Dlaczego i ty, i Arturo tak się przed nią płaszczycie?

Uśmiechnął się, niewyraźnie i gorzko.

- Mistrz jest mistrzem tylko wtedy, kiedy zostanie za takiego uznany przez inne wampiry. Arturo zrobi wszystko, żeby

udowodnić, że ciągle tu rządzi. A ona jest na tyle ważna, żeby uznać, że tak nie jest. Kiedy znów ruszy w trasę koncertową, informacja o tym pójdzie w świat.

- A więc to taka wampirzyca plotkara i każdy chce ją mieć po swojej stronie? To nie może być aż takie proste. Co się stanie, jeśli postanowi skierować sprawę na ten albo na inny tor?

- Może będziemy się mogli przekonać, Kitty. Wiem, że masz poważne zmartwienia, ale jeśli Carl i Arturo zwyciężą, nie będziesz tu mogła zostać, żeby pomóc swojej mamie. Znajdziesz się w niebezpieczeństwie, a sama widzisz, jak łatwo cię znaleźć.

- Chcesz mnie przestraszyć. Już mnie zastraszano. O wiele trudniej mnie teraz czymś przerazić.

- Domyślam się. Pamiętaj tylko, że strach jest dobry. Strach to mechanizm służący przetrwaniu.

- I narzędzie manipulacji. Rick, muszę wracać.

- Dobrze. - Wyszliśmy za róg, gdzie stało zaparkowane jego lśniące bmw.

Całą drogę do Pokrętła odbyliśmy w milczeniu. Zatrzymał się na parkingu obok mojego samochodu i wypuścił mnie bez przeszkód. Nie musiał tego robić. Carl i Arturo trzymaliby mnie w zamknięciu, by pokazać, kto jest górą.

Uświadomiłam sobie, że Rick stoi po właściwej stronie.

- Dzięki - powiedziałam, wychodząc z samochodu.

- Poczekaj chwilę. Masz. - Wyciągnął rękę i podał mi kawałek papieru. Był na nim zapisany numer telefonu. - Twój? - spytałam, a on przytaknął. - Na wypadek gdybym zmieniła zdanie?

- Albo gdybyś potrzebowała mojej pomocy.

Nie wiedziałam, czy ten gest był podyktowany optymizmem czy litością. Wsunęłam kartkę do kieszeni. - Rick, ile masz lat?

Pokręcił głową i uśmiechnął się dziwnie.

- Nie odpowiem na to pytanie.

- Jeśli nie przestanę pytać, może w końcu mi odpowiesz.

- Podziwiam twój upór, Kitty.

Prawie się roześmiałam.

- Przynajmniej ty jeden. Powodzenia, Rick.

- Chyba mi się przyda.

Zamknęłam drzwi od strony pasażera, Rick odjechał, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze go kiedyś zobaczę.

Kiedy następnego dnia zadzwoniła moja komórka, sprawdziłam, kto dzwoni, i serce podskoczyło mi do gardła. Telefonował tata.

- Cześć, tato? Co się dzieje? Powiedział to, czego się obawiałam:

- Przyszły wyniki badań. - Mówił poważnym, zmęczonym głosem. Złe wiadomości, szykowałam się na złe wiadomości. - Są pozytywnie. Rak jest złośliwy. Dziś po południu mama będzie rozmawiać z lekarzem.

- Mam przyjść? Chcesz, żebym przyszła? Co mogę zrobić? Nic. Nic, tylko siedzieć i się zamartwiać.

- Jadę z nią do lekarza, ale byłoby fajnie, jakbyś mogła przyjść na kolację. Myślę, że to by jej pomogło.

- Naprawdę? Westchnął.

- Nie wiem. Codziennie ludzie dowiadują się o takich rzeczach, a ja mam wrażenie, jakbyśmy byli pierwszymi ludźmi na świecie, którzy muszą sobie z tym poradzić. Czy to ma sens?

- Ma. Chcesz, żebym coś przywiozła? Jakąś chińszczyznę? Pizzę? Żeby nikt nie musiał gotować.

- Pewnie, brzmi nieźle. Szósta?

- Będę. Dzięki za telefon, tato.

- Do zobaczenia. Rozłączyłam się i zaczęłam płakać.

Ben miał nową sprawę, nad którą musiał popracować, i wymigał się od kolacji. Cheryl też miała wymówkę, bo jedno z dzieci się przeziębiło, Mark pracował do późna i nie chcieli robić kłopotu.

Tuzin wymówek. A ja zaczęłam się zastanawiać, kto się teraz uchyla od rodzinnych obowiązków.

Przyjechałam do rodziców z torbą pełną chińszczyzny na wynos i z dobrym humorem.

Mama wzięła ode mnie jedzenie, a ja spytałam:

- Co powiedział lekarz? Co się dzieje? - Nawet się nie przywitałam. Mama była już całkowicie sobą, miała modną bluzkę i spodnie plus odpowiednią dawkę biżuterii i makijażu. Wydawała się jednak niespokojna.

- Najpierw zjedzmy - powiedziała. Nie uśmiechała się. Tata przyszedł z kuchni i uściskał mnie... nigdy tego nie

robił, a przynajmniej nie tak od razu. Był blady i też się nie uśmiechał. Wyjęliśmy w milczeniu

talerze, nałożyliśmy sobie ryż z warzywami i zabraliśmy się do jedzenia.

To był najbardziej stresujący posiłek, jaki kiedykolwiek jadłam. Choć szczerze mówiąc, niewiele w siebie wcisnęłam.

- Jak w pracy? - spytał w końcu tata, łapiąc się standardowego pytania.

Zaczęłam gadać jak najęta, byle tylko nie zapadła znów ta ponura cisza. To był zdecydowanie emocjonujący weekend, nawet jeśli pominąć aferę z Carlem i Meg, wampirzą politykę, naukę strzelania, a zamiast tego skupić się na książce, która miała się niedługo ukazać, i na tym, jak świetnie było przekazać światu news typu: „Mercedes Cook jest wampirem”. Trajko-tanie oznaczało też, że grzebałam w jedzeniu, niespecjalnie jedząc. Mama i tata robili to samo. W tym tempie można by dojadać tę chińszczyznę jeszcze przez tydzień.

Mama pierwsza odsunęła od siebie talerz, a ja i tata z radością poszliśmy za jej przykładem.

- Jim, mógłbyś posprzątać po kolacji? Będziemy mogły sobie z Kitty chwilę porozmawiać.

Pocałował ją w odpowiedzi w policzek - skrót komunikacyjny po trzydziestu pięciu latach udanego małżeństwa - i zaczął zbierać talerze. Mama wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do salonu.

Usiadłyśmy obok siebie na kanapie.

- No dobrze - powiedziałam, zbierając się na odwagę. - Jest bardzo źle?

- Jest trochę gorzej, niż sądziliśmy. Okazuje się, że nie usunęli wszystkiego. Rak jest inwazyjny.

- Co to oznacza? - I jakim cudem mama potrafi zachować taki spokój?

Wzruszyła stoicko ramionami.

- Oznacza to tylko tyle, że sprawa jest trochę poważniejsza. Muszę mieć kolejną operację. Chcą usunąć węzły chłonne i je przebadać. Jeśli rak będzie się rozprzestrzenił, być może będzie potrzebna zarówno chemioterapia, jak i naświetlania. Będę trochę bardziej chora przez trochę dłuższy czas.

Rokowania są dobre, w dalszym ciągu są dobre. - Uśmiechnęła się z przymusem i napięciem. Siła pozytywnego myślenia. Trzeba być dobrej myśli. - Radzą, żeby jak najszybciej zacząć agresywne leczenie. A to oznacza kolejną operację w ciągu tygodnia.

Zatkało mnie.

- Tak szybko? Nie da się tego zrobić inaczej, nie ma innego sposobu...

- Zobaczymy. Mam zamiar skonsultować się jeszcze z drugim lekarzem. Ale guz faktycznie tam był, na mammografii widać plamkę i tylko idiota by twierdził, że wszystko jest w porządku.

Spojrzała na sufit; oczy jej błyszczały.

- Wiesz, co jest w tym dziwne? Że nie myślę teraz o sobie. Myślę o was, o moich ukochanych dziewczynkach. Ciotka Patty zmarła na raka piersi, a jeśli ty albo Cheryl kiedykolwiek na to zachorujecie, będę strasznie... strasznie... zła. - Jakby nie przychodziła jej na myśl żadna silniejsza reakcja niż złość.

- Mamo. - Wzięłam jej rękę w obie dłonie i ścisnęłam mocno, aż na mnie spojrzała. - Nie martw się o mnie. Ja nie zachoruję. Nie mogę. Jestem wilkołakiem, a wilkołaki nie chorują. Nie mogą mieć raka.

Zamarłam, bo nagle z tyłu mojej głowy wypełził jakiś okropny, podstępny robak. Zła, pełna nadziei myśl.

Zaczęłam panikować, nie mogłam myśleć. Mama niczego nie zauważyła. Pogłaskała mnie po policzku i położyła mi rękę na ramieniu.

- Wiesz, patrzę na ciebie i w ogóle tego nie widzę. Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. Nie jesteś potworem, mało mnie obchodzi, co drukuje „Time”. - Błysk w jej oku powiedział mi, że zaśmiała się w duchu z własnego żartu.

Uśmiechnęłam się do niej. Spróbowałam się zrelaksować i zachowywać normalnie. A przynajmniej tak normalnie, na ile to możliwe w moim przypadku.

Nie powiedziałam: „Mogłabym cię ugryźć, mamo. Mogłabym cię wyleczyć”.

## Rozdział 7

Tuż za moimi plecami tykał zegar. Dźwięk nadchodzącej katastrofy zawsze był tuż za mną, jak krokodyl kapitana Haka. Nie byłam w stanie odwrócić się wystarczająco szybko, żeby go zobaczyć.

Ale zawsze tam był, a ja wiedziałam, że niedługo włączy się alarm. Jego dźwięk mnie obudzi.

Operacja mamy, wojna Ricka, moja praca, moje zbuntowane ciało... coś niedługo zacznie dzwonić. A potem wybuchnie jak bomba zegarowa. Byłam wykończona czekaniem na eksplozję.

- A ja mu na to, słuchaj, nie obchodzi mnie, czy dziś jest pełnia, chcę iść na koncert Coldplay, a ty idziesz ze mną. Będziesz musiał zamienić się w wilka kiedy indziej. I wiesz, co on mi na to powiedział? Powiedział...

Ten telefon przypominał mi, dlaczego nie udzielam porad osobiście. Gdyby ta laska siedziała teraz przede mną, chyba bym ją udusiła.

- Niech zgadnę. Powiedział: „Kochanie, nie mam wyboru”.

- No tak, za wyjątkiem „kochanie”.

- Pozwól, że o coś pytam, Mia. Co dla niego ostatnio zrobiłaś?

Zaległa krótka chwila ciszy.

- Co masz na myśli?

- Pytam, czy zrobiłaś kiedykolwiek coś miłego dla swojego chłopaka?

Mia prychnęła nieprzyjemnie.

- A po co? Ma szczęście, że jestem jego dziewczyną.

- Och, skarbie, w podstawówce tłukłam takie niunie jak ty. Zwykle, jak każda dziewczyna, bardzo współczuję dziewczynom chłopaków, którzy je zaniedbują, ale kiedy powiedział ci, że nie ma wyboru i musi zamienić się w wilka, mówił prawdę. Powinien móc liczyć na wsparcie swojej dziewczyny, prawda? Bo wiesz, związek działa w dwie strony, trzeba i dawać, i brać. A ty co robisz? Prosisz, żeby zrobił akurat to, czego nie może zrobić. Czy można być mniej wrażliwym? Czekać, nic nie mów.

Oczywiście, że można. Ale myślę, że to on zwariował, skoro w ogóle zawraca sobie tobą głowę.

- Nie możesz mówić do mnie tak, jakbym...

- Słuchaj. Skoro masz tyle problemów ze swoim chłopakiem, oto moja rada. Zerwij z nim.

Wyświadczysz mu przysługę.

- Ale fajnie jest chodzić z wilkołakiem. Kręci mnie to.

- Nie można mieć wszystkiego. - Rozłączyłam się, bo naprawdę ta rozmowa zmierzała donikąd. -

Skoro tak lubisz sierść, kup sobie pudła. Tyle że nie oddałabym nawet pudła w twoje ręce. Cholera, strasznie dziś zrzędzę. Zobaczmy, czy uda się to zmienić. Stan, jesteś na antenie.

- Cześć, Kitty. Dzięki, że odebrałaś. Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

- Postaram się. - Chciałam się dowiedzieć o nim jak najwięcej na podstawie jego głosu: był to mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku. Nie okazywał emocji: nie był sfrustrowany, przygnębiony, smutny ani zły, a raczej neutralny i zainteresowany. Mógł zapytać o cokolwiek.

- Do twojej audycji dzwoni dużo osób, które chcą się czegoś dowiedzieć na temat wampirów i wilkołaków, jakby ich podziwiała. Jakby chciały nimi być. Ale mówimy przecież o potworach... to nie są żadni święci. To nie ktoś, kto może być dla innych przykładem. Nawet jeśli to choroba, jak mówisz, po

co ktoś miałby chcieć na nią chorować? Nie rozumiem. Możesz mi wyjaśnić, co ludzie w tym wszystkim widzą? - Miałam wrażenie, że autentycznie go to interesuje. Nie wyglądało na to, że robi

sobie jaja.

W tym momencie byłam w pewnym sensie po jego stronie.

- Nie wiem, Stan. Chyba różni ludzie widzą w tym różne rzeczy. Niektórzy uważają to za prestiż, innych pociąga władza. Czują się bezradni, a dzięki nowej osobowości człowiek przestaje tak się czuć.

Problem jednak w tym, że osoby, które nie są wampirami ani wilkołakami, nie wiedzą, jak to wygląda w rzeczywistości. Często znają tylko opowieści, podania ludowe, mistykę. Bazują na swoich wyobrażeniach na temat takiego życia. Nie widzą jego ciemnych stron. A nawet jeśli widzą, to też ubierają je w kolorowe piórka. Takie życie jest ekscytujące i niebezpieczne. Jest przygodą. Może o to właśnie chodzi.

- Może? - Brzmiał sceptycznie.

- Musisz pamiętać, że sama nigdy nie chciałam zostać wilkołakiem. Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki mi się to nie przytrafiło. Szczerze mówiąc, w dalszym ciągu nie widzę, jaki w tym urok. Ale przyznam, że są ludzie, którzy go dostrzegają. Może chodzi po prostu o to, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli ktoś wie o beznadziejnym życiu, to myśli, że może lepiej byłoby być wampirem?

- Ludzie są zabawni pod tym względem, co? Mam pomysł: zapytajmy słuchaczy. Zadzwońcie do mnie. Wyjaśnijcie, dlaczego chcecie zostać wampirem albo wilkołakiem. Oświećcie mnie.

Zaczęłam od razu odbierać telefony, jeden po drugim. Od mężczyzn, kobiet, młodych, starych, wampirów, wilkołaków i wszystkiego pomiędzy. Niektórzy nienawidzili tego życia, inni je uwielbiali.

- Chodzi o władzę. Chcę mieć taką władzę. - W kółko to słyszałam.

- Nie czuję się dobrze we własnej skórze. Myślę... myślę, że chyba nie miałem być człowiekiem. A jak widzę wilki... czuję

się, jakbym wracał do domu. Czy to brzmi dziwnie? Bo dla mnie brzmi. Nigdy wcześniej z nikim o tym nie rozmawiałem.

- Chcę żyć wiecznie.

- Chcę być nieśmiertelny.

- Boję się umrzeć.

- To boli. Gdybym była kimś innym, może by nie bolało. A przynajmniej nie tak bardzo.

- Chcę żyć. - Chcę zabijać.

W końcu zadzwonił mężczyzna, który powiedział, że jest wilkołakiem:

- Sprawa jest prosta, Kitty. Nie lubiłem być człowiekiem. Co w tym fajnego? Budzisz się codziennie, wypruwasz sobie żyły, żeby potem ledwo starczało ci na rachunki i żarcie. Jak masz szczęście, możesz dorobić się samochodu i wycieczki do Disneylandu dla dzieciaków. W tym życiu, w naszym życiu, to wszystko schodzi na dalszy plan. - Roześmiał się. - Już się nie liczy. Nasze życie jest prostsze.

Kierujemy się zupełnie innymi priorytetami. - Krwią - powiedziałam. - Władzą.

- Magią - dodał. - Szczyt eskapizmu.

- Właśnie - powiedział, jakby to było coś dobrego.

- Okej, dzięki za komentarz.

Za szybą kabiny Matt wskazał na swój nadgarstek i powiedział bezgłośnie „trzydzieści”. Trzydzieści sekund, żeby podsumować audycję. Przetarłam twarz; byłam gotowa na odwrót.

- Nie wiem, czy te wypowiedzi wyjaśniły wątpliwości Staną. Wydaje mi się, że nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Ludzie, którzy wybierają to życie, i ludzie, którzy chcieliby to zrobić, mają swoje powody. Powiem to, co mówię zwykle: odrzućcie wszelkie romantyczne wizje na temat wampirów i wilkołaków. To choroby. Niełatwo z nimi żyć. Zmieniają życie na zawsze. I nie można się wycofać, jeśli coś się odwidzi. Mówiła Kitty Norville, głos nocy.

Muzyka na zakończenie.

- Wszystko okej? - spytał Matt.

- Aż tak źle wyglądam?

- Czasem wyglądasz lepiej.

- Bo bywało lepiej - odparłam i zdobyłam się na uśmiech. To była jedna z takich chwil, jeden z tych momentów, kiedy wszystko zdawało się nawarstwiać, a ja nie miałam wyjścia i musiałam się przedzierać przez wszystkie przeszkody. Pokonywać je. Lubiłam być człowiekiem. Byłam gotowa zmierzyć się z tymi problemami w zamian za korzyści płynące z bycia człowiekiem. Takie jak czekolada i kablówka. Jak własna audycja radiowa.

Zakończyliśmy program. Chciałam być już w domu, więc pozbierałam swoje rzeczy, zesłam do holu i wyszłam z budynku. Od tamtej nocy, kiedy natknęłam się na Charliego i Violet, zawsze zatrzymywałam się w drzwiach, obwąchując parking i ulicę. W ten sposób wiedziałabym, jeśli coś by miało na mnie skoczyć. I mogłabym się cofnąć do środka i wezwać pomoc. Rickowi udało się to, co zamierzał - przestraszył mnie. Postawił mnie w gotowości. Niemniej zastanawiałam się, jak długo dam radę przemykać się na paluszkach przez własne życie.



Problem w tym, że kiedy dziś stanęłam w drzwiach, wiedziałam, że coś na mnie czeka. Wyczułam likantropa, woń piżma w miejscu, gdzie powinien unosić się tylko zapach ludzi, samochodów i betonu.

Powinłam była spanikować, ale tego nie zrobiłam. Mogłam się spodziewać zapachu Carla albo Meg, ale to nie był on. Wyczułam odrobinę Carla... kogoś z jego watahy, ale nie znałam tego wilkołaka.

Może wysłał po mnie jednego ze swoich zbirów. Nie wyczułam jednak agresji. Nie miałam wrażenia, że ktoś na mnie poluje. Stawiając cicho stopy, ruszyłam wzdłuż ściany, kierując się węchem. Ktoś na pewno tu był i mnie obserwował. Może nawet szpiegował.

Doszłam już prawie do końca budynku, kiedy powiedziałam:

- Kto tam jest?

Usłyszałam szelest, jakby ktoś się odsuwał. Wyrzłam za róg i zobaczyłam młodą kobietę przyciśniętą do muru. Była chuda, bardzo młoda, z krótkimi blond włosami. Miała na sobie czarną, obcisłą koszulkę i wypłowiałe džinsy. Nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, a w przytłumionym świetle ulicy wyglądała wyjątkowo blado.

- Cześć - odparła i uciekła wzrokiem, co oznaczało, że nie szukała kłopotów. Przygarbiła ramiona, a ja wyobraziłam sobie ogon między jej nogami.

Stałam w milczeniu i obwąchiwałam ją: pachniała potem, przerażeniem, wilkiem. I Carlem. Gdyby wiedział, że ona tu jest... Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że o tym wie. Gdyby chciał przekazać wiadomość, nie przysyłałby właśnie jej, drobnej i zahukanej.

Starałam się na nią nie patrzeć, ale było ciężko. Nie byłam pewna, czy wiem, co z nią zrobić.

- Co tutaj robisz? - spytałam.

- Becky powiedziała, że powinnam z tobą pogadać.

- Becky. - Przez chwilę byłam zdezorientowana, po czym przypomniałam sobie jedną z wilczyc Carla.

Nieprzystępną, kolejną wilczycę, której unikałam, bo była ode mnie silniejsza.

Potem przypomniałam sobie jeszcze inną Becky, wilczycę, która zadzwoniła do audycji kilka tygodni temu i opowiedziała o jednej z podległych wilczyc, która potrzebowała pomocy. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że mówi o watasze Carla.

Uśmiechnęłam się do niej półgębkiem.

- Nie mogłaś po prostu zadzwonić jak wszyscy? - Myślałam, że jestem dowcipna, ale ona spuściła tylko głowę i zmarszczyła brwi. Odsunęła się; w każdej chwili mogła rzucić się do ucieczki.

Byłyśmy na otwartym terenie, przez co czułam się nieswojo. Fakt, że to nie był Carl, wcale nie oznaczał, że samiec alfa nie mógł nas teraz szpiegować. Może nawet jej szukał. Zdenerwowałam się na tę myśl.

Cofnęłam się.

- Chcesz wejść do środka i pogadać? - spytałam. - Zostaniemy w holu. Nie będę zamykać drzwi.

Po chwili skinęła potakująco głową. Ciągłe na mnie nie patrzyła. Zawróciłam, pamiętając, żeby się nie oglądać, ale słyszałam, że idzie za mną.

Ochroniarz przy biurku pomachał do mnie, kiedy zjawiłam się znów w holu, i przyjrzał się wchodzącej za mną kobiecie. Dziewczyna rozejrzała się dokoła i zatrzymała w pobliżu drzwi.

- Wszystko w porządku. Pożyczę tylko coś do siedzenia - rzuciłam do ochroniarza i wzięłam dwa plastikowe krzesła spod ściany. Jeśli potrzebowała pomocy, nie chciałam jej przestraszyć, a to oznaczało, że musiałam zostawić jej drogę ucieczki. Nie chciałam osaczać wilczycy, która i tak była już przerażona.

Próbowała nie wyglądać na przestraszoną. Odchylała ramiona do tyłu, starając się wyprostować, a jej twarz była wykrzywiona grymasem.

Postawiłam krzesła przy drzwiach. Mogłyśmy tu porozmawiać bez ryzyka, że ktoś nas podsłucha.

- Usiądź.

Posłuchała mnie, tak po prostu. Całkowicie posłuszna. Założę się, że Carl to uwielbiał. Usiadłam powoli. - Jak się nazywasz? - Jenny.

- O czym Becky kazała ci ze mną porozmawiać?

- Nie powinno mnie tu być - zaczęła. - Nie powinnam była tu przychodzić. - Spojrzała na drzwi, jakby spodziewała się zobaczyć w nich potwory.

- Czy możesz przez chwilę postarać się zapomnieć, że jesteś wilkołakiem? Jesteśmy dwiema osobami, które chcą ze sobą pogadać. Nie mogę z tobą rozmawiać, jeśli się mnie boisz.

Zamknęła oczy, wzięła wdech i to najwyraźniej ją uspokoiło. Jej wilczyca pozostała jednak na miejscu. Pewnie nigdy jej nie opuszczała i zawsze determinowała jej reakcje.

- Becky chce, żebym odeszła od Carla i wyjechała z miasta. Mówi, że ty tak zrobiłaś i jeśli z tobą porozmawiam, może też będę w stanie to zrobić.

- To wcale nie jest takie trudne, jak by się zdawało.

- Ale ja nie chcę. - Zaczęła płakać; ciche łzy spływały jej po policzkach. Znalazłam w torebce czystą chusteczkę i podałam

jej. - Troszczy się o mnie, wszystko mu zawdzięczam. Jest częścią mnie i nie mogę go zostawić.

To dlaczego płaczesz? - miałam ochotę spytać. Pozwoliłam jej mówić.

- Nie jest aniołem - ciągnęła. - Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nic nie może na to poradzić, on... -

zająknęła się i zamilkła. Zaskoczył mnie jej tok myślenia. Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, co mówi?

Była młoda i ładna. Carl traktował kobiety w stadzie, jakby należały do jego prywatnego haremu.

Wiedziałam z własnego doświadczenia, co robi z młodymi i ładnymi. Nie stronił nawet od bicia.

- To właśnie problem w byciu wilkołakiem - zauważyłam. - Siniaki szybko się goją. Nikt ich nie zauważy. Łatwiej się skulić i przyjąć cios, prawda?

W końcu spojrzała na mnie - ale tak naprawdę - zdziwionym, ludzkim wzrokiem. Rozumiałam ją i była tym zaskoczona.

- Właśnie dlatego Becky kazała mi z tobą porozmawiać - wyjaśniła, a ja przytaknęłam.

- Jenny, czy mogę spytać, jak się zaraziłaś? Jak zostałaś wilkołakiem? Jesteś nim od niedawna, prawda?

Skuliła się na krześle jak kupka nieszczęścia i odwróciła głowę. Nie zaprzeczyła tak od razu, więc dałam jej chwilę, żeby mogła się pozbierać.

- Poznałam go kilka miesięcy temu w klubie - powiedziała w końcu. - Znaczy się Carla. Był miły.

Polubiłam go. Poświęcał mi dużo uwagi. Zabrałam go do siebie i w ogóle.

Słuchałam jej, marszcząc ze zdziwieniem brwi. To nie było w stylu Carla. Carl wrywający dziewczyny w klubie? Co na to Meg? Domyślałam się, że samica alfa straciła u niego dużo punktów podczas ostatniej walki - tej, która zmusiła mnie do wyjazdu z Denver. Spróbowała przejąć stado, przegrała, po czym padła mu do stóp, błagając o przebaczenie. Udzielił go jej, ale pewnie ją będzie za to już zawsze tyranizować. Mógł ją puszczać kantem, a ona nie mogła mu powiedzieć złego słowa.

Tyle się domyślałam.

- Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. A potem mi powiedział. Wyjaśnił mi, kim jest. Na... na początku mu nie uwierzyłam. Wiem, że wilkołaki istnieją, widziałam cię wtedy w telewizji i czytałam artykuły w gazetach. Ale nie sądziłam, że kiedyś sama poznam jakiegoś osobiście. Myślałam, że to jakaś nowa, pokrecona metoda podrywu, że próbuje mi zaimponować. Przyszło mi na myśl, że może jest nienormalny. Godziłam się jednak na to, bo chciałam się przekonać, co będzie dalej. Powiedziałam mu, że jeśli naprawdę jest wilkołakiem, powinien mi to udowodnić. Nie chciał, przynajmniej na początku. Tylko o tym mówił, za każdym razem trochę więcej. W jego ustach wszystko brzmiało naprawdę ekstra, wręcz wspaniale. Mówił, że ma się wtedy władzę, że seks jest niezmierny, że czuje

się i widzi rzeczy, których zwykły człowiek nigdy nie poczuje i nie zobaczy. W jego ustach brzmiało to całkiem dobrze. Więc w końcu się zgodziłam. Bardzo go to ucieszyło, a ja naprawdę myślałam, że jest we mnie zakochany, naprawdę sądziłam, że chce, żebyśmy byli razem. Nie wiedziałam wtedy nic o Meg ani o watasze, ani w ogóle o niczym. Potem, kiedy mnie do nich zaprowadził, Meg powiedziała, że poszukał sobie nowego szczeniaka.

Serce podskoczyło mi do gardła. Usiadłam prosto i spojrzałam w sufit, dając sobie chwilę na opanowanie. Jenny była młodą blondynką, dość zabiedzoną... taką jak ja, kiedy dołączyłam do watahy, naiwną dziewczyną złapaną na górskim szlaku przez potwora, zamienioną przypadkowo w wilkołaka. Co prawda to nie Carl mnie zaraził, ale potem zaczął się mną interesować. Trzymał na mnie łapę, by tak rzec. Wszyscy wiedzieli, że należę do niego. Najwyraźniej znalazł sobie zastępstwo, kiedy opuściłam watahę.

Zabiję go. Własnoręcznie go ukatrupię, kiedy się znów spotkamy.

Musiałam teraz udawać, że prowadzę audycję i rozmawiam przez telefon z jakąś biedną, znękaną dziewczyną. Nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby widzieć przy tym przed sobą czyjąś twarz i łzy.

Wolałam nadal patrzeć w sufit. Jednak nie zrobiłam tego.

- Wiesz, co powiem, prawda? Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś z nim zostawała. Przemoc to przemoc, a to, że oboje jesteście wilkołakami, niczego nie usprawiedliwia. Nie musisz z nim walczyć, po prostu wsiądź w samochód i wyjedź.

- Ale w każdym innym miejscu napotkam ten sam problem. Tak mówi Carl, że bez względu na to, gdzie pojedę, zawsze będą inni... inni tacy jak my, i że mnie zabiją. Carl mówi, że będzie mnie chronił...

- Carl nie wie wszystkiego. Są miejsca, do których możesz pojechać - powiedziałam. - Tam, gdzie inne wilki cię nie skrzywdzą albo gdzie nie ma innych wilków. Podzwonię i coś zorganizuję.

- Kitty, nie mogę. Nie mam samochodu, nie mam pracy, nie mam pieniędzy...

- Carl cię utrzymuje, tak? Powiedział ci: „Nie pracuj. Nic nie rób. Zajmę się tobą. Będę cię chronić, rób tylko to, co mówię, a ja o wszystko zadbam”.

Znów przytaknęła. Mnie złożył tę samą ofertę. Ale ja uchwyciłam się mojej ludzkiej natury. Miałam pracę w radiu i swoją audycję, co bardzo mi pomogło. Jenny najwyraźniej niczego takiego nie miała.

Odniosłam wrażenie, że trochę się zezłościła.

- Łatwo ci mówić, żebym wyjechała. Ty się mu sprzeciwiałaś. Ty i T.J.

- Nawet nie znałaś T.J.-a.

- Nie, ale inni ciągle o nim mówią, kiedy nie ma w pobliżu Carla i Meg. Mówią, że tylko on był w stanie się mu przeciwstawić.

Jakby był jakimś pieprzonym bohaterem ludowym. Miałam ochotę na nią nawrzeszczyć. Nie udało się nam. T.J. zginął, a ja uciekłam jak tchórz. Nie byliśmy żadnym przykładem dla przyszłych buntowników.

Jeśli zostałam z Carlem, już bym była martwa. To proste. Carl zabiłby mnie wiele miesięcy temu, bo nie chciałam już się przed nim płaszczyć. Ile trzeba czasu, żeby to samo stało się z Jenny?

Podjęłam decyzję.

- Jenny, jeśli chcesz wyjechać, pomogę ci. Znajdę dla ciebie miejsce i dopilnuję, żebyś dotarła tam w jednym kawałku. Ale sama musisz tego chcieć i musisz wymyślić, co będziesz dalej robić. Czego chciałaś, zanim poznałaś Carla? Chodziłaś do szkoły, chciałaś gdzieś pracować, cokolwiek? Jeśli chcesz od niego odejść, powinnaś się nauczyć o siebie dbać. Musisz znaleźć sobie pracę, utrzymywać się samodzielnie i nauczyć się panować nad likantropią bez jego pomocy. Rozumiesz?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, patrząc przez okno, pozwalając płynąć łzom i wycierając je chusteczką. Potem pokręciła głową.

- Ale ja go kocham. I wiem, że on kocha mnie, po prostu to wiem. Jest dla mnie taki dobry, kiedy nie...

- Urwała, nie kończąc zdania. I dobrze.

Nie mogłam jej winić, bez względu na to, jak bardzo bym chciała, bo kiedyś byłam w tej samej sytuacji. Co takiego było w takich gościach jak Carl, że takie dziewczyny jak my rzucały się im do stóp?

Zaczęłam grzebać w torebce i wyciągnęłam wizytówkę.

- Tu masz mój numer. Zadzwoń do mnie, okej? Kiedy uznasz, że jesteś gotowa, zadzwoń.

Wzięła wizytówkę i ścisnęła ją w dłoniach. Wydawała się lekko oszołomiona i wpatrywała się w nią, jakby nie do końca wiedziała, co to jest. Wstałam i ona też się podniosła. Przytrzymałam jej drzwi.

- Jeśli Carl mnie od ciebie wyczuje, będziesz musiała mieć jakąś dobrą wymówkę. I lepiej, żeby nie znalazł przy tobie mojej wizytówki.

Zbladła lekko i wyszliśmy na parking.

- Podwieźć cię gdzieś? - zaproponowałam.

- Nie. Chyba sobie poradzę. Muszę tylko pomyśleć.

- No pewnie. Uważaj na siebie, dobrze?

Popatrzyła na mnie. Nie był to wyzywający wzrok wilczycy, a raczej badawcze i skupione

spojrzenie.

Jakby próbowała

przewidzieć mój następny ruch... podwładna czekająca na znak liderki. Zaczynałam się przy niej denerwować.

- Jesteś zupełnie inna od Carla i Meg - stwierdziła. Musiałam się uśmiechnąć.

- To chyba największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam.

Odeszła, kierując się na tyły budynku i znikając w zaułku. Ruszyłam do domu, ale ujechałam tylko jakieś trzy kilometry, kiedy zadzwonił mój telefon. To była Jenny.

- Możesz po mnie przyjechać?

Ben czekał w salonie na kanapie, czytając jakieś pismo. Kiedy otworzyłam drzwi, odłożył je i skrzyżował ramiona. Miał na sobie dres i koszulkę, jakby szykował się do spania. Świeciła się tylko jedna lampa, a w środku panował półmrok.

Pociągnęłam za sobą Jenny i szybko zamknęłam drzwi. Dziewczyna zerknęła kątem oka na Bena, skuliła się pod ścianą, zgarbiła i skrzyżowała ramiona.

- To znaczy nie wychylać się? - skwitował Ben. - Unikać konfrontacji?

- A co miałam zrobić? - Dotknęłam jej ramienia i spróbowałam oderwać ją od ściany. - Jenny, to Ben.

Jest w porządku. - O rany, dzięki - mruknął kpiąco Ben.

- Ben, to Jenny.

- Cześć - powiedziała. Uśmiechnęła się zdawkowo.

- Jenny, potrzebujesz czegoś? Dasz sobie radę, bo ja muszę zadzwonić w parę miejsc?

Pokręciła głową.

- Nie pachnie tu dobrze, nie czuję watahy.

- Bo to inna wataha. Inne terytorium. - Nigdy wcześniej nie myślałam o mieszkaniu Bena jak o terytorium... ta niewielka strefa w Denver nie należała do Carla. Podobała mi się ta myśl.

- To dziwne.

- Nie musisz tu zostawać. - Gdyby wróciła do Carla, pachniałaby mną. Pachniałaby inną watahą, a Carl by o tym wiedział. Bóg raczy wiedzieć, jak by zareagował.

- Nie, nie, zostanę. Muszę sobie wszystko przemyśleć.

- I o to chodzi. Może spróbujesz się trochę przespać? Rano zobaczysz wszystko w jaśniejszych barwach.

- Możesz się położyć na kanapie - zaproponował Ben, klepiąc leżącą obok skórzaną poduszkę. -

Bardzo dobrze się na niej śpi. Przyniosę ci koc.

- W porządku? - spytałam.

- Zależy od ciebie - odparła.

- Nie, słuchaj, właśnie tego musisz się oduczyć. Jeśli wyjedziesz, będziesz musiała podejmować samodzielne decyzje. W przeciwnym razie pozwolisz pomiatać sobą pierwszej lepszej osobie, która się napatoczy.

Odwróciła głowę.

- No dobra.

Ben dał jej koce i poduszkę, a Jenny zwinęła się na kanapie, owinęła kocem i zasnęła w ciągu kilku sekund, jakby po raz pierwszy od wielu tygodni mogła spokojnie odpocząć. A może i od wielu miesięcy. Poszliśmy do sypialni.

Ben usiadł na łóżku i obserwował, jak chodzę po pokoju, mówiąc jednocześnie:

- Nie powinnam tego robić. To absurdalne. Nie mogę jej chronić. Nie powinnam w ogóle jej tu przyprowadzać. - Zdajesz sobie sprawę, że wyglądasz jak zwierzę w klatce? Zawsze tak było, kiedy się denerwowałam. Usiadłam z westchnieniem.

- Wataha to nie mój problem. Już nie. Po co w ogóle się w to mieszam?

Ben uśmiechnął się półgębkiem, jakby nie przekonywały go moje argumenty i chciał rzucić jakąś sarkastyczną uwagę. - Podałaś już tuzin powodów, dla których nie powinnaś jej tu przyprowadzać.

Dlaczego więc to zrobiłaś? Wzruszyłam ramionami.

- Bo czułam, że tak trzeba? Moja wilcza natura chciała ją chronić. - Jęknęłam i złapałam się za głowę, jakbym mogła wlać sobie do niej w ten sposób trochę oleju. - Można by pomyśleć, że po takim czasie wilczyca przestanie mnie zaskakiwać.

- Ona jest taka jak ty kiedyś, prawda?

Chciałam zaprzeczyć. Nie mogłam być aż tak beznadziejna i bezradna. Jednak szczerze mówiąc, wszystko sobie przypominałam. Pierwsze tygodnie, pierwsze spotkanie z watahą. W otoczeniu wilków myślałam tylko o tym, co mam zrobić, żeby nic mi się nie stało, żeby ich nie rozwścieczyć.

Byłam zawsze najbardziej uległa, żeby Carl był zadowolony i na pewno mnie bronił.

- Tak. I gdyby nie audycja, T.J. i wyjazd z miasta, dalej bym taka była. Powiedziała, że to właśnie dlatego Carl ją zamienił. Znow chciał mieć przy sobie kogoś takiego.

- Jezu.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, poddając się przygnębieniu.

- Chcę, żebyś wzięła pistolet - powiedział w końcu Ben. -Masz go przy sobie nosić. O pozwolenie będziemy się martwić później.

- Ben...

- Wcześniej czy później po ciebie przyjdzie. Musisz mieć jak się bronić. I nie trzymaj pistoletu w schowku w samochodzie. Kup sobie torebkę i noś go przy sobie.

Odetchnęłam głęboko ze złością.

- Pistolet nie zawsze jest odpowiedzią.

- Nie zawsze. Ale czasem tak. - Uśmiechnął się irytująco.

- Kto tutaj jest alfą?

- Czy w stadzie nie ma zazwyczaj samca i samicy alfa? Robił się bezczelny. Nawet mi się to podobało.

Uścisnęłam

jego rękę i pocałowałam go.

- Dzięki. Muszę podzwonić.

Jenny spała dziesięć godzin. Następnego dnia wyglądała jak uciekiniarka - miała podkrążone oczy i marszczyła czoło. Ale była trochę bardziej wyprostowana i nie płakała.

Znałam kilka miejsc, w których likantropy żyły bez watahy. Znajdzie tam wilkołaki, które się nią zajmą. Pomogą jej znaleźć pracę i stanąć na nogi. Z telefonem do nich czekałam do rana, ale przed świtem musiałam odbyć jeszcze jedną rozmowę. Znałam przynajmniej jedną wampirzycę, która znalazłaby w swoim domu miejsce dla niesfornego szczeniaka.

Nie wiedząc kiedy, zdobyłam grono przyjaciół. Ahmed, sympatyczny starszy wilkołak, i Alette, zadziwiająco ludzka wampirzyca, oboje z Waszyngtonu, zgodzili się przyjąć Jenny, jeśli pomogę jej tam dojechać. Ahmed podał mi kilka nazwisk likantropów z Los Angeles i Seattle, które jej pomogą, jeśli będzie wolała jechać w tamtym kierunku. Powiedział, że tego typu problemy zdarzały się dość często, ale niewiele osób znalazło sposób na to, by sobie z nimi poradzić. Schronisko dla



maltretowanych likantropów. Kto by pomyślał?

Przynajmniej miałam problem, który mogłam rozwiązać. Był ktoś, komu mogłam naprawdę pomóc.

Kiedy Jenny obudziła się koło południa, podałam jej kartkę z nazwiskami i numerami telefonów.

- Chcesz jechać do Seattle, Los Angeles czy do Waszyngtonu?

Spojrzała nieufnie na kartkę.

- Co?

Próbowałam mówić łagodnie.

- Jeśli nie chcesz, żeby Carl cię dopadł, musisz wyjechać z miasta. Spisałam tu kilka kontaktów. Ludzi z Waszyngtonu znam i im ufam. Dali mi pozostałe namiary, więc muszą być pewne. Możesz jechać i nie będziesz sama. To przyjaciele, pomogą ci.

Patrzyła na stół i na szklankę z sokiem pomarańczowym -tylko to chciała na późne śniadanie. Podjęcie nieodwołalnej decyzji musiało ją przerażać. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co się działo w jej głowie, skoro miała tyle do przemyślenia.

- Ja tak zrobiłam - przyznałam. - Wyjechałam. Będzie łatwiej... wszystko będzie łatwiejsze, kiedy Carla nie będzie w pobliżu.

Przełknęła ślinę i odezwała się złamanym głosem.

- Ta kobieta z Waszyngtonu, ta wampirzyca... Mówisz, że jest miła?

- Tak. Może trochę nadęta, ale wszystkie takie są. Lubi troszczyć się o innych.

- Chyba chciałabym pojechać do niej - powiedziała Jenny. - Zostać z nią.

Alette była kobietą i nie była wilkołakiem. Nie byłam zaskoczona wyborem Jenny.

- W takim razie zaraz wszystko zorganizujemy. Widzisz? To proste.

Pociągnęła nosem i bałam się, że znów zacznie płakać. Nie chciałam, żeby znów się rozkleiła, bo ja też bym się wtedy rozplakała. Ona jednak po raz pierwszy się uśmiechnęła, niewyraźnie i nieśmiało.

- Dzięki - odparła. - Wszystko, co o tobie mówią... Becky powiedziała, że pomożesz.

- Cieszę się, że mogę to zrobić. - I taka była prawda. Czulałam się, jakbym wygrała i nie musiała już walczyć, i nikt więcej nie musiał już ginąć.

W ciągu kilku dni wszystko zorganizowaliśmy. Przez ten czas nie pozwalałam jej wychodzić z mieszkania i nie zostawiałam jej samej. Zawsze byłam z nią ja albo Ben. Zwykle ja. Ben ją stresował

i nie mogłam jej za to winić. Ciągle patrzyłam przez okno, obserwując ulice i podskakując za każdym razem, kiedy dzwonił telefon. W każdej chwili spodziewałam się Carla. Ale się nie zjawił.

Ben wyczyścił dwa pistolety i włożył rękawiczki, kiedy ładował do nich srebrne kule.

Kupiłam Jenny bilet lotniczy, dałam jej trochę ubrań i połączyłam ją z Alette, żeby mogły się poznać.

Jenny miała cały czas otępiały wzrok, jakby przeżyła jakąś katastrofę i ciągle była w szoku.

Oddała się w ręce nieznajomych i popadła w dziwny fatalizm. Ja z kolei czułam, że będę się cieszyć dopiero wtedy, jak Jenny wsiądzie w samolot i stąd odleci.

Jedyne, co mogłam zrobić, to odprowadzić ją do bramki. Stanęłyśmy na końcu kolejki, która wiła się w kierunku wykrywaczy metalu i urządzeń rentgenowskich.

- Masz mój numer. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Jeśli nie wyjdzie ci z Alette, znajdziemy coś innego. Masz dużo opcji. Wszystko będzie wyglądać lepiej, kiedy znajdziesz się w nowym miejscu.

Chciałam, żeby była szczęśliwa i podekscytowana, ale ona ciągle wyglądała na przerażoną.

- Nigdy się tak nie bałam. Nawet podczas pierwszej przemiany.

- Wszystko będzie dobrze.

- Ale chyba będę tęsknić za Carlem. Czy to nienormalne? Jak miałam ją przekonać, że postępuje właściwie?

- Jakaś część ciebie zawsze będzie za nim tęsknić. Ja też czasem tęsknię. - Chociaż Carl, za którym tęskniłam - silny, opiekuńczy mężczyzna, seks, poczucie, że jestem adorowana - był w mojej pamięci zaledwie niewyraźnym wspomnieniem. Pamiętałam głównie Carla dominującego i wściekłego. -

Masz jednak prawo do własnego życia. Nie jesteś jego własnością.

Skinęła głową, ale wciąż miała niepewną minę.

- Zadzwoń, jak będziesz na miejscu, okej? - poprosiłam. - Pamiętaj, żeby spotkać się z Ahmedem.

Prowadzi ten nadzwyczajny bar...

- Wiem. Mówiłaś mi o tym już chyba z dziesięć razy. - Uśmiechnęła się krótko. Jej twarz rozjaśniła się na chwilę. Wiedziałam już, dlaczego Carl ją sobie upatrzył. Świadomość, jak zupełnie zniżył jej osobowość, tylko podsyciła mój gniew.

- No tak. Muszę przyznać, że trochę ci zazdroszczę. Zaczynasz nową przygodę.

- Mam wrażenie, jakbym rzuciła się w przepaść.

- Bo chyba tak trochę jest, co? Musisz tylko pamiętać o spadochronie.

Uściskałyśmy się. To był ludzki gest, a nie wilczy. Jeśli miało jej się udać, musiała nauczyć się trzymać ludzkiej strony, która wiedziała, że może żyć bez Carla.

Patrzyłam, jak zjeżdża w dół schodami prowadzącymi do kolejki, którą jechało się do hali odlotów.

Żeby przejść dalej, trzeba było mieć bilet. Uznałam, że to dobrze. Nikt, kto mógł ją skrzywdzić, nie wiedział, że jest w tym miejscu. Nikt nie mógł jej tutaj dopaść. Była już bezpieczna.

- Misja zakończona sukcesem? - spytał Ben, kiedy wróciłam do domu.

- Tak.

Wyszedł mi na spotkanie przy drzwiach, a ja wtuliłam się w jego ramiona.

- Muszę się przytulić. Usłuchał.

- Co zrobi Carl, jak się dowie?

- Nic już nie może zrobić - wymamrotałam w ramię Bena. - Nic, jeśli nie będzie wiedział, że ktoś jej pomógł. Z jego perspektywy ona po prostu wyjechała. A on nic nie może na to poradzić.

Miałam ochotę sama do niego zadzwonić i wykrzyzczyć mu do słuchawki: „Nic nie możesz zrobić, draniu”.

## Rozdział 8

Termin operacji mamy wyznaczono na piątek. Do tego czasu staraliśmy się nie myśleć o niespodziewanych wynikach badań czy możliwych powikłaniach. Lekarze nazywali to „powtórna resekcją” i powtarzali, że zabieg jest rutynowy, ale chcieli nas przez to tylko uspokoić. W końcu wycinali mamie kawał ciała. O ile to możliwe, chciałam temu zapobiec. Ale nie istniało żadne dobre rozwiązanie, z którejkolwiek strony by na to spojrzeć.

Kiedy odesłałam już Jenny, miałam wolny wieczór i spędziłam go z mamą, zbierając się na odwagę, żeby pogadać o likantropii. To był szalony, głupi pomysł... Nie mogłam zaproponować własnej matce takiego życia. Musiałabym się nią zająć tak samo, jak zajęłam się Benem, kiedy się zaraził zeszłej zimy. To już było wystarczająco trudne. Musiałam patrzeć, jak walczy ze zmianami we własnym ciele, być świadkiem tego, co robi z nim ból, wiedząc, przez co przechodzi, i nie mogąc mu tego w żaden sposób ułatwić. Nie potrafiłam sobie wyobrazić mamy w tej sytuacji.

Ale jeśli miałabym wybierać między tym a utratą jej na zawsze, to wybór był prosty. Musiałam z nią porozmawiać o tej sprawie przed operacją.

Siedziałyśmy w kuchni i jadłyśmy lody z pudełka. Podała mi łyżkę, kiedy tylko pojawiłam się w drzwiach.

- Życie jest krótkie - stwierdziła. - Mam zamiar popaść w tym tygodniu w całkowity hedonizm. I pomyśleć, że przez te wszystkie lata martwiłam się swoją wagą. Gdybym wiedziała, że mogę w jednej chwili wszystko stracić, jadłabym więcej lodów.

- Mamo, nie mów tak - powiedziałam ze smutkiem. Zachęciła mnie, żebym zanurzyła łyżkę w pojemniku.

Czekoladowe lody Rocky Road z orzechami i pianką. Cała kuchnia nimi pachniała.

- Mam prawo do odrobiny czarnego humoru.

- Mówisz tak, jakbyś się poddawała.

- O nie - zaprzeczyła z pełnymi ustami. Pokręciła głową. - Wcale nie. Uwierz, nie poddaję się. Mam za dużo powodów, żeby żyć. - Mówiła stanowczo, jak Amazonka albo walkiria, z tą walecznością w głosie, która pojawiała się zwykle, gdy mówiła o grze w tenisa. Byłam z niej dumna. Przeżyje.

Przetrwa to wszystko. Nabrała sobie jeszcze lodów i mówiła dalej: - Nicky i Jeffy... to dwa ważne powody. Strasznie chciałabym zobaczyć, jakie moje wnuki będą, gdy dorosną. Ty pewnie też. A co do ciebie... nie myśl sobie, że jesteś mniej ważna tylko dlatego, że Cheryl ma dzieciaki. Mam zamiar przeżyć i zobaczyć, na kogo wyrosną twoje dzieci.

Zaczęłam płakać. Nic nie mogłam na to poradzić. Nie chciałam się mazać, chciałam być silna. Ale rozplakałam się i odwróciłam głowę.

Mama odłożyła łyżkę i spojrzała na mnie wstrząśnięta.

- Kitty, nie płacz. Za wcześnie na łyzy. - Wstała i wyciągnęła pudełko chusteczek z kuchennej szafki.

Powinnam była od razu jej powiedzieć, co się stało. Teraz już za późno. Próbowałam coś wyjaśnić, ale miałam ściśnięte gardło. Nie potrafiłam nic z siebie wydusić. Wzięłam garść chusteczek i spróbowałam się pozbierać. Czekwała cierpliwie, siedząc naprzeciwko mnie na brzegu krzesła, jakby siłą powstrzymywała się od tego, żeby podejść i mnie przytulić. Ale nie miałam czterech lat i nie chodziło o rozbite kolano, więc czekała. W końcu wyrzuciłam to z siebie.

- Nie chodzi o to. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Porośliłam. - Musiałam to z siebie wyrzucić za jednym zamachem, przebić się przez łyzy. Szkoda, że nie umiałam tego powiedzieć bez płaczu. - Dwa tygodnie temu. Nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży.

- Tak mi przykro, kochanie.

- Nie chciałam nic mówić, bo wszyscy martwiliśmy się o ciebie. Byłaś ważniejsza.

- Powinnaś była powiedzieć.

- Wiem. Ale... to nie wszystko. Stało się tak przez likantropię, przez zmianę postaci... zawsze będzie dochodziło do poronienia. W ogóle nie mogę mieć dzieci. I myślałam, że mi nie zależy, nie sądziłam,

że to będzie miało jakieś znaczenie, ale zależy mi, to ma znaczenie...

Mama podeszła do mnie i objęła mnie. Siedziałyśmy tak dłuższy czas, przytulając się do siebie.

- Już dobrze, będzie dobrze - powtarzała ciągle, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak mogła tak mówić po tym wszystkim, co nas spotkało.

Mimo że strasznie chciałam znów mieć cztery lata i pozwolić, żeby mama się mną zajęła, nie mogłam.

I nie mogłam się tak zachowywać cały wieczór. Piekły mnie oczy. Bolała mnie cała twarz. Odsunęłam się i wzięłam sobie więcej chusteczek.

- Chciałam tylko normalnie żyć - powiedziałam zachrypniętym głosem. - Zawsze myślałam, że będę miała normalne życie.

Mama uśmiechnęła się ze zrozumieniem i odgarnęła mi z twarzy mokry kosmyk włosów.

- Nikt nie ma normalnego życia. Myślisz, że jest normalnie, a potem dzieje się coś takiego.

Wykrywasz guz. Coś napada cię w lesie. I myślisz sobie: dlaczego ja? Ale wszechświat odpowiada: a dlaczego nie? A ja sobie myślę, ile szczęścia mieliśmy. Od trzydziestu pięciu lat jestem żoną swojego najlepszego przyjaciela. Moje śliczne dziewczynki wspaniale sobie radzą. Większość ludzi nie ma aż tak dobrze.

- A więc coś musiało się zdarzyć i wszystko popsuć, to chcesz powiedzieć?

Pokręciła głową.

- Nic się nie popsuło. Mam szczęście, że mam takie, a nie inne życie. I myślę, że szczęście będzie mi jeszcze jakiś czas sprzyjać. Poradzę sobie z jednym czy dwoma guzkami. A ty... od tak dawna dajesz sobie radę, Kitty. Tak dużo przeszłaś. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby cokolwiek mogło na dłużej cię zdołować. Poradzimy sobie, nic nam nie będzie.

Mantra oparta wyłącznie na wierze.

Mama jadła dalej lody, a ja przerzuciłam się na gorące kakao. Musiałam się rozgrzać od środka i rozluźnić ściśnięte gardło.

Nie mogłam tego dłużej w sobie dusić. Skoro już powiedziałam o jednym, równie dobrze mogłam wyrzucić z siebie wszystko. Przestałam płakać i poczułam się trochę mniej wypompowana. Wzięłam do ręki kubek i zaczęłam.

- Mamo, muszę cię o coś spytać. Być może ci się to nie spodoba, ale muszę to powiedzieć i chciałabym, żebyś to sobie poważnie przemyślała, zanim powiesz nie. Likantropia wiąże się z pewnymi rzeczami. Jak mówiłam, nigdy nie będę miała raka, nigdy też nie zachoruję. Gdybyś się nią zaraziła, gdybyś została teraz pogryziona... byłabyś wyleczona. Coś za coś, wiem. Życie z likantropią

nie jest łatwe. Ale... byłabyś wyleczona. Nie musiałyś mieć operacji. - Mogła zachować swoje ciało w jednym kawałku.

Mama wbiła wzrok w stół, tam, gdzie trzymała ręce, jedną założoną na drugą.

- Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? Jakbym już wszystkiego jej nie wyjaśniła.

- Mogę cię wyleczyć. Myślę, że mogę cię wyleczyć. - To był obłąd, ale jednocześnie iskierka nadziei, która się we mnie zatlila.

- Zamieniając mnie w wilkołaka - odparła bezbarwnym głosem.

- Tak. Nie przemyślałam sobie jeszcze, jak to by miało się odbyć, ale jestem pewna...

Uniosła dłoń w uspokajającym geście, a ja zamilkłam.

- Myślisz, że to jest lekarstwo? Próbowalaś? Znasz kogoś, kto tego spróbował?

Nie znałam, ale nie chciałam jej tego mówić.

- Poproszę doktor Shumacher, żeby z tobą porozmawiała. Dane są jeszcze ciągle trochę, mętne, bo wszystko było długo utrzymywane w tajemnicy, ale doktor ma trochę akt pacjentów...

Mama znów mi przerwała.

- Termin operacji wyznaczono na piątek. Wszystko jest już ustalone.

- Możesz się rozmyślić. Masz kilka dni do namysłu. Przez chwilę patrzyła na mnie tak, jakby chciała się zacząć

kłócić. Miała dobrze mi znaną, zamyśloną minę. Jakbym chciała zrobić coś głupiego, a ona zamierzała mi na to pozwolić, żebyśmy dostała nauczkę. Próbowalam ją uratować, ale czułam się przy tym jak idiotka.

- Przemyślę to sobie - obiecała w końcu.

Chciałam, żeby wyszła z tego bez szwanku, żeby była zdrowa i silna. Wiedziałam, że mogłoby się udać. Byłam tego pewna.

- Przyjdę do ciebie w piątek, dobrze? Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować. - Jeśli będziesz chciała, żebym to zrobiła. Jeśli zmienisz zdanie.

- Będzie mi miło.

- Kocham cię. - Wypadło to trochę rozpaczliwie, jakbym już nigdy miała nie mieć okazji jej o tym powiedzieć.

- Ja też cię kocham.

Uściskałyśmy się. Wydawała się taka mała w moich ramionach. Po raz pierwszy w życiu wydawała się krucha.

Tata odprowadził mnie do samochodu. Szliśmy powoli, rozkoszując się ciepłym wieczorem.

- Jak myślisz, jak ona się trzyma? - spytał. Wzruszyłam ramionami.

- Miałam cię spytać o to samo. Nie mam pojęcia, czy naprawdę jest taką optymistką, czy tylko udaje odważną.

- A myślisz, że ja umiem to poznać?

- Tato, być może powiedziałam coś, co ją zdenerwowało. Myślę, że likantropia mogłaby jej pomóc, to znaczy wyleczyć raka.

Oparł się o mój samochód i spojrzał na ulicę, nie patrząc na nic konkretnego.

- Nie twierdzę, że mam na ten temat dużą wiedzę, ale mam wrażenie, jakby lekarstwo było niewiele lepsze od samej choroby.

Spojrzałam w niebo. Próbowałam tylko pomóc.

- No wiem. Ale... jeśli jej stan będzie bardzo zły, jeśli lekarze nic nie będą mogli zrobić...

Pokręcił głową.

- Do tego jeszcze nie doszło. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Poczułam łzy w oczach.

- Dobrze. Zobaczymy się później, okej? Uściskaliśmy się, a tata zaczekał, aż odjadę.

W drodze do domu zadzwonił mój telefon.

- Kitty, tu Tom. - Tom był jednym z ludzi Alette, mistrzyni wampirów z Waszyngtonu. Szoferem, lokajem, ludzkim służącym... i wnukiem sprzed wielu pokoleń. Członkiem rodu w każdym tego słowa znaczeniu.

- Cześć, co się dzieje? Jenny dotarła bez problemów?

- Właśnie dlatego dzwonię. Przyleciał samolot, ale nie było jej na pokładzie.

Pytanie samo mi się nasunęło; zadałam je, choć wiedziałam, jaka będzie odpowiedź. Żadne inne wyjaśnienie nie wchodziło w rachubę. Poczułam ciężar w żołądku.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie było jej na pokładzie?

- Na lotnisku utrzymują, że nie stawiała się przy bramce. W ogóle nie wsiadła do samolotu. Nie możemy jej nigdzie znaleźć.

- Osobiście odprowadziłam ją do punktu kontroli bezpieczeństwa. Nie mogła nie wsiąść do samolotu.

Może ktoś z obsługi się pomylił.

- To możliwe. Czy ona ma przy sobie telefon?

- Nie ma. Musi być jakieś wyjaśnienie. Może podałam ci zły numer lotu.

- Przejdę się jeszcze raz po lotnisku. Może zadzwonię do Ahmeda. - Ahmed był kimś w rodzaju przywódcy likantropów w Waszyngtonie. Może jakoś do niego trafiła. Musiałam mieć nadzieję, że coś takiego się zdarzyło, że doleciała do Waszyngtonu i jakimś cudem minęła się z Tomem.

- A ja spróbuję się czegoś dowiedzieć tutaj. - Ale co się stało, jeśli nie wsiadła do samolotu? Dlaczego miałyby do niego nie wsiąść? - Daj znać, jak tylko się czegoś dowiesz.

- Jasne. - Rozłączył się.

Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie. Pojechałam do domu i zaczęłam dzwonić.

Linie lotnicze stwierdziły, że Jenny odebrała kartę pokładową, ale nie stawiała się przy bramce.

Podczas startu jej miejsce było puste. Może zmieniła lot? Zmieniła godzinę odlotu albo cel podróży?

Osoba z działu rezerwacji powiedziała, że po wydaniu karty pokładowej nie dokonano żadnych zmian w jej bilecie. Wyglądało na to, że zniknęła. Zadzwoniłam do ochrony lotniska. Powiedzieli, że przejrzeni nagrania z kamer, żeby się dowiedzieć, co się stało. Czy ktoś ją porwał? Tego bałam się najbardziej - że jakimś cudem, w niewiadomy sposób Carl dowiedział się o wszystkim i ją dorwał. To nie tylko było możliwe, ale wręcz proste. Miałam jednak nadzieję, że Jenny była wystarczająco pewna siebie, wystarczająco silna, żeby zacząć krzyczeć, gdyby próbował ją stamtąd zabrać.

Zadzwoniłam do Hardin i spróbowałam zgłosić zaginięcie Jenny, ale nie zniknęła wystarczająco dawno temu. Jeśli nie miałam żadnego pomysłu na to, gdzie jej szukać albo kto mógłby coś o niej wiedzieć, policja nie mogła mi pomóc.

- Carl - odparłam. - On musi coś wiedzieć. - Wyjaśniłam jej, jak go znaleźć.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedziała, ale jej głos nie napawał mnie nadzieją.

Od kilku godzin starałam się czegoś dowiedzieć, siedząc przy kuchennym stole z książką telefoniczną, próbując wymyślić, do kogo by tu jeszcze zadzwonić. Wszedł Ben przebrany do spania.

- Kitty. Daj sobie spokój. Nic więcej nie da się zrobić.



- Musi się dać.

- Możesz się trochę przespać.

- Nie, ona gdzieś jest, ma kłopoty.

- Może... może zmieniła zdanie. - Popatrzyłam na niego zaczerwienionymi oczami. Westchnąłem. -

Może stwierdziła, że jednak nie poleci do Waszyngtonu. Może znalazła jakieś inne rozwiązanie i pomyślała, że lepiej, żeby nikt nie wiedział, dokąd jedzie.

Może. Istniała taka opcja.

- Naprawdę w to wierzysz? Wzruszył ponuro ramionami.

- Nie wiem. Ale nic nie mogę w tej sprawie zrobić.

- Bo nawet nie próbujesz. - Pomasowałam sobie czoło. Miał rację, powinnam się przespać. A przynajmniej się położyć. Nie sądziłam, że potrafię zasnąć.

Dotknął mojego ramienia. Chciał mi w ten sposób dodać otuchy, ale byłam tak spięta, że się zdrygnęłam. Cofnął się i unióśł do góry ręce w obronnym geście.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Po prostu chcę spróbować coś zrobić. Musi być coś, co można w tej sytuacji zrobić.

Ben chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się tylko i wrócił do pokoju.

Jakąś godzinę później dołączyłam do niego, w końcu odkładając telefon i gasząc światła. Poddając się.

- Ben?

Nie zareagował. Już spał, oddychając głęboko i miarowo. Położyłam się obok niego, licząc po cichu na to, że się obudzi i mnie przytuli. Ale się nie obudził.

Kiedy następnego dnia zjawiłam się w Pokrętle, w holu ktoś na mnie czekał.

Weszłam do środka, a kobieta wstała z krzesła, skrzyżowała ramiona i spojrzała na mnie z poirytowaną miną. Miała na sobie pogniecione spodnie i marynarkę, kołnierzyk jej bluzki był

rozpięty. Podniszczony strój biznesowy. Prawdziwa kobieta pracująca. Jej ciemne włosy były ściągnięte w krótki kucyk.

- Oficer Hardin - stwierdziłam, ale w moim głosie nie było słychać radości z tego, że ją widzę. - Dzień dobry.

- Też się cieszę na twój widok - zakpiła. - Czemu nie powiedziałaś mi, że wróciłaś do Denver?

- Usiłowałam się nie afiszować.

- Nie bardzo ci to wyszło.

- Niech pani nawet nic nie mówi - mruknęłam pod nosem. - Coś się wyjaśniło w sprawie kradzieży?

- Jeszcze nie. Muszę tymczasem odłożyć tę sprawę. Pojawiło się coś nowego. Chciałabym, żebyś na coś zerknęła. - Wzięła z krzesła teczkę.

- To zdjęcia z sekcji? Bo szczerze mówiąc, nie jestem w nastroju na oglądanie takich zdjęć.

To miał być żart. Podczas naszych ostatnich spotkań Hardin prosiła mnie, żebym zerknęła na ciała i powiedziała jej, czy to wilkołak się do nich dobrał i rozszarpał je na kawałki.

Jednak Hardin nie zmieniła wyrazu twarzy. Zniecierpliwiona zmarszczyła wyczekująco brwi.

- Zdjęcia z miejsca zbrodni. Morderstwo. Cholera.

- Możemy porozmawiać gdzieś na osobności? - dodała.

- A musimy? - niemal jęknęłam. Przynajmniej uśmiechnęła się współczująco.

- Będę twoją dłużniczką. Nie wolno lekceważyć korzyści płynących z długu zaciągniętego przez policjantkę.

No dobra. Niech będzie.

- Na górze jest sala konferencyjna.

Poszłam przodem, zerkając na nią ukradkiem przez ramię. Czułam, że mi się przygląda, bo wzdłuż kręgosłupa przechodziły mi ciarki. Jak najszybciej doszłam do sali, a Hardin od razu przeszła do rzeczy, wyciągając z teczki plik zdjęć trzynaście na osiemnaście i rozkładając je na stole. Było ich dziesięć.

Na każdym było widać twarz; niektóre z nich były tylko zbryzgane krwią, inne do tego stopnia nią ociekały, że włosy były całe czerwone i kleiły się do skóry. Niektóre policzki i gardła miały szramy...

Ślady po pazurach. Dwa ciała miały rany szarpane i zwisały z nich strzępy wyrwanego ciała. Widać było ślady zębów. Wszystkie ofiary miały zamknięte oczy. Skręciło mnie w żołądku.

- Około trzeciej nad ranem ktoś zadzwonił na policję z magazynu znajdującego się na południe od centrum - wyjaśniła oficer Hardin. - Po przybyciu na miejsce zastaliśmy to. Sprawdziliśmy, że na policję dzwonił ktoś z porzuconego w magazynie telefonu komórkowego. Mógł należeć do jednej z ofiar. Nie byliśmy w stanie ściągnąć z niego odcisków palców. Wszystkie ofiary były w środku. Na

wszystkich ciałach było widać ślady walki, jakby odbyła się tam jakaś bitwa. Naprawdę paskudna bitwa... bez broni, tylko walka wręcz. A raczej walka na kły i pazury. Wyniki badań potwierdziły, że wszystkie ofiary były likantropami. Znasz którąś z nich? Jesteś w stanie je zidentyfikować?

To były likantropy Ricka. Rozpoznałam je mimo krwi. Nie zostało w nich nic z pewnej siebie watahy, którą zgromadził Rick. Dotknęłam zdjęć i ułożyłam je w jednym rzędzie.

- Znaleźliśmy też coś, co można by uznać za szczątki, ale niewiele tego było. Kupka popiołu. To pewnie były wampiry. Nie ma jak ich zidentyfikować.

Tylko siedem likantropów było od Ricka. Dwa pozostałe wilki pochodziły z watahy Carla. Twardzi faceci, którzy nie bali się walki. Obydwaj byli wilkami od ponad dziesięciu lat. Jeden z nich pracował

jako ochroniarz w Denver. A teraz nie żyli.

Na dziesiątym zdjęciu była Jenny. Miała rozszarpane gardło. Nie widać było jej szyi, tylko krwawą miazgę. Miała na sobie koszulę, którą włożyła wczoraj. Jej blond włosy tworzyły wokół głowy poplątane krwawe obramowanie. Na twarzy widać było tylko kilka kropli krwi i wydawała się dziwnie rozluźniona, niemal spokojna. Znalazła inną drogę ucieczki.

- Znasz ich - stwierdziła Hardin.

Wzięłam do ręki zdjęcie Jenny i nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nie miałam pojęcia, co się dzieje z moją twarzą i jaką minę widzi teraz Hardin. Wiedziałam tylko, że nie jestem w stanie mówić.

Miałam całkowicie ściśnięte gardło, a głos mi zamarł.

- Kitty? - ponagliła mnie policjantka.

- Nie powinno jej tam być - wykrztusiłam z trudem. Mój głos był tak napięty z wysiłku, że aż się łamał. - Miała być w samolocie. To o niej wczoraj pani mówiłam. - Powinna być teraz wolna.

Hardin wyjęła mi delikatnie zdjęcie z rąk i położyła je obok reszty.

- Ta ofiara była dziwna. Została zamordowana jakieś siedem godzin wcześniej niż pozostali. Ktoś podrzucił tam jej ciało. Nie zginęła razem z innymi.

Nie, Carl zabił ją wcześniej, po czym zostawił razem z całą resztą. To na pewno był Carl. Mógł

pomagać przy pozostałych, ale Jenny na pewno zabił własnoręcznie. Ale jak ją znalazł? Jak mogła pozwolić na to, żeby ją znalazł? Jak zdołał ją wyprowadzić z lotniska w obecności służb bezpieczeństwa?

Fala szoku po początkowym wstrząsie, jakim była dla mnie śmierć Jenny, zaczęła ustępować. Powoli docierała do mnie świadomość tego, co oznaczają pozostałe zdjęcia: przewrót Ricka się nie udał, a

on mógł być jedną z tych kupek popiołu. Nie miałam jak się dowiedzieć, czy zginął. Być może nigdy się tego nie dowiem. Siedem likantropów, trzy wampiry... to prawie wszyscy.

- Czy to były same wilki? - Nigdy nie widziałam prawej ręki Ricka, Dacka, pod postacią człowieka.

Nie miałam pojęcia, czy też był wśród ofiar. - Była wśród nich jakaś inna odmiana likantropa?

- Testy nie są aż tak dokładne. Mogę tylko stwierdzić, czy to likantrop, czy nie, ale nie można określić gatunku. Na razie.

- Co się stało? - spytałam cicho, chociaż już się domyślałam. Już wiedziałam.

- Ta siódemka zginęła od ran zadanych przez inne likantrop-y. Tym właściwie wyrwano serca. -

Ułożyła obok siebie pięć zdjęć. To na nich było najwięcej krwi i ran. Likantrop mógł przeżyć poważne rany, ale nie coś takiego. - W przypadku tej trójki ugryzienia są mniejsze, wielkości szczęki człowieka, a ofiary zmarły z upływu krwi. Robota wampirów, jak sądzę. Muszę zadzwonić w parę miejsc, żeby to potwierdzić. Nie wiem natomiast, czy wszyscy oni pochodzili z jednej watahy, czy z dwóch różnych, które były ze sobą w konflikcie. Czy wampiry w ogóle mieszają się w takie rzeczy?

Możesz mi coś na ten temat powiedzieć?

Nie chodziło już wyłącznie o terytoria wampirów i wilkołaków - w konflikt zaangażowała się strona trzecia, czyli policja. Jak Hardin potraktuje tę sprawę na swoim terytorium? Nie chciałam, żeby się angażowała. Nie była w stanie rozwiązać problemu ze swoimi ludźmi. No, chyba że była. Podchodziła do tego z wielką otwartością. Doksztalała się. Miała srebrne kule.

Może nie chciałam się przekonać, co się stanie, jeśli stawi czoło całemu temu bajzłowi i naprawdę sobie poradzi.

- Pani oficer, jeśli pani powiem, musi pani obiecać, że nie będzie się pani w to mieszać. I nie pozwoli pani na to swoim ludziom.

- Nie mogę tego obiecać - odparła i pokręciła głową najwyraźniej urażona. - Mam tu ofiary morderstwa, naciskają mnie z góry. Co mam im powiedzieć? Ze wilkołaki trochę nam się rozbrykały?

- To coś zupełnie innego niż wcześniej. Musi mi pani uwierzyć. - Co mogłam jej powiedzieć, żeby ją przekonać, że powinna się wycofać? Nic. Absolutnie nic. I właśnie dlatego była dobrą policjantką.

- Kitty, chcę to pojąć. Musisz mi pomóc, jeśli mam to zrozumieć.

Ale z drugiej strony może stanie po mojej stronie i pomoże mi się dowiedzieć, co się stało z Rickiem.

Może jej rozwiązanie jest dobre: wpakować ich wszystkich do więzienia.

Miałam ochotę uciekać. Poczulałam nagle przemożną, instynktowną chęć ucieczki.

- Jest wojna - powiedziałam. Sekunda.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Nie żartuję. Wojna terytorialna, wojna o to, kto ma prawo nazywać się mistrzem wampirów w Denver.

- Denver ma mistrza wampirów - powtórzyła głucho, a jej głosie wyczułam niedowierzenie. Dlaczego wszyscy uważali, że Denver nie jest wystarczająco ważne, żeby mieć mistrza wampirów? Kompleks niższości?

- Tak. Ale być może już po wszystkim. - Wszyscy zginęli. Wszyscy zginęliśmy... Podzieliłam zdjęcia: siedmiu od Ricka, dwóch od Carla i Jenny, niezależna. - Ci... ci pracowali dla rywala. Ci dwaj to miejscowi. Jenny w ogóle nie powinno tam być. Nie potrafię wyjaśnić, skąd się tam wzięła.

- Likantropy pracują dla wampirów?

- Czasami tak.

- A ty do którego ugrupowania należysz? Pokręciłam gwałtownie głową, zaprzeczając.

- Nie mieszam się w to. Staralam się nie angażować. - Wzięłam tylko stronę Jenny.

- W mieście pojawili się obcy - stwierdziła Hardin. - A więc ten rywal sprowadził ich, żeby przeciwstawić się miejscowemu mistrzowi wampirów i denverskim wilkołakom, na co oni odpowiedzieli przemocą.

- Zgadza się. - Hardin była niezła.

- Muszę zatem tylko znaleźć tego całego mistrza wampirów i oskarżyć go o udział w kilku zabójstwach.

Miałam ochotę się roześmiać, ale odezwałam się ostro:

- Naprawdę pani sądzi, że to takie proste? Proszę spojrzeć, co on z nimi zrobił. - Co zrobi ze mną, jak mnie znajdzie... I z Benem. Dorwali już Bena? Musiałam zadzwonić do Bena. Powinniśmy stąd wyjechać. - Nie wie pani, jacy oni są, co potrafią zrobić...

- Kitty, pozwól, że zadam ci dwa pytania. Odpowiedz mi tylko tak lub nie. Nie próbuj mi niczego wyjaśniać. Dobrze?

- No... dobrze.

- Co do mistrzów wampirów... Jeśli dobrze rozumiem, uznają określone miasta za swoje terytoria.

Mają swoich poddanych albo sobie ich tworzą, inne wampiry lub ludzkich służących, którzy wykonują ich polecenia. Zgadza się?

- Zgadza się.

- A jeśli jakiś inny wampir ze swoimi poddanymi zjawi się w mieście i zechce zostać mistrzem, dochodzi do walki. Do wojny, o której powiedziałaś. Skinęłam głową.

- Dobrze. Wiesz, co zrobię? Potraktuję ich jak każdy inny gang działający na moim terenie. To porachunki gangów. A jeśli na moim terenie doszło do wojny gangów, muszę się z tym rozprawić.

Przekaż to wszystkim wampirom, z którymi będziesz rozmawiać, dobrze?

Przytaknęłam ruchem głowy. Uwielbiałam officer Hardin, naprawdę. Była niezwykłą policjantką, kobietą z jajami. Nie zajmowała się głupotami, nie obchodziły ją bzdury. Wolałam mieć ją zawsze po swojej stronie. - Świetnie. Cieszę się, że sobie porozmawialiśmy. Masz mój numer, na wypadek gdybyś mogła mnie jeszcze jakoś oświecić?

- Tak.

- To dobrze. Bo mało mnie obchodzi, kim są albo za jakich mistrzów się uważają. W moim mieście coś takiego nie ujdzie nikomu na sucho.

Pozbierała zdjęcia i wyszła. Spodziewałam się, że mnie aresztuje, że będzie mnie przesłuchiwać, żeby się dowiedzieć, co wiem... że przystawi mi pistolet i zmusi, żebym zaprowadziła ją do Arturo.

Wiedziałam, gdzie miał swoją siedzibę.

Ale puściła mnie, bo chciała mnie śledzić. Zamierzała posłać za mną swoich ludzi, którzy będą obserwować, z kim rozmawiam i kto próbuje się ze mną skontaktować. A potem pójdą tym tropem, aż dotrą do kogoś, komu będą mogli postawić zarzuty.

Omiał za nią nie pobiegłam z prośbą, żeby mnie zamknęła. Na pewno nikt by mnie nie dorwał, gdybym siedziała w areszcie. Ale wtedy nie miałabym gdzie biegać.

W drodze do domu zadzwoniłam do Bena. Byłam przerażona każdym kolejnym sygnałem, podczas którego nie odbierał. Spóźniłam się. Mają go. Carl nas wytropił, a ja byłam następna w kolejce...

- Słucham? - odebrał w końcu Ben.

Zająknęłam się, bo tak się spieszyłam, żeby się odezwać:

- Ben, musimy wyjechać z miasta. Trzeba natychmiast wyjechać, nie możemy zostać, nie...

- Kitty, prr. Zwolnij. Co się stało?

- Ona nie żyje. Nie wiem, jak Carl ją dorwał, ale udało mu się. Hardin zjawiła się dziś u mnie ze zdjęciami i Carl dowie się, że jej pomagaliśmy. Pewnie już nas szuka.

Nie musiał pytać, kto nie żyje.

- Ale sama zawiozłaś ją na lotnisko. Jakim cudem ją dorwał? Jakim cudem wyprowadził ją z lotniska i potem zabił?

- Nie wiem! Teraz to nieważne. Już po wszystkim.

- Gdzie jesteś?

- Jadę do domu.

- W takim razie porozmawiamy, jak przyjedziesz. Uspokój się, dobrze? Weź się w garść.

Podchwycił mój tekst, który powtarzałam sobie, kiedy wilczyca za bardzo wypływała na powierzchnię, a instynkt zaczynał górować nad zdrowym rozsądkiem.

Skinęłam potakująco głową, co przez telefon nie stanowiło dla niego żadnego potwierdzenia.

- Okej. Nic mi nie jest. - Nieprawda.

- Do zobaczenia.

- Okej - powtórzyłam i się rozłączyliśmy.

Nikt nie próbował mnie zabić pomiędzy parkingiem a drzwiami do mieszkania Bena. To chyba jakiś cud.

Siedział na kanapie i czekał na mnie, zdecydowanie zbyt opanowany. Liczyłam, że na stole będzie leżała broń. Musieliśmy zewrzeć szyki, bronić się przed wrogiem rękami i nogami.

Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę, co było niemal rozczarowujące. A gdzie panika? Gdzie histeria?

Ben odezwał się bardzo spokojnie:

- Co się stało? Westchnęłam ze złością.

- Nie ma czasu, wyjaśnię ci w samochodzie. Musimy natychmiast wyjechać.

Poszłam do sypialni, znalazłam torbę i zaczęłam ładować do niej ubrania. Nie obchodziło mnie, co pakuję - trochę bielizny, kilka koszul, jakieś dzinsy. Zapakować się, wskoczyć do auta i odjechać.

- Co robisz? - spytał Ben łagodnie i cierpliwie, jak ojciec rozmawiający z dzieckiem, które dostało ataku hysterii. Starał się wziąć mnie na przeczekanie.

- Wyjeżdżam. Rick zrobił ruch i przegrał. Pewnie nie żyje. Jenny też nie żyje, nie mogłam jej uratować. Carl jakimś cudem i tak ją dorwał. I zabije i mnie, i ciebie, nic nie możemy zrobić.

- Kitty, to nie twoja wina, że Carl ją dorwał. Próbowалаś. Zrobiłaś, co mogłaś.

- Nie zdołam go pokonać. Nie umiem nawet podjudzić innych do nieposłuszeństwa.

Szafa przy łóżku, kolejne naręczce ubrań. Nie byłam w stanie zapiąć zamka, więc wyciągnęłam coś z torby i rzuciłam na bok. Musiałam upchać jeszcze szczoteczkę do zębów.

- Wyjedziesz, mimo że twoja mama jest chora? Ją też zostawisz?

Mama zrozumie. Jeśli jej wytłumaczę, że gdybym tu została, zabiliby mnie, sama będzie mnie namawiać do wyjazdu. Nie odpowiedziałam mu. Odwróciłam się do niego plecami i wzięłam do ręki torbę.

Spróbował jeszcze raz:

- A jeśli dałoby radę stawić im czoło bez walki? Musi być możliwość jakiegoś kompromisu...

- Teraz mówi przez ciebie prawnik. Ci ludzie nie rozumieją czegoś takiego jak prawo, kompromis czy rozmowa. Nie ma tu miejsca na dogadywanie się stron. Jest tylko przemoc i nienawiść. - Miałam ściśnięte gardło, mój głos był zachrypnięty. - Nie wiesz, jacy oni są, nie wiesz, nie widziałeś jeszcze najgorszego. Próbowałam cię przed tym chronić, a wychodzi na to, że wciągnęłam cię w sam środek...

- Nie martw się o mnie. Potrafię o siebie zadbać.

- Nie, Ben, nie potrafisz! Nic nie rozumiesz, nie wiesz, jaki on jest, do czego jest zdolny. Myślisz, że wszystkie wilkołaki są takie jak ja, ale nie są, większość z nich jest popieprzona i nienormalna...

- Tak jak ty? Albo ja?

Podchodził do wszystkiego zdecydowanie za bardzo rozumowo.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem tylko, że zaczynasz pachnieć bardziej wilkiem niż człowiekiem i że jeśli nie usiądziesz i nie weźmiesz się w garść, stracisz nad sobą panowanie.

Nie miałam na to czasu. W tej chwili należało się zdać na instynkt wilczycy. Znajdowaliśmy się na terytorium wroga, nie mogliśmy walczyć, więc można było zrobić tylko jedno. Musiałam mu to jakoś uświadomić.

- Jedź ze mną, Ben. Musisz.

Zawahał się, a ja dostrzegłam trybiki obracające się w jego głowie, kiedy redagował to, co chce powiedzieć. Chciał już to zrobić, ale zrezygnował.

- Zostaję - powiedział w końcu. - Ty rób co chcesz, ale ja nie mam zamiaru uciekać. - Wyszedł z pokoju.



Zabawne, że ta chwila ciszy pozwoliła mi złapać oddech i uświadomić sobie, że ma rację. Że to wilczyca świrowała, że miałam ją tuż pod skórą i że zamazywała mi ostrość widzenia. Nie myślałam jasno.

Usiadłam na łóżku i schyliłam głowę pomiędzy nogi, biorąc długie wdechy. Biorąc się w garść.

Zawołałam Bena i wściekałam się na to, że mój głos brzmi tak prosząco. Nie chciałam być zmuszona do błagania.

- Ben, nie możemy tu zostać. Zabiją nas.

Ben pojawił się znów w drzwiach i wcale nie wyglądało na to, żeby chciał okazać uległość czy współczucie. Mogliśmy stoczyć naszą małą wojnę domową tutaj.

- Nie zabiją - powiedział. - Mówisz, że nie widziałem jeszcze najgorszego, ale nie wiesz nic na temat tego, co widziałem albo czego nie widziałem. A ja potrafię o siebie zadbać, bez względu na to, co ci mówi na ten temat twój instykt samicy alfa. Mamy broń. Jeśli się postawimy, dadzą nam spokój.

Jestem gotów się im postawić, nawet jeśli ty nie zechcesz tego zrobić. Tu mieszkam. Nie mam zamiaru uciekać do Pueblo tylko dlatego, że ty tchórzysz i kulisz pod siebie ogon. I wkurza mnie, że to już nawet nie jest metafora. - Przeczesał palcami włosy. Oddychał ciężko i pachniał trochę bardziej wilkiem niż człowiekiem.

Nie umiałam wziąć się w garść. Nie słuchałam rozsądku. Nasza dwuosobowa wataha się rozpadała.

Nie, nie rozpadała się, to były tylko przejściowe problemy.

- Tworzymy watahę czy nie? - spytałam.

- Nie wiem - odparł cicho.

Ku mojemu zaskoczeniu chęć ucieczki okazała się silniejsza niż potrzeba, by zostać z Benem. By go bronić. Jak sam powiedział, potrafił o siebie zadbać. Miał na podorędziu pistolety.

Zarzuciłam torbę na ramię i wyszłam z domu.

## Rozdział 9

Pojechałam na południe. Kiedyś już tak zrobiłam. Uciekłam, opuściłam swoją rodzinę, Pokrętko, wszystko. Musiałam zadać sobie pytanie: co było tak ważne, tak traumatyczne, że warto było z tego powodu wszystko porzucić?

Nic, nadeszła oczywista odpowiedź, jasna jak słońce. Nic nie było warte tego, żeby to wszystko zostawić. Patrząc z tej perspektywy, konieczność zmierzenia się z Carlem to mała cena za to, żeby móc zachować własne życie. Tak czy siak ryzykowałam, że wszystko stracę.

Może dlatego zorientowałam się, że skręcam z drogi mię-dzystanowej na pięćdziesiątkę i kieruję się na zachód, do Cañón City. Poszłam do więzienia, przeszłam przez kontrolę bezpieczeństwa i usiadłam w ponurej, śmierdzącej sali, czekając na Cormaca. Tym razem nawet nie próbowałam udawać dobrego humoru.

Nie miałam nikogo innego, z kim mogłabym porozmawiać.

Cormac, ubrany w swój pomarańczowy kombinezon, usiadł z obojętną miną i podniósł słuchawkę. Po chwili zrobiłam to samo. Ale nawet wtedy przez dłuższą chwilę tylko na siebie patrzyliśmy. Był

czysty, wyglądał zdrowo, miał świeżo przystrzyżone włosy i wąsy. A na dodatek wyglądał na zrelaksowanego. Taki był efekt, gdy trzymał się z dala od problemów.

- Cześć - powiedziałam.

- Nie spodziewałem się ciebie - stwierdził. - Co się dzieje? Omal się nie roześmiałam. W pierwszej chwili chciałam

zaprzeczyć, że coś jest nie tak, ale to by było wierutne kłamstwo. Odwróciłam wzrok, zastanawiając się, jak bardzo źle wyglądam.

- Czy to aż takie oczywiste?

- Tak.

- Za każdym razem, kiedy przyjeżdżamy w odwiedziny, Benowi strasznie zależy na optymistycznej atmosferze. Musimy być w dobrych humorach, żeby cię nie dołować. Ale dziś naprawdę muszę pogadać.

- Nie martw się o mnie. Mów, jeśli potrzebujesz.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Ben powiedział mi, że poroniłaś. Przykro mi.

Przez chwilę byłam zła na Bena, że cokolwiek mówił. Chyba jednak musiał komuś powiedzieć, a Cormac był jego przyjacielem. Prawdę mówiąc, słowa Cormaca poruszyły mnie. Ten pozbawiony skrupułów zabójca potrafił się zdobyć na taką wrażliwość, że zdołał w ogóle zauważyć, iż coś takiego mogło mnie dotknąć. Wiedziałam, że dobrze zrobiłam, przychodząc z nim pogadać. Był też moim przyjacielem, nawet wzięwszy pod uwagę jego kryminalne sprawy.

- Dzięki, ale nie to jest najgorsze - powiedziałam. - Moja mama jest poważnie chora. A sytuacja w Denver strasznie się skomplikowała. Próbowałam trzymać się od wszystkiego z daleka, naprawdę próbowałam... Cormac schylił głowę, żeby ukryć uśmiezek.

- Nie śmieję się.

- Kitty, od kiedy to potrafisz trzymać się od czegoś z daleka?

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Szkoda, że mnie nie znałeś, kiedy byłam cicha i spokojna. Kiedyś byłam grzeczną dziewczyną.

Cormac miał na tyle przyzwoitości, że zbył to milczeniem.

- Opowiedz mi, co się dzieje.

Ściszyłam głos, bo nie byłam pewna, kto może nas podsłuchiwać. Nie byłam również pewna, czy to, co mówiłam, w ogóle miałoby dla kogokolwiek sens. Z opowieści wynikało, że jest wojna, paskudna wojna podjazdowa, podczas której przeciwnicy zajmowali ten sam teren i nie było dokładnie wiadomo, w jakim stopniu każda ze stron angażuje się w walkę. Ataki mogły nastąpić w każdej chwili, zdrada była na porządku dziennym, a każda ze stron walczyła według własnych reguł.

- Szkoda, że nie możesz mi tym razem pomóc - zakończyłam, uśmiechając się niewyraźnie. - Nie wiem, co robić.

- Masz dwie możliwości: wyjechać z Denver albo stanąć do walki i wygrać.

- Nie wygramy, oni są za silni. Już wyjechałam...

- A ile czasu musi minąć, żebyś znów wróciła? Nie będziesz się trzymać na uboczu. Właśnie dlatego musisz wygrać. Żebyś nie musiała ciągle uciekać. A Ben i tak nie wyjedzie, więc musisz wrócić i chronić jego tyłek.

Oparłam głowę na rękę. Nie powiedział mi nic, czego bym nie wiedziała. Musiałam to tylko usłyszeć.

I nie było to też nic, czego nie powiedział mi już Ben. Spodziewałam się jednak, że to właśnie usłyszę od Cormaca. To było w jego stylu. Ciągle miałam poczucie, że powinnam chronić Bena. Może nawet powinnam go słuchać.

- No dobra, okej. Ale nie wiem, jak się prowadzi wojny.

- To jej nie prowadź. A przynajmniej nie otwarcie, jak ten cały Rick. Będziesz musiała walczyć z ukrycia, nieuczciwie. Musisz ich wyciągnąć z miasta. Rozdzielić. Sprawić, żeby na każdy szelest oglądali się przez ramię, a potem zjawić się i zrobić porządek. Mógłbym sam to załatwić, gdybym wszystko wystarczająco dobrze zaplanował.

- Chyba nie mam zbyt wiele czasu.

- W takim razie musisz działać szybko.

Carl był silny wyłącznie siłą swojej watahy. A wataha była słaba, przynajmniej z tego, co mówił Rick.

Nie byłam w stanie równie łatwo ocenić stosunków Arturo z jego podwładnymi. Rick próbował wziąć mistrza z zaskoczenia. Ale chciał też stanąć z nim do otwartej walki, armia przeciwko armii. My nie mogliśmy tak zrobić. Musieliśmy wykorzystać zalety tego, że nie jesteśmy stąd, nie zależymy od żadnych układów, nic nie zainwestowaliśmy. Nie mogliśmy zjawić się, ot tak, i zająć miejsce Carla i Arturo. Musieliśmy wszystko rozwalić i zacząć od zera.

Zakładając, że Rick był martwy, musiałam sama pokonać Arturo. Albo przekonać go, że lepiej by było, gdybym to ja przewodziła wilkołakom w Denver. Kompromis z Arturo? Może się uda.

Cormac ciągnął dalej:

- Pamiętaj, że polujesz na drapieżniki. W ich przypadku wszystko sprowadza się do terytorium. Jeśli przejmiesz ich teren, przejmiesz władzę. Kiedy już wypłosisz je z nory, nie możesz pozwolić im stać w miejscu. Jesteś na to gotowa?

Pokiwałam szybko głową, nie dopuszczając jeszcze do siebie tej myśli.

- Rick już próbował i mu się nie udało. Dopadli go w jego bazie. Nie miał nawet szansy doprowadzić do konfrontacji sił.

- W takim razie ktoś musiał donieść - stwierdził Cormac. -Ktoś przekazał wrogowi jego plany, tak że ten doskonale wiedział, gdzie go znaleźć.

To było takie proste, że omal nie krzyknęłam. Ale Rick osobiście dobrał wszystkich swoich ludzi. Nie sprowadziłby ich, gdyby im nie ufał. Może ktoś go szpiegował z zewnątrz. Ktoś, kto mógł poruszać się bez ograniczeń i zbierać informacje tak, żeby nikt się nawet nie zorientował. Mercedes Cook?

Wbrew sobie zaczęłam tworzyć plan.

Cormac odezwał się szeptem, wpisując się w potajemną atmosferę rozmowy:

- Musisz działać po cichu. Trzymać się z dala od policji. Policja tylko wszystko komplikuje. - Cormac wiedział coś o tym. Uratował mnie i pięć innych osób, zabijając istotę, która stanowiła dla nas zagrożenie. Kiedy jednak było już po wszystkim, policja zobaczyła tylko martwą kobietę i Cormaca, stojącego nad nią z dymiącą strzelbą.

Skrzywiłam się.

- Policja już się w to wmieszała. Pamiętasz oficer Hardin?

- Cholera. - To chyba znaczyło tak.

- Ale... - Machina poszła w ruch. Musiałam się zastanowić, jaką mam przewagę i jak mogę ją wykorzystać. - Hardin chce to potraktować jak wojnę gangów. Chce ich dorwać równie mocno jak ja.

Gdybym mogła wykorzystać ją tak, żeby odwaliła za mnie część brudnej roboty... - Takiej jak zabijanie. -Byłabym wtedy czysta.

- To ryzykowna gra.

- Owszem. - Ale mogło się udać. Zaczęłam myśleć, że jestem w stanie sprawić, żeby się udało.

- Macie jeszcze mojego jeepa? - spytał Cormac. - Jest u Bena?

- Tak, stoi u jego mamy.

- Pojedź po niego. Otwórz bagażnik. W środku po lewej jest kasetka magnetyczna na zapasowe klucze. Jest w niej klucz do schowka o numerze 287, który znajduje się na południe od Longmont. Ben wie gdzie. - Do schowka... A co w nim jest?

- Parę rzeczy, które mogą się wam przydać.

- Cormac...

- Gdybym mógł, sam bym zrobił z tym wszystkim porządek. Ale nie mogę, więc chcę mieć pewność, że będziecie mieli potrzebne do tego narzędzia.

Cormac miał własną zbrojownię w wynajmowanym schowku. Chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

- Ben zabrał mnie na strzelnicę. Nauczył mnie strzelać.

- To dobrze - skwitował.

- Nie chcę prowadzić takiego życia - powiedziałam.

- Czasem nie masz wyboru - odparł. - Kiedy jest się jedyną osobą, która może się postawić, nie ma się wyboru. Nie, jeśli chcesz w nocy normalnie spać.

Nie planowałam tego, dlatego że tak chciałam ani dlatego że sądziłam, iż będę miała z tego ubaw.

Robiłam to dla Jenny, dla Bena, dla siebie, żeby ci z nas, którzy pozostali jeszcze przy życiu, byli bezpieczni. Robiłam to dla T.J.-a. On by tak właśnie postąpił.

Cormac był znacznie lepiej przystosowany do świata, w którym dochodziło do wojen.

- A ty możesz normalnie spać w nocy, Cormac?

- Zwykle tak. Kiedy nie myślę o tobie. - Skrzywił się. -Nie powinienem tego mówić. Przepraszam.

- Nie - odpowiedziałam cicho. - To ja przepraszam. Mówił niskim, jakby wyciągniętym z jakichś mrocznych głębin głosem.

- Czasem się zastanawiam, jak by się wszystko potoczyło, gdybym go zastrzelił. Po tym jak został pogryziony. Gdybym go zabił, jak mnie o to prosił. I co by się stało, gdybym spotkał się potem z tobą.

Powiedział ci, co się stało. Okazałabyś mi dużo współczucia. Powiedziałałabyś, że strasznie ci przykro, zaczęłabyś płakać, ja bym cię przytulił, a wtedy...

- Przestań, Cormac. Przestań. Nie chciałbyś tak naprawdę... - Nie potrafiłam nawet wypowiedzieć tego na głos. Cormac i Ben byli jak bracia; nie mógł chcieć, żeby Ben zginął.

- Nie - odparł. - Tylko czasami.

- To psychoza.

- Skłonności socjopatyczne, tak napisał więzienny psycholog.

- Jezu, Cormac...

- Nieważne. To tylko gdybanie. - Odwrócił głowę, żeby nie widziała jego miny. - Nie sądzę, żeby nam ze sobą wyszło. Ostatecznie... nic by z tego nie było.

Mała, podła część mojego umysłu wystawiła swoją złośliwą główkę. Zmrużyłam oczy i powiedziałam:

- Ale zanimbyśmy się tego dowiedzieli, byłoby przyjemnie.

- Owszem - odparł z uśmiechem.

Przynajmniej na tę chwilę, i może jeszcze na kilka innych w przyszłości, wszystko było między nami okej. Zwróciłam się do niego o pomoc, którą on mi zapewnił, a przy okazji wyznaliśmy sobie kilka rzeczy i opowiedzieliśmy parę kawałów. Tak właśnie powinno być między przyjaciółmi.

- Uważaj na siebie. Pilnuj Bena. Pamiętaj, że polujecie na drapieżniki. To nie jelenie czy króliki.

Drapieżniki wpadają we wściekłość, a nie w przerażenie. Wiesz coś o tym - zauważył.

Wizyta dobiegła końca. Strażnik wyprowadził Cormaca, a ja wyszłam szybko z więzienia.

Kiedy znalazłam się znów w samochodzie, pojechałam międzystanową na północ, z powrotem do Denver.

Pierwsze, co zrobiłam po drodze, to zadzwoniłam do oficer Hardin. Była mi winna przysługę, a jeśli wszystko się uda, nawet się nie zorientuje, że mi ją spłaca.

- To ja - poinformowałam ją, kiedy odebrała.

- Powiedz, że masz coś dla mnie.

- Mam, ale nie spodoba się to pani. - Ani nawet pani w to nie uwierzy. Chociaż Hardin wykazała się już ogromną wiarą w to, co trudne do uwierzenia.

- Rzadko coś mi się podoba - skwitowała.

- Mercedes Cook. Słyszała pani o niej, prawda?

- Ta śpiewaczka. Była twoim gościem w radiu w zeszłym tygodniu i wyznała wtedy, że jest wampirem.

- Jest we wszystko zamieszana. Nie jest ani mistrzynią, ani pretendentką do tej roli, ale podjudza obydwie strony. Lepiej, żeby nie konfrontowała się z nią pani bezpośrednio. Wampiry potrafią człowieka niezłe zmanipulować. - Będę o tym pamiętać. Czy ona jest jeszcze w mieście? Wiesz, gdzie się zatrzymała? - W Brown Pałace. Nie jestem pewna, czy jeszcze tam przebywa. Jest w trakcie trasy koncertowej, więc nie powinno być problemów z uzyskaniem informacji, gdzie się znajduje.

- Dzięki. Wiedziałam, że zadzwonisz, jak dam ci dzień, żebyś sobie wszystko przemyślała.

- Tak - powiedziałam. - Właśnie tak.

Kiedy zjawiłam się znów u Bena, była pora kolacji. Od kilku godzin nie patrzyłam na zegarek. Przez całą drogę intensywnie myślałam. Planowałam.

Na parkingu nie było radiowozów, a wokół budynku nie rozciągnięto taśmy odgradzającej miejsce zbrodni. Jeśli Carl i Arturo nas zaatakowali - a raczej Bena, bo przecież go porzuciłam - nie zrobili tego tutaj.

Liczyłam na to, że nie wiedzieli, gdzie go znaleźć. A jeśli miałam naprawdę dużo szczęścia, Ben nie zdążył jeszcze zacząć ich szukać. Weszłam do domu, spodziewając się, że wszystko będzie porozwalane, wszędzie będzie widać oznaki zacieklej walki, a w całym salonie będą porozrzucone rozszarpane szczątki Bena. Gdyby tak było, wzięłabym pistolet ze srebrną kulą i sama zaatakowała Carla. Mało by mnie obchodziło, czy później zostałabym zamordowana przez Meg i resztę watahy, o ile byłabym w stanie najpierw go zastrzelić. Przygotowałam się na to, co będę musiała zrobić, jeśli znajdę ciało Bena.

W mieszkaniu jednak nic się nie działo. Ben siedział przy stole i jadł jakieś żarcie na wynos, prosto z pudełka. Nie był szczególnie zdziwiony moim widokiem.

Prawdę mówiąc, zerknął na zegarek. Odezwał się bez cienia uśmiechu:

- Już wróciłaś? Nie minęło nawet dwanaście godzin. Myślałam, że będziesz potrzebować przynajmniej dwudziestu czterech, żeby odzyskać kręgosłup.

Ben miał się świetnie. Po co w ogóle się martwiłam? Niemniej na stole leżał półautomatyczny pistolet.

Nie spojrzałam na niego, nie odezwałam się ani słowem. Nawet nie przystanąłam. Nie chciałam się teraz zajmować takimi bzdetami.

Poszłam prosto do sypialni i znalazłam parę dżinsów, które miałam na sobie podczas ostatniego spotkania z Rickiem, kiedy dał mi swój numer telefonu. Schowałam go do kieszeni. Przy odrobinie szczęścia nie zdążyłam jeszcze wyprać spodni.

Okazało się, że spakowałam dżinsy do torby, którą zabrałam na swoją krótką ucieczkę. Powinnam była to zrobić w pierwszej kolejności, zaraz po wizycie Hardin, jeszcze przed wyjazdem z miasta.

Rick pewnie już nie żył, ale musiałam spróbować. Może uciekł.

Zapadł zmrok, słońce już zaszło. Wybrałam numer, a telefon dzwonił i dzwonił. Nabrałam pewności, że Rick był jedną z tych kupek popiołu, które znalazła Hardin jako pozostałość po wampirach. W

brzuchu wszystko mi się skręciło w poczuciu klęski. Nie byłam zaskoczona, ale było mi smutno.

Nagle w telefonie rozległ się odgłos odbieranego połączenia.

- Słucham? To był Rick.

- O Boże, ty żyjesz!

- Można tak powiedzieć. Kitty, wszystko w porządku? Nie miałam pojęcia. Nie chciałam rozmawiać o sobie.

- Dziś rano była u mnie oficer Hardin. Miała zdjęcia z magazynu. Arturo i Carl zaatakowali waszą kryjówkę, prawda? Co się stało?



- Zaskoczyli nas - odpowiedział po prostu. Oczyma wyobraźni widziałam, jak wzrusza ramionami. -

To była istna rzeź. Kilkorgu z nas udało się uciec... Dack osobiście mnie stamtąd wyciągnął. Charlie i Violet też uciekli. Tych dwoje ma niebywały instykt samozachowawczy. Ale... to tyle. Tylko z nimi udało mi się skontaktować.

- Hardin ma dziesięcioro nieżywych likantropów i trzy martwe wampiry.

- Cholera - szepnął. - To wszyscy. I kilku od nich.

- Rick, pomyślałeś, że może ktoś zdradził Arturo twoją lokalizację i plany?

- Oczywiście - odparł. - Może Mercedes. Albo śledził nas któryś z ludzi Arturo. Nie byłem wystarczająco ostrożny. Najwyraźniej. - Był zdruzgotany.

- Musimy porozmawiać. Gdzie możemy się spotkać?

- Już za późno, Kitty - odezwał się po chwili. - Już po wszystkim. Wykonałem swój ruch i przegrałem.

Nie miałam zamiaru mu na to pozwolić.

- I co teraz? Uciekniesz? Tak jak ja? Myślałam, że robisz to, bo wierzysz, że tak trzeba, a nie dla władzy. Nie chcesz, żeby Arturo rządził tym miastem.

- Cena już okazała się za wysoka.

- Rick, proszę, porozmawiaj ze mną osobiście.

- Czemu zmieniłaś zdanie?

- Hardin ma dziesięcioro martwych likantropów. Tylko siedmioro z nich było od ciebie. Dwóch było od Carla. Dziesiąty był mój.

- O nie. Ben...

- Benowi nic nie jest. Chodzi o kogoś innego. Później ci to wyjaśnię. Powiedz gdzie i kiedy.

Podał mi nazwę baru w Colfax. Czas: północ. Kiedy skończyłam rozmowę, podniosłam głowę i zobaczyłam w drzwiach Bena.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą?

- Pod warunkiem że sam tego chcesz - odparłam. Nie patrzyłam mu w oczy.

- Chcę.

- Dobrze. Przedtem muszę jeszcze coś załatwić. Wrócę po ciebie. - Szłam już do drzwi. Nie mogłam

się zatrzymać, musiałam pozwolić się nieść adrenalinie. W przeciwnym razie bym zmiękła.

Zanim wyszłam, udało mi się jednak do niego odwrócić i powiedzieć:

- Dzięki.

Chciałam się dowiedzieć, co się stało z Jenny. Dlaczego wyszła z lotniska, mimo że od całkowitej wolności dzieliła ją tylko godzina? Musiałam wyjaśnić, jakim cudem Carl ją znalazł i dlaczego uznał za wystarczająco poważnego wroga, żeby rozszarpać jej gardło?

Kiedyś należałam do watahy. Liczyłam, że ciągle znam większość jej członków i będę wiedziała, jak się z kilkoma z nich skontaktować. Ale nie mogłam być pewna, że mogę im zaufać i z nimi porozmawiać, nie ściągając sobie na głowę Carla.

Zanim wysiadłam z samochodu, sprawdziłam schowek. Tak, pistolet Bena naładowany srebrnymi kulami ciągle był w środku. Ben był beznadziejnie praktyczny, a ja cały czas byłam na niego zła.

Zatrzasnęłam schowek z nadzieją, że nie będę potrzebowała broni i że nie będę musiała w ten sposób znów udowadniać, że miał rację.

Shauna znałam z czasów watahy. Większość czasu spędzał samotnie i dlatego do niego zwróciłam się w pierwszej kolejności. Jak większość wilkołaków należał do watahy ze względów bezpieczeństwa, ze względu na przewagę liczebną, pewność stałego terytorium, na którym można było biegać podczas pełni. Nie robił kłopotów, okazywał właściwy szacunek parze alfa i w ten sposób zapewniał sobie spokój. Nie należał do grupy tych, którzy byli na tyle ślepo oddani Carlowi, żeby za niego walczyć i ginąć. Na to liczyłam... a także na to, że potrafię wystarczająco szybko biegać, gdybym pomyliła się w ocenie.

Z drugiej strony, musiałam liczyć na to, że chociaż był samotnikiem, wiedział wystarczająco dużo na temat watahy, żeby mi powiedzieć, co się stało z Jenny.

W dawnych czasach - czyli zaledwie przed rokiem (musiałam sobie przypomnieć, że opuściłam watahę niespełna rok temu) - Shaun był kucharzem w modnym barze w Lodo, niedaleko stadionu baseballowego, i zwykle brał nocną zmianę. Zabawne, jak wiele likantropów lubiło pracować nocą.

Najpierw zadzwoniłam, żeby spytać, czy ciągle tam pracuje. Pracował, a nawet awansował na kierownika zmiany. Wyglądało na to, że chłopak miał ambicje. Zjawiłam się na miejscu jakiś czas po wieczornych godzinach szczytu i podeszłam od razu do tylnego wejścia. Otwarte drzwi w bocznej uliczce prowadziły bezpośrednio do czystej, białej kuchni. Pomocnik kelnera wyrzucał worek ze śmieciami do pobliskiego kubła, a mnie dobiegły odgłosy rozmów, szcęk naczyń i szum wody z kranu, przeciwwaga pobliskich dźwięków ulicy. Wypływająca z kuchni fala powietrza przyniosła woń smacznego jedzenia i cudownych przypraw, który całkowicie przytłumił zapachy miasta.

Przyjemny aromat sprawił, że aż się uśmiechnęłam.

- Hej - zawołałam do chłopca, kiedy się odwrócił, żeby wejść do środka.

- Tak? - Był gburowaty, nieufny, skoncentrowany na pracy i pewnie nieprzyzwyczajony do widoku blondynek na zapleczu.

- Możesz przekazać Shaunowi, że ktoś chce z nim porozmawiać?

- On cię zna?

- Powiedz, że czeka na niego Kitty. - Postanowiłam grać w otwarte karty. Jeśli Shaun nie będzie chciał

wyjsć, żeby ze mną porozmawiać, sama do niego pójde.

Chłopak skinął głową, wrócił do środka i zostawił mnie samą na kilka minut, żebym mogła poszurać butami po asfal-cie. Nie chciałam wchodzić do środka. Wolałam pogadać na zewnątrz, na otwartej przestrzeni. Na neutralnym gruncie... z mnóstwem dróg ucieczki.

Nie powinnam tego robić. Ciągle jeszcze mogłam wyjechać z miasta.

W drzwiach pojawił się młody mężczyzna przeciętnego wzrostu i masywnej budowy. Oparł się o framugę, skrzyżował ręce i skulił ramiona. Czujna, obronna postawa wskazywała na to, że nie będzie wszczynał walki... ale nie miał też zamiaru ustępować mi pola. Miał krótkie, czarne włosy i skórę w kolorze kawy z mlekiem. Na koszulę i dżinsy narzucił fartuch kuchenny, a wokół niego unosił się zapach dzikości, futra ukrytego pod skórą, likantropa. Ktoś, kto nie wiedziałby, czego szukać, nigdy by w nim tego nie dostrzegł.

- Cześć, Shaun - zagaiłam, licząc na to, że mój głos brzmi przyjaźnie i nieagresywnie. - Co słysząc?

- Co tutaj robisz? - spytał zamiast powitania. Nawet nie próbował udawać przyjaznego nastawienia i nie mogłam go za to winić.

- Opowiedz mi o Jenny.

Shaun pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Nie mogę z tobą rozmawiać. Carl jest wściekły. Nigdy nie widziałem, żeby wściekł się tak bardzo, jak teraz na ciebie. -To już było coś. Carla wkurzało mnóstwo rzeczy.

- Ale jeszcze nie jest tak wściekły, jak niedługo będzie -odparłam i uśmiechnęłam się z upiorną słodyczą.

Shaun odsunął się od drzwi i zaczął wchodzić do środka, ale moje słowa zatrzymały go. Obejrzał się na mnie powoli przez ramię. Całe ciało miał naprężone ze strachu i niepewności - jego ramiona były sztywne, zaciskał pięści. Wyrażał gotowość do ucieczki, gotowość do walki, gdyby było trzeba.

Rozpoznałam tę postawę, bo sama wielokrotnie się tak czułam. Przyglądał się mi, a jego ciemne oczy lśniły.

- Zrobisz to - powiedział. - Przejmiesz jego miejsce. Nie mówił: „rzucisz mu wyzwanie” albo

„spróbujesz przejąć jego miejsce”. Powiedział: „zrobisz to”. Jakby wierzył, że jestem w stanie. To mnie zelektryzowało, przeszły mnie ciarki, od których włosy stanęły mi dęba.

Uważał, że jestem silniejsza, więc może uda mi się przeciągnąć go na swoją stronę. Może.

- W tej chwili chciałabym tylko wiedzieć, co się stało z Jenny. Wsadziłam ją do samolotu. Miała się znaleźć w samolocie, z dala od Carla. Jak ją dopadł?

W postawie Shauna zaszła zmiana. Zniknęła ostrożność, a na jej miejsce pojawiło się... coś innego.

Nie byłam w stanie odczytać nowego rodzaju napięcia, które ściągnęło mu twarz. Czy to mógł być żal? Czekałam, aż weźmie się w garść.

Kiedy w końcu się odezwał, mówił cichym, pełnym wahania głosem.

- Zadzwoiła do niego z hali odlotów. Chyba się wystraszyła. Mówiła o tym, że uciekła, kiedy nie było go w pobliżu. Ale brzmiało to tak, jakby mówiła o wygranej na loterii. Nikt w nią nie wierzy, sama w siebie nie wierzy. A potem zmieniła front i na jednym wydechu wyznała mu, że bardzo go kocha i nie chce go skrzywdzić. Jakby nie miało żadnego znaczenia to, jak bardzo on ją krzywdził. -

Na twarzy Shauna odmalowała się gorycz. - Cieszyłem się, kiedy zniknęła. Myślałem, że naprawdę to zrobiła, uciekła od niego i wyjechała. Nie obchodziło mnie, jak to zrobiła, nie obchodziło mnie, gdzie się udała, ważne było, że wyjechała. Ale zadzwoniła do niego, a Carl odwiódł ją od pomysłu wyjazdu.

Sięgnął po całą tę gównianą gadkę w stylu „jesteśmy watahą, tworzymy rodzinę, potrzebuję cię”.

Ciągle miał na nią wpływ. Nie mogę jej tak naprawdę winić... ciężko jest odejść. Sama wiesz najlepiej.

Pokręciłam głową.

- Nieprawda. Ciężka jest świadomość, że gdybym zrobiła to wcześniej, być może T.J. dalej by żył.

- Masz rację.

- Zadzwoiła do niego. Odebrał ją z lotniska. Gdzie ją zabrał? Do ich domu? - Meg i Carl mieli dom na zachód od miasta, u podnóża gór, z łatwym dostępem do lasu, w którym można było biegać podczas pełni.

- Nie zajechali aż tak daleko - mówił dalej Shaun. Po czym dodał szybko: - Nie było mnie na miejscu.

Dowiedziałem się o wszystkim dopiero później. Gdybym tam był, próbowałbym go powstrzymać. Ale trzymałem się od niego z daleka. Zaangażował się w jakieś pieprzone porachunki Arturo, a ja nie

chcę mieć z tym nic wspólnego.

- W mieście były też inne likantropy - powiedziałam. - Obce. Carl nasłał na nie watahę. Porzucił ciało Jenny z resztą trupów. Kiedy odbierał ją z lotniska, musiał już wiedzieć, że ją zabije.

- Znasz go równie dobrze jak ja. Sama mi powiedz.

.- Wiedziałaś, co zrobi, i nawet nie próbowałaś go powstrzymać.

- A co miałem według ciebie zrobić?! - krzyknął.

Nie wzdrygnęłam się, bo jego gniew nie był wymierzony we mnie. I tak nie miało to większego znaczenia, bo byłam wystarczająco wściekła na samą siebie. Byłam tak blisko. Jenny była tak blisko.

Jak mogła czekać na ulicy, jak mogła wsiąść do jego samochodu, znając go na tyle dobrze, na ile musiała go znać? Wiedząc, że jest co najmniej zdolny do tego, żeby ją skrzywdzić? Wiedząc, że jest zdolny do tego, żeby ją zabić?

Zrzuciłam wszystko na głupie przepisy bezpieczeństwa, przez które nie mogłam bez biletu odprowadzić jej bezpośrednio do samolotu. Powinnam się była domyślić, że nie wystarczy odprowadzić jej do wykrywacza metalu. Nie powinnam była odetchnąć z ulgą, dopóki nie dostałam telefonu od Alette, że Jenny dotarła bezpiecznie na miejsce. Dlaczego miałam tak cholernie dużo zaufania? Wyobrażałam sobie, co Carl musiał jej powiedzieć: „Potrzebujesz mnie, mogę się tobą zająć, jesteś jeszcze szczeniakiem, jesteś za słaba na samodzielność, pozwól mi po siebie przyjechać, uratuję cię przed tobą samą”. Całkowicie złamał jej opór, nic nie zostawił. Zero pewności siebie, zero celu... zero samej siebie.

A jakaś część niej mimo wszystko go kochała. Można było wydedukować, że do niego zadzwoni.

Należało się domyślić, że dopadną ją wątpliwości, jeśli nie będzie przy niej kogoś, kto będzie jej powtarzał, co zyskuje, odchodząc od Carla. Oparłam się o brudny od sadzy mur, otarłam oczy i powstrzymałam łzy. Nic to nie dało. Czułam się pokonana i wykończona.

- Przynajmniej próbowałaś - zauważył Shaun. - To i tak więcej, niż zrobił ktokolwiek inny. - Odwrócił

głowę, przelękając wstyd.

- Nie byłbyś w stanie sprzeciwić się Carlowi, tak samo jak ona - powiedziałam. - Tylko TJ. był do tego zdolny.

- Lubiłem go. - Wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się smutno. - Wszyscy go lubili. Był spośród nas najlepszy. Po tym jak... no wiesz, nie było większego sensu, żeby się sprzeciwiać Carlowi.

Musiał być sposób na to, żeby załatwić sprawę sprytem, a nie przy użyciu siły. Nie byłam aż tak brutalna.

Popatrzyłam na Shauna, a potem spróbowałam spojrzeć w głąb niego, jakbym mogła wszystko zobaczyć: jego umysł, duszę, obawy. Patrzyłam oczami wilczycy.

- Jeślibym cię potrzebowała, jeślibym cię wezwała... zjawisz się? Kiedy opracuję już plan, staniesz po mojej stronie?

Wyraźnie było widać jego niepewność. Zaczął szurać nogami, popatrzył w niebo, skrzywił się i zmrużył oczy w świetle latarni. Nie chciał odpowiadać. Nie patrzył na mnie. Nie chciałam na niego naciskać - prosiłam go o bardzo wiele: żeby wyłamał się z szeregu, a może nawet położył na szali swoje życie. Ale nie miałam czasu na czekanie.

- Shaun? - spytałam ponagląco. Należało w ten sposób postawić sprawę. Musiałam mówić tak, jakbym wiedziała, co robię.

Wziął głęboki wdech, a potem spojrział na mnie.

- Jeśli masz dobry plan - powiedział. - To tak. Poczulałam przyływ sił.

- Dziękuję. Dam ci znać, kiedy się zaczniesz.

Odeszłam, nie spoglądając więcej na Shauna. To, że odwróciłam się do niego plecami, było oznaką zaufania i siły. Wilczym sygnałem.

A teraz plan...

Kiedy jechałam z Benem na spotkanie z Rickiem, oddzwoniła Hardin. Nie spodziewałam się, że tak szybko będzie coś dla mnie miała. Z miejsca stłumiła moje nadzieje na jakiegokolwiek postępy w sprawie.

- Cook wymeldowała się z Brown Pałace w poniedziałek - powiedziała. - Podobno wyjechała z miasta.

Z jednej strony poczułam ulgę. Nie będzie więcej nam komplikować sytuacji. Z drugiej strony niczego się już jednak od niej nie dowiemy.

Hardin mówiła dalej:

- Zabawna sprawa. Wszystkie jej koncerty na najbliższy tydzień zostały odwołane.

- W takim razie może być wszędzie.

- Przydzieliłam kogoś do przejrzenia nagrań z kamer hotelowych z zeszłego tygodnia. Może uda nam się dotrzeć do jej współników. Sprawdzić, czy ma jakieś powiązania z magazynem albo z tym twoim mistrzem wampirów.

Miałam wrażenie, że to trochę za mało, ale nie chciałam narzekać.

- Dziękuję, pani oficer.

- Jedna sprawa mnie nurtuje - powiedziała. Przygotowałam się na trudne pytanie, dopóki nie dotarło do mnie, że mówi to ze śmiechem w głosie. - Czy to ja wyświadczam ci teraz przysługę, czy ty mnie?

- Może uznajmy, że jesteśmy kwita - zaproponowałam. Rozłączyła się.

Rick wybrał chyba najbardziej obskurną norę w całym East Colfax. Kiedy podałam Benowi adres, zareagował z lekkim opóźnieniem.

- Nie pojedziesz tam - stwierdził.

- Skąd w ogóle znasz to miejsce?

- Padłabyś, gdybym ci powiedział, ile spraw o zabójstwo ma związek z tą knajpą.

- A w ilu z nich byłeś obrońcą?

- W dość wielu, by wiedzieć, że nie mamy tam czego szukać. - Ben był może o kilka szczebli wyżej pod względem moralnym i społecznym od Cormaca, ale i tak o kilka niżej od normy.

- Rick się nami zaopiekuje.

- Tak jak resztą swoich ludzi?

- Nie musisz iść, jeśli nie chcesz.

- Nie pójdziesz tam sama.

Słyszając jego stanowczość, poczułam ciepło w sercu, mimo że się kłóciliśmy. Lubił mnie... Od wielu dni nie przestawaliśmy przerzucać się złośliwościami. Poznawaliśmy swoje słabe punkty i oboje byliśmy z gatunku tych, którzy próbowali na nie naciskać. Nie wiedziałam, jak przestać.

Knajpa znajdowała w starej, ceglanej kamienicy i nie miała żadnego szyldu. Jeśli nie wiedziałeś, że to tutaj, to znaczyło, że nie powinieneś się w tym miejscu znaleźć. Tego typu lokalik. Czulałam się jak w filmie gangsterskim i w ogóle mnie to nie pocieszało. Okna były zakratowane. Nawet przy wejściu znajdowały się kraty. Mieszczący się obok zarośnięty placzyk służył za parking i był zastawiony zbieraniną starych gruchotów i nowych błyszczących pikapów. Na chodniku przed knajpą stało kilka harleyów. Ani śladu bmw Ricka. Ale wampir był zbyt inteligentny, żeby przyjeżdżać tu samochodem.

A może już ktoś zdążył go zwinąć.

Nigdy bym nie przypuszczała, że spotkam Ricka w takiej okolicy. Nigdy bym się nie spodziewała, że spotkam jakiegokolwiek wampira w takim miejscu. Wampiry wołały zwykle elegancję i wyrafinowanie. Nie po to przez setki lat ćwiczyły swój urok i nabierały sił, żeby włóczyć się po takich spelunach.

Ben uparł się, że wejdzie pierwszy, pociągnął mnie za sobą i rozejrzał się po wnętrzu baru. Mój wzrok przyzwyczaiał się do półmroku, a nos mocno pracował. W środku śmierdziało. Alkoholem, głównie starym piwem. Potem robotników. Tytoniem i czymś mocniejszym. Prawdopodobnie metamfetami-ną, nie żebym rozpoznawała jej zapach, ale pomyślałam tak właśnie dlatego, że go nie rozpoznawałam i nigdy się z nim

nie spotkałam. A poza tym... może i zszorowano z podłogi wymiociny, ale ciągle czuć było ich smród.

Nie sądziłam, żeby kontrola sanitarna pojawiała się tu specjalnie często. Staralam się oddychać przez usta.

Na podkręconym na maksa telewizorze nad barem leciał mecz baseballu. Pozostałą część niewielkiej przestrzeni zajmowały rozklekotane stoły i krzesła. Podłoga była z betonu. Większość stolików była zajęta, a bar był obstawiony przez ludzi, którzy rozmawiali, śmiali się i oglądali mecz. W kącie siedziała jakaś grupka, wpatrywała się w telewizor i popijała piwo z dwóch dzbanków. Inna grupka grała gdzieś z tyłu w rzutki. Barman zerkał na mecz, a jednocześnie wycierał blat. Może nie było tu wcale tak źle, choć wydawało się, że to totalna nora. Nawet zbiry musiały się gdzieś relaksować.

Jedną z przygarbionych osób przy barze był Rick. Był zupełnie odmieniony. Rick, którego znałam, w ogóle by tu nie pasował. Wszyscy patrzyliby na niego spode łba i pewnie ktoś by rzucił się na niego przy wyjściu. Był jednak inteligentny i zdawał sobie z tego sprawę.

Ten Rick nie mył od kilku dni włosów, które zwisały mu teraz oklapnięte i lekko przetłuszczone. Na zwykłą czarną koszulkę narzucił znoszoną flanelową koszulę, do tego miał na sobie obszarpane dżinsy i buty robocze. Wyglądał jak ktoś, kto pracował cały dzień na jakiejś mało przyjemnej budowie, gdzie wynagrodzenie dostawało się pod stołem. Rick wpatrywał się apatycznie w telewizor i trzymał w dłoniach kufel piwa.

Gdybym nie wyczuła nieumarłego chłodu wampira, nigdy w życiu bym go nie zauważyła.

Podeszłam do niego, a Ben trzymał się o krok za mną, osłaniając mnie. Był na tyle blisko, że mogłam mu wpakować łokieć pod żebra, gdyby powiedział coś złośliwego. Rick zerknął przez ramię, kiedy się do niego zbliżyłam.

- No widzisz - powiedział. - Wiedziałem, że jeśli się tu ze mną spotkasz, to znaczy, że traktujesz sprawę poważnie.

- Jesteś strasznym draniem, skoro kazałeś jej tu przyjść - skwitował Ben.

Rick uśmiechnął się do mnie.

- Chyba cię lubi.

To było nie do zniesienia. Obaj byli nie do zniesienia.

- Porozmawiamy czy będziemy sobie tylko dogadywać?



- Tam jest stolik. - Rick skinął głową i podniósł się z miejsca.

- Skoro nie będziesz z tego korzystać, ja się napiję. - Wyjęłam mu z ręki piwo. Rick nie oponował, a Ben przewrócił oczami.

Stolik był już zajęty przez wysokiego blondyna, przysadzistego i ponurego. Zarówno jego skóra, jak i włosy wyglądały na spalone słońcem. Oparł się o ścianę, żeby mieć widok na cały bar. Rick stanął

obok niego, a wtedy blondyn podniósł głowę i się uśmiechnął. Ostрым, zimnym uśmiechem. Nie sądziłam, żeby potrafił się uśmiechać inaczej.

- Chyba poznałeś już Dacka - powiedział Rick.

Rzeczywiście pachniał tak samo jak zwierzę w magazynie. W jego oczach niemal ujrzałam patykowate stworzenie o wielkich uszach, które przypominało psa. Obydwa wcielenia charakteryzowały się dziwną czujnością.

- Cześć - zagaiłam, starając się, żeby nie zabrzmiało to nerwowo. - Miło cię poznać, eee, w pełnej postaci. Uśmiechnął się.

- Czołem. - Nawet w tym jednym słowie dało się wyczuć jakiś bliżej nieokreślony akcent.

- Chcesz potrzymać wartę? - spytał Rick i zajął swoje miejsce.

- Pewnie. - Dack wstał spod ściany, poruszając się wolno i z rozmysłem. Jakby miał potężne ciało i oszczędnie go używał. Bez zbędnych słów wziął swoje piwo i zajął miejsce Ricka przy barze. Też miał na sobie dzinsy i flanelę. Jeśli ktoś nie zwracał na nich szczególnej uwagi, pewnie nawet by nie zauważył, że zamienili się miejscami. Rick skinął na mnie i na Bena, żebyśmy się przysiedli.

- Ufasz mu? - spytałam Ricka. Likantrop sprawiał wrażenie, jakby oglądał bez zainteresowania mecz.

Zastanawiałam się, czy nas słyszy.

- Tak - odparł Rick. - Chociaż mam pewnie powody, żeby mu nie ufać. Uratował mi już dwa razy życie. Ja uratowałem życie jemu. To chyba coś znaczy.

Rozumiałam tego rodzaju kalkulacje.

- Skąd on jest?

- Z południowej Afryki. Znam go od piętnastu lat, Kitty. Dłużej niż ciebie.

- To niejedyne kryterium zaufania.

- Ale wystarczająco dobre, żeby stwierdzić, czy się kogoś zna.

- Ktoś cię musiał wydać, Rick. Możesz ufać Charliemu i Violet?

- A czy mogę ufać tobie? Wiedziałaś, gdzie mamy bazę. Lista osób, które mogły to zrobić, jest bardzo krótka.

- Ale po co bym miała komuś o tym mówić? - odezwałam się ostro. - Z jakiego powodu miałabym to zrobić?

- Ze względu na bezpieczeństwo. Może zawarłaś układ z Arturo albo z Mercedes. Nie wiem, sama mi powiedz.

Świetnie. Teraz oboje wpadliśmy w paranoję. A ja nie mogłam mieć nawet do niego pretensji o to, że mnie wypytuje. Odetchnęłam głęboko i spróbowałam mówić rozsądnie, nie jak zdrajca.

- Nie wiedziałam, kiedy planowałeś atak. Nie wiedziałam wystarczająco dużo, żeby móc cię wydać.

Sam do mnie przyszedłeś. Nie stawiaj mnie teraz w niezręcznej sytuacji. Odwrócił głowę.

Westchnęłam.

- Rick, jeśli sądzisz, że nie mogę ci pomóc, jeśli mi nie ufasz, powiedz mi, a po prostu sobie pójdę.

Przyglądał mi się, a ja spojrzałam mu prosto w oczy, mając gdzieś wampirze czary. Jeśli miało go to w jakiś sposób uspokoić, warto było zaryzykować.

A jeśli nie ufałam mu na tyle, by wierzyć, że nie będzie stosować na mnie swoich sztuczek, w ogóle nie powinno mnie tu być. Proste i logiczne. On pierwszy odwrócił wzrok.

- Przejdźmy do rzeczy.

Ben zabrał ze sobą dzisiejszą gazetę. Artykuł na pierwszej stronie opisywał makabryczne odkrycie dziesięciu rozszarpanych ciał znalezionych w magazynie przemysłowym. W pierwszym akapicie była mowa o tym, że w śledztwo zaangażowana jest kierowana przez Hardin jednostka do spraw nadprzyrodzonych, po czym następowała konkluzja, że brały w tym udział albo wampiry, albo wilkołaki, albo jedno i drugie. W pozostałej części artykułu nie było już specjalnie dużo informacji.

Hardin zdradziła mi więcej szczegółów podczas naszej porannej rozmowy. Ciężko uwierzyć, że to było dziś rano. Wstępniaki składały się z długiej wyliczanki zagrożeń, jakie nadnaturalni najwyraźniej stanowili dla społeczeństwa, i wyciągały na wierzch rzekome napaści wampirów na kluby nocne w centrum miasta, do których doszło w zeszłym miesiącu, dopytując się, kiedy władze mają zamiar coś zrobić, żeby zapobiec niebezpieczeństwu. Nie miało znaczenia, że wszystkie ofiary też zaliczały się do nadnaturalnych i nadnaturalni nie stanowili aż takiego zagrożenia przed rzezią w magazynie.

Zanim do tego nie doszło, nikt spoza kręgu nadnaturalnych nie słyszał o tego typu jatkach. Ludzie po prostu znikali.

- Czemu Arturo nie sprzątnął po sobie? - spytałam Pucka. - Jest mistrzem Denver. Można by pomyśleć, że będzie się starał to zamaskować, nie chcąc rozgłosu.

- Masz rację, ale Dack zadzwonił na policję tuż przed tym, zanim uciekliśmy - wyjaśnił. To by wszystko tłumaczyło. - Ludzie Arturo nie mieli na nic czasu, bo zaraz zjawiała się policja.

- To musiało go strasznie wkurzyć - stwierdziłam.

- Nie żeby to zmieniało naszą sytuację. Bez względu na to, czy pozbył się ciał, czy nie, moi ludzie i tak nie żyją. - Przetarł sobie ręką twarz.

- Jednak to zmienia naszą sytuację - zauważyłam - bo teraz mamy po swojej stronie oficer Hardin.

- Wyglądasz na kogoś, kto ma plan - powiedział.

- Bo mam.

Siedliśmy, nachylając głowy bliżej siebie, co z miejsca wskazywało, że coś knujemy. Powtórzyłam im to, o czym rozmawiałam z Cormakiem, rozwijając naszą rozmowę o terytoriach i drapieżnikach, o wypłaszaniu z nory i wywoływaniu paniki.

Nie wspominałam o łowcy głów, a mimo to Ben się wszystkiego domyślił.

- To mi wygląda na plan Cormaca. Byłaś u niego.

- Nie planowałam tego - przyznałam. - Tak jakoś wyszło.

- Ktoś taki bardzo by nam się teraz przydał - stwierdził Rick.

- Jeśli możesz przełożyć swój przewrót o jakieś cztery lata, może znajdzie dla ciebie chwilę - wtrącił

Ben. - Obawiam się, że nie mogę - odparł Rick.

- Musimy dorwać Carla i Arturo w tym samym momencie - powiedziałam. - Bez względu na to, co zrobimy, musimy zaatakować obydwu naraz, żeby nie mogli sobie pomóc.

- Ostatnim razem też miałem taki plan. Teraz mamy do tego mniej ludzi, a oni o wszystkim wiedzą.

Skłaniam się ku temu, żeby się poddać i uznać przegraną.

- I gdzie wyjedziesz? Który mistrz pozwoli ci zostać w swoim mieście, wiedząc, że próbowałeś przeprowadzić przewrót w Denver, ale ci się nie udało?

Nie odezwał się, co wystarczyło mi za odpowiedź. Wampiry wołały miasta, bo łatwiej im w nich było o pokarm i mogły zachować większą anonimowość. Nie potrafiłam wyobrazić sobie Ricka gdzieś na wsi. - Udało mi się przeżyć tyle czasu. Coś wymyślę.

- Nie. Wypłoszymy ich. Nie zaatakujemy bezpośrednio, ale uderzymy obok. Będą musieli zareagować i wtedy ich dorwiemy.

- Zareagują - powiedział Ben. - A wiesz, co to oznacza? Zaatakują to, co najbardziej rzuca się w oczy.

Czyli ciebie, Kitty.

- W takim razie dokładnie wiemy, gdzie będą. - Uśmiechnęłam się z lekka obłąkańczo.

- Nie. Bo nie zaatakują cię bezpośrednio. Zrobią dokładnie tak samo i uderzą gdzieś w pobliżu. -

Mówił gwałtownie, wyraźnie artykułując każde słowo. Jakbym go nie słyszała.

- Nie jestem dobrym strategiem, Ben. Co chcesz przez to powiedzieć?

- Twoja rodzina - wyjaśnił Rick. - Zaatakują twoich bliskich.

- Rodziców, siostrę, jej dzieci - dodał Ben. Zamrugałam głupio.

- Nie zrobią tego.

- Zobacz, co Carl zrobił z Jenny. Zrobi to - stwierdził Ben. - Jesteś gotowa na taką grę? Jesteś w stanie wystawić na przynętę własną rodzinę?

Potarłam swoją twarz, która nagle zapłonęła z gorąca, i wsunęłam palce we włosy. Walczyć o siebie to jedno, nawet walczyć z żądzy zemsty. Ben przedstawił wszystko z brutalną szczerością, ale miał rację.

Tak, Carl i Arturo obiorą sobie za cel moją rodzinę. Łatwo było ich znaleźć w książce telefonicznej czy czymś takim. Jeśli w to wejdem, świadomie narażę ich na niebezpieczeństwo. Świadomość, że Carl i Arturo ich zaatakują, oznaczała, że chciałam ich użyć jako przynęty. Byłam świnia, że w ogóle się nad tym zastanawiałam.

Ale i tak to zrobiłam.

Miałam wrażenie, że to nie ja wypowiadam słowa, które wyszły po chwili z moich ust. Nie czułam, że w ogóle coś mówię.

- W takim razie przynajmniej będziemy wiedzieli, gdzie uderzą. Wiemy, gdzie będzie Carl i Arturo, i będziemy na nich czekać. Damy moim rodzicom i Cheryl obstawę. Gdzieś ich przeniesiemy. Możemy zapewnić im ochronę. Jeśli zapewnimy im ochronę, wszystko się uda.

- To ryzykowne - stwierdził Rick.

Czułam, że nie potrafię już nawet skoncentrować wzroku.

- Musimy ich dorwać, zanim kogoś skrzywdzą. Dorwiemy ich, zanim oni dorwą mnie. - Moja rodzina.

Nawet nie będą sobie zdawać sprawy z tego, co się dzieje, nie mogę im tego wyjaśnić. Doskonale wiedziałam, co by powiedziała Cheryl, gdyby się dowiedziała. „Jak mogłaś w ogóle o tym pomyśleć!”

Gdyby cokolwiek się stało Nicky i Jeffy'emu... A mama będzie od jutra w szpitalu. Powinnam do niej zadzwonić.

- Chyba możemy tak zrobić - powiedział Ben. - Chyba jesteśmy w stanie zapewnić ochronę twojej rodzinie i zająć się tymi dwoma.

- Tak? - spytałam z nadzieją. Ben patrzył równie obłąkanym wzrokiem jak ja. Oboje wiedzieliśmy, że Carl naprawdę musi odejść. Na dobre. Oboje wierzyliśmy, że warto było zaryzykować.

- Jeśli uda mi się dorwać Arturo na osobności - dodał Rick - bez jego popleczników i bez wsparcia wilkołaków, jestem w stanie zrobić porządek z nim i z resztą wampirów.

- W takim razie ja będę musiała zająć się Carlem...

- Dasz radę? - spytał. - Widziałem was razem. W jakimś sensie dalej traktujesz go jak samca alfa. Cały czas jesteś przekonana, że jest od ciebie silniejszy.

Zdenerwowałam się. Nie chciałam nawet brać pod uwagę możliwości, że może mieć rację. Miałam ochotę warknąć. Ben dotknął mojej ręki.

- Rick, dam radę - zapewniłam. - Jesteś po naszej stronie?

Oparte na stole ręce Ricka zacisnęły się w pięści, a on zdawał się wnikać w głąb siebie, zagłębiając się w myślach, których nie umiałam odgadnąć. Wyglądał jak drapieżnik, jak osaczony drapieżnik, który robi się coraz bardziej niebezpieczny.

- Jeśli jesteś w stanie zaryzykować wszystko co masz, jak mógłbym odmówić?

- W dalszym ciągu potrzebny nam plan - powiedział Ben z uśmiechem.

Byłam silniejsza od Carla. Musiałam w to wierzyć. Czy mogłam zrobić coś, czego nie mógł zrobić Carl? Czy miałam coś, czego on nie miał? Kiedy zaczęłam o tym myśleć, odpowiedź wydała mi się prosta. Wręcz banalna. Miałam ją przez cały czas pod nosem.

Czy miałam coś, czego nie miał ani Carl, ani Arturo? Miałam. *Nocną Godzinę*.

## Rozdział 10

Rano zadzwoniłam do mamy. Nie odbierała telefonu. Z tatą też nie mogłam się połączyć. Musieli już pojechać do szpitala. Mama nie odpowiedziała na moje pytanie. Nie - tak brzmiała jej odpowiedź. Nie zmieniła zdania. Nie chciała pozwolić mi siebie uratować. Pozostała nam wiara, że zrobią to lekarze i współczesna medycyna.

Prawdę mówiąc, cieszyłam się z tego. A gdyby nauka nie zadziałała, gdyby nie udało się usunąć wszystkiego operacyjnie, to wtedy... zawsze mogę spytać ją jeszcze raz. A potem znów...

Nagrałam się i przeprosiłam, że nie będzie mnie w szpitalu. Mama chciała mieć przy sobie całą rodzinę, kiedy będą ją wieźli na salę operacyjną. Będzie zawiedziona. Ale w tej chwili miałam wrażenie, że najlepszy sposób na to, aby chronić moich bliskich, to trzymać się od nich z daleka.

Mieliśmy plan, ale musieliśmy poczekać z jego wdrożeniem, a czekanie mnie dobijało. Audycja była dopiero w piątek wieczorem. Najpierw należało w ogóle dotrzeć do piątku. Mieliśmy dużo do zrobienia w ramach przygotowań.

Jeśli będziemy ciągle w ruchu, Carl nie będzie w stanie nas znaleźć.

Pojechaliśmy z Benem do Longmont, żeby przejrzeć zawartość schowka Cormaca.

Jeep był zaparkowany obok domu matki Bena, która zajmowała bungalow w pobliżu centrum, jeden z tych uroczych domków wybudowanych w latach trzydziestych, ceglanych, z małymi pokojkami, gankiem od frontu i altanką w ogrodzie.

- Ciągle jeszcze nie poznałam twojej mamy - zauważyłam, kiedy przeszliśmy na tył domu do miejsca, gdzie kończył się podjazd.

- Jest w pracy. Wolę mieć już to za sobą. Nie chce mi się jej tłumaczyć, dlaczego grzebiemy w jeepie Cormaca.

Nie mogłam mieć do niego pretensji. Cormac polował na wampiry i wilkołaki, bo tym się zajmował

jego ojciec, brat matki Bena, a przed nim jego ojciec. Rodzinny biznes. Mama Bena wiedziała wystarczająco dużo, żeby się domyślić, w jakie kłopoty się włądownali. Ben nie powiedział jej jeszcze, że się zaraził likantropią i stał się jednym z wrogów rodziny. Nie miałam pewności, czy jego matka wie, że razem mieszkamy.

Nie przeszkadzało mi to.

Klucz znajdował się dokładnie tam, gdzie mówił Cormac, a Ben wiedział, gdzie jest schowek. Cormac wynajął niewielkie pomieszczenie wielkości garderoby. W pewnym sensie mnie to pocieszyło. Bałam się, że potrzebował całego magazynu, żeby pomieścić swój arsenał.

- Tak, to zdecydowanie się przyda - powiedział Ben po wejściu do środka i zapaleniu światła. - Chyba część z tego należała do mojego taty. Cormac przeniósł to z rancza, kiedy zapowiadało się na to, że zjawią się federalni.

Ojciec Bena - wujek Cormaca - udzielał się w organizacji paramilitarnej w latach dziewięćdziesiątych.

Teraz siedział w więzieniu za nielegalne posiadanie broni i spisek. Ben nie rozmawiał z nim od niemal dziesięciu lat.

Większość sprzętu była uporządkowana i poukładana starannie na półkach. Skrzynki ze strzelbami leżały na samym dole, pozostałe pudła i metalowe kasetki trochę wyżej, tak jak pudełka z kulami - nie musiałam nawet patrzeć, żeby wiedzieć, że dużo z nich było srebrnych. W kącie z tyłu stała większa broń: oszczepy, włócznie - ostrza niektórych z nich lśniły srebrzyście. Na innej półce leżało kilka kusz o różnym kształcie i zasięgu. Z takim sprzętem Cormac mógł zabić wszystko w dowolnie wybrany sposób. Musiał gromadzić to od wielu lat. A może to odziedziczył. Drewno, z którego wykonana była część broni, wydawało się wyszlizgane i pachniało starością.

Ben przyniósł z samochodu pustą skrzynkę i zaczął ładować do niej różne rzeczy. Otwierał kasetki, wybierał albo odrzucał poszczególne sztuki broni, kierując się bliżej nieokreślonymi kryteriami.

Spakował kilka pudełek amunicji i owinął dwa

tuki brezentem, a dopiero potem wystawił je na światło i zapakował do bagażnika.

- Nie ma odwrotu - powiedziałam cicho.

- Hm?

- Uda się nam? A co będzie, jeśli przeze mnie wszyscy zginą?

- Wahasz się? - spytał, opierając się o framugę.

- Trzeba to zrobić. Nie mam pomysłu, jak to zrobić inaczej. Ben uściśnął mi rękę, chcąc dodać otuchy.

Byłam zbyt

wystraszona, żeby zareagować.

Zaproponowałam, żebyśmy pojechali potem na strzelnicę i jeszcze trochę poćwiczyli. Miałam wrażenie, że choćbym nie wiem ile trenowała, to i tak będzie za mało. Strzelaliśmy przez godzinę, zużywając kilka pudełek amunicji.

Zaczęłam pojmować, co takiego jest w strzelaniu. Chodziło głównie o hałas. Nawet gdy miałam nauszники, każdy strzał rozlegał się w mojej głowie niczym eksplozja. Huk niósł się po kościach.

Wytrząsał wszystko inne: zmartwienie, niepokój, strach. Pozostawał tylko ten dźwięk i podziurawiona tarcza kilkadziesiąt metrów dalej. Byłam coraz lepsza. Za każdym razem trafiałam w tarczę. W

większości przypadków trafiałam w sam środek czarnego pola.

Ben i ja nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem.

Kiedy wsiedliśmy znów do auta, Ben założył rękawiczki i wymienił kule w magazynkach na srebrne.

- Skąd Cormac je bierze? - spytałam. - Można je zamówić z jakiegoś katalogu? Ze strony internetowej? - W Laramie jest facet, który je produkuje - wyjaśnił Ben. - Zajmuje się tym od lat.

- Wszyscy kupują je u niego? - Nie. Są też inni producenci. Istnieje cała społeczność... Cormac nie jest jedyną osobą, która się tym zajmuje.

Powinłam się była tego domyślić, ale i tak podziałało to na mnie jak otrzeźwienie. Wpuszczenie odrobiny światła w ten mroczny świat wcale niczego nie rozjaśniało. Pojawiło się przez to tylko jeszcze więcej cieni. Ciemniejszych. Przez

cały ten czas, mimo wszystkich przejechanych kilometrów, w dalszym ciągu niczego nie wiedziałam.

- Społeczność? Istnieje jakiś związek zawodowy? Jakies zjazdy?

Ben tylko się uśmiechnął.

Wyjęłam z opakowania jedną srebrną kulę i położyłam ją sobie na gołej dłoni. Natychmiast zaczęła mnie swędzieć skóra i pojawiła się wysypka w postaci czerwonych plam. Trzymałam kulę, pozwalając, żeby wypalała mi rękę.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Ben.

Nie wiedziałam. Pozwalałam bólowi narastać i wpatrywałam się w lśniącą kapsułkę na rękę.

Błyszczała bardziej niż kule, których używaliśmy do strzelania w papierowe tarcze. Wyglądała jak kawałek zamrożonej rtęci albo rodzaj biżuterii, była prawie piękna. Niemal magiczna. Ten mały drobiazg mógł mnie zabić. A ja trzymałam go obojętnie. Jakbym igrała z ogniem.

Ben wyjął mi kulę z ręki i wsunął do magazynku. Wytarłam rękę o dzinsy. Ból i czerwona wysypka powoli ustępowały.

- Może nie będziemy musieli do nikogo strzelać - zasugerowałam. - Może sami się wyniosą. Może uda mi się ich przekonać, żeby wyjechali z miasta i dali nam spokój.

Ben odczekał dłuższą chwilę, po czym odezwał się:

- Może.

- Nie chcę być zmuszona kogoś zabijać, Ben. Kolejna długa chwila ciszy.

- W takim razie to dobrze, że masz mnie i Dacka. - Schował broń do skrzynki i usiadł za kierownicą.

- Uda się - powiedziałam, kiedy ruszyliśmy.

- Tak - odparł Ben.

W głosie żadnego z nas nie było słyhać pewności. W końcu nadszedł czas.



Rick usiadł na krześle w studiu. Był wyraźnie zdenerwowany, miał rozbiegany wzrok i był

zdecydowanie za blady, nawet jak na wampira. Chciałam mieć już wszystko za sobą, byle tylko znów zobaczyć Ricka w normalnym stanie. Przyzwyczaiałam się do tego, że jest pewny siebie i nawet życzliwy.

Przynajmniej był teraz tym układnym Rickiem, którego znałam, wymuskanym i noszącym drogie ubrania.

- Przyszedłem tu tylko dlatego, że nie mam nic do stracenia - stwierdził.

- Przestań być takim ponurakiem. Będzie fajnie!

Matt w kabinie obok wyglądał, jakby nie był tego taki pewien. Rick też miał sceptyczną minę.

- Musisz zdobyć się na jeszcze odrobinę cierpliwości - powiedziałam. - A potem będzie po wszystkim.

- Zostawiam to tobie. Jesteś zawodowcem. - Założył słuchawki i spojrzał na mnie. - Mam tylko małą prośbę. Musisz się do mnie zwracać Ricardo.

- To twoje prawdziwe imię?

- To imię mistrza.

To była kolejna dziwna rzecz u wampirów. Czemu ksywki stanowiły dla nich aż taki problem?

- Jak sobie życzysz.

W tym momencie kierowałam się wyłącznie czystym entuzjazmem. Show-biznes, maleńka. Matt zaczął odliczanie, po czym rozległa się muzyka.

- Dobry wieczór wszystkim, witam w *Nocnej Godzinie*. Dziś znów rozmawiamy o wampirach. Być może macie wrażenie, że w ostatnim czasie poświęcam dużo audycji wampirom, ale tak bywa. Chyba sporo się ich koło mnie ostatnio kręci. Tym razem będziemy mówić o wampirzej polityce. Podobnie jak każda inna społeczność, mają swoich przywódców, podwładnych, swoje struktury i organizacje, i... własne problemy. Dziś będziemy zgłębiać tajniki życia wampirów, a pomagać nam w tym będzie wyjątkowy gość: sam mistrz Denver, Ricardo.

Te słowa wkurzą niejednego. To trochę tak, jakby kopnąć gniazdo os.

- Witaj, Ricardo, jak się masz w ten piękny wieczór?

- Wprost cudownie - odparł przez zaciśnięte zęby, ale mimo to szczerym głosem. W mikrofonie było słycać tę szczerłość. - Czuję się zaszczycony, że mogę wziąć udział w twojej audycji.

- Dzięki, miło to słyszeć. Zaczynam nabierać przekonania, że większość wampirów toleruje mnie, bo

sądzi, że jestem słodka i niegroźna.

- Och, nigdy bym cię o to nie posądził.

- Zaraz... o co dokładnie? - Uśmiechnął się tylko. - No dobrze, idźmy dalej. Dziś chciałabym zgłębić kilka tajemnic, dotyczących mechanizmów działania wampirów. Zadać pytania, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, by tak rzec. Ale najpierw powiedz mi, proszę, czy nie będziesz mieć kłopotów, jeśli mi na nie odpowiesz? Jeśli zdradzisz tajemnicę?

- Pewnie będę. Tak czy inaczej będę mieć kłopoty.

- A więc bycie wampirem jest dość niebezpieczne.

- Tak. Zazwyczaj. Ludzie zakładają, że nieśmiertelność jest nieodłącznie związana z wampiryzmem.

Ale byłabyś zaskoczona, gdybyś się dowiedziała, ile wysiłku wymaga zachowanie nieśmiertelności.

Stare wampiry są niebezpieczne, bo wiedzą, co jest potrzebne, żeby przetrwać.

- Niech zapamiętają to wszyscy, którzy chcieliby zostać wampirami. A więc, Ricardo, w jaki sposób zostałeś mistrzem wampirów z Denver?

- Dzięki finezji - odpowiedział z całkowicie niewzruszonym wyrazem twarzy. - Czasem wystarczy się po prostu zjawić i oznajmić: „Jestem”. Ach, to było boskie.

- Czy to właśnie w taki sposób zwykle zachodzą tego typu zmiany?

- Zwykle wszystko odbywa się dość brutalnie. Wampiry kierują się instynktem terytorialnym. Nie da się łatwo przejąć obszaru należącego do innego wampira. Ale jestem w pełni przekonany, że moje rządy są lepsze niż rządy mojego poprzednika.

Zabrzmiało to jak kampania wyborcza, co pewnie świetnie oddawało całą sytuację. Tyle że nasza taktyka mogła przerodzić się w zdecydowanie bardziej bezwzględna.

- Lepsze? Pod jakim względem?

- Jest bezpieczniej.

- Dla wampirów...

- Dla wszystkich.

- Zaraz, zaraz, może nie za wiele wiem, ale jestem pewna, że wampiry zwykle trzymają się razem.

Większość prawowitych obywateli Denver nigdy nie miała do czynienia z wampirem i pewnie nawet by się nie zorientowała, gdyby się z nim zetknęła. W jaki sposób mistrz wampirów zapewnia wszystkim bezpieczeństwo w mieście? - Znałam odpowiedź na to pytanie, ale chciałam, żeby

usłyszeli ją moi słuchacze.

- Bo kiedy mistrz wampirów nie jest w stanie zapanować nad swoimi podwładnymi, nad resztą wampirów żyjących w mieście, nikt nie jest bezpieczny. Wampiry zaczynają polować na każdego, kto się napatoczy, działając w niekontrolowany sposób. Zaczynają zabijać. Większość ludzi nie zauważa wampirów, bo znajdują się pod kontrolą. Nie mordują dla krwi. Kiedy nikt ich nie kontroluje... -

Złowieszczo zawiesił głos. - To samo odnosi się do wilkołaków, wiesz o tym.

System - samce alfa zarządzające watahami, mistrzowie panujący nad wampirami - był od wieków przekazywany z pokolenia na pokolenie. Większość osób naszego gatunku wiedziała, że muszą się ukrywać, żeby przetrwać, że muszą starać się nie dopuścić do scenariusza z tłumem dzierzącym pochodnie i widły. Czasem jednak zdarzali się samotnicy, którym brakowało zdrowego rozsądku.

Musieliśmy sami się nadzorować. System był archaiczny, ukształtowany za czasów monarchów i cesarzy. A jednak się sprawdzał, nawet w przypadku kogoś takiego jak Rick, który reprezentował dość zdroworozsądkowe podejście.

- Wiem i może wrócimy do tego w dalszej części audycji. Teraz jednak mam do ciebie pytanie. Nie sądzisz, że cały ten system jest przestarzały? - To go zaskoczyło. Zmrużył oczy i spojrzał na mnie. -

Nie oczekuję - ciągnęłam - że mi powiesz, ile masz lat, bo jeszcze nigdy nie udało mi się nakłonić żadnego wampira, żeby mi to zdradził. Ale powiedz mi jedno: czy urodziłeś się w kraju rządzonym przez króla? Przez monarchę

absolutnego, w czasach, kiedy to faktycznie oznaczało coś więcej niż pościgi urządzone przez paparazzich.

- Tak - odpowiedział ostrożnie Rick.

Wypełniłam kilka luk. Urodził się w Europie, co najmniej dwieście lat temu. Z imieniem takim jak Ricardo była to pewnie Hiszpania. Pozostało jeszcze mnóstwo niewiadomych, jak na przykład kwestia, kiedy zamienił się w wampira i w którym momencie przyjechał do Ameryki oraz - odwieczne pytanie - ile tak naprawdę miał lat?

- Powiedz mi w takim razie, czy Denver naprawdę potrzebuje mistrza, czy może twoim zdaniem system jest przestarzały? - Naprawdę chciałam to wiedzieć i nie miałam pojęcia, co mi na to odpowie.

- Myślałem, że masz mnie przedstawić w dobrym świetle.

- Postanowiłam jednak grać ostro.

Przyjął ze spokojem to, co mu powiedziałam, mrużąc oczy, bez jednego mrugnięcia.

- Chyba już odpowiedzieliśmy na to pytanie. Poznałaś niektóre z tych wampirów i nie sądzę, żebyś naprawdę chciała, żeby zrobiły sobie w mieście wolną amerykankę.

Z mojego punktu widzenia ciężko było stwierdzić różnicę. Wszystkie wampiry wydawały się aroganckie i samolubne. Wszystkie chciały się przekonać, czy mogą tobą zawładnąć, jeśli będą chciały i nie będzie ich przed tym powstrzymywać ktoś taki jak Arturo.

- Masz rację - przyznałam.

- System nie jest absolutystyczny - ciągnął Rick. - Mistrz nie jest monarchą absolutnym. Relacja działa w dwie strony, opiera się na starszej, bardziej feudalnej formie niż cokolwiek, z czym większość współczesnych ludzi miała kiedykolwiek do czynienia. Wampiry zgadzają się na kontrolę mistrza. W

zamian za to on zapewnia im bezpieczeństwo. A jeśli mistrz nie potrafi zapewnić swoim podwładnym bezpieczeństwa, wtedy właśnie system się wali.

- A ty twierdzisz, że dawny mistrz Denver nie był w stanie zapewnić bezpieczeństwa swoim podwładnym.

- Tak właśnie uważam.

- Uruchomimy teraz linię telefoniczną i przekonamy się, jakie inne sekrety uda się nam wydrzeć Ricardo. Witaj, Amando, jesteś na antenie.

- Witaj, Kitty, dziękuję, że odebrałaś mój telefon!

- Nie ma sprawy.

- I Ricardo, o Boże, to dla mnie wielki zaszczyt. - Ostrzegałam Ricardo przed tym uwielbieniem.

Mimo wszystkich odebranych telefonów, w dalszym ciągu wprawiało mnie ono w zakłopotanie.

- O co chciałabyś zapytać, Amando?

- Ricardo, czy jesteś seksowny?

Rick zamrugał i spojrzał na mnie z miną, która mówiła „pomocy”. Wyszczrzyłam się tylko w uśmiechu. To ja byłam tutaj mistrzynią i miałam władzę absolutną. Chciałam zobaczyć, jak się spoci przy odpowiedzi. Czy wampiry się w ogóle pociły? Czemu nikt nigdy nie zapytał o to, czy wampiry się poca?

- Czy mogłabyś zadać to pytanie trochę bardziej konkretnie? - zasugerował Rick, bardzo dyplomatycznie. Pogratulowałam mu w duchu.

- Widziałam różne filmy i wszystkie wampiry są w nich strasznie przystojne. Zaczęłam się więc zastanawiać, jak jest naprawdę. Czy wszyscy mistrzowie są tak powalająco przystojni?

Rick w końcu się uśmiechnął. Może nawet odrobinę się zaczerwienił.

- Obawiam się, że nie jestem odpowiednią osobą do komentowania własnego wyglądu. Kitty, może ty zechcesz podzielić się swoim zdaniem?

- Nie wygląda źle. Ma w sobie coś z wysokiego przystojniaka o południowym typie urody.

- Dziękuję. Jesteś dla mnie aż za dobra - rzucił z sarkazmem.

- Pamiętaj tylko, Amando, że wampirom tak naprawdę zależy na twojej krwi, a wiele z nich próbuje ją zdobyć, starając się wyglądać jak najatrakcyjniej. Seksapil to ich przynęta. Są jak ryby głębinowe z antenką świetlną.

Rick uniósł brew i powtórzył bezgłośnie:

- Z antenką świetlną?

- Mniejsza z tym, idziemy dalej, następny telefon, słucham...

I tak to szło. Musiałam odsunąć plan na później i skoncentrować się na audycji. Chciałam, żeby każdy program był jak najlepszy, a od zawsze chciałam gościć u siebie Ricka. Ten aspekt naszej strategii strasznie mi się podobał.

Po godzinie zaczęłam się martwić, bo spodziewałam się już jakiejś reakcji. Miałam pod ręką komórkę.

Dack pilnował domu moich rodziców, Ben pokoju mojej mamy w szpitalu, a Charlie i Violet domu Cheryl. Mieli dzwonić na policję, jeśli coś będzie nie tak. To był w końcu nagły wypadek, prawda?

Zakładałam, że parę wyjących syren przynajmniej na chwilę powstrzyma wroga. A tylko tego nam było trzeba - krótkiej przerwy, podczas której mogliśmy przeprowadzić ewakuację.

Moja komórka jednak milczała. Co się działo poza studiem? Bałam się spytać.

Nagle zaczęło się. Pierwszy szerszeń wyleciał z gniazda z wystawionym żądłem.

Przez moje słuchawki przebił się głos Matta.

- Kitty, trójka.

To była prywatna linia, na wypadek gdyby ktoś musiał się ze mną skontaktować, omijając całą tę paplaninę. Tylko kilka osób znało ten numer. Ale miałam niejakie pojęcie, kto tym razem dzwonił.

Uruchomiłam połączenie.

- Halo - zaczęłam ostrożnie.

- Katherine, nie mam pojęcia, co ty właściwie wyprawiasz, ale zapłacisz mi za to. Rozumiemy się?

Zostawiłbym cię w spokoju, ale sama opowiedziałaś się po jednej ze stron, więc...

Bingo! Ryba połknęła przynętę. Teraz czas wbić haczyk. Przełączyłam rozmowę na antenę.

- Cześć, Arturo! Dzięki za telefon. Jesteś na antenie w programie *Nocna Godzina*.

- O nie - powiedział. - Nie zrobisz tego. Nie będę brać w tym udziału. - Jego wściekłość sprawiła, że mówił

z wyraźniejszym akcentem. Stracił swój arystokratyczny rys, co kazało mi się zastanowić, kim właściwie był, zanim zamienił się w wampira?

- Jest ze mną Ricardo - odparłam. - Chcesz z nim porozmawiać?

- Rick - odezwał się złowieszczo Arturo. - Wiesz, że w ten sposób nic nie zyskasz.

- Potraktuj to jako pierwszą salwę - zaproponował Rick. Rozsiadłam się, żeby podziwiać fajerwerki.

- Nie byłeś w stanie przejąć władzy, kiedy miałeś przy sobie swoją armię. Dlaczego sądzisz, że uda ci się to zrobić za pomocą audycji w radiu?

- Bo kiedy miałem przy sobie swoją armię, nie byłeś aż taki wściekły.

- Pożałujesz, że ujawniłeś naszą walkę.

- To nie ja zostawiłem dla policji magazyn pełen trupów.

- Katherine pożałuje, że nagłośniła tę sprawę.

- Ona też jest świadoma ryzyka. - Popatrzyliśmy na siebie z Rickiem, porozumiewawczo i z determinacją. Czułam się tak, jakbyśmy byli żołnierzami na tym samym polu bitwy. Do broni, przyjaciele...

- Nie sądzę - rzucił ostro Arturo. Wyobrażałam sobie, że mówiąc to, aż się opluł. - Nie powiedziałaś jej o wszystkim, czym zajmują się mistrzowie. Owszem, kontrolujemy wampiry, owszem, dbamy o porządek. Ale nie powiedziałaś jej wszystkiego, prawda? Nie poinformowałaś jej, o co toczy się stawka, co jeszcze czyha, chcąc przejąć władzę nad miastami... - Rick wyglądał nieswojo i wiedziałam, że Arturo ma rację. Rick nie powiedział mi wszystkiego. Emocje sięgnęły zenitu. - Jeśli Denver upadnie, bo nie będziesz w stanie ich powstrzymać...

- Skąd ta pewność, że nie będę w stanie obronić miasta? - odparował Rick.

- O czym wy, do cholery, gadacie? - wtrąciłam się z osłupieniem. - Co powstrzymać?

Obaj zamilkli. Och, to było coś poważnego. Sekretne życie wampirów wreszcie wychodziło na jaw.

- Czego się boicie? - spytałam ponagłająco. - Czego się boją wampiry?

- Utraty kontroli - wyjaśnił cicho Rick.

- Kontroli? - powtórzyłam. - To o to chodzi? O to, że wam odwali, że ześwirujecie, że zaczniecie sobie podśpiewywać, o tego rodzaju kontrolę?

- Wampirom zależy na kontroli - powiedział Rick.

- Na władzy - uzupełnił Arturo. - Na tym, kto jakiego rodzaju władzę posiada.

- W takim razie muszę wam coś powiedzieć, chłopaki. Wszystkim na tym zależy. Większość ludzi dąży tylko do tego, żeby móc kontrolować własne życie, ale tak czy siak chodzi o władzę. Jedyna różnica polega na tym, że wampirom się wydaje, że są takie strasznie ważne.

Rick chciał mi przerwać:

- Kitty...

- Ciebie też to dotyczy, Rick! Nie jesteś od tego wolny. Może i jesteś lepszy od większości, ale nie zmienia to faktu, że siedzisz tu i mówisz, że wiesz, co jest słuszne i najlepsze. Przykro mi bardzo, ale chyba będziecie musieli zacząć brać pod uwagę także i resztę z nas! - Wow, chyba emocje narastały we mnie od jakiegoś czasu. Nie miałam zamiaru za to przepraszać; trzeba to było powiedzieć na głos.

Na chwilę zaległo milczenie... martwa cisza. Miałam mętlik w głowie, ale szybko pozbierałam myśli, żeby w inteligentny sposób zakończyć moją diatrybę.

Arturo jednak odezwał się jako pierwszy.

- Rick, nie masz w sobie wystarczającej determinacji, żeby sprawować taką funkcję. Chcesz salwę, to dam ci salwę.

Rozłączył się.

Dopiero wtedy zauważyłam, że Matt macha przez szybę

i pokazuje na zegarek. Nie kontrolowałam czasu i niemal przegapiłam koniec audycji.

- No dobrze - zaczęłam szybko mówić. - Mam jakieś dwadzieścia sekund, żeby wyjaśnić, co się właśnie stało. Nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić; mogę tylko powiedzieć, że owszem, Ricardo jest moim znajomym i ma paru rywali. Niech pamięta o tym każdy, kto widzi w wampiryzmie sposób na rozwiązanie swoich problemów. Będąc wampirem, zamienia się po prostu jedne problemy na inne. Uważajcie na siebie i słyszycie się znów za tydzień. Mówiła Kitty Nomlle, głos nocy.

Zgasła lampka sygnalizująca, że jesteśmy na antenie, a ja zobaczyłam, że Matt wzdycha z ulgą.

- Oczywiście, masz rację - odezwał się cicho Rick. - Przez setki lat rządaliśmy naszym światem kosztem innych. Ciężko zerwać z takim nawykiem.

Spróbowałam się przyjaźnie uśmiechnąć.

- To miło, że tak mówisz. Ale później porozmawiamy na temat waszej filozofii politycznej. Pamiętaj, że to była dopiero pierwsza faza.

Matt wszedł do studia ze swojej kabiny.

- Kitty, co się dzieje?

Zbieraliśmy się już z Rickiem do wyjścia.

- Dam ci znać, jak będzie po wszystkim.

- Nie podoba mi się to.

- I dobrze, bo nie powinno. Matt... zrób coś dla mnie. Jeśli zaczniesz tu dziać cokolwiek dziwnego, jeśli zobaczysz jakieś podejrzaną osobę, kogoś, kogo nie powinno tu być, albo jeśli ktoś nieoczekiwanie zniknie, zadzwoń na policję. Nie czekaj na nic, nie wahaj się. Dzwoń od razu.

- Kitty, co się tu, do cholery...

- Przepraszam, nie mogę ci wyjaśnić. Później się zobaczymy. - Miałam taką nadzieję. Serce waliło mi jak młotem. Carl i Meg nie musieli nawet ruszyć łapą, żeby mnie zabić. Sam stres spokojnie wystarczy. Wyszliśmy ze studia jakieś cztery godziny przed świtem i czekaliśmy przed budynkiem.

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na to, co chciałam zrobić. Ben czekał już na parkingu. Shaun zajechał zgodnie z planem, zaraz po audycji, tak jak go prosiłam. Moja wataha była coraz większa, pomyślałam z przestraszaniem.

Podrażniliśmy Arturo, najwyższy czas rozwścieczyć Carla. Musiałam działać, jak najszybciej zabrać się do roboty, zanim dopadną mnie wątpliwości. Nie było jeszcze za późno, żeby się ze wszystkiego wycofać, prawda? Kiedy Ben i Shaun podeszli do nas, powiedziałam:

- Cześć, chłopaki.

Zmierzyli się nieufnie wzrokiem i zachowywali się dość dziwnie. Ich wilki wyrażały się w rzucanych z ukosa spojrzeniach, w próbach niepatrzenia na siebie otwarcie, w sposobie, w jaki się do mnie zbliżali - równolegle do siebie, tak żeby przypadkiem nie znaleźć się obok drugiego. Mierzyli się wzrokiem, nie rzucając przy tym wyzwania. Ciekawe, czy w ogóle zdawali sobie sprawę z tego, że tak robią? Rozluźniłam się, żeby wiszące w powietrzu napięcie nie wzrosło jeszcze bardziej. Ben i Shaun musieli ze sobą współpracować. Powinni sobie ufać. Mieli stanowić watahę, mimo że nigdy wcześniej się nie spotkali. - Ben to Shaun, Shaun to Ben. - Nie podali sobie rąk. Skinęli tylko głowami, wbijając wzrok w ziemię i zachowując między sobą bezpieczną odległość. Ich nosy pracowały, nozdrza się rozszerzały. - To twój - odezwał się Shaun, a ja usłyszałam w jego głosie niewypowiedziane pytanie:



„To twój samiec, twój alfa, czyli ja też w takim razie muszę okazać mu uległość?”

- Tak - potwierdziłam. Shaun skinął głową, po czym zrobił krok w tył, przyznając pierwszeństwo Benowi. Ustępując mu miejsca.

Boże, to było dziwne.

- No dobra - powiedziałam. - Ruszmy się.

- Udanego polowania, Kitty - rzucił Rick i wsiadł do swojego bmw. Jechał do szpitala pilnować mojej mamy, przynajmniej do świtu. - Uważajcie na siebie.

- Ty też.

Wszyscy troje władowaliśmy się do mojego auta.

- Gdzie jedziemy? - spytał w końcu Shaun, kiedy wjechałam na szóstkę w kierunku Golden. Nie zapoznałam go jeszcze ze szczegółami planu. Powiedziałam tylko, że potrzebuję go do ekspedycji.

Ufał mi na tyle mocno, że nie zadawał więcej pytań.

- Jedziemy na parking przy dziewięćdziesiątce trójce. Zostawimy tam samochód i skierujemy się na wzgórze. A potem oznaczymy terytorium.

- Żartujesz - powiedział Shaun.

- Określenie „sikanie na odległość” nabiera zupełnie nowego wymiaru - skwitował z uśmiechem Ben.

Shaun gwizdnął cicho.

- Carlowi się to nie spodoba.

- I o to właśnie chodzi. To nie pełnia, więc go tu nie będzie. Nie będzie nikogo z watahy. Nie zorientuje się, co zrobiliśmy, póki nie wyjdzie jutro rano z domu i nie wciągnie powietrza w płuca. -

Nie chciałam być wtedy w pobliżu niego. Jeśli dobrze to rozegramy, wyczuje wszystko w powietrzu: obcą watahę, która naruszyła jego teren. Wyczuje nas.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem. Brzmi super - dodał Ben. Nie wiedziałam, czy żartuje.

I czułam się okropnie, bo mimo że poznał Carla i Meg, tak naprawdę nie miał pojęcia, w co go wciągają. Może czasem pomagał Cor-macowi polować na wampiry i wilkołaki, ale nigdy nie musiał

walczyć o władzę jako jeden z nich. Zwykle toczył bitwy na sali sądowej, w której ludzie przestrzegali pewnych zasad. Szłam na żywioł, łagodnie mówiąc.

- Oszalałaś - mruknął Shaun. - Mamy przerąbane. Jesteśmy już martwi.

Ben spojrział na niego ze swojego siedzenia w samochodzie.

- W takim razie po co w ogóle z nami jechałeś?

- Nic nam nie będzie - zapewniłam. - Będziemy w ciągłym ruchu. Nie zatrzymamy się w jednym miejscu na tyle długo, żeby zdążyli nas namierzyć.

Shaun nie odpuszczał.

- Łatwo ci mówić, kiedy jesteś w postaci człowieka. Ale jak chcesz pamiętać o naszym wielkim planie jako wilczyca? Jak ja mam pamiętać?

- Przypomnę ci - powiedziałam na tyle niskim głosem, żeby można go było uznać za warknięcie. Mój głos i szybkie

spojrzenie w lusterko wsteczne kazało mu się uspokoić. Skulił się odrobinę.

Taka władza mogła uderzyć człowiekowi do głowy. Nie teraz. Czekala mnie robota.

- Shaun, jeśli nie jesteś pewny, nie musisz tego robić. Wypuszczę cię z auta, odwiozę cię, jak wolisz.

- Nie, jestem pewny. Tylko trochę się denerwuję. Nic poza tym.

Równie dobrze mógł powiedzieć „przerażony” i byłoby w tym tyle samo prawdy.

- Wiem. Pamiętaj tylko o całości. Na dłuższą metę to wszystko ma poprawić sytuację. Ma sprawić, że osoby pokroju Jenny nie będą ginąć.

- Tak, wiem.

Ben położył mi rękę na udzie - dodawał mi otuchy. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem spięta, dopóki nie drgnęłam w reakcji na dotyk. Ale jego ręka przelewała we mnie spokój.

Zachowaj spokój. Wszystko się uda.

Przyjechaliśmy za wcześnie. Szybciej niż myślałam. O drugiej nad ranem nie było specjalnego ruchu na drodze. Może dlatego.

- Ciągle możemy się jeszcze rozmyślić - powiedziałam po zgaszeniu silnika.

- To ty jesteś samicą alfa - zauważył Ben. - Czy nie to właśnie zawsze powtarzasz? My nie mamy nic do gadania.

- Ben... - zabrzmiało to jak skowyt.

- Jesteście małżeństwem? - spytał Shaun. - Bo gadacie, jakbyście byli.

Oparłam czoło o kierownicę i jęknęłam.

- Jakim cudem moje życie przybrało taki obrót? - Nie chciałam nawet widzieć, jak Ben zareagował na tę uwagę.

Shaun odezwał się szybko:

- Nie, nie, w pozytywnym sensie. Zupełnie inaczej niż Carl i Meg.

- A jak oni gadają, kiedy się kłócą? - spytałam.

- Nie kłócą się. Nawet ze sobą nie rozmawiają. W porównaniu z nimi jesteście jak Ozzie i Harriet.

Ben pogłodził mnie po ramieniu.

- Chodź, kochanie. Jak będzie po wszystkim, wrócimy do domu i będziesz mogła mi zrobić drinka i podać kapię.

Wysiedliśmy z samochodu.

- O nie. Nie wydaje mi się. Ben zerknął na Shauna.

- Widzisz? Wcale nie jesteśmy jak Ozzie i Harriet. Shaun pokręcił głową, a ja miałam nieodparte wrażenie,

że miał ochotę się roześmiać.

Wzgórza i wąwozy ciągnęły się na północ i zachód, wiodąc do Flatirons i z grubsza wyznaczając zachodnie granice terytorium Carla. Zapuszczał się czasem ze swoimi wilkami dalej, ale ten fragment pogórza i równin był ich ulubionym miejscem. Kopanie gniazda os. O tak.

Wilczyca zwinęła się we mnie, jakby moje wnętrze ruszyły już w drogę, mimo że ja jeszcze tego nie zrobiłam. Chociaż raz się w czymś zgadzałyśmy. Wilczyca była równie mocno wkurzona na Carla jak ja. Carl zdradzał zaufanie wilków; zabijał wilki, które znajdowały się pod jego opieką. Nie był

dobrym przywódcą i musieliśmy coś z tym zrobić.

Zaczęłam wchodzić pod górę i zapuszczać się w las. Wyczułam raczej, niż zobaczyłam, że Ben i Shaun się zawahali, po czym poszli za mną. Nawet jeśli któryś z nich by się do mnie odezwał czy zawołał mnie, chyba nie potrafiłabym odpowiedzieć. A przynajmniej nie ludzkim głosem.

Wkraczałam już w świat wilczycy.

Najpierw trzeba było znaleźć norę. Znalazłam miejsce, w którym rosła kępa młodych sosen, na wzgórzu, niedaleko kanionu Coal Creek. Drzewa rosły nad osłoniętą niecką, której nie było widać ze zbocza. Mogliśmy schować w tym miejscu nasze ubrania, a potem bezpiecznie się tu przespać. Poza tym znajdowaliśmy się stosunkowo blisko samochodu, co było ważne przy szybkiej ewakuacji, jaką musieliśmy rano przeprowadzić.

Zaczęłam się rozbiierać i ściągać koszulę. Shaun zrobił to samo. Ben przyglądał się nam.

- To dziwne - stwierdził. - Robić to na oczach kogoś obcego. To tak, jakby uprawiać seks przy niezastłoniętych oknach.

Nie miał żadnego doświadczenia z prawdziwą watahą, w której nagość nie miała nic wspólnego z seksualnością, lecz była czymś naturalnym. Zmieniał się tylko przy mnie. I owszem, kiedy następnego dnia budziliśmy się wtuleni w siebie, zwykle dochodziło do seksu. Nie mogłam mieć mu za złe, że tak mu się to kojarzy. Ale i tak miałam.

- Możesz przestać świntuszyć?

- Możemy mu zaufać? - Głos Bena nabrał nagle powagi. I miał rację. To była wojna, a szpiegów nie brakowało. Znałam Shauna wyłącznie z przeszłości i wiedziałam, że wtedy nie lubił Carla.

- Możesz mi zaufać - odparł Shaun; zdjął już koszulę, rozpiął dzinsy i był na wpół rozebrany. - Ja jej ufam. - Spojrzał na mnie tak, jak podległy wilk patrzy na osobnika alfa - tym skupionym wzrokiem, czekając, aż mu powiem, co robić, kiedy skoczyć.

Niczym sobie nie zasłużyłam na takie zaufanie. Jeszcze nie. Nic do tej pory nie zrobiłam. Nie udało mi się uratować Jenny. Skinęłam głową, bo tylko tyle mogłam mu zaoferować.

Rozebrał się do końca, a jego skórę pokrywała lśniąca warstwa potu. Ręce zaczęły mu się już zmieniać i puchnąć, a plecy się zaokrągliły. Ben dostrzegł to; zwinął ręce w pięści, miał mokre włosy. On też był już na krawędzi.

- Ben. - Dotknęłam jego dłoni, a on rozluźnił ją, żeby złapać mnie za rękę. Podeszłam bliżej. -

Potrzebuję cię, tak? Potrzebuję twojej pomocy. Sama nie dam rady.

- Wyglądasz, jakbyś świetnie sobie radziła. - Otarł się policzkiem o moją twarz. Drugą ręką gładził mi plecy. Boże, ależ go pragnęłam. Miałam ochotę rzucić to wszystko i pobiec z nim w las.

Pocałowaliśmy się, a dotyk naszych ust był gorący, pełen napięcia, zdesperowany. Ostatni pocałunek przed bitwą.

- Później - szepnęłam, mając nadzieję, że myśli o tym samym. Pokiwał głową.

Stojący w pobliżu Shaun mruknął... a raczej to, co było przed chwilą Shaunem, mruknęło. Na jego miejscu stał ciemny, srebrzysty wilk, który otrzepał się i popatrzył na nas lśnącymi oczami. Spuścił niepewnie ogon.

Ben drżał, powstrzymując własnego wilka. Zaczęłam rozpinać mu koszulę.

- Chodź. Już czas.

Zdjęliśmy z niego większość ubrań, po czym upadł i zrzucił kopniakiem spodnie, jednocześnie się zmieniając - kości mu miękły, skóra zsuwała się, jego druga postać wynurzała się, pochłaniając go.

Nie wydał z siebie żadnego odgłosu, powstrzymywał wszystkie emocje, dawał się ponieść zmianie.

Płynął jak woda, tak to odbierałam. Jego wilk był rudawoszary, z kremową sierścią w okolicach nosa i brzucha. Oba wilki podeszły do siebie ze spuszczoneymi łbami i zaczęły się obwąchiwać. Ben warknął, a Shaun odskoczył, kuląc pod siebie ogon. Tyle wystarczyło. Hierarchia w stadzie została ustalona. Ben był samcem alfa. Dziwne, ale byłam z niego dumna.

Spojrzałam na swoje dwa wilki. Kiedy uklęknęłam, podbiegły, otarły się o mnie, zaczęły mnie obwąchiwać, a ja je pogłaskałam.

- Dziękuję, że we mnie wierzycie - powiedziałam, a one może mnie zrozumiały, a może nie. Ale Ben machnął raz ogonem.

*Dalej, dalej, dalej...*

I wilczyca miała rację, nie mogłam jej już dłużej hamować. *Trwa wojna.*

*To bitwa, chaos, łamanie tabu, wdzieranie się na terytorium innej watahy. Szuka obcego zapachu, daje się mu ogarnąć... bliskość niebezpieczeństwa sprawia, że sierść się na niej jeży, a w gardle narasta warkot. A mimo to dalej go szuka, a niebezpieczeństwo ją podnieca. Wie, że jesteśmy silniejsi, wygramy, nie mamy wyjścia.*

*Ma swoją watahę. Małą, ale własną. Jej wilki podążają za nią, obstawiając ją z dwóch stron, jej samiec i ten drugi. Stawiając wielkie kroki, pokonują całe kilometry równin i wzgórz, czasem biegnąc, niekiedy skacząc. Przez cały czas*

*znaczą teren, na skrzyżowaniach wszystkich dróg i na rubieżach. Szczególnie długo zatrzymują się w miejscach oznaczonych przez starą watahę.*

*Jest w tym też radość, a ona zatrzymuje swoich współtowarzyszy, żeby się bawić, skakać na siebie, kłapać zębami, cieszyć się. Jej samiec znajduje królika i jedzą. Potem znów biegną, pamiętając o bitwie.*

*Bardziej czuje, że zbliża się świt, niż zauważa oznaki jego nadejścia - jaśniejące niebo, pierwsze odgłosy ptaków. Świadomość wojny kierowała nimi przez kilka pierwszych godzin nocy i ta sama świadomość mówi im, że należy stąd zniknąć wraz z nadejściem świtu. Muszą się przespać, więc prowadzi ich do nory. Cała trójka kładzie się, zwija w kłębek blisko siebie, czując się ze sobą bezpiecznie.*

Obudziłam się w dziwnym miejscu, czując, że jest mi dziwnie ciasno. Leżałam na boku na wyschniętej trawie, a nade mną zwisały gałęzie sosen. Ben leżał przede mną, z głową przy mojej piersi i jedną ręką owiniętą wokół mojej talii, a drugą wciśniętą między nami. Lekko pochrapywał... to było takie słodkie. Drugie ciało przylegało ściśle do moich pleców i oddychało głęboko przez sen. Shaun leżał przy mnie i dotykał mnie swoimi plecami.

Wataha. Pobudka w kłębowisku nagich ciał, poczucie bezpieczeństwa i przyjemne ciepło. Już zapomniałam, jak to jest. Miałam ochotę godzinami rozkoszować się tym uczuciem.

Ale nie byliśmy tu bezpieczni. Znajdowaliśmy się na terytorium wroga i podłożyliśmy moczową bombę zegarową, która mogła wybuchnąć w każdej chwili.

Szturchnęłam Shauna i potrząsnęłam Benem.

- Wstawajcie. Musimy iść. Pobudka, chłopaki.

Ben jęknął i złapał mnie mocno za ręce, przytrzymując w miejscu i jednocześnie przysuwając się bliżej. Miał zamknięte oczy, a ja nie byłam w stanie stwierdzić, czy już się obudził. Po chwili zaczął mnie całować, przesuwając się w stronę mojego ucha, które zaczął lekko skubać zębami.

Zdecydowanie znał moje wrażliwe miejsca. Zaczęłam mięknąć.

- Ben... to... to nie jest... -*Daj spokój*, powiedział we mnie jakiś cichy głosik... *Co to komu szkodzi*. No dobrze, głosik nie był cichy.

O nie. Istniało aż za dużo przesłanek, że to ani miejsce, ani czas na takie zabawy.

- Ben. Poczekaj. - Odsunęłam się i ujęłam rękami jego twarz. Wreszcie otworzył oczy. Potem zerknął nad moim ramieniem na Shauna, który siedział i nas obserwował.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział ze śmiechem, ogarniając nas pożądlivym spojrzeniem.

Ben zerknął na mnie... z uśmiechem i wyraźną irytacją.

- Na to się nie zapisywałem - rzucił i wskazał głową na Shauna.

- Na żadną z tych rzeczy się nie zapisywałeś. - Pocałowałam go w czoło.

- Ozzie i Harriet - skwitował Shaun i pokręcił znów głową. Spiorunowałam go wzrokiem.

- Spadajmy stąd.

Shaun uśmiechał się i wydawał się zdecydowanie za bardzo zadowolony z życia, niż miał do tego prawo. - Dobrze, że wróciłaś, Kitty, że wróciłaś jako dorosła. Zastanowiłam się, jak musiałam kiedyś wyglądać w jego

oczach: byłam słaba. Wydawałam się mała, bezbronna, zdana na łaskę innych. A potem zniknęłam na kilka miesięcy i wróciłam, wszczynając wojnę. I tym się tak cieszył? Musiał widzieć coś, co mi umknęło.

- Dzięki - odparłam i wyciągnęłam do niego rękę. Uścisnął ją, umacniając więzi przyjaźni w

watasze.

Chciałam zmusić ich do grupowego uścisku, bez względu na to, jak bardzo Benowi się to nie podobało.

Ben jednak wypatrywał czegoś pomiędzy drzewami, kierując wzrok w stronę wzgórza.

- Ktoś idzie.

Cholera. Za późno. Za długo zwlekaliśmy.

- Kto? - szepnęłam. Wyprostowaliśmy się i unieśliśmy głowy, węsząc... trzy wilki w ludzkiej postaci, czujne i niespokojne, o wyostrzonych zmysłach.

- To kobieta - stwierdził Shaun. - Idzie pod wiatr. Chce, żebyśmy wiedzieli, że się zbliża.

Kobieta. Meg, pomyślałam w panice. Wzięłam głęboki wdech, wyłapując zapach, który wyczuł

Shaun. Ludzki i dziki - likantrop. I kobieta. Ale to nie była Meg. Rozpoznałabym. Jej zapach ciągle ożywał w moich koszmarach.

Meg by nas nie ostrzegwała. Zaatakowałaby od razu i nie byłaby sama. To była pojedyncza osoba i Shaun miał rację: dawała nam możliwość, żeby jej się dobrze przyjrzeć. Czekaliśmy, nieruchomo i w milczeniu, aż wyłoni się spomiędzy drzew. Była średniego wzrostu i przeciętnej budowy, miała w sobie pewną twardość: ostre rysy twarzy, żylaste nogi. Krótkie, kasztanowate włosy opadały jej lekko na uszy. Była ubrana w koszulkę na ramiączkach i krótkie spodenki. Mogła być kimś, kto wybrał się po prostu na poranny spacer, gdyby nie jej oczy, osłonięte rzęsami i niespokojne. Zaciskała zęby i spinała ramiona, jakby jeżyła sierść.

- Becky - powiedziałam.

To była kolejna wilczyca z watahy Carla, kilka lat starsza ode mnie, zarówno pod względem wieku, jak i długości życia jako likantrop. Była twarda i utrzymywała pozycję w górnej części hierarchii stada. Należała do grona wilków, które świetnie sobie radziły w tym życiu. Moja pierwsza myśl brzmiała: nie doceniłam go. Carl liczył się z tym, że coś takiego nastąpi, i wysłał patrol. Czekał na nas, zostaliśmy przyłapani. Przegraliśmy. Siedząc tak na dworze, naga, w towarzystwie dwóch mężczyzn, siłą rzeczy czułam się tak, jakbym została przyłapana na czymś zakazanym. Zaczerwieniłam się, co mnie zezłościło.

Z drugiej jednak strony, to ona próbowała pomóc Jenny. Co tutaj robiła?

- Co masz zamiar powiedzieć Carlowi? - spytałam. - Pobiegniesz do niego i wygadasz mu, że tu jesteśmy, łatwa zdobycz? Czy właśnie po to cię wysłał?

Pokręciła głową i odezwała się niskim głosem:

- Nigdzie mnie nie wysłał. Wybrałam się na spacer. Żeby pomyśleć. Czasem tak robię. Potem was

wyczułam i przysłałam tu za wami.

Jej słowa zaskoczyły mnie.

- To Carl nie wie, że tu jesteśmy?

- Ale się dowie. Nie próżnowaliście tej nocy. - Uśmiechnęła się lekko i odwróciła głowę. Dla wilka ten gest oznaczał pokojowe zamiary, uległość. Uspokoił mnie.

- Powiesz mu?

- Nie. - Oblizwała wargi. Ze spuszczoną głową powiedziała: - Chcę się do was dołączyć. Weźcie mnie ze sobą.

## Rozdział 11

Sprowokowaliśmy naszych wrogów, chcąc wywabić ich na otwarty teren. Wściekną się, będą nieprzygotowani, zgłupieją, taką miałam nadzieję. Na papierze wszystko dobrze wyglądało. A przynajmniej wyglądałoby, gdybym to kiedykolwiek spisała.

Tymczasem poszliśmy na śniadanie. Miałam teraz czteroosobową watahę. Jak to się stało?

Przy kawie Shaun opowiedział mi, co się działo w stadzie.

- Pamiętasz Gabe'a?

- Tego kuriera rowerowego z Boulder? Trzydziestokilkuletniego. Biegał w maratonach.

- Tak. Był pierwszy. Po T.J.-u Carl wpadł w szal. Myślał, że inni spróbują zrobić to samo. Że wszyscy kwestionujemy jego autorytet. Dowodził swoich racji krzykiem. Większość z nas odslaniała brzuch i godziła się na to. Wiesz, jak to jest. Ale Gabe... Gabe sądził, że może pogadać z Carlem. Przemówić mu do rozsądku. Przemówić do jego ludzkiej strony. Ale

Carl... - Shaun wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, żeby się pozbierać. - Carl posunął się za daleko.

Gabe słuchał twojej audycji. Nie mówił ci o tym. Bał się powiedzieć Carlowi. Naprawdę podobało mu się to, co mówisz. O byciu człowiekiem. Chyba... chyba myślał, że musi spróbować.

Wspaniale. Teraz jego też miałam na sumieniu. Kolejny raz zaczęłam się zastanawiać, czy jestem na to gotowa.

- I tak było ciągle. Carl daje nam w ten sposób ostrzeżenie, narzuca nam swoją dominację. A my i tak ją kwestionujemy. Chciałbym mieć kiedyś własną knajpę. Otworzyć restaurację, bar albo coś w tym stylu. Ale Carl mi grozi. Mówi, że dopilnuje, żeby mi się nie udało. Nie chce, żeby ktokolwiek poza nim coś miał. Nie mogę nic zrobić, wiedząc, że jest w pobliżu. Nie chcę, żeby próbował mnie uciszyć, jak to próbował zrobić z tobą. - Skinął na mnie głową. - Potem zaczął nas wciągać w wojnę



terytorialną Arturo, w ogóle nie przejmując się tym, że możemy zginąć. Nie jestem pewien, czy w ogóle jeszcze widzi w nas ludzi.

Rick mówił, że sytuacja wilkołaków w Denver mocno się pogorszyła. To była moja pierwsza prawdziwa okazja, żeby z nimi porozmawiać.

- Jenny nie była silna - stwierdziłam. - Nie stawiała się. Stracił nad sobą panowanie czy co?

Becky skinęła głową.

- Wygląda na to, że nie potrafi już dłużej siebie kontrolować, a Meg wcale mu w tym nie pomaga. Jest taka sama jak on. Boże, Jenny. Myślałam, że jak uda mi się ją stąd odesłać, będzie bezpieczna.

Sądziłam, że jeśli ktokolwiek będzie ją umiał do tego przekonać, to będziesz ty, Kitty. Powinnam była lepiej się nią opiekować. Gdybyśmy wszyscy bardziej się nią opiekowali... - Shaun położył rękę na ramieniu Becky, uspokajając ją.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim buforem pomiędzy mną a Carlem był T.J. Jak bardzo jego obecność chroniła mnie przed gniewem samca alfa. Kolejna rzecz, za którą byłam mu dłużna i za którą już nigdy nie będę się mogła odplącić.

Jenny nie miała nikogo takiego jak T.J., nikogo, kto by się nią zaopiekował.

Rick od początku mówił mi, że wataha nie była zdrowa, że potrzebowała równowagi. Kontroli i buforów. Wszyscy musieli znaleźć w niej swoje miejsce i dzielić się odpowiedzialnością. Carl wszystkich zastraszył, a co za tym idzie, zgarnął całą władzę. Nie był w stanie jej samemu unieść.

- To tak - ciągnęła Becky - jakbyśmy na coś czekali, na jakiś przełom, na wstrząs. Wypatrywaliśmy szansy, żeby go zdegradować.

- I myślisz, że ja jestem tą szansą - powiedziałam.

- Lepiej, żeby tak było - odparł Shaun - bo inaczej wszyscy zginemy.

- Dlaczego macie we mnie aż taką wiarę? - spytałam ze złością.

Becky nie musiała się nawet zastanawiać nad odpowiedzią.

- Wszyscy widzieliśmy, co ci się przydarzyło w Waszyngtonie. I dałaś sobie radę. Jesteś silna.

Słuchałam twojej audycji. Słyszę to w twoim głosie. Jesteś urodzonym przywódcą. Czekaliśmy na kogoś, kto nas poprowadzi.

Nie byłam na to gotowa. Chciałam się tylko pozbyć Carla, nie zamierzałam przejmować całej watahy.

Zgadza się?

Wzięłam głęboki oddech. To była jedna z tych chwil, kiedy wszystko mogło się zmienić. Czułam, że moje życie zbacza na nowe tory.

- Jeśli w to wierzycie, musicie też uwierzyć, że nie mogę tego zrobić sama. Potrzebuję waszej pomocy.

Becky spuściła wzrok.

- Jeśli dojdzie do walki, będziemy musieli walczyć. Wiemy o tym.

Pokręciłam głową.

- Zrobię wszystko, żeby do tego nie doszło. Walka nie jest moją mocną stroną. Wolę używać inteligencji i sprytu. - Przygotowałam się na jakąś złośliwość Bena. Ale on tylko uniósł brew.

Doceniłam fakt, że powstrzymał się od komentarza, też się powstrzymałam i nie kopnęłam go pod stołem. - Powiem

wam, co macie w takim razie zrobić - powiedziałam. - Zadzwońcie do wszystkich osób w stadzie, które waszym zdaniem zdołacie przekonać do odejścia. A przynajmniej do tego, żeby nie opowiedziały się po stronie Carla, kiedy dojdzie do konfrontacji. Potrzebujemy sprzymierzeńców, a wy znacie teraz watahę lepiej niż ja. Im więcej zdezerteruje, zanim dojdzie do bitwy, tym lepiej dla nas.

Shaun uśmiechnął się szeroko.

- Chciałbym zobaczyć, jak Carl zostaje sam, chociaż myślał, że wszyscy są po jego stronie.

- Nie chcę, żeby wszyscy od razu od niego odchodzili - wyjaśniłam. - Kiedy odejdą, nie będą już mogli wrócić. A jeśli zostaną, będą nas mogli informować o jego planach.

- Albo zapewnić mu złudne poczucie bezpieczeństwa - dodał Ben.

- Będą musieli być naprawdę ostrożni - zauważył Shaun. - Carl i Meg natychmiast wyczują, jeśli coś będzie nie tak.

- To może jednak lepiej, żeby odeszli. Nie chcę, żeby ktokolwiek przeze mnie zginął. Po raz kolejny.

- Nie martw się o nas - zapewnił Shaun.

- Będziemy potrzebować pomocy, zanim cokolwiek w ogóle dotrze do Carla i Meg - powiedział Ben.

- Spodziewamy się, że zaatakują cele zastępcze. Będziemy potrzebować pomocy...

- Cele zastępcze? - powtórzyła Becky, marszcząc brwi.

- Prawdopodobnie będzie to rodzina Kitty. Musimy mieć pewność, że nikomu z nich nic się nie

stanie.

Becky zacisnęła zęby, a Shaun pokiwał głową z nową determinacją. Wataha będzie się rozrastać, wygramy tę wojnę. Wilczyca była tego pewna.

- Dziękuję - odezwałam się. - Wypaliście się? Dacie radę stanąć dziś na warcie?

- Nie ma problemu. Nie martw się o nas - odparł Shaun. Wyrzuciłam Shauna i Becky pod Pokrętłem.

- Zadzwonimy, jeśli coś zobaczymy - powiedział, zanim wysiadł. Wsiedli razem do auta Shauna.

To był niemal jakiś plan. Ben i ja pojechaliśmy z powrotem w kierunku autostrady.

Niektóre badania dotyczące zachowań wilków - dzikich zwierząt, a nie likantropów - sugerują, że wbrew temu, co się powszechnie uważa, przywódcy watahy niekoniecznie są najsilniejszymi, największymi i najtwardszymi osobnikami. Czasem przywódcami były wilki, które potrafiły utrzymać pokój. Miały największe zdolności dyplomatyczne, potrafiły doprowadzić do kompromisu i zorganizować stado tak, żeby potrafiło wydajnie polować i wychowywać młode. Osobnikami alfa były wilki, które potrafiły zachować jak największą liczbę członków stada przy życiu.

Postanowiłam chwycić się tej teorii. Carl był niewątpliwie najsilniejszym i najtwardszym wilkiem w watasze. Ale wataha nie była zdrowa. Carl nie dbał o to, żeby zachować jej członków przy życiu.

Musiałam wierzyć, że ja spisałam się lepiej.

Przed powrotem do domu mieliśmy jeszcze jeden przystanek. Spotkaliśmy się z Dackiem w barze w Colfax. A raczej na parkingu przed barem, ponieważ o tej porze knajpa była zamknięta. W porannym świetle wyglądała na zwykłą rudere.

Dack był sam, miał do dyspozycji suv, którym Charlie i Violet jeździli w zeszłym tygodniu. Kiedy zajechaliśmy, opierał się o maskę ze skrzyżowanymi ramionami i patrzył przez okulary słoneczne.

Wyglądał na pewnego siebie światowca.

- Jakie wieści? - spytałam, wysiadając z samochodu. Wzruszył ramionami i odezwał się ze swoim południowoafrykańskim akcentem:

- Nic. Spokój. Wampiry poszły spać, a twojej rodzinie nic nie jest.

Cała zadrzałam z ulgi.

- Dzięki, Dack - powiedziałam. - Dzięki, że stanąłeś dla mnie na warcie.

Chyba go trochę rozbawiłam.

- Nie ma za co. Co dalej?

- Czekamy. Przekonamy się, kto pierwszy nie wytrzyma. Nie wyłączaj telefonu, bądź gotowy do działania, kiedy coś się zdarzy. Może powinieneś się teraz trochę przespać.

- Później będzie na to mnóstwo czasu - zauważył. Zaczął wsiadać z powrotem do samochodu, ale go zatrzymałam.

- Dack?

- Tak?

Zbierałam opowieści. Dzięki temu mogłam co tydzień prowadzić audycję. Zawsze można było opowiedzieć coś nowego, za każdym razem dziwniejszego.

- Likaon? - spytałam. - Mógłbyś mi powiedzieć, skąd to się wzięło?

Uśmiechnął się krzywo.

- Nie wiem. Znam tylko jednego likaona. Tego, który mnie zamienił.

- A gdzie on jest?

- Zabiłem go.

Aha. No dobra. To nie było dla mnie szczególnym zaskoczeniem.

- A więc jesteś jedynym likaonem?

- Jedynym, o którym mi wiadomo. Niespecjalnie szukałem innych.

- A jak się poznaliście z Rickiem? Uśmiechnął się szeroko.

- Rick wspominał, że jesteś wścibska.

- Za dużo gadam. To moja mocna strona. Ciągle chciałabym wiedzieć, dlaczego jedyny człowiek-likaon pracuje dla Ricka.

Dack miał w sobie coś z ochroniarza: mocną budowę, nieufne spojrzenie, upór i pewność siebie.

Przypominał mi Cormaca. Każdy by chciał, żeby ktoś taki obstawiał mu tyły. Pod warunkiem że obdarzyłby go zaufaniem.

- Wampiry są silne - wyjaśnił. - Dobrze mieć przy sobie wampira, który jest ci winny przysługę.

Najlepiej trzymać z najsilniejszymi.

- Czyli z Rickiem? Uśmiechnął się tylko.

- No cóż - powiedziałam. - Przejdźmy więc do dalszej części planu.

Po tych słowach rozeszliśmy się do swoich samochodów i podłączyliśmy komórki do ładowania.

Zaczęłam myśleć, że może jednak wszystko się uda.

W drodze do domu na przemian przysypiałam i budziłam się, czekając, aż ktoś zadzwoni z informacją, że coś się stało, że Carl, Arturo albo któryś z ich ludzi zaatakował. Kiedy telefon rzeczywiście w końcu zadzwonił, twardo spałam. Obudziłam się tylko dlatego, że Ben zatrzymał samochód.

- Ciekawe na co czekają - powiedział do mojej komórki. Nie słyszałam głosu po drugiej stronie linii.

To nie mógł być Rick, bo było już całkiem jasno. Ben słuchał przez chwilę, po czym odparł: -

Prześpimy się trochę. Zadzwoni, gdyby coś się zmieniło.

Spojrzał na mnie. Odpowiedziałam mu spojrzeniem zaczerwienionych oczu.

- Dzwonił Shaun. Nic się nie dzieje.

- Gdzie on jest?

- Pilnuje domu twojej siostry. Twój tata jest w szpitalu. Myślę, że ochrona szpitalna poradzi sobie za dnia. To miało sens, nie mówiąc już o tym, że w ciągu dnia w szpitalu panował duży ruch. Miałam nadzieję, że Arturo i Carl zachowali jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie chcieli przyciągać uwagi innych do całej sprawy.

Powinnam do niej pojechać. Powiedziałam mamie, że przyjadę ją odwiedzić. Ale nie mogłam tego zrobić, nie w samym środku. Nie chciałam sprowadzić na nich więcej problemów.

- Cheryl zacznie się zastanawiać, dlaczego przed jej domem ciągle parkują jakieś samochody.

- Założę się, że niczego nie zauważy. - Oddał mi telefon. Wygramoliłam się w zwolnionym tempie z samochodu.

- Ben? Czemu to robisz? Ciągłe powtarzasz, że nie pisałeś się na coś takiego, jakbyś nie chciał tu być, a potem... - urwałam, nie wiedząc, co właściwie chcę powiedzieć. Okazało się, że jest w tym dobry, że wysforował się naprzód i ciągnie mnie za sobą. Co bym zrobiła, gdybym została z tym wszystkim sama? Uciekłabym.

- Tworzymy watahę - odparł. - Czy nie to zawsze powtarzasz? Musimy się trzymać razem.

To była zawsze dobra odpowiedź. Tego zawsze się można było trzymać. Tyle że taka odpowiedź już mnie nie zadowalała.

- Czy to wystarczy, żebyśmy byli razem?

- Mam taką nadzieję. - Ruszył w stronę mieszkania. Powoli poszłam za nim i zaczęłam wyłączać

głowę, żeby

nie musieć już dłużej myśleć.

Arturo i jego wampiry były uziemione do zapadnięcia zmroku. Carl nie zrobi pewnie żadnego ruchu, dopóki nie zrobi tego Arturo, i być może właśnie dlatego nie zaczął mnie jeszcze szukać. Może w ogóle nie zaatakują. Cisza przeciągała się, żaden z moich wartowników nie dzwonił, ale nie napawało mnie to optymizmem. Stałam się na to zbyt cyniczna. Za bardzo mi się już oberwało w moim bezpiecznym życiu.

Próbowałam właśnie się zdrzemnąć na kanapie, kiedy zadzwonił pierwszy telefon. Rzuciłam się na leżącą na stoliku komórkę. - Tak? Halo?

- Tu Becky. - Była zadyszana, spanikowana. - Właśnie

dzwonił Mick.

- Mick, ten niski brunet? - Jeden z twardzieli z watahy Carla.

- Tak, on. Mówi, że Carl wyruszył na polowanie. Zwołał wszystkich i jedzie po ciebie.

Usiadłam na brzegu kanapy.

- Tutaj? Jedzie po mnie tutaj? - Tak by było najlepiej. Jeśli miał już na kogoś zapolować, chciałam być tą osobą. Byłam gotowa na to, by się z nim zmierzyć.

- Nie - powiedziała Becky, a ja wyobraziłam sobie, jak kręci gwałtownie głową. - Mówi, to znaczy Mick mówi, że

Carl chce ci zadać cios tam, gdzie zaboli cię to najmocniej. Chyba nawet nie jest wkurzony na ciebie, ale bardziej na to, od czego wszystko się zaczęło.

- Czyli na co? - spytałam.

- Na radio. Pojechał do Pokrętła.

- Kiedy?

- Teraz, właśnie tam jedzie!

Rozdział 12

Co on sobie myśli, że co zrobi? Wszystkich pozabija? Naprawdę mu się wydaje, że ujdzie mu to na sucho? A może chce tylko obsikać chodniki - marudziłam Benowi, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

Nie odpowiedział. Uśmiechał się tylko i spojrzał na mnie tym swoim jastrzębim wzrokiem. Odezwała się w nim jego prawnicza natura, zabójcze, przenikliwe spojrzenie. Wyglądał niemal tak,

jakby cała sytuacja strasznie go bawiła.

Zgodziłam się, żeby **to** Ben prowadził samochód, bo miałam parę rzeczy do zrobienia. Skończyłam rozmowę z Becky, prosząc, żeby zadzwoniła do Shauna i do wszystkich, których uda jej się ściągnąć.

Mogliśmy się wdać w regularną bitwę. Musiałam zdecydować, czy wolę być Sharksami czy Jetsami.

Miałam nad Carlem przewagę: wtyczkę w miejskiej policji. Zadzwoniłam do Hardin.

- Hardin, słucham?

- Tu Kitty, potrzebuję pani pomocy.

- Co się dzieje? - Mówiła poważnym, skupionym głosem, co od razu dodało mi otuchy.

- Chyba mam kłopoty. Chodzi o wilkołaki, jadą po mnie.

- To ma coś wspólnego z twoją małą wojną gangów, prawda? Nie będę opowiadać się po żadnej ze stron.

- Z moją małą wojną gangów? To nie ja ją zaczęłam, ja tylko próbuję ją zakończyć!

- A więc przyznajesz, że bierzesz w niej udział? Żadna odpowiedź nie była dobra, co?

- Wydaje mi się, że chodzi o wilkołaki zamieszane w morderstwo w magazynie.

- Jesteś pewna?

W tym momencie uświadomiłam sobie, że chociaż miałam zaufanie do Becky, nie mieliśmy żadnych podstaw, by wierzyć, że Mick mówi nam prawdę. Wcale nie musiał być tak naprawdę po naszej stronie. Carl mógł mu kazać, aby podał nam te informacje i podsunął fałszywy trop, a sam uderzyłby w inny cel.

Tak przynajmniej mogłam zakładać, jeśli sądziłam, że Carl miał w mózgu choć jedną szarą komórkę.

- Tak.

- Gdzie?

- W radiu. W Pokrętle.

- Domyślam się, że właśnie tam jedziesz? - Potwierdziłam, a ona powiedziała: - Spotkamy się na miejscu. - Po czym się rozłączyła.

Wygląda na to, że dojdzie do bójki.

- Jesteś gotowa? - spytał Ben.

- Nie wiem.

- Jak myślisz, ilu ludzi będzie miał przy sobie?

- Sześciu albo siedmiu. Może więcej, jeśli będzie z nim Meg.

- A my mamy po swojej stronie policję. Nieźle. A co, jeśli Hardin i jej ludzie przyjadą za późno?

Nasza trójka nie da rady siódemce. Czwórka, jeśli Shaun dotrze na czas.

- Może uda mi się pogadać z Carlem. Przekonać go, żeby tego nie robił.

- Tak jak Gabe? Masz pistolet?

- Nie - powiedziałam cicho, wiedząc, co mi na to odpowie. Byłam słaba. Nie przyjmowałam pewnych faktów do wiadomości. - Może pazury wystarczą, żeby go zabić.

- Bez obaw. Mam w bagażniku zapasy.

Zapasy. Liczba mnoga. Im bardziej byłam zmęczona, tym bardziej absurdalnie brzmiał cały ten plan.

- Nie chcę znów stawiać mu czoła.

- Musisz tylko wytrzymać do czasu przyjazdu policji. Pamiętaj, że nie chodzi o ciebie. Chodzi o Jenny.

To znów wprawiło mnie we wściekłość. To oraz fakt, że Carl, jak się można było domyślić, nie zaatakował bezpośrednio mnie, ale coś mi bliskiego. Coś, czego nigdy wcześniej nie był w stanie tknąć. Moją pracę. Co za palant.

Samochód Bena zdecydowanie za szybko zajechał na parking przy budynku radia. Becky już na nas czekała, a Shaun zajechał tuż za nami. Byli przygarbieni i niespokojni, przyjmowali postawę obronną.

Wyglądali, jakby równie dobrze mogli się rzucić do walki i wskoczyć do samochodu i odjechać, kiedy tylko zaczną robić się gorąco. Nie umiałam stwierdzić, jak postąpią.

Wyskoczyłam z samochodu, zanim jeszcze Ben zdążył całkowicie się zatrzymać.

- Jest już?

Zanim zdolali mi odpowiedzieć, przy chodniku zatrzymała się z piskiem opon furgonetka, bo jej kierowcy nie chciało się nawet poświęcić kilku dodatkowych sekund na to, żeby zajechać na parking.

Z samochodu wysiadł Carl i jeszcze jeden mężczyzna. Wilkołak. Zaleciało od nich piżmem i dzikością, futrem i skórą, czymś obcym. Wrogiem, intruzem. Wrogą watahą. Za nimi zjawiała się jeszcze jedna furgonetka z trzema kolejnymi wilkołakami. Nie było wśród nich Meg. Z jakiegoś powodu mi ulżyło.



Nie miałam czasu wyciągać z bagażnika broni. Zobaczyli nas. Carl bez chwili namysłu podszedł do drzwi. Był wielki, wysoki i umięśniony... wyglądał jak potwór, nawet jeśli nie było się świadomym jego drugiej natury. Miał przydługie brązowe włosy i brodę, a całe jego zachowanie było na tyle zwierzęce, na ile się dało bez całkowitej zmiany postaci. Jego wataha trzymała się z tyłu, nieufnie obserwując nasze posunięcia.

Zagrodziłam mu drogę przy drzwiach, mając nadzieję, że Ben będzie obstawiał mi tyły.

- Stój! - zawołałam. Carl nawet nie zwolnił.

- Kto ci powiedział, że tu będę? Kto cię ostrzegł?

- Nie możesz tu zostać, Carl. Musisz wyjechać. - Odważne słowa. Głupio odważne. Zaparłam się, jakby moje szczupłe ciało rzeczywiście mogło go powstrzymać albo chociaż spowolnić.

Ugiął ręce w łokciach, zacisnął pięści, a ja wiedziałam, w jaki sposób mnie zaatakuje. Uderzy mnie jedną ręką, drugą pociągnie na dół, zakleszczając mnie i powalając na ziemię. Jego usta rozchyliły się, kiedy warknął.

Czekałam na niego. Wiedziałam, co się zaraz zdarzy, i czekałam. Kiedy nadszedł cios - dwie pięści poruszające się dokładnie w taki sposób, w jaki przewidziałam, bo znałam już ten ruch - uchyliłam się.

Wsadziłam mu rękę pod żebra i pchnęłam.

Zatoczył się, ale nie upadł i na chwilę oboje zamarliśmy, wpatrując się w siebie, dysząc z wysiłku, który jak dotąd i tak nie był specjalnie wielki.

Mimo upływu czasu coś nas ciągle łączyło. Z tego względu nie mogliśmy porozrywać się na strzępy jak zwierzęta. Przyszło mi na myśl coś dziwnego: kiedyś uprawiałam z tym facetem seks. Omal się nie roześmiałam. Nie pamiętałam, jak smakował.

- Cofnij się! - wrzasnął Ben. Nie odwróciłam głowy od Carla, ale kątem oka zobaczyłam, że Ben zrobił krok naprzód z pistoletem w ręce, przygotowanym do strzału. Wilkołaki Carla ustawiły się w szpaler, chcąc ruszyć w naszym kierunku - stado wilków okrężało słabą, raną ofiarę. Ben ich powstrzymał.

- Załadowałeś srebrne kule? - spytał jeden z nich.

- Masz to jak w banku - odparł Ben. - A teraz niech tych dwoje sobie pogada.

Wilki się cofnęły.

Musieliśmy rozstrzygnąć z Carlem wszystko między sobą.

- Co ty sobie wyobrażałeś, że co możesz tu zrobić? - zaczęłam.

- Naruszyłaś mój teren, więc ja robię to samo. Mogę cię rozszarpać.

- Policja jest już w drodze. Aresztują cię. Szybko dojdą do tego, co zrobiłeś z ludźmi Ricka.

- To nie ich sprawa - zamilkł wymownie. Nie próbował nawet zaprzeczać ani udawać, że nie wie, o czym mówię.

- Jesteś mordercą! To jak najbardziej ich sprawa! Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Nie powinnaś była wracać. Nie powinnaś się była w to mieszać.

- Tak - przyznałam. - Cholerna ja.

- A teraz ja ciebie zaatakuję, a twój chłopak mnie zastrzeli. Taki masz plan?

To by było takie proste. Skończyć tutaj z tą sprawą - a przynajmniej z jej częścią. Hardin zobaczyłaby po przyjeździe Bena z dymiącym pistoletem i wrzuciła go do więzienia. Chyba bym tego nie zniosła.

Nie po raz kolejny.

Plan był taki, by powstrzymać Carla wystarczająco długo, żeby Hardin mogła go zamknąć. W ten sposób mielibyśmy czyste ręce.

- Tylko jeśli nie będzie miał innego wyjścia - odparłam.

- Powinnaś była zrezygnować wtedy, gdy ci mówiłem. Do niczego by wtedy nie doszło, ani w Waszyngtonie, ani tu. Policja nie powinna się w to mieszać... i nie wmieszałaby się, gdybyś trzymała gębę na kłódkę. Gdybyś zrobiła, co ci kazałem, zapewniłbym ci bezpieczeństwo.

- Tak samo jak Jenny?

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy. Wcześniej udało mi się go uspokoić - zatrzymałam go w miejscu, zmusiłam do rozmowy. Ale teraz w jego oczach zapłonęła wściekłość. Zrobił się cały czerwony. Znow zaczął warczeć. - Zostawiła mnie. - Powinieneś był pozwolić jej odejść.

- Należała do mnie...

- Nie należała do ciebie! Nie należała do nikogo! Ruszył na mnie z rykiem. Odskoczyłam przestraszona,

nieomal potykając się o własne nogi. Carl obudził we mnie instynktowną chęć ucieczki - jej dwunożną, ludzką wersję.

Uniosłam ręce, żeby się zasłonić przed nadchodzącym ciosem. Niezbyt skutecznie.

Złapał mnie za rękę, okręcił i trzasnął mną o ceglana ścianę budynku. Zamroczyło mnie i na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami. Moja wilczyca obudziła się - *biegnij, szarp, walcz, rozrywaj*,

*uciekaj* - rozdarta pomiędzy strachem a wściekłością. Czułam ją w swoich kościach.

- Kitty! - To był Ben. Chciałam zawołać „nie strzelaj”, ale nie mogłam. Kiedy tylko odwrócił się od pomocników, żeby zastrzelić Carla, oni rzucili się na niego. Musiał odeprzeć ich atak; nie był w stanie walczyć ze wszystkimi. Becky i Shaun nie mieli broni, a ja nie sądziłam, żeby dali sobie radę z licznym przeciwnikiem.

Nie mogłam mówić, bo Carl zacisnął ręce na moim gardle -swoje grube, silne łapska - i uniósł mnie do góry. Machałam nogami w powietrzu. Płuca walczyły o powietrze, które do nich nie docierało.

Złapałam go za nadgarstki, wpiłam w nie palce i próbowałam oderwać jego rękę, uderzyć go, ale on bez trudu trzymał mnie przyciśniętą do ściany. Nie mogłam nawet na niego spojrzeć. Trzymał moją głowę przechyloną do góry, w stronę błędnego nieba.

Kiedy chciałam już spytać, gdzie do cholery jest Hardin, zawyły syreny policyjne. Zapiszczały opony.

Trzasnęły drzwi. Idealne wyczucie czasu.

Nie, wcale nie wyczucie czasu. Instynkt. Hardin pewnie czekała za rogiem, w ukryciu, aż Carl zrobi coś, za co będzie mogła go aresztować. Przymknie go teraz za napaść, a potem udowodni mu zabójstwa w magazynie, jak już będzie go miała w areszcie. Ja sądziłam, że używam jej jako mięśni, a tymczasem ona używała mnie jako przynęty. Cudownie.

- Ręce do góry! Odsuń się od niej! Puść ją i odsuń się! -wrzasnęło pięć albo sześć głosów naraz.

Ręka Carla zacisnęła się mocniej na mojej szyi, a kiedy warknął, moje ciało aż zawibrowało. Proszę...

Rozpoznałam głos Hardin:

- Panie O' Farrell, proszę rzucić broń! My się tym zajmujemy! To się zajmijcie, do cholery!

Głosy ciągle wrzeszczały, żeby Carl mnie puścił. Mogli nas tu wszystkich rozstrzelać. Hardin na pewno zaopatrzyła swoich ludzi w srebrne kule.

Nagle moje plecy zsunęły się po ścianie, a stopy dotknęły ziemi. Płuca wypełniły się powietrzem i zacharczały, kiedy wreszcie odetchnęłam. Ale Carl mnie nie puścił. Patrzyłam mu w oczy, w których malował się mord. Jego ciało było całe spocone, pachniało piżmem. Futrem... jego wilk był blisko.

Jeśli teraz wyrosną mu pazury, rozszarpie mi gardło. Rozerwie tętnicę, a ja wykrwawię się, zanim zdążę upaść na ziemię.

- Nie rób tego - szepnęłam. - Zginiesz, jeśli to zrobisz. Policjanci cały czas krzyczeli:

- Natychmiast się cofnij!'

I już myślałam, że to zrobi, bez względu na to, czy dostanie srebrną kulkę w plecy czy nie. Już

myślałam, że rozszarpie mi gardło.

Wydarzenia jednak potoczyły się bardzo szybko. Carl wykonał błyskawiczny ruch - poruszył się tak, jak nikt nie powinien się poruszać w obecności policjantów, którzy mierzą do ciebie z pistoletów. Nie miałam pojęcia, co zamierzał - czy chciał, żeby go postrzelili, czy myślał, że jest szybszy od kuli. A może po prostu postanowił wykorzystać nadarżającą się szansę, mając nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

Złapał mnie za nadgarstek i pociągnął. Odsunęłam się od ściany i znalazłam się na otwartej przestrzeni, pomiędzy Carlem a policją.

Wystrzelił jakiś pistolet.

Coś utkwilo mi w plecach. Zrobiłam krok naprzód, żeby zachować równowagę. Potem poczułam ogień. Pałący ból w piersi powalił mnie na ziemię. Jakby coś we mnie eksplodowało. Moje kolana stuknęły o chodnik.

Carl pobiegł za róg, chroniony przez swoją tarczę.

- Sawyer, wstrzymaj ogień! - To była Hardin. Ryczała z wściekłością.

Świat zatrzymał się na moment. Nie widziałam nic poza sobą, nie słyszałam nic poza szumem krwi w uszach. Oddychałam szybko, ale tlen w ogóle do mnie nie docierał. Moje ręce były całe we krwi...

miałam zakrwawione piersi, a koszulka stała się mokra, czerwona i śliska.

Zostałam postrzelona. Mój kolejny oddech przypominał już charczenie. Trzeba coś zrobić, pomyślałam niewyraźnie. Powinnam krzyczeć albo płakać, albo coś w tym stylu. Powinnam się już przewrócić i umrzeć.

Ale cały czas klęczałam i gapiłam się na krew na własnych rękach, jakby to był jakiś film. Jakby to były jakieś przebieranki, keczup, nie wiadomo co. Oddech mi się spowolnił, a wraz ze świeżym dopływem tlenu zaczęłam wyraźniej widzieć. I zdałam sobie sprawę, że spazm bólu trochę złagodniał.

Odsunęłam kołnierzyk, otarłam sobie twarz i spróbowałam znaleźć ranę... kula przeszła na wylot pomiędzy sercem i obojczykiem. Namacałam ranę, pokrytą zaschniętą krwią. Już się zasklepiała. Już się regenerowała.

Czyjeś ręce dotknęły mojej twarzy i uniosły ją do góry. Wzdrygnęłam się przestraszona, bo nie zauważyłam, że ktoś się przy mnie znalazł. Ben ujął moją głowę i przyglądał się mi dzikim wzrokiem.

Serce waliło mu jak oszalałe. Słyszałam jego bicie.

- Kitty - wychrypiał.

Przygarbiłam się, łapiąc się mocniej jego rąk, żeby usiąść prosto. Wszystkie mięśnie miałam jak z

waty. Mój śmiech przypominał bardziej westchnienie.

- Nie była ze srebra.

Ben osunął się lekko. Istniało ryzyko, że przewrócimy się na ziemię.

- Nie była ze srebra.

Skinęłam szybko głową, a on przycisnął swoją twarz do mojej.

- O Boże - westchnął mi do ucha, a potem pocałował mnie w policzek. Przyłgnęłam do niego z całych sił. Hardin spytała ostro:

- Sierżancie Sawyer, nie macie srebrnej amunicji?

- Eee... nie. Nie zdążyłem złożyć zamówienia. - Był zmieszany.

Dzięki Bogu! Dziękuję, dziękuję, dziękuję...

- Następnym razem macie mieć te kule. I nie strzelajcie, do cholery, do informatorki!

To nie był koniec. Poczułam nowy ból... nie od rany, która zaczęła się już goić. Od środka szarpało mnie co innego. Wilczyca. Zostałyśmy zaatakowane. Skrzywdzono nas. A teraz to ona musiała stanąć w naszej obronie. Płynęła razem z krwią, przejmowała władzę nad moimi oczami, ogarniała moje zmysły. Czułam, że cała się spinam, kiedy brała mnie we władanie.

- Ben - wycedziłam przez zaciśnięte zęby. Zmieniałam się; przemiana zachodziła niezwykle szybko.

Ben zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przyciągnął mnie do siebie, przytulił i syknął mi do ucha:

- Weź się w garść. Oddychaj głęboko, Kitty. Trzymaj się. Skóra mi się zsuwała, kości miękkie.

Zaczęłam szarpać za

ubrania, musiałam się ich pozbyć, pragnęłam się wyrwać...

- Hardin, niech pani zabierze stąd ludzi! - wrzasnął Ben. W końcu dając za wygraną, Ben zerwał ze mnie koszulę i szarpnął za stanik.

Wyrwałam się z jego uścisku i wrzasnęłam.

*Oszołomiona, wściekła. Nie widziała wyraźnie. Ból w piersi... od ran. Jeszcze tylko chwilę, już się zaczęły goić, ale ból pozostanie. Tak samo jak furia.*

*Skopuje liny, które ją więżą, oplatają jej nogi - pozostałości poprzedniej postaci. Nie pozbyła się na czas sztucznej skóry. Wszystko zdarzyło się tak szybko, niespodziewanie. Ale jest w*

*niebezpieczeństwie. Musi siebie chronić, a na czterech nogach potrafi biec szybciej niż na dwóch.*

*Atak, myśliwi z każdej strony ją osaczają. Jej druga natura rozpoznaje dwunożnych łowców, którzy trzymają w rękach palącą śmierć. Musi się bronić. Tam... jest ten, którego ręce śmierdzą gorącym, płoną zapachem siarki i smaru. To on ją skrzywdził.*

*Opuszcza głowę i warczy.*

*- O Boże - rozlega się za jej plecami jakiś głos. - Becky, Shaun, trzymajcie ją!*

*Nic jej nie może poiostryzować. Ciało wilczycy jest jak wiatr, jej pazury jak ostrza, jej głos jak grzmot.*

*Teraz jej cel śmierdzi strachem. Jego skóra pokryła się potem. Kiedy on robi krok w tył, ona wie, że go dorwie. Wgryzie się w jego ciało i posmakuje jego krwi. Odsuwa wargi od wściekłych zębów i ociekających śliną ust i rzuca się w stronę ofiary. Biegnie, pazury drapią o chodnik. Wbija się w ziemię, skacze, rzuca na niego, a jego krzyk burzy w niej krew. Już trzyma go łapami, twarde podszwy drapią jego sztuczną skórę, on się przewraca...*

*Jakieś ciało staje jej na przeszkodzie i odtrąca ją od ofiary. Wilczyca spada na łapy i podnosi głowę.*

*Napastnik przykuca naprzeciwko niej, mierzy ją wzrokiem. Ośmiela się mierzyć ją wzrokiem. Ona dyszy i wciąga w nozdrza zapach intruza... to jeden z jej pobratymców, jedna z jej stada. Nowa samica.*

*Ale nie zdążyła się na nią rzucić, nie zdążyła pokazać jej, gdzie jest jej miejsce, bo jakieś ręce - gołe, ludzkie ręce - łapią ją od tyłu i ciągną, przytrzymują. Ona warczy, miota się, wykręca, chlasta pazurami, kłapie zębami. Trzymają ją dwie osoby. Stanowią zoatahę. Nie mają prawa tego robić, zaraz im pokaże, udowodni im, kto tu jest najsilniejszy...*

*Wokół panuje zamęt. Bieganina i krzyki. Przez całe to zamieszanie jej wzrok jest ciągle lekko rozmazany.*

*- Kitty! Nie ruszaj się, stój!*

*Mimo że w jej płucach rzezi, dłoń na jej piersiach i głos przy uchu każą jej się zatrzymać.*

*- Ćśś, Kitty. Już dobrze, jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna.*

*Przestaje się miotać; dwunożny wilk trzyma ją za futro. To jej samiec, to on ją uspokaja. Skomląc cicho, odwraca się do niego i liże go po rękach. Smakuje domem.*

*- Ćśś - mruczy ciągle. - Nic nam nie jest. Nic nam nie będzie.*

*Emanuje spokojem, a ona mu wierzy.*

Po chwili jest przy niej cała wataha. Jej mała wataha, wszyscy są przy niej, wszyscy są bezpieczni.

Przysuwa się bliżej swojego samca, przytula się do niego całym ciałem, oddycha płytko, bo ciągle jest zdenerwowana. Ciągle spodziewa się ataku. Musi wierzyć, że wataha się o siebie zatroszczy. Ma do swojego samca bezgraniczne zaufanie. Rozluźniając mięśnie, pozbywając się złości, wtula się w jego ramiona.

*- Nie mam wystarczającej wiedzy - mówi napiętym głosem jej samiec. - Nie wiem, czy nic jej nie będzie.*

*- Nic jej nie będzie - mówi ta druga. - Prześpi się i poczuje się lepiej. Postaraj się, żeby zasnęła.*

*Głos mówi dalej, tuż przy jej uchu, tchnie spokojem w futro na jej karku. Pozbawione futra i pazurów ręce gładzą jej boki dziwnym, kojącym dotykiem.*

*A ponieważ on pachnie domem, wtula się w niego i zamyka oczy.*

Przypomniałam sobie, że zostałam postrzelona, i zaczęłam się budzić.

Podparłam się na łokciu i rozejrzałam się. Znajdowałam się w kącie w holu Pokrętła, opatulona w szorstki wełniany koc i zwinięta w kłębek na zimnych kaflach. Pod spodem byłam naga.

Ben stał niedaleko i rozmawiał z oficer Hardin i dwoma innymi policjantami. Ozzie też tam był i kilku pracowników radia. Kierownik stacji marszczył ze zmartwienia czoło i przesuwiał ręką po rzednących włosach. Niektórzy policjanci zbierali zeznania. W oknach od frontu migały czerwone i niebieskie światła.

Ben odwrócił się, zanim zdążyłam zaczerpnąć powietrza, żeby coś powiedzieć. Szybko podszedł do mnie i uklęknął obok. Skrzywiłam się i zawstydyłam się trochę. Naciągnęłam koc na ramiona i szczelniej się nim otuliłam.

- Co się stało? - spytałam zachrypniętym głosem.

- Zostałaś postrzelona - powiedział.

- To pamiętam. A potem?

- Nikomu nic nie zrobiłaś. Roześmiałam się słabo.

- Dzięki Ci, Panie Boże, za Twą niezmierną dobroć. -Prawdę powiedziawszy, ogromnie mi ulżyło.

Poczułam się lżejsza.

Ben założył mi bezmyślnie pasemko włosów za ucho. Jego koszula była zachlapana krwią i widać było na niej odciski dłoni i smugi w miejscach, w których złapałam go za ręce.

- Jak się czujesz?

- Do dupy. Nie chciałam nikogo skrzywdzić. - Dopiero po dłuższej chwili dotarła do mnie groza całej sytuacji... zraniona i przerażona, zmieniłam postać, będąc w grupie ludzi. Zrobiłam to odruchowo. Po prostu się broniłam. - Nie mogę uwierzyć, że mnie postrzelili.

- Nic mi nie mów. - Usiadł obok i objął mnie ramieniem, przytulając mocno do siebie. Wtuliłam się w niego jeszcze bardziej. - Hardin wysłała za Carlem dwa radiowozy. Otoczyli kordonem okolicę, szukają go.

- Nie znajdują.

- Wiem. Resztę jego ludzi wzięła do aresztu. Uważa, że znajdzie poszlaki wskazujące na ich związek z jatką w magazynie. Chyba świetnie się tym wszystkim bawi.

- Chciałaby wypróbować swoją srebrną celę.

- Dzięki temu będzie miała większą władzę.

Hardin podeszła do nas, zmęczona, ale zadowolona z siebie. Poczułam, że muszę wstać... nie miałam ochoty patrzeć na nią z dołu. Nawet z poziomu wilka nie byłoby dobrze. Byłam jednak za bardzo zmęczona, a Benowi było za wygodnie. Spojrzałam na nią zaczerwienionymi oczami.

Przyglądała się mi nieufnie, zbliżając się do mnie tak, jakby podchodziła do dzikiego zwierzęcia.

Którym zapewne byłam. Widziała moją przemianę, widziała moje obydwie połowy. Zaatakowałam jednego z jej ludzi, chociaż niespecjalnie

pamiętałam konkrety. Ale wyglądało na to, że mimo to chciała traktować mnie jak człowieka.

Niezależnie od tego, ile wysiłku będzie ją to kosztowało. Wyraźnie musiała wziąć się w garść.

- Jak się masz? - spytała. Jej troska była rozczulająca. Wzruszyłam ramionami, po czym skrzywiłam się, bo ciągle

jeszcze mnie bolało.

- Bywało gorzej.

- Przepraszam, choć to pewnie niewiele zmieni. Agent Sawyer dostanie naganę. To, że nie zostałam poważnie ranna, nie oznacza, że strzelanie do cywilów ujdzie mu na sucho.

- A gdyby miał srebrne kule? - zapytałam. Wpatrzyliśmy się w nią oboje, czekając na odpowiedź.

- Po prostu się ciesz, że nie miał. - Wróciła do swoich ludzi i do porządków.

Nawet nie chciałam o tym myśleć.

- Muszę się ubrać.



- Twoje ciuchy są trochę zniszczone. Dasz radę stąd wyjść? Oparłam się o Bena i zaparłam o ścianę, żeby się podnieść.

Mięśnie mi strzeliły, a kości zatrzeszczały. Ben bez wysiłku podniósł mnie do pozycji stojącej.

Pozwoliłam mu na to. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dwukrotnie przeistoczyłam się w wilczycę. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, nigdy wcześniej nie zamieniłam się po raz drugi w tak krótkim czasie po pierwszej przemianie. Miałam wrażenie, że poszczególne kawałki mojego ciała nie zdążyły się jeszcze dobrze posklejać. Że futro ciągle pokrywało moją skórę. Że wilczyca ciągle wyzierała spomiędzy moich oczu. Miałam mętlik w głowie, a świat wydawał się obcy, pełen przyczajonych cieni.

Ben musiał zauważyć, że wyciągam szyję i mrużę oczy, starając się odzyskać ostrość widzenia.

- Jak to wszystko się skończy, będziesz musiała się z tydzień przespać - powiedział.

Boże, to brzmiało tak przyjemnie...

- Równie dobrze mogłam dać się zabić Carlowi. Wtedy bym spała, ile bym tylko chciała.

Spojrzał na mnie dziwnie kątem oka.

- Kitty! Nic ci nie jest? - przerwał nam Ozzie. Wykręcał sobie ręce ze zdenerwowania.

- Nic mi nie będzie - uspokoiłam go. Chociaż na pewno wyglądałam okropnie, cała rozczochrana i zachlapana krwią. - Ale martwisz się o mnie czy o swoją dojną krowę?

Spojrzał na mnie na pół z urazą, na pół z przyganą.

- Jezu, Kitty, daj sobie na wstrzymanie. Kiedy usłyszałem strzał i powiedzieli mi, kto został ranny, omal nie dostałem zawału. Nie rób mi tego więcej.

Uśmiechnęłam się ze znużeniem.

- Postaram się. Ozzie, poznałeś Bena?

- Przedstawiliśmy się sobie, kiedy spałaś - odparł Ben. Ozzie wycelował w niego palcem.

- Nigdy więcej nie dopuść do tego, żeby ktoś ją postrzelił.

- Chyba powinniśmy pojechać do domu i doprowadzić się do porządku - powiedział na to Ben.

Ozzie wyszperał mi koszulkę i spodnie od dresu ze stosu prezentów reklamowych Pokrętła. Miałam w domu już z tysiąc koszulek z logo radiostacji, ale cieszyłam się, że nie będę musiała jechać nago.

W drodze do domu Ben pytał mnie ciągle, czy dobrze się czuję. Skuliłam się na siedzeniu i mruczałam, że nic mi nie jest.

W końcu westchnął ze znużeniem:

- Masz cholerne szczęście, wiesz?

Owszem, miałam. Musiałam o tym pamiętać. Uśmiechnęłam się do niego.

- Dzięki. Za to, że się mną zajmujesz.

- Tworzymy watahę.

Naprawdę chciałam, żeby przestał to w końcu powtarzać. Nie byłam pewna, dlaczego zaczyna mnie to wkurzać. W końcu mówił prawdę. Może wkurzałam się, bo miałam wrażenie, że to wymówka, a on chce przez to powiedzieć, że gdybyśmy nie byli watahą, już dawno by go tu nie było.

## Rozdział 13

Opony samochodu zapiszczały, kiedy Ben zajechał na parking przed swoim blokiem. Pomógł mi wygrzebać się z samochodu i pokuśtykałam do bramy. Wszystko mnie bolało. Sama rana postrzałowa już tylko lekko piekła, ale szok całej sytuacji, zmiana postaci i pobudka na twardej podłodze naprawdę mnie wykończyły. Marzyłam o bardzo gorącym prysznicu.

Ben zatrzymał się, zanim doszliśmy do bramy, a ja stanęłam gwałtownie za nim. Chciałam już spytać, o co chodzi -nie zważałam na nic, a przynajmniej nie tak, jak powinnam. Dałam się uśpić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa, przytulona blisko do Bena. Nagle jednak zobaczyłam Cheryl maszerującą w naszym kierunku chodnikiem. Jak zwykle miała na sobie koszulkę i dżinsy, a do tego wściekły wyraz twarzy. Nie widziałam u niej takiej miny od czasów, kiedy przyłapała mnie na tym, jak w wieku jedenastu lat podbierałam jej lakier do paznokci Metallic Mayhem.

Ze wszystkich problemów, z którymi musiałam się teraz zmierzyć, tego akurat się nie spodziewałam.

- Co ona tu robi? - mruknęłam.

- To twoja siostra - odparł Ben. - Sama mi powiedz. Coś zrobiłam. Coś tak potwornego i strasznego, że musiała

przyjść osobiście mnie za to ochrzanić. I chyba wiedziałam co.

- Mama miała wczoraj operację - stwierdziłam. - Nie było mnie przy niej. - Nie, byłam na strzelnicy, szkoląc się na zabójcę.

Nagle zmroziła mnie pewna myśl, ale spróbowałam odsunąć ją od siebie. Przecież gdyby coś poszło nie tak w trakcie zabiegu, ktoś od razu by do mnie zadzwonił, a nie czekał cały dzień.

- Cheryl, co się dzieje? - spytałam, kiedy znalazła się wystarczająco blisko nas.

Oparła ręce na biodrach.

- Czekałam, aż wrócisz. Zabieram cię do szpitala do mamy, bo najwyraźniej sama nie umiesz tam trafić. - Nagle wybałuszyła oczy i zbladła jak ściana. Wpatrywała się w zakrwawioną koszulę Bena. Krew już zaschła i zaczęła się kruszyć. Na mojej koszulce na wysokości mostka znajdowała się spora plama krwi, która sączyła się z rany.

- Jasna cholera, co wam się stało? - Jej twarz przybrała nieco zielonkawy kolor.

- Zostałam postrzelona - wyjaśniłam.

- Ze co? O Boże. Dlaczego nie jesteś w szpitalu? - Jej głos zrobił się z lekka piskliwy.

Naprawdę nie byłam w nastroju na takie rozmowy.

- Bo jestem wilkołakiem, a kula nie była srebrna.

- O Boże... W co... w co ty się wpakowałaś? Westchnęłam tylko. Za długo by tłumaczyć. Milczałam, podczas gdy Cheryl nawijała, a ja uświadamiałam sobie, że słowotok nie był wyłącznie moją domeną.

To było rodzinne.

- Kitty, co jest grane? Masz kłopoty? To dlatego nie było cię w szpitalu? A ty... - Wycelowała palcem w Bena. - Wszystko się zaczęło, kiedy poznała ciebie. To twoja wina, prawda?

- Właściwie to nie - powiedział Ben ze sztuczną beztroską. - Kitty sama narobiła takiego bajzlu.

Błagam, wołałabym zemdleć. Nie chciało mi się gadać z żadnym z nich.

- Słuchaj, Cheryl, możesz nie mówić o niczym rodzicom? - Potrafiłam sobie wyobrazić, że reakcja mamy będzie jeszcze bardziej histeryczna niż mojej siostry. - Nie mówić rodzicom? Oszalałaś?

- Cheryl, a co z tymi wszystkimi sytuacjami, kiedy wykradałaś się z domu i kazałaś mi o niczym nie mówić? A wtedy, jak przyszedł Todd...

- Wtedy im powiedziałaś! - zaskrzeczała.

- Nie powiedziałam. Sami się domyślili, bo byłaś idiotką! Ben masował się po czole, jakby bolała go głowa. Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam od nowa.

- Próbuję was przed tym wszystkim chronić.

- Kitty! - odparła stanowczo Cheryl, z przyganą i jednocześnie z błaganiem. Była ode mnie cztery lata starsza. Nasza

relacja zaczęła się od okresu przymusowego niańczenia i poleceń rodziców, które zawsze były wariacją na temat „Cheryl, zajmij się siostrą”. Kiedy wyjechała na studia, moje nastoletnie lata były czystym, pozbawionym kontroli błogostanem. Od tego czasu nasze drogi dość mocno się rozeszły, ale

się kochałyśmy. Byłyśmy rodziną. A w tonie, którym do mnie teraz mówiła, pobrzmiwały lata odpowiedzialności i autorytetu.

Odezwałam się z takim spokojem, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć:

- Cheryl, przepraszam, że nie byłam jeszcze w szpitalu. Przepraszam, że nie potrafię wszystkiego wyjaśnić. Nic mi nie jest. Zostałam postrzelona, ale nic mi nie jest. Chyba... chyba powinnaś wracać do domu albo do mamy, albo gdzieś. Później zadzwonię. Naprawdę muszę wziąć prysznic.

- Nie, dość tego, nie byłaś z nami szczerą od czasu, kiedy ci się to przydarzyło. Pamiętasz te stare sposoby na rozpoznanie, czy ktoś jest narkomanem? Tajemnice, kłamstwa, dziwaczne zachowania, cała ty! To przecież cała ty!

Wow. Punkt dla niej. Gdybym tak mogła przestać być li-kantropem.

- I co masz zamiar, do cholery, z tym zrobić? Interweniować? - Boże, to nie prowadziło do niczego dobrego. Musiałam się jej stąd pozbyć.

Ben cały zeszywniał za moimi plecami, nagle skupiając się na czymś innym. Odwrócił się i poruszał nozdrzami, węsząc. Zaczął rozpinać plecak, w którym schował pistolet.

- Co jest? - spytałam.

- Czujesz?

Wzięłam głęboki wdech, żeby poczuć zapachy.

- Kitty, co się dzieje, co jest grane?

- Cicho bądź - powiedziałam i zaczęłam nasłuchiwać.

I nagle poczułam. Ben był wilkołakiem dopiero od kilku miesięcy, ale miał znacznie lepszy węch niż ja. Coś się tam kryło, coś było nie tak. Obcy zapach w powietrzu. Wilczy, ale nie z watahy. Nie. O nie.

Hardin nie znalazła Carla. Zdeterminowanego, brutalnego Carla, który pewnie miał teraz w swoim ptasim mózdzku tylko jedną myśl: mnie. Wytropił nas, to już koniec.

Ale pachniało kobietą. Kimś znajomym.

Ben wyciągnął pistolet z plecaka.

- Cholera jasna! Ty masz broń! - zawołała Cheryl.

- Cheryl, mogłabyś wrócić do samochodu i stąd odjechać?

- Co się dzieje? Nie odjadę, póki mi nie powiesz, co się dzieje! Postać intruza w końcu wyszła z za rogu, za plecami Cheryl,

i szła w naszym kierunku. Pilnowała, żeby Cheryl znajdowała się pomiędzy nami.

- Jedź już, proszę - zaczęłam błagać. Moja siostra w końcu się odwróciła, żeby zobaczyć, na co patrzymy, żeby zobaczyć, co stoi za nią.

- Chciał, żebym sprawdziła, czy żyjesz - wyjaśniła Meg. Ben upuścił torbę i wycelował w nią, skupiając ręce i wzrok.

Meg zatrzymała się i przez chwilę wyglądała na przestraszoną, jakby chciała się odwrócić i uciec.

Jakby myślała, że naprawdę mógłby do niej strzelić. Miała na sobie dzinsy, koszulkę na ramiączkach i sandały, a długie czarne włosy opadały jej na ramiona. Miała opaloną na brązowo skórę i piękne, egzotyczne rysy twarzy. Zawsze uważałam, że jest piękna.

Ben nie strzelił do niej od razu. Był prawnikiem, myślał racjonalnie. Wiedział, jak to by wyglądało, gdyby przyjechała policja. Kiedy Meg to sobie uświadomiła, rozluźniła się lekko i skrzyżowała ręce.

Nie przestawała mówić: - Powiedział: „Nie konfrontuj się z nią. Nie wychodź z ukrycia. Jej pieprzony samczyk ma pistolet. Nie prowokuj ich”. Chyba się ciebie boi.

- A to mi ulżyło - odparłam beznamiętnie. - A ty?

Nie podeszła bliżej, co stanowiło w pewien sposób odpowiedź.

- Udało ci się lepiej ode mnie wybrać człowieka do zamiany - powiedziała. - Ale w jaki sposób przekonałaś zdrowego na umyśle mężczyznę, żeby dał się ugryźć? - Mówiła, jakby w ogóle go tutaj nie było. Ben nawet się nie skrzywił.

Jakiś rok temu Meg próbowała przejąć miejsce Carla, znajdując sobie samca alfa, który miał go zastąpić. Tworząc samca alfa, który miał go zastąpić. Plan okazał się straszną porażką. Facet był chory psychicznie i nie radził sobie z likantropią. Zginęło sporo ludzi.

- Nie ugryzłam go. Nie zamieniłam. Akurat byłam w pobliżu, żeby poskładać go do kupy. Dlatego jesteśmy razem. -I lubiłam go. Poskładałam go do kupy, bo go lubiłam. Nie mogłam o tym zapominać.

Powinnam mu o tym powiedzieć. Poglaskałam Bena po nodze. Był cały spięty. Nie byłam pewna, czy w ogóle poczuł, że go dotykam.

- Możesz mówić, co chcesz - powiedziała z uśmiechem, jakby mi nie wierzyła. Jakby mnie nie szanowała. W jej oczach nie byłyśmy sobie równe, ale jej ciało mówiło co innego. Trzymała się na dystans. Mierzyła Bena wzrokiem, jakby był kawałkiem mięsa.

- Czego chcesz, Meg? - spytałam wyczerpana.

- Pewnie mi nie powiesz, gdzie jest Rick?

- Nigdy nie byłaś przesadnie subtelna, co?

- Daj nam Ricka, a pozwolimy ci znów wyjechać z Denver. Tobie i twojemu samcowi.

- Nie rozumiesz? Nie chcę wyjeżdżać. Nie mogę. Mam tu wszystko i jeśli nie zostawicie mnie w spokoju, będę walczyć.

Spojrzała na Cheryl. Musiała się domyślić, kto to jest - te same blond włosy, krótkie, założone za uszy.

Podobna twarz. Zbliżony zapach... zapach naszej ludzkiej rodziny.

- Masz dużo do stracenia - zauważyła Meg. Zrobiła krok w stronę mojej siostry, wyciągając ręce, jakby miała zamiar ją dotknąć. Chciałam niemal wyrwać Benowi pistolet z rąk i osobiście ją zastrzelić. Nikt nie ruszy mojej rodziny. Cheryl na szczęście się odsunęła.

- Zostaw ją - ostrzegł Ben, mierząc do niej z pistoletu. Siłą woli powstrzymałam się od tego, żeby nie rzucić się

z pazurami na Meg. Odezwałam się spokojnie:

- I tym więcej powodów do walki. Na te słowa Meg cała się zjeżyła.

- Myślisz, że twoja sława cię chroni? Że możesz zjawić się tu, ot tak sobie, i przejąć miasto? Że tak po prostu ci ustąpimy? Trzeba czegoś więcej, żeby być alfą. Nie masz o niczym pojęcia. Może udało ci się oszukać ludzi, którzy słuchają twojej audycji, ale tak naprawdę nic nie wiesz! - Zaczęła się oddalać.

- Meg? - Przystanęła, najwyraźniej chcąc mnie wysłuchać.

To były tylko pozy. Etap warczenia. Bez wsparcia nie zaczęłybyśmy walczyć. Powoli się rozluźniałam. Stare lęki zaczęły błędnać. Meg jak zwykle tylko się przechwalała. Co więcej, w ogóle nie miała racji.

- Byłaś kiedyś w ciąży? - spytałam pod wpływem impulsu, z ciekawości. Chciałam to wiedzieć.

Omal się nie roześmiała.

- Wilkołaki nie zachodzą w ciążę. To niemożliwe. - Powiedziała to z triumfem w głosie, jakby właśnie udowodniła mi moją niewiedzę i cieszyła się, że może ją wytknąć.

Uśmiechnęłam się ze smutkiem. Przypomniałam sobie słowa doktor Shumacher, że większość samic likantropów może w ogóle nie wiedzieć o własnej ciąży. Meg pewnie w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. - Mylisz się. Możemy zajść w ciążę, tyle że ciąża nie przetrwa zmiany postaci. Mogłaś wcale o niej nie wiedzieć. Patrzyła na mnie ze zdumieniem, jakbym uderzyła ją w twarz. Ile

mrocznych, pełnych skureczów poranków przypominała sobie w tej chwili? Ile razy zrzuciła to po prostu na nieregularny cykl? Nie chciałam nawet wiedzieć.

- Meg, jesteś ignorantką i tępakiem, a to, że zjawiam się tu i przejmuję władzę, nie ma nic wspólnego z moją sławą, za to bardzo dużo z twoją całkowitą bezużytecznością. Twoją i Carla. - Udało mi się powiedzieć to wszystko, nie podnosząc nawet głosu.

Warknęła i znów zaczęła się oddalać.

Dopiero kiedy usłyszeliśmy, że drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, uruchomiła silnik i opony jej wozu zapiszczały na parkingu, Ben wypuścił powietrze z płuc i opuścił broń. Usiadłam tam, gdzie stałam, na chodniku, bo nogi miałam jak

z waty. W pozycji pionowej trzymałam się wyłącznie siłą woli, ale utrata krwi i nerwy t W końcu wzięły górę. Ben uklęknął i położył mi ręce na ramionach.

- Wszystko w porządku? Oparłam się o niego.

- To, co powiedziałam o składaniu cię do kupy i że dlatego jesteśmy razem... nie chodziło tylko o to.

Jest między nami coś więcej, prawda?

- Nie czas na takie rozmowy - zauważył, zerkając na moją siostrę, która stała nad nami i wytrzeszczała na nas oczy.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytała Cheryl jeszcze bardziej histerycznym głosem, choć wydawało się to z pozoru niemożliwe.

- Mówiłam, że to długa historia. - Westchnęłam, podczas gdy Ben stawiał mnie na nogi.'

- Nie chodzi mi o ten bajzel. Nie tylko o to. Mam na myśli ciążę.

Sądziłam, że mama jej o wszystkim powiedziała, ale najwidoczniej nie. Nie potrafiłam nawet na nią spojrzeć. Ben przyciągnął mnie mocno do siebie i pocałował w głowę, nad uchem.

- Jesteś w ciąży? - spytała. Uśmiechnęłam się niewyraźnie.

- Już nie.

- O Boże. Tak mi przykro - powiedziała do nas obojga ze smutkiem.

Wzięłam ją za rękę i uścisnęłam. Ona odwzajemniła mój uścisk i nasza kłótnia była skończona.

- Cheryl, wybuchło coś w rodzaju wojny. Chcę, żebyś pojechała do domu i została w nim. Przypilnuj, żeby nikt nigdzie nie wychodził. Nie wpuszczaj nikogo do środka, jeśli nie wiesz kto to. Jeśli zobaczysz kogokolwiek przed domem, jeśli zobaczysz coś podejrzanego, albo nawet coś wyda ci się

podejrzane, zadzwoń na policję i powiedz, że ktoś ci się włamał do domu. Na nic nie czekaj.

- Co...

Uniosłam dłoń, żeby ją uciszyć. Chciała znów spytać, co się dzieje.

- Ta kobieta z radością by mnie zabiła, gdyby tylko trafiła jej się okazja... i kilka innych osób też. Nie chcemy do tego dopuścić.

- Kitty...

- Gdzie jest tata? W domu?

- Nie, mieszka u nas teraz, kiedy mama przebywa w szpitalu.

- Dobrze. Wszystko będzie dobrze. Zadzwoń później. Przyjadę do mamy, jak tylko będę mogła.

- Okej - powiedziała dziecinnym głosem. A potem uściskała mnie mimo wszystkich tych krwawych plam. - Uważaj na siebie.

- Ty też.

Patrzyliśmy, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Ben przez cały czas trzymał pistolet w ręce, na wypadek gdyby w mroku czaiło się coś jeszcze. Bez słowa weszliśmy do budynku. Na klatce piersiowej, w miejscu, w którym była wcześniej rana postrzałowa, miałam pomarszczony kawałek skóry. I tyle. Ciągle ją skubałam; goiła się i wygładzała pod wpływem mojego dotyku.

Nie miałam ochoty wychodzić spod strumienia wody. Nie chciałam wracać na wojnę. Ale zrobiłam to.

Ben szykował jedzenie, a ja go spytałam:

- Coś wiadomo?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Tak.

Nadszedł wieczór i nikt nie zadzwonił. Nikt nie widział Carla po ataku pod Pokrętem. Hardin mówiła, że wysła kogoś pod ich dom, ale wyglądało na to, że był opuszczony. Co oznaczało, że Carl i Meg uciekli na wzgórze. Mogli być teraz wszędzie. Arturo i Rick niedługo się obudzą. Arturo robi jakiś krok - nie będzie siedział z założonymi rękami, skoro Rick rzucił mu wyzwanie. Problem w tym, że nie potrafiłam

przewidzieć, co robi, gdzie wysła swoich ludzi, kogo zaatakuje najpierw. Musiałam czekać na



telefon.

Zaczynałam dostawać świra na punkcie kontroli. Na tym poniekąd polegała rola przywódcy watahy.

Ben przyrządził na kolację kurczaka z makaronem. Był całkiem niezłym kucharzem... kolejny powód, żeby zachować go przy sobie. Ale ja nie mogłam jeść. Stałam przy drzwiach balkonowych i patrzyłam się na zewnątrz. Ben marudził od stołu, na którym stały dwa nakrycia i ceramiczna miska z jedzeniem pośrodku: - Musisz coś zjeść.

- Nie mogę.

- Ale powinnaś.

Wydułam wargi i odezwałam się głosem rozkapryszzonego dziecka:

- Nie mogę i już.

Ben rzucił z brzękiem widelec na talerz. Cisza, która potem zapadła, była nabrzmiąta od napięcia. Po dłuższej chwili powiedział:

- Żałuję, że nie mogę tego załatwić. Żałuję, że nie mogę sprawić, że znikną wszystkie problemy.

Jednak nie mogę. Więc pomyślałem sobie, że może zrobię kolację. Że może to coś da. Ale chyba nie.

Miał na sobie koszulkę i dzinsy. Jego jasnobrązowe włosy były nieco przydługie i potargane od ciągłego przeczesywania palcami. Miał pomarszczoną, zmęczoną twarz. Wyrazistą. Wyglądał jak jakiś cholerny gwiazdor rocka. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Miałam ochotę przyssać się do niego jak pijawka.

- Dziękuję - odezwałam się impulsywnie. - Dziękuję, że jesteś przy mnie.

Uśmiechnął się szerzej i skinął głową.

- No cóż, tworzymy... Uniosłam dłoń, żeby go uciszyć.

- Nie... mów tego. Nie mów.

- Nie wiem, co innego powiedzieć. - Podniósł się gwałtownie od stołu. Wziął miskę z makaronem i schował ją do

lodówki. Wszystko aż się zatrzęsło. Trochę mi jednak ulżyło; przez chwilę myślałam, że wszystko wyrzuci.

- Nic nie musisz mówić.

Ale on wszedł do salonu, ciągnąc:

- Może masz rację, może cały czas miałaś rację, twierdząc, że gdybyśmy oboje nie byli wilkołakami, nie zostalibyśmy parą. Że nie mielibyśmy żadnego powodu, żeby być razem.

- Nigdy...

Zbył mnie poirytowanym machnięciem ręki.

- Nie. Wiem, że nigdy tego nie powiedziałaś. Ale od początku tak myślałaś. A ja chciałem, żebyś się myliła. Chciałem ci udowodnić, że się mylisz. Ale przecież... ty się nigdy nie mylisz. - Ben!

On jednak wszedł już do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. Zwinęłam się na kanapie i zakryłam rękami twarz. A co, jeśli wygram tę wojnę, ale stracę wszystko, co usiłowałam ocalić?

Kiedy zadzwoniła leżąca na stole komórka, odczułam ten dźwięk głęboko w mózgu. Wszystko się we mnie skręciło. Jakbym zapomniała, co się robi z telefonem, dopiero po chwili się do niej rzuciłam.

- Dzień dobry - przywitał się Rick. I tak to się zaczęło.

- Cześć.

- Jakie wieści? Carl zrobił jakiś ruch?

- Pojechał do Pokrętła - powiedziałam.

- I?

Właściwie to plan niemal wypalił. Powinnam być zadowolona.

- Hardin zamknęła czterech jego ludzi w areszcie. Carl uciekł. Hardin wysłała za nim pościg, ale go nie znaleźli. - Nie jestem pewna, czy chciałam, żeby go dopadli. Nie byłam pewna, czy poradziliby sobie z osaczonym wilkołakiem.

- Nic ci nie jest? Twoim ludziom nic się nie stało? Zawahałam się, po czym uznałam, że później będzie czas na pełną wersję.

- Nic mi nie jest. Nic nam nie jest. A u ciebie jak? Coś się dzieje?

- Tak. Charlie i Violet widzieli, że Arturo wyszedł z Obsydianu. Chcę się tam dostać pod jego nieobecność - powiedział, a jego głos brzmiał zdecydowanie zbyt spokojnie. Wampirycznie, jak sobie uświadomiłam. Wszystko mogłoby się wokół niego walić, a jego ton i tak by się nie zmienił.

Czułam, że to pułapka. Byłam tego pewna. Mieliśmy wypłoszyć Arturo, a nie pakować się w sam środek jego terytorium.

- Nie możesz zająć jego twierdzy. Na pewno zostawił tam ludzi do ochrony...

- To jego twierdza, co oznacza, że będzie musiał tam wrócić. Zaczekam na niego i tam go pokonam.

- Ale gdzie on jest, Rick? Gdzie poszedł?

- Liczyłem na to, że ktoś z twoich go widział.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. - Złapałam mocniej za telefon i zacisnęłam zęby. Mój skrajny niepokój najwyraźniej równoważył jego spokój. - To może być pułapka. Arturo wychodzi, robi to ostentacyjnie, żebyś na pewno o tym wiedział, a kiedy tylko się pojawisz, dobiera ci się do tyłka.

- Dlatego właśnie chciałbym, żebyście z Benem mi pomogli. Wy i wszystkie wilkołaki, które uda ci się wezwać.

W pierwszym odruchu miałam ochotę na niego nawrzeszczęć. Czy on uważał, że jesteśmy jego służącymi? Czy sądził, że może nas wzywać tak samo, jak Arturo wzywał Carla? Ale taki był układ - sojusz wzajemnej pomocy. To, że nagle spanikowałam, niczego nie zmieniało.

- A co z Carlem i Meg? Gdzie oni są? - spytałam.

- W tym przypadku też miałem nadzieję, że coś słyszałaś.

- Jezu, Rick, czego ty właściwie ode mnie oczekujesz? Nie mogę walczyć z gniazdem wampirów. Nie mogę o to nikogo prosić.

Ben wyszedł z pokoju i opierał się o ścianę przy kanapie, przyglądając mi się z pytająco uniesioną brwią. Nie byłam w stanie na niego patrzeć. Czułam jednak jego zapach, wyczuwałam jego obecność blisko mnie.

Spokój Ricka trochę się zmienił i nabrał pewnej wyrazistości - tłumionego z całych sił napięcia.

- Nie możesz teraz zrezygnować, Kitty. Nie wolno ci się wycofać. Ruszam na Obsydian, a ty mi pomożesz, bo nie możesz dopuścić do tego, żeby Arturo wygrał.

Miał rację. To ja puściłam maszynę w ruch. Gdybym się teraz wycofała, oznaczałoby to przegraną. To nie była zabawa, podczas której mogłam pozbiierać zabawki i pójść do domu. Ale i tak to wszystko mi się nie podobało.

- Zastanawiałaś się jeszcze nad tym, kim mógł być twój szpieg?

- Nie jestem do końca przekonany, że w ogóle jakiś był. Myślę, że Arturo kazał po prostu śledzić kogoś z nas i poszczęściło mu się z magazynem. Posłuchaj. Złapiemy Arturo w pułapkę, potrzebuję z nim tylko chwili sam na sam i chcę, żebyś obstawiła mi tyły. Dack, Violet i Charlie są już na miejscu.

Kiedy Arturo zniknie, nie będzie mógł pomóc Carlowi i Meg. Wtedy zajmiemy się nimi.

- A może nimi zajmiemy się najpierw. Są przestraszeni, rozwścieczyliśmy ich.

- A więc widziałaś się z nimi? Doszło do konfrontacji?

Zawahałam się.

- Tak.

- I jeszcze żyją?

- Przyjechała policja, było za dużo ludzi, nie mogłam tak po prostu...

- Ale widzisz, Kitty, ja mogę. Ty doprowadziłaś nas do tego miejsca. Pozwól, że ja poprowadzę nas dalej. Zakryłam słuchawkę i spojrzałam w sufit. Z tego miejsca nie ma już odwrotu. Minęłam je i nawet tego nie zauważyłam.

Ben podszedł do drzwi i wziął plecak. Stał wyczekująco. W bagażniku miał pełno sprzętu, który mówił, że damy radę. Cholerny Cormac i jego arsenał.

Odwróciłam się do telefonu.

- Kiedy mamy tam być?

- Zaraz.

Syknęłam.

- No dobrze. W porządku. Już jedziemy. Muszę tylko podzwonić. Miej telefon pod ręką na wypadek, gdybym się dowiedziała, że to jakaś cholerna pułapka.

- Dobra. Zaparkujcie od południa, na sąsiedniej ulicy. Tam się spotkamy.

Schowałam telefon do kieszeni. Kiedy doszłam do drzwi, Ben podał mi moją torbę.

- Jedziemy do Obsydianu? - spytał.

- Tak.

- W takim razie chodźmy. - Wyszedł z domu, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Na przykład „przepraszam”.

Niecałe pięć minut później byliśmy już w drodze. Ben prowadził w skupieniu. Nie zerkał na mnie, nic nie mówił. Chciało mi się płakać. Ale musiałam wykonać kilka telefonów.

- Shaun, tu Kitty.

- Co się dzieje? - spytał podenerwowany. Wszyscy wyczekiwaliśmy przy telefonach.

- Rick zaczyna działać, ale potrzebne mi oczy. Wiesz może, gdzie są Carl i Meg?

- Ktoś obserwuje ich dom. Dowiem się.

- A jeśli ktoś zobaczy Arturo, też chcę o tym wiedzieć.

- Jasne. Zaraz oddzwonię.

Był uczciwy. Godny zaufania. Był dobrym porucznikiem. Miałam szczęście, że go wtedy znalazłam.

A może miałam lepszy instynkt, niż sądziłam. Przynajmniej pod niektórymi względami.

Byłam rozdarta, bo z jednej strony chciałam wykonać jeszcze kilka telefonów, a z drugiej nie chciałam blokować linii, żeby Shaun i Rick mogli się do mnie dodzwonić. Zaryzykowałam jeden telefon.

Odebrała Cheryl. - Cześć, Cheryl.

- Boże, Kitty, nic ci nie jest? Wszystko w porządku?

- Miałam cię spytać o to samo. - Nie byłam w stanie nic wyczytać z jej głosu. Ciągłe słychać w nim było lekką nutę hysterii.

- U nas wszystko w porządku. Tata po obiedzie wrócił ze szpitala. Mama spała. Trochę ją odurzili.

Ale nic nam nie jest. Nie widzieliśmy nic podejrzanego.

Dobrze.

- To właśnie chciałam usłyszeć. Muszę się rozłączyć, ale jeszcze zadzwonię. Może zaczekam do jutra i wtedy mi powiesz, czy wszystko jest okej.

- Uważaj na siebie.

- Dzięki.

Rozłączyłam się i zaczęłam czekać na telefon od Shauna. Ben zerkał cały czas w tylne lusterko, raz za razem, o wiele za często jak na zwykły manewr kontrolny.

- Co się dzieje?

- Chyba ktoś nas śledzi.

Aha, to było prawie zabawne. Odwróciłam się, żeby wyrzeć przez okno.

- Naprawdę?

- Czy mogłabyś być trochę bardziej dyskretna? - poprosił Ben.

- Ale to absurdalne. Ktoś nas śledzi? Naprawdę? Czyli co, mam zacząć strzelać z okna?

- Kitty, usiądź normalnie. Odwróciłam się przodem do kierunku jazdy i usiadłam. Zjechaliśmy z autostrady w Colfax i skręciliśmy na wschód. Wtedy włączyły się czerwono-niebieskie koguty.

- Cudownie - mruknął Ben, skręcając kierownicą, żeby zjechać na pobocze. - Nieoznakowany radiowóz. - No i faktycznie, za nami zjechał ciemny sedan, nieoznakowany i niepozorny. Światła błyskały z panelu znajdującego się z tyłu osłony przeciwsłonecznej, zza przedniej szyby.

- Eee, pewnie nie możemy im uciec?

Ben spojrzał na mnie jeszcze raz. Tym poirytowanym spojrzeniem, którym patrzył ostatnio tak często.

- Nikt jeszcze nigdy nie poprawił swojego położenia, próbując uciec policji.

Drzwi sedana się otworzyły. Z jakiegoś powodu nie byłam zdziwiona, kiedy z samochodu wysiadła oficer Hardin.

Położyłam rękę na klamce, chcąc wyjść i z nią porozmawiać, ale Ben powiedział:

- Nie. Kazano nam zjechać na pobocze, będziemy więc siedzieć i czekać jak praworzadni obywatele.

Usłużnie opuścił szybę. Kiedy Hardin się nachyliła, zobaczyliśmy jej uśmiech.

- Cześć - przywitała się.

Hardin była niby z tych dobrych. Może w to nie wierzyła, ale byliśmy po tej samej stronie. Nie mogłam dopuścić, żeby nas tu przetrzymała. Zrobiłam więc jedyne, co umiałam - zaczęłam gadać.

- Pani oficer, co pani do cholery tutaj robi? Ciągłe mnie pani śledzi?

Powinnam się domyślić, że już się do mnie przyzwyczaiła. Jej twarz nawet nie drgnęła.

- Tak. Bo wygląda na to, że wiesz, gdzie znajdują się wszystkie interesujące osoby.

Cudownie. Po prostu cudownie.

- Ci goście - ciągnęła Hardin - których dziś przymknęliśmy, są najwyraźniej chętni wydać wszystkie zaangażowane osoby. Bylebyśmy tylko wypuścili ich przed wtorkiem z aresztu. Co jest we wtorek?

- Następną pełnia - odparłam. Hardin skrzywiła się.

- No jasne. Kapuję. No to z kim jedziecie się teraz spotkać? Nagle zadzwonił mój telefon. Zakląłam.

Kiedy tylko ta

noc się skończy, wyrzucę go do kubła.

- Tak?

- Kitty, tu Shaun. Becky próbowała dodzwonić się do Micka, który obserwował dom Carla i Meg. Nie możemy się z nim skontaktować. Coś się stało, może po nas jadą.

- Mick był u nich?

- Miał być.

- Słuchaj, policja obstawiła ich dom i nic nie widziała. Czy to możliwe, że Mick poszedł za nimi na wzgórze?

- Możliwe.

- Ktoś powinien pojechać i sprawdzić, co z nim. Musimy wiedzieć, co robią.

- Becky i Wes już się tym zajęli.

- A co z Arturo?

- Cisza. Jęknęłam.

- Nie podoba mi się to.

- Mogę jakoś pomóc? - spytał.

- Pilnuj domu mojej siostry, ale bądź cały czas pod telefonem. Być może będziesz nam musiał później ratować tyłek.

Hardin wpatrywała się we mnie.

- Arturo? Mistrz wampirów w Denver? Ten, którego chcę przymknąć za morderstwa?

- Tak. - Ben mógł się wtrącić w każdej chwili i mi pomóc, ale najwyraźniej sprawiało mu przyjemność patrzeć, jak kopię pod sobą dołek.
- Jedziecie do niego? - spytała policjantka.
- Raczej staramy się nie dopuścić do tego, żeby on przyjechał po nas.
- Myślałam, że najłatwiej to zrobić, nie wychodząc z domu i nie zapraszając wampira do środka.
- Hm, no tak. Zazwyczaj.
- Chcę dorwać tego gościa, Kitty. Pomóż mi.
- A da sobie pani z nim radę? Czy na pewno pani sobie z nim poradzi?
- Bagażnik wyładowany kołkami i wodą święconą podpowiada mi, że tak - powiedziała. - Odrobiłam swoje zadanie domowe.
- Nie ma pani pojęcia, w co się pani ładuje - ostrzegł Ben.
- Nie mogę się już doczekać, żeby się przekonać - odparła. W tym właśnie momencie mój telefon postanowił zadzwonić. Znów. To raczej nie wróżyło nic dobrego.
- Co! - rzuciłam.
- Chciałbym zamienić z tobą słowo, Katharine. Musimy zakończyć tę sprawę, zanim dojdzie do kolejnego rozlewu krwi. - Arturo był wcieleniem wytworności. Poczułam mrowienie na skórze, włos zjeżył mi się na głowie. Gdzie on był? I co robił? Jak bardzo mieliśmy tym razem przechłapanę?
- Miałam nadzieję, że głos nie drżał mi za mocno.
- Zamienić słowo ze mną? A dlaczego nie z Rickiem?
- Sama się przekonasz. Chcę zawrzeć z tobą układ, z tobą i tylko z tobą.
- Wydaje mi się, że to jakiś podstęp. Że to pułapka. Nie zrobię tego.
- Ale przyjedziesz ze mną porozmawiać. Roześmiałam się.
- Czyżby?
- Tak. Bo stoję przy szpitalnym łóżku twojej matki. Rozłączył się.
- Poczułam falę niezdrowych dreszczy, gorących i zimnych jednocześnie. Miałam wrażenie, że odpływam. Usta mi zdrętwiały. Nic nie czułam. Oparłam się o zagłówek.
- Kitty? - spytał Ben. - Co się dzieje?



- O co chodzi? - zawtórowała mu Hardin.

Głos odmówił mi posłuszeństwa. To była wina Ricka. Chciałam krzyżeć. Miałam ochotę warczeć.

Wilczyca zaczęła się miotać - wataha była w niebezpieczeństwie. Moja ludzka wataha, ale jednak.

Musiałam biec i walczyć. Przełknęłam ślinę, policzyłam do dziesięciu, schowałam strach głęboko do środka. Weź się w garść.

- Kitty - odezwał się cicho Ben, przywołując mnie do porządku. Ścisnął moją rękę, a jego dotyk przyniósł mi wyciszenie.

- To był Arturo. - Zaczęłam wymachiwać ciągle włączonym telefonem. Trzęsła mi się ręka. - Jest u mojej mamy. Na ułamek sekundy zapadła cisza.

- Wiesz gdzie? - spytała Hardin. Trzymała w ręce radio. Skinęłam głową i wymieniłam szpital.

- Właśnie miała operację. Hardin wzywała przez radio posiłki.

- Ben, musimy pomóc mojej mamie - powiedziałam i w tym samym momencie dotarło do mnie coś jeszcze. Dalsze

konsekwencje. To nie był przypadek, tylko celowe działanie. -Arturo wie, że Rick jedzie do Obsydianu. To pułapka.

Szybko wybrałam numer Ricka. Telefon dzwonił i dzwonił, i dzwonił.

- Cholera.

- Pojadę tam - zdecydował Ben. - Pojadę do Obsydianu, żeby pomóc Rickowi. Ty pojedź z Hardin do szpitala.

Spojrzałam na policjantkę.

- Może być?

- Pewnie. Chodź. - Zawróciła do samochodu. Ścisnęłam Bena za rękę i powiedziałam:

- Uważaj na siebie.

- Ty też.

Wyskoczyłam z auta i poszłam za Hardin. Byłam w połowie drogi, kiedy usłyszałam:

- Kitty!

Ben wysiadł z auta i podbiegł do mnie z moim plecakiem. Spotkałam się z nim w połowie drogi, lawirując między samochodami. Ciemne niebo nad nami rozświetlała luna znad miasta.

- Nie zapomnij tego. - Ben podał mi torbę. Była napakowana znajomym ciężarem. Bronią. -

Dorzuciłem też kilka kołków. - Super. Świetnie.

Potem mnie pocałował. Przytrzymał mnie mocno ręką za policzek, gorączkowo przycisnął usta do moich warg i rozchylił je. W odpowiedzi cała się rozplątałam. Pełna pasji chwila trwała, przepływając przez całe moje ciało. Dotyk Bena był jak ogień. Miałam ochotę wtulić się w niego i zostać tak już na zawsze. Zaciśnęłam dłonie na jego rękach. Odsunął się ode mnie.

- Uważaj na siebie - powiedział ściśniętym głosem. Potem wrócił do samochodu. Zaciśkał zęby i wykrzywił z determinacją usta. Ten pocałunek wyglądał niemal na pożegnanie.

- Kitty, chodź! - zawołała Hardin z samochodu. Potem znów było jak w filmie gangsterskim. Ben odjechał. Nic mu nie będzie, byłam pewna, że da sobie radę.

Wsiadłam do wozu Hardin i wyjechałyśmy na drogę.

- Szczęściara - stwierdziła z rozbawionym uśmiechem.

- No - powiedziałam, ciągle łapiąc oddech. Szczęściara.

## Rozdział 14

Włączyła wszystkie syreny i koguty. Pędziłyśmy z zawrotną prędkością. Liczyłam, że dojedziemy do szpitala w dwadzieścia minut, a byliśmy na miejscu po jakichś dziesięciu.

- Opowiedz mi trochę o Arturo - poprosiła Hardin. Była całkowicie spokojna, zupełnie jakby nie jechała ulicami Denver sto trzydzieści na godzinę.

Od czego by tu zacząć?

- To wampir. Nie wiem, ile ma lat. Może dwieście albo trzysta...

- Wiesz co, ja nawet nie potrafię tego zrozumieć - powiedziała i zaśmiała się krótko. - Żył za czasów George'a Washingtona. Co to oznacza? Jak taki facet patrzy na świat?

- To oznacza, że dla niego się nie liczymy - wyjaśniłam. - Jesteśmy tu tylko na chwilę.

- Co poza tym?

- Ma swoich podwładnych, naśladowców. Nie wiem, czy teraz też ktoś z nim będzie. Domyślam się, że zostawił ich, żeby pilnowali jego siedziby. Ale jeśli są z nim, będą go bronić.

Hardin w napięciu rozważała swój dylemat: to były wampiry, potwory, które mogła zmiażdżyć, żeby dotrzeć prosto do swojego łupu. Ale byli oni również ludźmi, którym przysługiwało prawo do sprawiedliwego procesu.

- Jeśli rzeczywiście się z nimi spotkamy, jak ich powstrzymać? Czy da się to zrobić, nie zabijając ich przy tym?

- Nie wiem. Dużo rzeczy je rani: światło słoneczne, woda święcona. Nawet czosnek. Zabójcze jest tylko przebicie kolkiem.

- Zatem legendy są prawdziwe.

- Wiele z nich, owszem.

- Dobrze. - Sięgnęła za kołnierzyk i wyciągnęła spod koszuli łańcuszek z krzyżykiem. Zostawiła go na wierzchu.

Zajechałyśmy pod szpital. Po godzinach było tam niemal spokojnie.

- W porządku, gdzie moje posiłki? - mruknęła, zajeżdżając na podjazd dla karettek. O tej porze to pewnie było jedyne otwarte wejście. Wysiadłam z samochodu i rzuciłam się do drzwi, zanim Hardin zdążyła w ogóle się zatrzymać. - Kitty, czekaj!

Nie zczekałam. Szpital był rzęsiście oświetlony, niczym latarnia morska. Reszta świata była pogrążona w mroku.

Wbiegłam do środka, uderzając stopami o podłogę pokrytą linoleum, ale nie zatrzymałam się.

Zaczęłam rozglądać się za znakiem, który by mi powiedział, jak dotrzeć do głównej części szpitala, skąd trafiłabym do pokoju mamy. Musiałam wyglądać niebezpiecznie, bo umundurowany strażnik zagroził mi drogę z ręką na pasku.

Zdałam sobie sprawę, że mogłam go odepchnąć. Popuścić trochę wilczycy i odsunąć go na bok. Ale nie zrobiłam tego. Zaczęłam błagać:

- Muszę wejść, jedna z waszych pacjentek może być w niebezpieczeństwie! Bardzo proszę!

Hardin szła tuż za mną i błysnęła odznaką.

- Proszę ją przepuścić.

Strażnik odsunął się, a ja przebiegłam obok niego. Byłam niejasno świadoma, że Hardin biegnie za mną. Nie czekałam na nią. Miałam w głowie tylko jedno: błagam, żeby nic jej się nie stało.

W górę po schodach, przez jakieś drzwi, wzdłuż korytarza, za róg i już byliśmy przy jej pokoju.

Wyczułam ją. Drzwi były otwarte, a w środku ciemno. Łóżko i leżąca na nim osoba były widoczne wyłącznie w bladym świetle wpadającym z korytarza. Mama spała z głową lekko przechyloną na poduszce, z rękami na kocu, zaplątanymi w rurki od kroplówki. Poczulałam ją poprzez zapachy choroby i lekarstw. Oddychała, serce biło jej miarowo, żyła. Ale była blada. Miała pomarszczoną twarz, nawet we śnie.

Na krzesle przy łóżku, ustawionym tak, żeby było widać drzwi, siedział Arturo i patrzył na moją śpiącą matkę.

Krew szumiała mi w głowie i miałam wrażenie, że zaraz zemdleję.

- jak tu wszedłeś? - spytałam roztrzęsionym głosem. To mogło się skończyć bardzo źle. - Co ty wyprawiasz? - Słyszałam, że zakaz wstępu wampirów bez zaproszenia nie dotyczył miejsc publicznych, ogólnodostępnych. Najwyraźniej szpital był przestrzenią publiczną.

Przesunął na mnie leniwie wzrok, zachowując beznamiętny wyraz twarzy. Zupełnie tu nie pasował: siedział wygodnie na krzesle jak na tronie, jedną nogę wyciągał przed sobą, obydwa łokcie opierał na wąskich podłokietnikach. Miał szyte na miarę spodnie, białą koszulę zapinaną pod kołnierzykiem i marynarkę. Wszystko wyglądało oficjalnie i elegancko. Był wiktoriańskim dżentelmenem, który trafił do współczesności.

Hardin dołączyła do mnie i zasłoniła światło, kiedy stanęła w drzwiach. Celowała do wampira z pistoletu. Nie, to nie był pistolet. To był podręcznej wielkości łuk z drewnianym kołkiem.

- Nie ruszaj się, bo będę strzelać - powiedziała autorytatywnym głosem policjantki. Arturo nie wyglądał, jakby się tym przejął.

- Pani Hardin, chciałbym, żeby pani sobie chwilę odpoczęła - odparł. Mówił powoli, niemal śpiewnie.

Spojrzał jej w oczy. Patrzyli na siebie, jakby poza nimi nie było nikogo na świecie.

Wiedziałam, że Hardin nie da sobie rady z wampirami.

- Proszę opuścić broń - rozkazał. A ona go posłuchała. Wyglądała na zrelaksowaną, ale miała zdziwioną minę i lekko zmarszczone czoło, jakby jakaś jej część dziwiła się, dlaczego właściwie go słucha. Po części pozostała sobą, ale i tak uległa jego magii.

- Arturo, przestań - powiedziałam.

- Pani Hardin, proszę na chwilę wyjść na korytarz. Proszę się oprzeć o ścianę i odpocząć. Dziękuję.

Hardin wysunęła się za drzwi i oparła się o ścianę, jakby rzeczywiście chciała przez chwilę odpocząć.

Zostałam sama z Arturo. Z moją chorą matką i z wampirem. Szybko otarłam łzy. To był koniec.

Wszystko na nic.

- Czego chcesz? - szepnęłam.

- Chcę tylko porozmawiać. W tym miejscu jesteśmy bezpieczni. Nie możemy tutaj walczyć.

- Ale nie... nie zrobisz jej krzywdy? - Zaczęłam płakać niespokojnymi, cichymi łzami i to mnie irytowało. Czułam się strasznie słaba i bezradna.

Arturo pokręcił powoli głową, jakby nieobecny duchem.

- Mogę ją ocalić, jeśli chcesz.

Mógł wypić jej krew, zamienić ją, a po trzech dniach byłaby taka sama jak on. Niezwyciężona, nieśmiertelna, uleczona.

- Ja też. Proponowałam jej to. Nie chciała.

- Mądra kobieta.

- To prawda.

- Carl musi odejść. Zdaję sobie z tego sprawę. Mówiłem mu, żeby ciebie nie atakował. Wyjaśniłem, że ten wczorajszy numer miał nas tylko sprowokować. Że jeśli zachowamy spokój, nie będziecie mogli nas tknąć. Nie dziwi mnie, że nie posłuchał. - Jest dość przewidywalny - przyznałam.

- Jesteś gotowa go zastąpić? - Tak. - Mogę ci pomóc.

Rzeczywiście mógł. Jednym słowem czy gestem mógł zniszczyć Carla i Meg. A ja musiałabym tylko zająć zwolnione przez nich miejsce. Plus odsprzedać swoją duszę Arturo.

- Nie chcę ci niczego zawdzięczać. Nie chcę zaciągać u ciebie długu.

- Tak myślałem. Musiałem jednak spróbować. Carl nie miał takich skrupułów jak ty, przyjmując podobną ofertę.

Nigdy o tym nie słyszałam. Nigdy się nie zastanawiałam nad samcem alfa, którego musiał pokonać Carl, żeby zająć jego

miejsce. Kiedy zostałam zaatakowana, zainfekowana, kiedy przyłączyłam się do watahy, Carl był w moich oczach bogiem, wiecznym i niezmiennym.

Arturo podniósł się płynnym ruchem, z niepojętą gracją. W jednej chwili siedział, a zaraz potem stał z rękami założonymi za plecami. Podszedł do łóżka mojej mamy i nachylił się nad nim.

- Nie usunęli wszystkiego - powiedział, przyglądając się jej badawczo i mrużąc oczy. - Czeka ją wiele miesięcy chemioterapii. Ale nawet potem rak może w każdej chwili wrócić, wszędzie. W kościach.

We krwi. W mózgu.

- Skąd wiesz? Nie możesz tego wiedzieć.

- Wyczuwam go w jej krwi. Czuję, jak krąży. - Wyciągnął rękę, rozłożył płasko dłoń i przytrzymał ją kilka centymetrów nad jej klatką piersiową, jakby naprawdę wyczuwał maleńkie komórki rakowe, które siaty w niej spustoszenie. - Ma chorą krew.

Zdusiłam szloch. Głos miałam szorstki jak papier ścierny.

- Błagam, Arturo. Zostaw ją w spokoju.

Prawie wrzasnęłam, kiedy dotknął twarzy mojej mamy, lekko muskając palcami jej podbródek.

- Co byś dała za jej bezpieczeństwo, Katherine? Arturo nigdy nie przekonał się do tego, żeby mówić do mnie Kitty. To imię uwłaczało jego godności. Kiedy wymówił teraz moje imię w pełnym brzmieniu, poczułam się tak, jakby zacisnął mi palce wokół szyi.

- Wszystko - szepnęłam.

Położył rękę na gardle mojej mamy... w każdej chwili mógł ją zacisnąć i zacząć dusić.

- Przejmiesz miejsce Carla. Będziesz mi posłuszna.

- Nie możesz tego zrobić. - Bezsensowny, nic nieznaczący sprzeciw.

- Ale robiłem już o wiele gorsze rzeczy, żeby znaleźć się tu, gdzie teraz jestem.

W krótkim przebłysku zobaczyłam, jak przewraca Carla jednym machnięciem ręki. Jednym słowem unieruchomił Hardin. Był zbyt silny, nie byłam w stanie go powstrzymać.

Żałowałam, że nie mam zdolności telekinetycznych i nie mogę przerzucić go na drugą stronę pokoju.

Żałowałam, że nie potrafię ściągać z nieba piorunów. Żałowałam, że nie mam worka czosnku i butelki z wodą święconą. Żałowałam, że nie byłam wierząca i nie miałam na szyi krzyżyka.

Zamyśliłam się przez chwilę. Zrobiłam krok w tył, w stronę drzwi, gdzie widziałam odpoczywającą Hardin. Jej krzyżyk mógł mu zrobić krzywdę, ale musiałby go dotknąć.

- Katherine - powiedział Arturo. - Nie powinnaś się nad tym zastanawiać. Wyczuwam pod ręką jej puls. Mogę go zatrzymać.

Potrzebowałam jeszcze kilku sekund.

- Ben też - odparłam, grając na zwłokę. Odwróciłam się do niego plecami w udawanej rozpacz, żeby nie było widać, jak rozsuwam kołnierzyk koszuli Hardin. - Nie rób mu krzywdy. Ben i ja za Carla i Meg.

- Oczywiście. Tak właśnie planowałem.

Hardin nie ruszała się, nawet nie mrugnęła. Miała na wpół przymknięte powieki i wpatrywała się

pustym wzrokiem przed siebie. Dotknęłam łańcuszka i zaczęły mnie swędzieć palce. Był srebrny.

Cholera.

Trudno. Będę musiała wytrzymać. Zacisnęłam z bólu zęby, złapałam za srebrny łańcuszek z krzyżykiem i szarpnęłam. Zapięcie zerwało się, a łańcuszek wpadł mi do ręki. Swędzenie na skórze zamieniło się w pieczenie. - Co robisz?

- Sprawdzam, czy nic jej nie jest. Ją też puścisz? Hardin nie ma pojęcia, z czym ma do czynienia.

- Nie będzie nawet pamiętać, co się stało. - Nie chcę być twoją służącą.

- A ja nie potrzebuję służącej. Chcę partnerki, której mogę ufać.

Z rękami przy boku zwiniętymi w pięści, zaciskając zęby z powodu palącego bólu wywołanego srebrem, podeszłam ze spuszczoną głową do łóżka. Nie patrzyłam mu w oczy.

Moja mama ciągle spała. Dotyk Arturo był tak lekki, że nawet jej nie obudził. Spojrzałam na jej rękę.

Położyłam dłoń

na brzegu łóżka, jakbym już miała ulec, już miała mu się poddać. Musiało się udać.

- Myślę - zaczęłam powoli. - Myślę, że powinieneś zostawić moją matkę w spokoju.

Położyłam mu krzyżyk na rękę.

Odskoczył, jakby ugryzł go wąż, cofnął gwałtownie rękę i przycisnął ją do piersi. Krzyżyk spadł na kołdrę, którą była przykryta mama. Wzięłam go i zawiesiłam sobie na rękę, żeby dobrze mu się przyjrzał, ignorując powodowany nim ból.

- Wynoś się - powiedziałam, w dalszym ciągu nie patrząc mu w twarz, w te jego oczy. Domyślałam się, że na mnie patrzy. Kiedy dalej tkwił w miejscu, aż zagotowałam się z wściekłości. Do głosu doszły tygodnie frustracji, strachu i bólu. Pieprzyć tych, którzy skazali mnie na życie w strachu.

- Wynoś się! Wynoś się stąd! - Mój krzyk zabrzmiał jak warknięcie, a z oczu wyjrzała mi wilczyca.

Prężyła mięśnie moich rąk, zaciskała palce jak pazury. Mogłam się zmienić w każdej chwili i na niego naskoczyć. Może byłby w stanie mnie powstrzymać. A może nie.

Podszedł do drzwi, a ja podążyłam za nim. Patrzyłam na jego ramię, a nie na twarz. Czułam, że pomruk w mojej piersi zaczyna przypominać warczenie. Miałam ochotę rozszarpać mu gardło. Usta bolały mnie, bo tak strasznie chciałam, żeby wyrosły mi kły.

Arturo uśmiechnął się ostrożnie. Spuścił wzrok i skłonił się lekko, wciąż przyciskając rękę do piersi.

Cały ten gest miał w sobie coś dworskiego.

Nagle uciekł, jak zrobiłby to każdy, mając do czynienia z oszalałym wilkiem.

Tak naprawdę, mimo że bardzo bym chciała zobaczyć, jak przede mną ucieka, on po prostu odwrócił się do drzwi i w jednej chwili zniknął. Pokręciłam głową, przekonana, że niedowidzę.

Przeprowadził

typowo wampirzy odwrot: jego cień mignął i zniknął.

Objęłam się za brzuch i poczułam się jak najszczęśliwsza dziewczyna na świecie. Zostawił mnie i mamę w spokoju.

Czułam, że ręka mi zaraz odpadnie.

- Aaa! - Rzuciłam krzyżyk i łańcuszek na łóżko mamy. Zamierzałam je tam zostawić, na wypadek gdyby Arturo wrócił. Wyciągnęłam rękę... od silnej wysypki spuchła mi dłoń. - Cholera - mruknęłam.

- Kitty? Hm... która godzina? Już ciemno - wymamrotała mama cichym i zagubionym głosem, odwracając głowę.

- Cśś, mamó. Już dobrze. Wszystko w porządku. Śpij sobie. - Dotknęłam jej ręki, a potem czoła, odsuwając kosmyki włosów w kolorze popiołu. Próbowałam mówić kojąco, łagodnie. - Śpij spokojnie. Później do ciebie przyjdę.

- Dobrze.

- Kocham cię.

Uśmiechnęła się przelotnie i od razu zasnęła. Była cały czas odurzona środkami znieczulającymi i właściwie w ogóle się nie obudziła.

Westchnęłam z ulgą. Była bezpieczna. Będzie bezpieczna. Czy mogłam już zasłać?

- Gdzie on jest? Gdzie się podział? - Hardin znów pojawiła się w drzwiach z łukiem w ręce i oszalałym wzrokiem.

- Zniknął. W dalszym ciągu chce pani aresztować mistrza wampirów z Denver?

- Jezu Chryste - syknęła. Potarła się po karku w miejscu, w którym pękł łańcuszek.

- Pani oficer, może coś pani dla mnie zrobić? Podeszła do łóżka.

- Nic jej nie jest?

- Nie. Mogłaby pani zawiązać jakoś wokół niej ten łańcuszek? Nie chcę go dotykać bez potrzeby. -

Pokazałam jej moją opuchniętą rękę.



- To mój krzyżyk - stwierdziła.

- Musiałam go sobie pożyczyć.

Przyglądała się mi przez chwilę, po czym pokręciła głową. Jej napięta twarz zdołała wyrazić zarówno zaniepokojenie, jak i poirytowanie. Zapięła jednak łańcuszek na szyi mamy.

- To od srebra?

Skrzywiłam się i przytaknęłam.

- W przypadku srebrnych kul to nie kula zabija wilkołaka, tylko srebro, które zatrzuwa krew.

- I to dość mocno, jak przypuszczam.

- Chyba tak.

Hardin wyprostowała się i spojrzała na mnie. Niepokój mijał, ustępując miejsca silnemu zdenerwowaniu.

- Będziesz mi musiała wyjaśnić, co ten drań ze mną zrobił.

- Zahipnotyzował panią.

- Aha. No tak.

- Jak pani sądzi, w jaki sposób zmuszają ludzi, żeby stali spokojnie, kiedy sami piją ich krew?

Zmarszczyła brwi.

- Nie cierpię, kiedy te bzdury okazują się mieć sens.

- Następnym razem proszę nie patrzeć mu w oczy, dobrze?

- Chodźmy stąd.

Dotknęłam ostatni raz ręki mamy. Spała, a krzyżyk był dobrze widoczny w zagłębieniu na jej szyi.

Zadbałam o jej bezpieczeństwo, jak umiałam. Czyli niespecjalnie. Naprawdę nie chciałam jej zostawiać samej. - Nic jej nie będzie - zapewniła Hardin, dotykając mojej ręki. - Dopilnuję, żeby ochrona miała na oku jej pokój.

Jakby to miało coś dać. Arturo po prostu rzuci na nich swój czar i tyle.

- Każę im powiesić warkocze czosnku w drzwiach. - Uśmiechnęła się szeroko, ale to wcale nie był żart.

Usłyszałyśmy przed sobą tupot nóg. Korytarzem biegło czterech policjantów. Posiłki Hardin.

- Trochę wam zeszło, chłopaki! - warknęła. - Chodźcie, idziemy stąd.

Policjanci wzruszyli ramionami i wymruczeli pod nosem jakieś wymówki. Ale ja zerknęłam na zegarek - cała rozmowa z Arturo zajęła tylko około dwóch minut. Nie byłyśmy tu długo. Czas się rozciągnął, żebyśmy miały takie wrażenie.

Hardin zamieniła słowo z ochroną, po czym wyszliśmy razem ze szpitala.

- Twój chłopak pojechał do tego wampira. Gdzie?

- Zna pani Obsydian? Galerię sztuki przy Czternastej ulicy? Jego lokum jest w podziemiach.

- Ilu ma ludzi?

- Nie wiem. Widziałam jakichś dwunastu czy czternastu. Same wampiry.

- No cóż, zabawimy się. Sawyer, masz raporty z obserwacji Mercedes Cook? Wiemy, że jest jego współniczką. Może zyskamy niejakię pojęcie o tym, co nas tam czeka.

- Tak, mam w samochodzie.

- Sawyer - mruknęłam. - Czy to nie ten, który mnie postrzelił?

Policjant schylił się i pobiegł przodem. Uciekł przede mną. To był on.

- Odpuść sobie, Kitty - powiedziała Hardin, po czym dodała: - Okulary słoneczne.

- Co?

- Myślisz, że okulary słoneczne pomogą na tę całą gównianą hipnozę? - Wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę, po czym odegrała cały rytuał zapalania papierosa. Jej ruchy były maniackalne, zdeterminowane.

- Nie wiem.

Sierżant Sawyer podał jej szarą kopertę, którą mi przekazała. Potem zwołała wokół siebie swoich ludzi: czterech umundurowanych policjantów, którzy wyglądali, jakby szykowali się na wojnę. Byłam autentycznie oniemiała.

Skinęła na czterech funkcjonariuszy - samych mężczyzn, wszystkich o wyglądzie twardziela - i powiedziała: - Powtórz im to, co mi powiedziałaś. Wszystko, czego możemy się spodziewać po wampirach. Powtórzyłam im wszystko, każdy znany mi szczegół na temat wampirów, wszystko, czego kiedykolwiek byłam świadkiem. Były silne, potrafiły bez trudu powalić dorosłego mężczyznę, potrafiły kontrolować czyjaś wolę samym spojrzeniem w oczy. Ciężko je było zabić. Miały za sobą całe dziesięciolecia

doświadczeń. Arturo miał za sobą nawet stulecia. Jak mogłam im to uświadomić?

Policjanci patrzyli na mnie z tą samą gotowością i niecierpliwością. Słyszeli, co do nich mówiłam, ale nie byłam pewna, czy mnie zrozumieli. Pewnie bardziej im się to kojarzyło z jakąś grą wideo.

Wysyłałam ich na pewną śmierć.

Hardin dorzuciła kilka poleceń:

- Nie pozwólcie się rozdzielić. Trzymajcie się swoich partnerów, pilnujcie się nawzajem. Jeśli zobaczycie, że ktoś ma kłopoty, wezwijcie posiłki. Nie chcę żadnego heroizmu. Nie wiemy, z czym tak naprawdę mamy do czynienia.

Wsiedliśmy do trzech samochodów. Hardin kazała jednemu z kierowców zatrzymać się od frontu, podczas gdy drugi radiowóz i ona sama mieli zaparkować od tyłu. Żadnych kogutów ani syren.

Mieliśmy to zrobić po cichu.

- I tak będą wiedzieć - powiedziałam. - Zanim nawet zdążymy wysiąść z samochodu.

- W takim razie będziemy na to gotowi - odparła pewnym siebie głosem.

Wszyscy zginiemy, jęknął we mnie jakiś głos. To nie była wilczyca. Potrafiłam ją rozpoznać, bo zagrzewała mnie do walki: *Musimy zabić tych, którzy nas krzywdzą. Musimy stanąć do bitwy.*

Sama już nie wiedziałam, którego głosu mam słuchać.

## Rozdział 15

Po drodze przeglądałam teczkę z informacjami na temat Mercedes Cook. Policji udało się wybrać garść zdjęć z kamer dozorowych z hotelu - cyfrowych fotek wydrukowanych na zwykłym papierze.

Widać było na nich diwę w hotelu, zwykle rozmawiającą z pracownikami obsługi lub ze swoimi gośćmi,

wśród których nie brakowało miejscowych gwiazd. Niektóre odbitki były zamazane... tak jak zdjęcia z kamery z obrabowanego sklepu całodobowego. Były na nich wampiry, które nie chciały, żeby je widziano. Może nawet był wśród nich Arturo.

Zamarłam na widok jednego ze zdjęć. Rozpoznałam na nim korytarz przed apartamentem Mercedes w Brown Pałace. Do jej pokoju wchodził mężczyzna. Wysoko unosił głowę i jego twarz była dobrze widoczna. Zachowywał się z taką pewnością siebie, jakby to miejsce należało do niego. Wiedział, co robi, i miał plan. Był mocno opalony, miał spalone słońcem blond włosy i szorstką, smaganą wiatrem skórę.

Dack. Przypomniałam sobie nagle, co powiedział: „Dobrze mieć przy sobie wampira, który jest ci winny przysługę. Najlepiej trzymać z najsilniejszymi”. I nie odpowiedział mi, kiedy spytałam, czy ma na myśli Ricka. Najwyraźniej nie. Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że oto znaleźliśmy szpiega w obozie Ricka. A ja nie miałam jak dotrzeć do niego, żeby mu o tym powiedzieć, zwłaszcza że nie

odbierał telefonu. Dack był razem z nim i bez wątpienia szykował się do zadania mu ciosu w plecy.

Ben również był z nimi. Wszystko zaczęło się walić. Zastanawiałam się, czy nie jest za późno, żeby zgarnąć Bena i uciec. - Rozpoznałaś tego faceta - stwierdziła Hardin, zerkając na mnie.

- Tak. I chyba mamy przerabane.

- Przekonamy się. To też wampir?

- Nie. Likantrop.

- Tym razem wszyscy mają srebrne kule. Sama sprawdziłam.

- Cudownie. Będę pamiętać, żeby zawsze stać za panią.

- Masz całkiem dobry pomysł. To był jakiś obłąd.

Zadzwoiłam znów do Ricka, żeby powiedzieć mu o Dac-ku, ale ciągle nie odbierał. Potem wybrałam numer Bena. On też się nie zgłaszał.

Obsydian znajdował się w przyjemniejszej części miasta, na ulicy pełnej eleganckich restauracji i modnych butików, na

wpół artystycznych, a po części snobistycznych. Front budynku zajmowała galeria sztuki, ciekawsze było jednak podziemie. Schody z tyłu prowadziły do samego serca imperium Arturo.

Rozejrzałam się za miejscem, na którym kazał mi zaparkować Rick; nie było samochodu Bena. Nie było jego samego. Może to dobrze. Może już po wszystkim. Może nic im się nie stało.

Hardin rozdała swoim ludziom sprzęt z bagażnika: krzyże, kołki, kusze z drewnianymi strzałami, atomizery z czymś, co musiało być wodą święconą. Wzięłam garść kołków i krzyży, stalowych, wielkości mojej dłoni. Stwierdziłam, że jeśli wszystko inne zawiedzie, zdam się na umiejętność szybkiej ucieczki. Przerzuciłam plecak przez ramię.

Tak uzbrojeni i przygotowani podeszliśmy do budynku. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać z zewnątrz. Pięciu policjantów idących twardo w stronę ciemnego domu, z kuszami i krzyżami w rękach... Nie mogli polować na nic innego niż na wampiry.

Budynek stał samotnie w otoczeniu parkingów. Przystanąłam, mając nadzieję, że coś wywącham, wyczuję. Ale ulica była cicha, a dom wyglądał na opustoszały.

Hardin wskazała palcem na swoich ludzi.

- Wy dwaj przypilnujcie wejścia. Nie pozwólcie, żeby ktokolwiek się stąd wydostał.

Cała reszta poszła w kierunku zaplecza.

- Jesteś cywilem - powiedziała Hardin. - Jeśli nie chcesz, nie musisz tego robić. Ale jeśli sądzisz, że możesz pomóc...

- Może mogę, a może nie, ale i tak pójdę z wami. - Skoro sama wszystko zaczęłam, musiałam doprowadzić sprawę do końca.

Bmw Ricka było zaparkowane na tyłach. Był gdzieś tutaj, walczył o życie albo już nie żył. Stało też kilka innych samochodów. Żaden z nich nie należał do Bena.

Hardin powtórzyła rozkazy pozostałym policjantom.

- Nie pozwólcie nikomu zejść tymi schodami, nie pozwólcie nikomu się stąd wydostać.

Kolejnych dwóch funkcjonariuszy - tylna straż, a zarazem nasze wsparcie - zostało za nami, podczas gdy ja i Hardin zeszyliśmy do piwnicy.

- Byłaś tu już kiedyś, prawda? - Mimo sprzętu przeciwko wampirom, który z trudem zgromadziła, Hardin nawykowo wyciągnęła pistolet. Ze zdumieniem rozpoznałam model -dziewięćmilimetrowy półautomat.

- Tak - odparłam. - Ale jakiś czas temu.

- Powiedz, czego mam się spodziewać.

- Na dole są metalowe drzwi. Wychodzą na korytarz. Po każdej stronie znajdują się kolejne zamknięte drzwi. Nie wiem, co jest za nimi. Na końcu korytarza są jeszcze jedne drzwi. Prowadzą do pomieszczenia, które można by pewnie nazwać salonem.

Właściwie to bardziej przypominało salę tronową albo poselską - pozostałość z epoki pałaców i dworów. Nie mieliśmy na to w naszych czasach odpowiednika. W tym miejscu właśnie Arturo przyjmował podwładnych i to tu zjawiał się Carl, żeby złożyć mu wyrazy szacunku, odbyć negocjacje albo zadbać o pokój pomiędzy naszymi gatunkami. Zwykle Carl przyprowadzał własną świtę, wystarczająco dużą część watahy, żeby pokazać swoją siłę i zrównoważyć jakiś tuzin wampirów stojących u boku Arturo. Czasem zabierał mnie ze sobą, kiedy potrzebował przy sobie młodej ślicznotki, żeby podbudować własne ego. Samiec alfa mógł zyskać lepszą pozycję, pokazując, jak wiele bezradnych szczeniaków może wziąć pod opiekę. Tym właśnie dla niego byłam... bezradnym dzieckiem. Nienawidziłam tych wyjść. Nie cierpiałam, kiedy wystawiano mnie na pokaz.

Podczas jednego z takich spotkań poznałam Ricka. Byłam młoda, zarówno jako człowiek, jak i wilkołak. Byłam likantropem dopiero od roku. Rick stał na warcie przy drzwiach do piwnicy, a ja wymknęłam się, kiedy Carl nie zwracał na mnie uwagi. Bez Carla nie mogłam wrócić do domu, więc zostałam w pobliżu, przysiadłam na betonowych schodach i wdałam się w pogawędkę z Rickiem. Był

pierwszym wampirem, który w ogóle raczył ze mną porozmawiać. Widział, że to wszystko jest dla mnie nowe i był dla mnie miły. Po tym spotkaniu to miejsce wydało mi się trochę bardziej autentyczne. Bardziej wiarygodne. Wampiry przestały być aż tak przerażające.

Jeśli Arturo wrócił ze szpitala przed nami, spodziewałam się, że zastaniemy go w tej właśnie sali, w otoczeniu jego sług. Nie miałam pojęcia, gdzie mógł być Rick. Spodziewałam się niemal, że dalej będzie stał na straży przy drzwiach u dołu schodów. Że przysiadę się do niego i wdamy się w miłą pogawędkę. Że opowie mi kilka historii o Denver z czasów gorączki złota. Czułam się tak, jakbym przeniosła się w czasie, jakbym miała déjà vu.

Hardin schodziła przodem. Szłam za nią, nieustannie oglądając się przez ramię.

Drzwi na dole były otwarte.

Za nami, w uliczce, z której właśnie przyszliśmy, rozległ się krzyk jakiegoś mężczyzny. A potem drugi głos zawołał:

- Padnij!

Rozległy się dwa wystrzały. Hardin wbiegła z powrotem po schodach. Popędziłam za nią. Nie miałam nawet okazji zerknąć za drzwi, żeby zobaczyć, co mogło biec za nami.

Kiedy Hardin znalazła się na szczycie schodów, wrzasnęła:

- Stać! Stać, bo strzelam! - A po chwili: - Cholera! Przyłgnęła do ściany i rozejrzała po zaułku.

Przykucnęłam

przy niej, chowając się za murkiem przy schodach.

Jeden z dwóch policjantów - rozpoznałam Sawyera - obracał się wte i wewte, jakby szukał ofiary, która zdążyła się już schować. W jednej ręce trzymał pistolet, a w drugiej atomizer. Trzęsły mu się ręce. Obok leżał nieruchomo drugi policjant, twarzą do ziemi. Nie widziałam na nim żadnej krwi ani ran. To nic nie znaczyło. Podniosłam głowę, obejrzałam się na boki i dookoła. Wampiry mogły spaść na nas nawet z góry.

- Sawyer, gdzie on się podział?

- Nie wiem, po prostu... zniknął. Rozmył się. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki, równy wdech.

Powietrze było dziś spokojne, zniknął letni skwar i pozostał tylko łagodny, wilgotny chłód. To dobrze.

Bez wiatru napastnik nie mógł nas zaatakować zniecacka, ustawiając się tak, żeby nie dobiegał nas jego zapach. Wampiry zalatywały trupem, ale tylko trochę. Były martwe, ale pozbawione rozkładu i zgnilizny. Nie biły im serca, były zimne. Krew i ciepło, które w sobie miały, kradły żywym. Ich zapach był zupełnie nie na miejscu, jakby nie należały do tego świata.

Szukałam go teraz w smaku powietrza, wpuszczając odrobinę wilczycy do swojej świadomości, żeby móc wykorzystać jej zmysły. Potrzebna mi była tylko lokalizacja, kierunek, który mogłabym wskazać

Hardin i Sawyerowi.

Wszędzie wokół wyczuwałam wampiry.

Serce mi waliło, przycisnęłam się do betonowych schodów. Nie mogliśmy nic zrobić, dopóki któryś się nie poruszy, dopóki nie zobaczymy żadnego z nich. Strzelając do cieni, marnowalibyśmy tylko tę żalną garstkę amunicji, którą mieliśmy przy sobie. Niepotrzebnie chlupalibyśmy wodą święconą.

Sawyer uklęknął przy swoim partnerze i dotknął jego szyi. Żeby to zrobić, musiał odłożyć jakąś broń, a ja z przerażeniem stwierdziłam, że był to atomizer. Nie żebym specjalnie ufała skuteczności atomizerów, a tym bardziej zawartej w nich wodzie święconej. Pistolet jednak był zupełnie bezużyteczny. - Żyje - zawołał do nas Sawyer. - Chyba tylko stracił przytomność.

- Czy wampiry potrafią tak robić? - szepnęła do mnie Hardin. - Po prostu kogoś znokautować.

Nie odpowiedziałam, bo zobaczyłam jakieś poruszenie, przeskakujące z jednej plamy cienia do drugiej. - Sawyer, za tobą!

Obrócił się i zobaczył postać, która błyskawicznie i w zupełnej ciszy pojawiła się za nim. Napastnik, błydy mężczyzna ubrany w ciemne spodnie i koszulę, podniósł rękę, żeby zadać cios. Sawyer pod wpływem paniki zareagował instynktownie, podniósł pistolet i wystrzelił. Pieprzony rewolwerowiec.

Postrzelony w pierś wampir zachwiał się do tyłu, ale nie upadł. Nie poczułam krwi. Nie zareagował, wyprostował tylko

ramiona i spojrzał w skupieniu na Sawyera. W jednej chwili znalazł się przy nim. Poruszał się jak błyskawica.

- Cholera - mrukną! Sawyer, kiedy wampir zamachnął się pięścią i dokończył cios, przy czym ledwie się poruszył. Uderzenie nie wyglądało na specjalnie silne, ale poderwało Sawyera z ziemi i rzuciło nim kilka metrów dalej na asfalt.

Po krótkiej, przerażającej chwili Sawyer się poruszył. Nie za szybko, ale jednak. Zaczął się podciągać na rękach, ale udało mu się tylko przewrócić na plecy. Leżał tak i dyszał ciężko.

- Jesteś aresztowany! - wrzasnęła Hardin do wampira. Wycelowała do niego z pistoletu, niezależnie od tego, że gest ten był kompletnie bezużyteczny.

- Hardin, kusza - mruknęłam. W odpowiedzi zamieniła broń. Podeszłam ostrożnie do wampira z uniesionym krzyżem, jakbym mogła go odciągnąć od leżącego mężczyzny.

Wampir spojrzał na nas i się uśmiechnął. A potem zignorował naszą obecność i zajął się znów Sawyerem.

Radio, które Hardin miała przy pasku, odezwało się z trzaskiem, ale dochodzący z niego głos był

przytłumiony. Przypominał głos jednego z pozostałej dwójki policjantów, która zjawiała się z Hardin.

Od frontu dobiegły nas strzały. Hardin zaklęła, ale nic poza tym nie zrobiła. Nic teraz nie mogliśmy na to poradzić.

Z boku budynku wybiegły na nas jeszcze dwa wampiry. Oba były dość młode, jeden miał ciemne włosy, a drugi był wysokim blondynem. Z głuchym okrzykiem i poczuciem rezygnacji zagroziłam im drogę, Unosząc krzyż jak tarczę.

Sawyer próbował się podnieść i usiąść. Nie widział niebezpieczeństwa za swoimi plecami. Hardin wystrzeliła z kuszy. Wampir wzdrygnął się i otrzepał rękę. Strzała spadła na ziemię; nie wbiła się.

Policjantka zaklęła i pogrzebała przy pasku w poszukiwaniu sakiewki z bełtami.

Stałam między nowo przybyłymi wampirami a Hardin, skrapiając powietrze wokół siebie mgiełką wody święconej. To je na moment zatrzymało. Nie pozwoliło im tak szybko dotrzeć do celu. Ale trwało tylko chwilę. Zaczęłam grzebać w poszukiwaniu kołków, które Ben wepchnął mi do plecaka.

Kiedy blondyn rzucił się na mnie, znów prysnęłam wodą święconą z atomizera. Trafiła go w rękę.

Roztarł ją z roztargnieniem, wcale nie został unieruchomiony. Równie dobrze mógł się oganiać od chmary komarów. A potem usunął mnie sobie z drogi. Nawet nie zauważyłam, że się zbliża. Byłam pewna, że jestem poza jego zasięgiem. Stałam, a zaraz potem leżałam twarzą do ziemi, plując żwirem.

Kołki wysypały mi się z plecaka.

Pierwszy wampir nadepnął Sawyerowi na klatkę piersiową, przygniótł go do ziemi, a potem skręcił mu kark. Zrobił to nieludzkim ruchem, wymagającym nieludzkiej siły. I nieludzkich uczuć.

Usłyszałam trzask. Zobaczyłam, jak głowa Sawyera opada z powrotem na ziemię, bezwładnie.

Usłyszałam, jak serce przestaje mu bić. Wampir upuścił Sawyera na chodnik.

- Nie! - krzyknęła Hardin, po czym znów wystrzeliła z kuszy. I znów. Pierwszy bełt trafił wampira w ramię, a drugi w udo.

Hardin nie zauważyła wampira, który stał za nią.

Nade mną stał blondyn.

Chwyciłam za kołek i wbiłam mu go w stopę. Drewno było zaostrome i przebiło na wylot lśniący skórzany trzewik. Wampir warknął, odsunął nogę i kopnął, ale ja też miałam trochę nadludzkiej prędkości i już na niego czekałam. Przeturlałam się z kolejnym kołkiem w rękę. Wampir był teraz rozwścieczony i rzucił się na mnie. Uchyliłam się. Napięłam ramiona, uniosłam kołek i zaczęłam się modlić. Poczulałam, jak jego klatka piersiowa się na mnie zwała. Zaraz potem przygniótł mnie do



ziemi całym ciężarem ciała. Był młodym wampirem, zaledwie kilkudziesięcioletnim. Nie zamienił się w popiół, nie dopadły go nagle setki lat wstrzymywanego rozkładu. Kiedy zrzuciłam go z siebie i spojrzałam na niego, był wysuszony - szare ciało, zapadnięte policzki, pusty korpus. Ubrania wisiały na nim w strzępach, a kołek cały czas wystawał spomiędzy żeber. Wampir wpatrywał się we mnie zamglonymi oczami.

Stłumiłam krzyk i odwróciłam się.

Drugi wampir przytrzymał Hardin od tyłu w uścisku i przesuwał wargami po jej szyi. Z paskudnym uśmiechem na ustach, pierwszy wampir rzucił się biegiem w jej kierunku. Chociaż ją złapano, Hardin ciągle miała w rękach kuszę, z której udało jej się oddać jeszcze jeden strzał. Tym razem trafiła celu, a bełt zagłębił się w piersi i sercu wampira.

Nieumarły stanął jak wryty i złapał się za koszulę, jakby chciał ją z siebie zerwać. Warknął i spojrzał na Hardin, zrobił krok naprzód, jakby chciał ją zaatakować. A potem, zanim zdążył upaść na ziemię, zaczął się rozkładać. Fragment po fragmencie zamieniał się w grobowy popiół. Upadł na kolana, ale po chwili kolan już nie było. Nie spuścił wściekłego wzroku z Hardin, póki nie leżał płasko na chodniku, a jego twarz nie zamieniła się w proch. Nic z niego nie zostało, tylko popiół.

Hardin wrzasnęła i zaczęła się szamotać, próbując się wyrwać z uścisku drugiego wampira, ale on trzymał ją bardzo mocno. Z jego ust pociekła krew i spłynęła jej po szyi.

Rzuciłam się do przodu, jak najszybciej mogłam, czyli dość szybko, i dla pewności chwyciłam dwa kołki. W pełnym pędzie wbiłam oba w plecy wampira.

Puścił Hardin, która zatoczyła się na bok. Wygiął plecy w łuk i upadł na kolana. Nie wydał przy tym żadnego dźwięku. Podobnie jak blondyn, był nowy. Nie rozsypał się w proch, ale zamienił na naszych oczach w trupa. Ciało i ubrania rozpadły się, zwisając z wybielonych kości. Śmierdział pleśnią.

- Jezu Chryste! - Hardin przycisnęła rękę do szyi i spojrzała na swojego napastnika. - Czy... o Boże, czy ja się zamienię w wampira? - Spojrzała na krew na swoich rękach.

- Nie - odparłam, dysząc. - Musiałby wypić z pani całą krew. Jeśli napije się tylko trochę, nic się nie stanie.

Hardin nie wyglądała, jakby nic się nie stało. W jej oczach malowała się panika i była na skraju hiperwentylacji.

- Pani oficer - powiedziałam, chcąc przyciągnąć jej uwagę. - Niech pani oddycha.

Skinęła szybko głową i wzięła głęboki wdech. To ją uspokoiło. Znalazła w kieszeni chusteczkę i przycisnęła ją do rany na szyi.

Wiedziałam, jak jest, ale i tak musiałam to zrobić. Dotknęłam szyi Sawyera, chcąc namacać puls, którego już nie było. Jego szyja była wykręcona pod dziwnym kątem, miał otwarte i zapatrzone przed

siebie oczy. Nie zasłużył sobie na to.

- Sawyer? - zawołała Hardin. Pokręciłam głową. Rozejrzałam się w poszukiwaniu innych, którzy musieli

gdzieś tu być. I zobaczyłam ją: bladą, smukłą kobietę stojącą na szczycie schodów, która blokowała nam zejście na dół. Miała białe włosy i lodowate spojrzenie.

- Stella - mruknęłam. - Co jest grane? Gdzie Rick? I Ben? Mieli tu być.

- Żadne z was nie powinno się tutaj znaleźć. - Ruszyła w moim kierunku.

- Pani oficer? - zagałam cicho.

- Skończyła mi się amunicja - wyjaśniła Hardin i poszła odzyskać zużyte bełty.

Cudownie. Ja pozbyłam się wcześniej kuszy, żeby móc działać kołkiem. Nie sądzę, żeby udało mi się przebić Stellę z zaskoczenia... już na mnie czekała. Zaczęłam zbierać, co się dało, i wrzucać rzeczy do plecaka. W atomizerze ciągle jeszcze było trochę wody święconej.

Stałam ze Stellą twarzą w twarz. A przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe, biorąc pod uwagę jej wzrost.

- Daj mi choć małą wskazówkę - powiedziałam, pozwalając moim ustom robić to, w czym były najlepsze, czyli nawijać. - Dorwaliście Ricka? Powiedz mi przynajmniej, czy go zabiliście, czy nie.

Jestem pewna, że z przyjemnością mi oznajmisz, czy wszystko totalnie spieprzyliśmy. - Ale ona nie przyznała, że wszystko spieprzyliśmy. Nie powiedziała mi, gdzie jest Rick. Może dlatego, że nie wiedziała.

Nie zauważyłam żadnego innego śladu martwych wampirów poza tymi, które same zabiłyśmy.

Miałam nadzieję, że gang Arturo nie zabił Ricka, zanim wszedł do środka. Wymknął

się im. To nie był koniec. Pozwoliłam jej podejść bliżej. Pozwoliłam jej uwierzyć, że w moim przypadku nie będzie się musiała wysilać.

- Przecież możesz mi powiedzieć. Mogę błagać, jeśli sprawi ci to radość. Co się dzieje? Czy Arturo jest na miejscu? A Rick? - A Ben, gdzie do cholery był Ben?

- Ależ nie spieprzyliście wszystkiego totalnie - powiedziała ze zbolałym uśmiechem. - Jesteście dopiero w trakcie całkowitego pieprzenia wszystkiego.

Znajdowała się na odległość wyciągniętej ręki i akurat mówiła, kiedy prysnęłam z atomizera.

Wodna mgiełka trafiła ją w jej śliczną marmurową buźkę. Zawahała się, zamrugła zdezorientowana, jakby nie rozumiała, co się właśnie stało. Pojawiła się wysypka, czerwone plamy wykwitły wokół

jej ust i na policzkach i zaczęły rozlewać się dalej. Nagle kichnęła, a potem zaczęła kaszleć. Oczy rozszerzyły się jej ze zdziwienia i złapała się za gardło.

Wampiry wdychały powietrze tylko po to, żeby mówić. Nigdy nie słyszałam, żeby któryś z nich kichał. Ale Stella akurat otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, akurat wzięła wdech i wciągnęła drobną mgiełkę wody święconej do nosa, zatok i gardła. Z tego, co widziałam, woda święcona wywoływała u wampirów podobny efekt jak srebro u likantropów - powodowała reakcję alergiczną na skórze, wysypkę, pokrzywkę, tego typu rzeczy.

Spróbowałam sobie wyobrazić pokrzywkę w zatokach i w gardle. I pomyślałam tylko: fuj!

Cały czas zanosila się kaszlem. Upadła na kolana, a wysypka, która objęła jej twarz, zaogniła się.

Wtedy zjawila się Hardin i wycelowała naładowaną kuszę w unieruchomioną wampirzycę.

- Rozbrojona? - spytała Hardin. Skinęłam szybko głową. Stella nie wydawała się w tym momencie przejmować niczym poza własnym stanem.

Radio przy pasku Hardin znów się odezwało. Policjantka pobiegła w stronę frontu budynku, a ja pomknęłam za nią.

- Lopez, co jest?! - krzyknęła Hardin.

Wyglądając zza rogu, zobaczyłam dwóch policjantów stojących plecami do siebie, z bronią w rękach

- jeden miał pistolet, a drugi łuk. Obaj patrzyli dzikim wzrokiem i znajdowali się na skraju paniki, czekając na nieuchronny atak.

- Nie wiem! - odkrzyknął Lopez, ten z pistoletem. - Były trzy...

- ...cztery - poprawił go drugi policjant. - Cztery.

- Nie wiem czy trzy, czy cztery, myślałem, że już po nas. Ale zniknęły.

Nienawidziłam, kiedy wampiry to robiły. Obejrzałam się odruchowo za siebie, spojrzałam w górę i dookoła, czekając, aż poruszy się i zaatakuje kolejny cień.

- Nie mogły uciec daleko - zauważyła Hardin. - Obserwujcie dalej.

Znów wystawiłam w górę nos. Miałam swoje sposoby obserwacji. Były tu. Wyczuwałam je, rozróżniałam nawet poszczególne osobniki. Ich zapachy różniły się od siebie, ale nie umiałam ich rozpoznać. Częściowo była to wina tego miejsca, które należało do wampirów. Mogliśmy wszystkie wybić, wyburzyć budynki i założyć tu ogród, a i tak pewna martwota by pozostała.

Staliśmy tak w bezruchu, czekając na atak cieni.

W końcu Hardin spytała:

- No i? Wypłoszyliśmy je czy co? - Czułam, że pocila się z nerwów, ale zachowywała się spokojnie.

Lopez i jego partner nie wierzyli w taką możliwość. Stali cały czas do siebie plecami, spięci i gotowi.

Nie miałam ochoty na zgadywanki. Ulica była pusta. Na takiej pustej ulicy nie powinno do niczego dojść.

- Wróćę sprawdzić, co z Kramerem - zdecydowała Hardin. - Zawołajcie mnie...

Lopez znów wystrzelił.

- Przestań strzelać! - To był Charlie, wrzeszczał na policjanta i pocierał dymiącą dziurę po kuli na koszulce. Wszedł zza rogu i upuścił na ziemię jakieś ciało... wampira płci męskiej o budowie wojownika. Zmierzył mnie wzrokiem. - Co ty tutaj robisz?

Policjanci Hardin wodzili za nim wzrokiem z takim napięciem, że znajdowali się na skraju drgawek.

- Gdzie Rick? - odpowiedziałam pytaniem. - Gdzie Ben? Miał przyjechać pomóc, ale nie widzę jego samochodu...

- Rick jest na dole. Musisz mi pomóc, Violet jest ranna.

- Czekał, to znów jakiś wampir czy co? - spytała Hardin.

- Ale ten jest po naszej stronie. - Chyba. - Charlie, oficer Hardin. Oficer Hardin, Charlie. Jest martwy, tak? - Martwy wampir ulegał rozkładowi. Ten się nie rozkładał, więc co mu było? Był znokautowany?

Jak się nokautuje wampira?

Ale Charlie nic mi nie odpowiedział. Złapał mnie za ramię i pociągnął za róg.

Lopez zaczął dopytywać Hardin:

- Co się tu, do cholery, dzieje?

- Nie wiem. Słuchajcie Kitty, miejcie oczy szeroko otwarte.

Oparta o ścianę, ukryta bezpiecznie w cieniu, leżała Violet. Z jej czarnej koszulki ciekła lśniąca strużka... z rozcięcia na szyi wypływała krew. Coś rozszarpało jej gardło, widać było kręgi szyjne. Po chwili rozszarpana rana już nie krwawiła, cała krew wypłynęła. Lopez odwrócił się i nakrył ręką usta.

Violet miała przymknięte oczy; nie ruszała się. Nie wiedziałam, czy była martwa, czy nie. To znaczy bardziej martwa. Wszystkie wampiry pachniały trupem. Wyglądało na to, że Violet straciła całą krew, którą sobie pożyczyła - po to właśnie wampiry piły krew, żeby uzupełnić tę, którą straciły,

kiedy uległy przemianie - i może tym razem odeszła na zawsze.

Charlie uklęknął przy niej i czule ułożył ją sobie na kolanach.

- Violet, Violet, skarbie, przyprowadziłem pomoc. Zostań ze mną, dobrze? - Poglądził ją po policzkach, po włosach, złapał ją za rękę, ale ona nie zareagowała. - Kitty ci pomoże, tak? Trzymaj się, kochanie.

- Co mogę zrobić? - szepnęłam, a serce mi pękało na ten widok.

Charlie spojrzał na mnie.

- Żeby wyzdrowieć, potrzebuje krwi. Silnej krwi.

No jasne. Nie potrzebowała nawet dużo, jakiś łyk. Wiedziałam, jak to działa.

- Muszę? - spytałam i skrzywiłam się.

- Błagam. Tylko trochę. - Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał tak proszącą minę, a zwłaszcza wampir.

Skinęłam na zgodę głową.

- Pani oficer, ma pani jakiś scyzoryk albo coś? Wpatrywała się we mnie.

- Nie mówisz chyba poważnie.

- Ależ mówię - odparłam cicho. - I radzę się przyjrzeć, bo to ciekawe.

Hardin nie miała noża, ale Lopez miał wąski scyzoryk przy breloczku. Musiał wystarczyć.

Uklęknęłam przy Violet, otworzyłam scyzoryk i zanim zdążyłam się skrzywić czy zmienić zdanie, przeciągnęłam sobie ostrzem po lewym przedramieniu. Głęboko. Nie patrzyłam na ranę. Prawie mnie nie bolała... póki zapach mojej krwi nie uniósł się w powietrze. Wtedy zapiekła mnie wściekle. Zacisnęłam zęby i przytrzymałam rękę nad ustami Violet.

Charlie odchylił głowę Violet do tyłu i rozchylił jej wargi. Pierwsze krople z rany spadły jej na policzek i zaczęły spływać czerwoną strużką do ust. Kapiąca krew zamieniła się w nieprzerwaną strużkę i zaczęła wpływać prosto do jej gardła. Przypominało to dawanie wody komuś, kto umierał z pragnienia.

Moje rany szybko się goiły, więc strużka krwi nie płynęła długo, szybko zaczęła się zasklepić, a na rozcięciu pojawił się strup. Violet jednak nie potrzebowała dużo krwi. Po kilku pierwszych kroplach sama zamknęła usta. Jej gardło poruszyło się w odruchu przełykania. Widzieliśmy, jak pracują odsłonięte mięśnie i ścięgna na szyi. Nagle jej gardło zaczęło się goić. Ja regenerowałam się szybko, ale ona jeszcze szybciej, skóra

zaczęła się nasuwać, zakrywając żywe ciało i lśniąca krew. Hardin zakłęła pod nosem.

Violet oblizwała pojedyncze krople z warg i nachyliła się do przodu po więcej. Skrzywiła się z bólu, a potem znów opadła na kolana Charliego.

- Charlie? - Mówiła cichym, dziecięcym głosem.

- Tak, skarbie?

- Boli.

- Zaraz przestanie.

Skóra jej się zaczerwieniła, nabierając koloru w miarę, jak moja krew zaczynała działać. Violet poruszyła palcami, potem dłońmi, a na koniec wyciągnęła ręce, żeby złapać Charliego.

Pomógł jej usiąść, a ona wyglądała już tak, jakby ją tylko zemdliło, jakby miała kaca, a nie straciła całej krwi i znalazła się na skraju śmierci... czy tego, co oznacza śmierć dla wampirów.

- Cholera - mruknęła. Skubnęła krew na swoim ubraniu i skrzywiła się. - Tyle się zmarnowało.

- Lepiej ci? - spytał Charlie.

- Tak - odparła zmęczonym głosem.

- To dobrze - powiedziałam i potarłam się po świeżo zagojonej ranie na ręce, która już się zasklepiła i pokryła różowym strupem.

Zauważyłam dwie rozsypane kupki popiołu na betonie. Domyślałam się, że to ci, którzy zaatakowali Violet. Charlie nie zostawił ich przy życiu.

A więc, czy to byli już wszyscy?

- Ilu jeszcze zostało? - spytałam.

- Nie wiem - odezwał się Charlie. - Trzech, może czterech. A może więcej na dole. Rick chciał, żeby zachować wszystkich przy życiu. Chciał, żeby wszyscy przeżyli.

- Kitty, oni są po naszej stronie, tak? - spytała z naciskiem Hardin.

Violet prychnęła.

- Och, nie powiedziałabym, że po waszej.

Hardin otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nagle zmrużyła oczy:

- Czy ja was skądś znam? Widzieliśmy się już wcześniej? Charlie i Violet spojrzeli po sobie, a potem znów na nią.

- Nie sądzę - odparł Charlie. Violet zachichotała. Jasne, Bonnie i Clyde znów w formie.

Miałam ochotę złapać oboje za kark i porządnie nimi potrząsnąć.

- Rick jest na dole?

- Tak.

- A Ben? I Dack, musimy znaleźć Dacka, pracuje dla Mercedes.

Uśmiech Charliego zbladł.

- Cholera.

- Musimy powiedzieć Rickowi. Hardin wycelowała palcem w Lopeza.

- Wy dwaj, wezwijcie posiłki i sprawdźcie, co z Kramerem.

- A gdzie Sawyer? - spytał Lopez. Hardin pokręciła tylko głową.

- Z tyłu leży jeszcze jedna taka, uważajcie na nią. - Rzuciła im jeszcze kilka poleceń.

- Jeszcze jedna taka? - powtórzył Charlie. - Czyli jaka? Nagle Violet poderwała się na nogi i napięła mięśnie, przygotowując się do walki.

- Ciągle tam są.

Wszędzie widziałam tylko cienie. Charlie złapał mnie za rękę.

- Idź na dół. Powiedz Rickowi, co się dzieje. No idź! - Popchnął mnie lekko do przodu.

Pobiegliśmy z Hardin na tyły, mijając Lopeza, który rozmawiał przez radio. Wzywał posiłki. Jego partner celował z kuszy do Stelli, ale ona była zgięta w pół i oddychała chrapliwie. Hardin biegła przodem z kuszą, przesuwając się ostrożnie wzdłuż ścian. Drzwi do piwnicy były cały czas otwarte.

Ze środka nie było nic słychać. Hardin zajrzała powoli za drzwi, po czym wślizgnęła się do środka.

Poszłam za nią.

Korytarz wyłożono ciemną wykładziną sizalową. Światło było przygaszone, wręcz nastrojowe.

Pod ścianą leżały dwie postaci; wyglądały na martwe. Dwoje bocznych drzwi było otwartych; w znajdujących się za nimi pokojach panowała ciemność.

- Kolejne wampiry? - spytała Hardin. Skinęłam głową. Nieprzytomny wampir równie dobrze mógł być trupem - był blady, woskowy, nie oddychał.

Ale znów pojawiło się pytanie, jakim cudem można pobić wampira do nieprzytomności? Musiałam pogadać o tym z Rickiem.

Pobiegłyśmy dalej korytarzem. Hardin cały czas mierzyła z kuszy do ciała.

- Pamiętaj, nie patrz... - zaczęłam.

- Im w oczy. Wiem.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte i prowadziły do pokoju, który wyglądał jak z innego świata.

Podeszłyśmy do nich i zajrzałyśmy do środka.

Sala była olśniewająca, z niskim sufitem i brokatowym obiciem na ścianach. Lampy z brązu rzucały delikatne światło, a dywan był gruby i puszysty. Kolory były soczyste, meble wystawne, a z jednej strony stało podium, podwyższenie wyłożone perskimi dywanami i zabytkowymi meblami. Na środku umieszczono tron z tapicerką z czerwonego pluszu i misternymi, pozłacanymi rzeźbieniami.

Siedział na nim Rick, zaciskając ręce na zawiniętych w ślimak podłokietnikach i wychylając się do przodu. Przed nim stał Arturo z wykrzywioną z wściekłości twarzą. Rick zrobił dokładnie to, co zapowiedział: zjawił się, żeby poczekać na Arturo.

Mówił, że potrzebuje tylko kilku minut sam na sam z Arturo. Powinien się na niego rzucić, atakować.

Na co czekał? Im więcej dawał mu czasu, tym więcej dawał mu okazji, żeby coś powiedział, zrobił i go pokonał.

- Nie wystarczy usiąść na moim tronie, żeby zająć moje miejsce - stwierdził Arturo.

Rick spojrział na drzwi, w których stanęłyśmy. Hardin trzymała kuszę w pogotowiu, ale przesuwała ją między jednym, a drugim, jakby nie wiedziała, do którego z nich ma strzelać najpierw.

- Proszę się uspokoić, pani oficer - powiedział Rick. - Mam zamiar wszystko załatwić tak, żeby nie trzeba było nikogo przebijać kołkiem.

Hardin pokręciła głową.

- Jesteś... - zwróciła się do Arturo. - Jesteś aresztowany. Arturo rzucił jej przez ramię szybkie spojrzenie.

- Katherine, zmieniłaś zdanie? Moja oferta jest wciąż aktualna.

Nie mogłam nic odpowiedzieć ani nawet pokręcić głową. Ja i Hardin powinnyśmy się stąd wynieść.

Większość ludzi spoza świata wampirów nigdy nie miała aż tak głębokiego wglądu w ich politykę.

Byłam tym dziwnie zafascynowana. A jednocześnie wolałam być gdziekolwiek indziej, byle nie tu.



Zaraz zrobi się bardzo, bardzo nieprzyjemnie.

Rick odezwał się spokojnym głosem:

- Fakt, że się tu znalazłem, a ty nie byłeś w stanie mnie powstrzymać, dowodzi, że jesteś słaby. Czas, żebyś ustąpił.

- Dajesz mi szansę, żeby przyznać się do porażki? - spytał ze śmiechem Arturo.

- Tak.

Arturo pokręcił głową, ciągle się uśmiechając, jakby był szczerze rozbawiony.

- Jesteś na to za słaby, Ricardo. Jesteś za słaby, żeby zasiadać na tym tronie.

- Tak naprawdę mam zamiar zastąpić ten tron czymś bardziej praktycznym.

- Dlaczego wszyscy mnie ignorują? - spytała Hardin.

- Bo uważają nas za robactwo - przypomniałam jej. Zamiast się jednak denerwować, żałowałam, że nie mam popcornu.

- Nie jesteś wystarczająco wiekowy, żeby objąć taką pozycję - odezwał się Arturo do Ricka. - Nie masz za sobą wsparcia, jakim jest odpowiednio długi czas. Żeby przejąć moje miejsce, potrzebny ci wiek.

- Ach, a więc o to chodzi. Nie masz pojęcia, ile mam lat. -Rick był spokojny. Niezwykle spokojny.

Arturo zrzędnął miną.

- A ile masz lat? - spytał z wściekłością.

Dawałam każdemu z nich jakieś dwieście czy trzysta lat, bo takie były pogłoski. Najwyraźniej to Rick je rozpowszechniał. Z wiekiem łączyła się siła i władza. On ukrywał swój wiek.

Rick... Ricardo - nagle uświadomiłam sobie różnicę - przyglądał się swojemu rywalowi, jakby samym tylko spojrzeniem mógł obdrzeć go ze skóry i wydobyć z niego sekrety. Arturo cofnął się o krok, dotykając ręką policzka i pocierając go tak, jakby go bolał, a ja nie rozumiałam, co się właściwie stało, o ile w ogóle coś się stało. Nagle wyczułam w powietrzu krew. Arturo spojrzał na swoją rękę, która była pokryta lśniąca czerwień. Warstwa krwi pokrywała również jego policzki, brodę, całą odsłoniętą skórę. Pocił się krwią.

Spanikowany Arturo wpatrywał w Ricka z obnażonymi zębami i wystawionymi kłami. Czy Rick mu to zrobił? To on sprawił, że Arturo pocił się krwią? Czy to on ją z niego wysysał?

Kiedy Arturo popatrzył na Ricka, próbując go ogłuszyć, zahipnotyzować, znokautować do nieprzytomności jak wampiry na korytarzu albo wyssać mu krew przez pory na skórze, nie mógł tego

zrobić. Nie potrafił. Nie miał odpowiedniego wieku i potrzebnej mocy.

- Przyjechałem do tego kraju za Coronado, Arturo. Jestem w wystarczającym wieku - powiedział Rick.

Pięćset lat. O cholera, miał ponad pięćset lat. Arturo patrzył na niego z rozdziawionymi ustami. Sam miał tylko dwieście albo trzysta. Tylko.

Rick dobrze przeżył swoje pięć stuleci. Nie pozwolił, żeby odcisnął się na nim ich ciężar. Stare wampiry robiły się zrozumiiałe, znudzone i aroganckie, w miarę jak rosły w siłę i coraz bardziej się izolowały. Ale nie on. Rick zachowywał się tak, jakby ciągle miał jeszcze coś do odkrycia. Jakby świat nadal jeszcze był dla niego nowością. Zmylił nas wszystkich.

- Niemożliwe - odparł Arturo bez tchu, zdradzając tym samym, że jednak mu wierzy... i że się boi.

Dotknął policzków i potarł o siebie ręce, rozsmarowując krew po całej skórze, ale i tak nie mogąc jej zetrzeć.

Kiedy Rick wstał i podszedł do młodszego wampira, Arturo zachwiał się do tyłu, tracąc całą swoją grację, niemal się przewracając. Rick napierał na niego, złapał go za kołnierzyk, kazał mu się wyprostować, osaczył go. Spojrzał mu w oczy, a Arturo zamarł. Jakby był zwykłym, śmiertelnym i bezbronny człowiekiem, uwięzionym w spojrzeniu wampira.

Rick postrachem wymusił na nim uległość. Cholera jasna.

- Ricardo. Zostaw go, proszę.

Barwne załamanie, które wydawało się jednym z motywów na gobelinie, wysunęło się naprzód. Z cienia wyszła Mercedes Cook. Była ubrana w dopasowany żakiet, długą spódnicę i kozaki na obcasach. Szła z pewnością siebie, trzymając wysoko głowę, z na wpół przymkniętymi powiekami, jakby była na scenie i grała w spektaklu. I nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, kto tu tak naprawdę rządzi.

Oczywiście nie wyjechała z Denver, skoro sytuacja ciągle nie była rozwiązana.

- Mercedes - odezwał się Rick, krzywiąc się. Nie odwrócił się od swojej ofiary. - Jaka jest jej cena? Ile jej płacisz za to, żeby pozostawać u władzy?

- Cena? Za nic jej nie płacę! Ona nie ma tu żadnej władzy! - Ale obejrzał się na nią niepewnie.

- Mercedes? - powtórzył Rick, tym razem zwracając się do kobiety.

Jej poza była wystudiowana, niewzruszona. Nawet koniec świata nie wytrąciłby jej z równowagi.

Ludzie mogliby zacząć się wybijać za pomocą bomb atomowych i szalejącej zarazy, a wampiry jej

pokroju stałyby nadal władczo wśród popiołów.

- Nie zawarliśmy z Arturo żadnego układu. Jeszcze nie. Arturo? Nie jest na to za późno.

Wciąż uwięziony w uścisku Ricka, Arturo wpatrzył się w nią wielkimi oczami.

- To ty. To cały czas byłaś ty.

I wtedy zrozumiałam: ataki na nocne kluby, ciała podrzucone w magazynie dla policji, wszystko, co mogło dać wrażenie, że Arturo traci kontrolę. Poniekąd zachęciła Ricka do buntu. Sprawiała, że Arturo wyglądał na słabego... a może nawet i czuł się słaby. Wszystko po to, żeby mogła się zjawić i zaproponować mu ratunek.

- Kitty, co się dzieje? - szepnęła Hardin. Pokręciłam głową. Później będę musiała jej to wyjaśnić. Rick miał taką minę, jakby nagle uświadomił sobie dokładnie to samo.

- Po co? - spytał. - Dlaczego go wspierasz?

- Znanie jest zawsze lepsze od nieznanego - wyjaśniła. - Zawsze należy zachowywać status quo, o ile owo status quo znajduje się pod wystarczającą kontrolą.

- Pod kontrolą! - zawołał Arturo. Ciągłe rozglądał się wokół siebie w poszukiwaniu pomocników, ale oni byli nieprzytomni lub martwi. - Pod czyją kontrolą? Nikt mnie nie kontroluje!

- Długa Gra obsadziła cię na tym miejscu, Arturo, i Długa Gra cię na nim zachowa, bo jesteś słaby.

Arturo zamarł z niedowierzaniem.

Ja natomiast żałowałam, że nie mogę nacisnąć pauzy, żeby przewinąć ten fragment i obejrzeć go jeszcze raz. Długa Gra?

- A co oni by mieli robić w Denver? - spytał Arturo, zniżając głos prawie do szeptu. - Denver to dla nich nic.

- Nawet pionek może zagrozić królowi.

Spojrzała potem na mnie, a ja omal nie pisnęłam. Nie miałam z tym nic wspólnego, byłam tylko niewinnym obserwatorem, przypadkowym świadkiem, który chciał się stąd jedynie wydostać.

Patrzyła na mnie ze skupieniem krócej niż sekundę, nie dłużej niż mgnienie oka. Jakim cudem nadała tak krótkiemu wycinkowi czasu aż takie znaczenie? Potem znów spojrzała na Arturo.

- Według miejscowych standardów cieszyłeś się władzą przez dość długi czas. Byłeś tu, od kiedy Denver zyskało prawa miejskie. Zrobiłeś się wygodnicki i zadufany w sobie. Straciłeś czujność.

Zapomniałeś, że wcale nie chodzi o ciebie. - Podeszła do nich powolnym krokiem, jak lwica. Nie, jak szakal, który tylko czeka, żeby uprzętnąć resztki. - A ty... - odezwała się do Ricka. - Ty z nimi

walczysz. Zawsze z nimi walczyłeś, prawda? Nie wpuścisz ich do miasta.

- Nie wpuszczę.

Arturo uśmiechnął się jakoś inaczej, mniej wyraźnie, chytrze. Miał typowy dla siebie zadowolony wyraz twarzy.

- W takim razie ustąpię. Denver jest twoje. Wyjadę stąd na zawsze.

- Mercedes, jesteś świadkiem - odezwał się Rick. - Czy to wystarczy? Czy uznajesz, że jestem od teraz mistrzem Denver?

W głosie Mercedes pobrzmiwał śmiech.

- I gdzie pojedziesz, Arturo?

- Do Filadelfii. Mam tam przyjaciół.

- Takich jak ja? - spytała. - Przyjaciół, którzy też uprawiają różne gierki? Zechcą cię u siebie? - Arturo zrobił zbolaną minę.

Mercedes znajdowała się o dwa kroki od Ricka. Nie powiedziała, ile ma lat. Myślałam, że jest młoda, że ma mniej niż sto lat. Ale była aktorką i umiała się dobrze maskować. Była pewna siebie, nawet bardziej niż Rick. Widząc, co Rick był w stanie zrobić z Arturo, mogłam się tylko domyślić, co Mercedes mogła zrobić z Rickiem.

W ogóle nie powinno mnie tu być. Wiedziałam o tym i uznawałam to. Zdawałam też jednak sobie sprawę, że w żadnym wypadku nie chcę, żeby ta kobieta wsadzała swoje brudne łapy w moje miasto.

Skoczyłam do przodu z atomizerem w jednej ręce i krzyżem w drugiej, wyciągając je przed siebie i mocno ściskając, jakby to były pistolety Bena.

- Stój.

Mercedes uniosła ze zdumieniem idealną brew. Wyglądała niemal na rozbawioną.

- To woda święcona - wyjaśniłam.

- Ojej. - Uśmiechnęła się, ale nie ruszyła się z miejsca. Co, do cholery, mógł jej zrobić atomizer z wodą święconą?

W jednej chwili mogła mi go wyrwać z ręki. Hardin stanęła za mną.

- Stop! Ręce do góry, wszyscy! Mercedes uśmiechnęła się do Ricka.

- Masz swoich pomocników. Jakie to słodkie.

- Tak czy nie - odezwał się Rick. - Mercedes, czy uznajesz, że od teraz jestem mistrzem Denver?

- A co za różnica, czy ona to uzna, czy nie? - spytałam, tracąc cierpliwość. - Nawet nie jest tutejsza!

- Nie ignorujcie mnie! Powiedziałam: ręce do góry! - Hardin była wyraźnie podenerwowana.

Coś się stało. Rick poruszył się, na Hardin spadł jakiś cień, a jej kusza zniknęła. Rick złamał ją o kolano i odrzucił kawałki na bok, jakby to był śmieć.

- Ej! - krzyknęła.

- Nie mieszajcie się w to - rzucił ostro Rick. - Nie macie pojęcia, co się tu dzieje.

- O co chodzi, Kitty? - spytała Hardin.

- Rick chce być nowym mistrzem wampirów w Denver. Mercedes chce mu to uniemożliwić.

- A ja chcę aresztować tego faceta. - Skinęła na Arturo. -Tylko tyle.

Rick ani na moment nie spuścił wzroku z pozostałych dwóch wampirów.

- Jeśli ktokolwiek poza mną usunie Arturo, podważy w ten sposób mój autorytet. Twoja odpowiedź, Mercedes.

- Dlaczego w ogóle ją o to pytasz? - wtrąciłam się. - Kopnij ją po prostu w tyłek!

- Jeśli chcę przejąć miasto, nic jej nie mogę zrobić - wyjaśnił Rick.

- Immunitet dyplomatyczny - dodała Mercedes.

- Ale ona nie jest neutralna...

- Kitty, siedź proszę cicho - powiedział Rick głosem zimnym jak lód. - Mercedes?

- Nie - odparła Mercedes. - Przekażę, że Denver jest rozdarte pomiędzy dwoma mistrzami i do wzięcia. - Kiedy wyciągnęła do niego rękę, Rick zrobił krok w tył. Gdybym go nie znała, pomyślałabym, że się przestraszył.

Dość tego. Strzeliłam do niej. Oblałam ją. Czy jakoś tak.

Ręka mi się trzęsała, a ona uskokczyła. Jakimś cudem zobaczyła, na co się zanosi, przewidziała mój ruch dzięki temu, że wampiry postrzegały czas we właściwy sobie sposób i potrafiły go spowolnić. Woda oblała tylko jej rękę.

Mercedes nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nawet nie syknęła z bólu ani z wściekłości. Woda zmoczyła rękawy jej zakietu. Pewnie nawet nie przeniknęła przez tkaninę.

Coś mnie uderzyło. Butelka z wodą poszybowała w jednym kierunku i walnęła w ścianę za moimi

plecami, a ja straciłam dech w piersi. Spadł na mnie jakiś ciężar i opadłam na kolana. Mercedes złapała mnie za gardło i mocno ścisnęła. Złapałam ją za ręce i zaczęłam drapać, próbując się uwolnić.

Z trudem łapałam powietrze. Mogła mnie zabić jedną ręką.

- Obaj dopuściliście do tego, że miejscowe wilkołaki się rozbestwiły - powiedziała. - Powinniście się wstydzić.

- Jasne - zgodziła się Hardin. - Dość tego. Usłyszałam już wystarczająco dużo. Wszyscy jesteście aresztowani! - Wyciągnęła atomizer i wycelowała go prosto w Mercedes. Tak jakby w moim przypadku to coś dało.

Mercedes wytrąciła drugą ręką atomizer z dłoni Hardin. Policjantka zachwiała się do tyłu.

- Mercedes, puść ją - odezwał się Rick.

Nie puściła. Wzrok zaczął mi się zamazywać, a w gardle narastał charkot. Moja wilczyca szamotała się w środku. *Możemy ją rozszarpać, możemy uciekać...*

Wiedziałam, że nawet gdybym zamieniła się w wilczycę, Mercedes i tak zaciskałaby rękę na moim gardle i ciągle byłaby w stanie mnie udusić.

- Mercedes! - Rick rzucił się w jej kierunku.

- Nie! - Arturo złapał go za rękę i przytrzymał. Chwycił go za nadgarstki i położył sobie jego ręce na kołnierzyku. - Zrób to. Od początku planowałeś, że odbędzie się to w ten sposób, więc skończ z tym wreszcie. - Po tych słowach się uspokoił. Niemal przytulił się do Ricka. Przez krótką chwilę ciągle był

mistrzem.

- Arturo...

- Nie jestem ich pionkiem. Nie po to żyłem trzysta lat, żeby być ich pionkiem. Ty się im przeciwstawisz.

- Nie chciałem tego.

- Ależ chciałeś. Ricardo, nie zmarnuj mojej krwi. Mercedes puściła mnie. Upadłam, złapałam się za szyję

i zaczęłam się krztusić. Czułam siniaki w miejscu, w którym Mercedes mnie przydusiła. Hardin dotknęła mojego ramienia.

Po raz pierwszy tego wieczoru w głosie śpiewaczki dało się słyszeć desperację.

- Arturo. Trzysta lat na tym świecie i nie chce ci się nawet powalczyć o własne życie? Nie wierzę.

Arturo zachichotał cicho.

- Trzysta lat na tym świecie, a nigdy tak naprawdę nie należałem do siebie. Widzę to teraz bardzo wyraźnie. A ja myślałem, że już niczego nowego się nie dowiem.

Arturo i Rick wymienili między sobą spojrzenia. A potem Rick zadał cios.

Zszokowała mnie jego prędkość. To się nie dzieje naprawdę. Powtarzałam sobie, że to się nie dzieje naprawdę. Rick przypadł do szyi Arturo i wgrzył mu się w gardło. Głowa Arturo opadła do tyłu.

Obnażył z bólu zęby i wbił palce w ramiona Ricka, naprężając mocno ścięgna. Jedna noga zrobiła wykop, ale Rick przytrzymał go pionowo w miejscu. Przyciskał cały czas usta do gardła Arturo, pracując przez dłuższy czas wargami. Mercedes odwróciła głowę.

Najpierw zobaczyłam, że coś się dzieje z koszulą Arturo - materiał na rękawach się zapadł. To samo zaczęło się dziać ze spodniami. Ubrania więdły, usychały, a sam materiał zaczął czernieć, kruszyć się i zamieniać w popiół. Ciało, które znajdowało się pod nim, zaczęło się rozkładać - trzysta lat w ciągu kilku minut-wysychało, odwadniało się, czerniało, spopielało się. Rozkład objął jego szyję, głowę, złote włosy, które zbieleły, a zaraz potem zamieniły się w proch. A mimo to Rick cały czas przyciskał

do Arturo twarz. Ukłęknał, podtrzymując rozpadającego się Arturo, a przynajmniej to, co z niego zostało. W końcu, kiedy już nie zostało nic, Rick wyprostował się, przesiał między palcami szary popiół

i strzepnął go sobie z twarzy. Przód jego ubrania i rękawy pokryte były smugami pyłu, na materiale było też widać plamy krwi.

Arturo nie był złym człowiekiem. Może raczej niejednoznacznym, który miał na koncie kilka naprawdę złych uczynków. Nie chciałam, żeby zginął. Ale powtarzałam sobie, że albo on, albo Rick.

On albo Rick.

Rick odwrócił się do Mercedes.

- Mam jego krew. Krew jest wszystkim, a więc wszystko, co było jego, jest moje. Jego ziemia, jego ludzie, jego władza. Mercedes, pójdiesz i powiesz im, że miasto jest moje i znajduje się w dobrych rękach. - Powinnam cię aresztować. Za morderstwo. Was oboje -szepnęła Hardin. Patrzyła wielkimi, niemal zszokowanymi oczami.

- On umarł trzysta lat temu - odparłam cicho. Czy to w dalszym ciągu było morderstwo? W tym miejscu to już była kwestia semantyki.

- Pani jurysdykcja nie sięga tak daleko - zauważył Rick. Mercedes potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. Zrobiła obojętną minę i wygładziła spódnice i żakiet.

Zanim zdążyła odejść, powiedziała:

- Kitty, ciągle pytasz o mój wiek. Powinnaś wiedzieć, bo chcę, żebyś miała tego świadomość. Jestem starsza od nich obu. - Wskazała na Ricka i na kupkę popiołu na podłodze, którą kiedyś był Arturo. A potem wyszła i rozmyślała się w mroku.

Hardin wpatrywała się w popiół. Odezwała się do Ricka przyciszonym głosem:

- Powiedz, że grasz według innych reguł niż on. Że nie będę znajdować magazynów pełnych rozszarpanych ciał. Powiedz, że nie będę żałować, że ci pomogłam.

- Nie będzie pani żałować - odparł Rick.

To nie mogło być aż takie proste. Długa Gra, powiedziała. Zastanawiałam się, przed kim Rick będzie musiał bronić swojego miasta i co będzie musiał w tym celu zrobić.

- To jakaś cholerna *strefa mroku*. Muszę sprawdzić, co z moimi ludźmi - rzuciła Hardin i przeczesła ręką włosy. - Idę na dwór zapalić. - Włożyła rękę do kieszeni i wyszła.

Rick przygarbił się, jakby był zmęczony.

- I po wszystkim.

- Ale Mercedes ciągle jest na wolności. - Głos mi się łamał, ciągle był podrażniony. - A co będzie, jeśli wróci? Mogłeś ją powstrzymać.

- Nie mogłem. Chroni ją jej pozycja. Gdybym ją zabił, straciłbym wszystko, co zdobyłem.

Wampiry i ich polityka. Już mnie to nie obchodziło. Miałam robotę do wykonania.

- Rick, jest problem. Ludzie Hardin mają zdjęcia Dacka z Brown Pałace...

- Co? - przerwał mi Rick. Ciągle miał na sobie prochy Arturo. Wszystko przewróciło mi się w żołądku, a w gardle poczułam żółć.

- Przejrzeli nagrania z kamer hotelowych - ciągnęłam - i znaleźli na nich Dacka, który przychodził do Mercedes. Myślę, że to on donosił jej o wszystkim, jej i Arturo. Szpiegował. To by się trzymało kupy.

Mercedes wiedziała, że twoi ludzie byli w magazynie, powiedziała o tym Arturo, kazała Dackowi zadzwonić na policję, żeby Arturo musiał się zwrócić do niej o pomoc, kiedy policja zacznie mu deptać po piętach, a on będzie chciał znów odzyskać nad wszystkim kontrolę. Dack uratował cię wyłącznie dlatego, że Mercedes chciała zachować cię przy życiu, żeby móc wywierać większy nacisk na Arturo.

Rick nie zareagował od razu. Odwrócił głowę w stronę tronu poprzedniego mistrza. Miał



nieodgadniony wyraz twarzy. A potem szepnął tylko:

- Tylko nie Dack. Nie wierzę.

- Chcesz zobaczyć zdjęcia? W jakim innym celu miałby tam przychodzić?

Rick odwrócił się i pokręcił głową, co jak na niego było bardzo emocjonalnym gestem.

- Cholera - mruknął.

- Gdzie on jest? - spytałam. - Gdzieś tutaj? Jak dużo wie o naszych planach? Poza tym Ben też miał tu przyjechać i cię znaleźć...

Rick zacisnął zęby w bolesnym uśmiechu.

- Dacka tu nie ma.

- A gdzie jest?

- Wysłałem go razem z Benem po Carla i Meg - wyjaśnił gorzko. Spuścił oczy.

Patrzyłam na niego jak sparaliżowana. Bardziej niż sparaliżowana. To, co powiedział, sprawiło, że świat wokół mnie zaczął się rozpadać, a krew zadudniła mi w uszach.

- Zabiłeś go - wycedziłam. - Dack zastawił na niego pułapkę. Rozszarpia go. - Chyba że Shaun i przyjaciel Becky, Mick, są na miejscu, chyba że jest tam ktoś jeszcze, kto mógł go uratować, chyba że Carl i Meg jeszcze ich wszystkich nie pozabijali. Za dużo gdybania. Wszyscy mogą już nie żyć.

- Wiedziałem... sądziłem, że nie będziesz w stanie stawić czoła Carlowi i Meg, bo jakaś część ciebie ciągle uważa, że są od ciebie silniejsi. Za dużo was łączy. Ben przyznał mi rację. Pojechali więc z Dackiem po Carla i Meg bez ciebie. Wydawało się, że to dobry pomysł. Mieli się tym zająć w czasie mojej konfrontacji z Arturo. W ciągu jednej nocy miało być po wszystkim. - Głos Ricka był

pozbawiony emocji, zrobił się niemal monotony. Gdybym go teraz uderzyła, pewnie by przyjął mój cios ze spokojem.

Nie miał prawa decydować, czy jestem w stanie stawić czoło moim dawnym przywódcom. Nie znał mnie, nie wiedział, czym

się kierowałam. Ani on, ani Ben nie mieli prawa podejmować takiej decyzji. Odbierać mi tego. Bajzel, do którego w ten sposób doprowadzili, być może będzie nie do naprawienia. Nie mogłam stwierdzić, na którego z nich jestem bardziej wściekła.

Później będę miała wystarczająco dużo czasu na to, żeby się wściekać.

- Rick, musimy do nich jechać. Natychmiast.

- Już prawie świt. Ja nie mogę. Kitty, Ben jest silny, ma łeb na karku. Może nic mu nie jest...

- No jasne! On jeden i ich troje? Podczas gdy to pewnie jest pułapka?

- Przepraszam - odparł cichym, dziwnie młodym głosem.

- Daj mi kluczyki. - Wyciągnęłam rękę. - Od samochodu. Daj mi je natychmiast.

- To zbyt niebezpieczne, żebyś jechała tam sama. Znajdź kogoś, kto pojedzie z tobą...

Ale ja myślałam tylko o tym, żeby znaleźć Bena.

- Daj mi kluczyki.

Wyciągnął je z kieszeni i rzucił mi. Złapałam i już byłam przy drzwiach. Ciągle miałam plecak, w którym było wszystko, czego potrzebowałam.

- Kitty...

Nie odwróciłam się.

W korytarzu wpadłam na Charliego i Violet. Przenosili bezwładne wampiry do kryjówki. Była wśród nich Stella, nieprzytomna, z twarzą opuchniętą od wysypki. Charlie mówił, że Rick nie chciał, żeby któryś z wampirów zginął. Teraz rozumiałam dlaczego: wszyscy należeli do Arturo. Rick wchłonął

Arturo w siebie i teraz wszystkie wampiry należały do niego; Charlie i Violet znosili je pod ziemię przed świtem. Rick nie chciał stracić żadnego ze swoich potencjalnych podwładnych.

Łatwo byłoby teraz uznać, że jest równie przebiegły i samolubny jak cała reszta, gotowy poświęcić każdego.

- Ej, Kitty, pomożesz nam trochę? - spytał Charlie. Przeszłam obok niego. - Ej!

Zignorowałam go. Byłam w stanie myśleć wyłącznie o samochodzie, o drodze, o trasie do domu Carla i Meg, dokąd Dack pewnie zabrał Bena. Mojego Bena.

Na dworze się rozjaśniało - jasnogranatowe niebo już szarzało. Rick miał rację, że do świtu było niedaleko. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile czasu upłynęło. Ile czasu minęło, odkąd Dack i Ben pojechali do Carla i Meg? Kiedy go zabili?

Zaulek za Obsydianem był rozświetlony licznymi czerwono-no-niebieskimi kogutami. Karetki, radiowozy. Sanitariusze badali Kramera. Dwóch policjantów otaczało parking żółtą taśmą. Przy Sawyerze przykucnęło kolejnych dwóch w gumowych rękawiczkach, ze sprzętem do badania miejsca zbrodni. Zabezpieczali ślady. Hardin stała przy jednej z karetek z papierosem i telefonem przy uchu.

Minęłam ich wszystkich.

- Kitty! - zawołała Hardin. - Kitty...

Wskoczyłam do samochodu Ricka i ruszyłam. Musiałam się spieszyć, musiałam się skupić. Znałam drogę, wiedziałam, czego się spodziewać.

Sportowy wóz nie przypominał żadnego samochodu, który prowadziłam do tej pory. Do nawierzchni nie miałam daleko; auto miało niskie zawieszenie, opony szumiały cicho i reagowały na najlżejszy ruch. Najdelikatniejszy skręt kierownicy rzucał mną na boki. Lekkie wciśnięcie pedału gazu sprawiało, że auto mknęło do przodu. Nie patrzyłam nawet na prędkościomierz, żeby się przekonać, jak szybko jadę. Świat przemykał obok mnie. O tej porze nocy - a raczej poranka - nie musiałam się martwić o inne samochody. Czulałam się prawie tak, jakbym biegła swobodnie na czterech łapach po otwartej, dziewiczej, dzikiej przestrzeni, a wiatr muskał swoimi palcami moje futro.

*Jestem myśliwym. Wytropię ich i zaatakuję.*

Pokręciłam głową i skoncentrowałam się, bo na moment wzrok mi się zamazał i obraz zrobił się czarno-biały. Przez chwilę patrzyłam na świat oczami wilka. Musiałam zostać człowiekiem. Wilczyca nie umiała prowadzić pieprzonego samochodu. Ani strzelać.

## Rozdział 16

Nliebo już pojaśniało. Dbaj o niego, powiedział Cormac. Pilnuj, żeby nie wpadł w kłopoty. Jak ja w ogóle spojrzę mu w oczy? Co powiem? Pozwoliłam, żeby Ben zginął. Otarłam łzy z policzków.

Jak ja w ogóle będę dalej bez niego żyć?

Nie czas na to. Jestem myśliwym. Już czuję ich krew. Cieknie mi ślina. Pozwoliłam tej części wilczycy przedostać się do mojego umysłu. To nasze terytorium, nasz samiec, nie mogą nam tego zrobić.

Nauczyłyśmy się walczyć. Pokażemy im. Albo zginiemy w walce.

Carl i Meg mieszkali na obrzeżach miasta, niedaleko wzgórz. Mieli dom z ogrodem, który wychodził na pustkowie. To było serce ich terytorium. Wataha przyjeżdżała tu, żeby hasać podczas pełni. Nawet jeśli nie było ich w domu, będą gdzieś w pobliżu. Mogłam się założyć, że Dack bardzo dobrze wiedział gdzie. Ben i Dack przyjechali tu, żeby znaleźć Carla i Meg, a Carl i Meg ściągnęli Bena, żeby go zabić. Zdawałam sobie z tego sprawę, jakbym od początku szła ich tropem.

Na podjeździe stała furgonetka Carla, ale w domu było ciemno i wydawał się pusty. Zaczynało już jednak świtać, więc kto wie. W pewnym oddaleniu stał nieoznakowany samochód; ktoś na przednim siedzeniu popijał ze znużoną miną kawę -człowiek Hardin. Pojechałam jeszcze dalej. Na parking przy parku narodowym stał zaparkowany samochód Bena.

Serce mi podskoczyło i znów zalała mnie fala mdłości. Poczułam poranne nudności, jak wtedy, gdy doszło do poronienia. Całą sobą czulałam nieuchronną śmierć.

Minęłam samochód Bena i przejechałam kilka metrów dalej, patrząc przez szpaler topoli na otwartą przestrzeń i licząc, że uda mi się coś zobaczyć, wypatrzeć jakieś oznaki, że są w pobliżu. Nic nie widziałam. Musiałam iść ich poszukać. Zatrzymałam się, wyłączyłam silnik i sięgnęłam po torbę.

Jeśli masz kogoś zabić, upewnij się, że jest naładowany. Tak mi powiedział. Pamiętałam wszystkie jego polecenia, jakby stał tuż za mną i szeptał mi je do ucha. Czułam wokół siebie jego ramiona, jakby mnie naprowadzał.

Wysunęłam magazynek. Był pełny, kule połyskiwały srebrzyście. Wsunęłam go na miejsce i załadowałam.

Jak widać, nie potrzebowałam dużo czasu, żeby nauczyć się posługiwać bronią. Chciałam, żeby już było po wszystkim i żebym mogła zwinąć się w kłębek i zwymiotować. Wilczyca jednak szeptała ciągle: *Jestem myśliwym*.

Świat znów zrobił się szary. Zaczęło świtać, patrzyłam oczami wilczycy. Prowadziły mnie.

Uspokajały. Mogłam teraz myśleć tylko o jednym: o nich. I o śmierci.

- Rick? Rick, co ty tutaj robisz? - Dack wyłonił się zza szpaleru topoli i szedł w stronę ulicy. Zobaczył

bmw i chyba je rozpoznał. Moja pierwsza ofiara.

Wysiadłam z samochodu. Dzięki Bogu auto było niskie -mogłam wyjrzeć znad niego i nie wyglądać przy tym śmiesznie.

- Rick nie jest rannym ptaszkiem. Wiesz o tym - zauważyłam.

Dack zamarł, a jego oczy robiły się coraz okrągłejsze. Nie spodziewał się mnie. Zdecydowanie się mnie nie spodziewał.

- Gdzie Rick? - zapytał ostrożnie.

- W podziemiach Obsydianu.

- Co...

- Arturo odszedł. Rick wyrzucił Mercedes z miasta. I wiemy też o tobie. - Oparłam pistolet o dach samochodu. - Powinieneś być trzymać z najsilniejszym.

Rzucił się do ucieczki. Nie czekał ani chwili. Puścił się biegiem do samochodu Bena. Uniosłam szybko broń i wystrzeliłam... ale nie dość szybko. Nacisnęłam spust raz, potem drugi, i za każdym razem broń podskakiwała mi w ręce. Szept Bena, wszystko, czego mnie uczył, wyleciało mi z głowy.

Nie trafiłam Dacka. Z drzewa, z miejsca, które przez przypadek trafiłam, posypały się drzazgi. Dack zdążył już jednak wsiąść bezpiecznie do samochodu Bena, zawrócić i odjechać.

Sukinsyn ukradł Benowi kluczyki.

Ben.

Zostawiłam Dacka w spokoju i pobiegłam w stronę drzew. Zrobiłam szybkie obliczenia - dwa wystrzały, piętnaście kul, zostało trzynaście. Powinno wystarczyć. Jeśli nie zadrzy mi ręka, będę potrzebować tylko dwóch. Poszłam za węchem.

Byli na polu, niedaleko topoli, tak żeby nie było ich widać z ulicy. Wszyscy troje. Ben stał, ale to Carl go trzymał, stojąc za nim, wykręcając mu ręce do tyłu i unieruchamiając go, żeby Meg mogła zadawać mu tortury. Była cała we krwi, miała zbryzganą twarz i mokre od krwi ubranie. Wypuściła swoją wilczycę naprzód, z palców wyrosły jej pazury. Drapała nimi Bena. Dzieliło mnie od nich jakieś dwadzieścia kroków, ale nawet stąd widziałam rany. Ben miał głębokie rozcięcia, równoległe linie na policzkach i szyi, jakby ktoś złapał go szponami i ścisnął. Miał podartą, ociekającą krwią koszulę.

Meg rozszarpywała go po kawałeczku, a Carl przytrzymywał w miejscu.

Domyśliłam się, że tak musiało być, bo w tej chwili przerwali. Meg odsunęła się od Bena kilka kroków, zaniepokojona odgłosem wystrzału. Pewnie zastanawiała się, czy powinna iść sprawdzić, co się dzieje.

Chciałam przyjrzeć się Benowi, zobaczyć, czy się rusza, czy nic mu nie będzie, czy nie posunęli się jeszcze na tyle daleko, że obrażenia go zabiją. Znajdowaliśmy się jakiś kilometr od miejsca, w którym zginął T.J. po tym, jak Carl wyrwał mu serce. Nie chciałam znów na to patrzeć.

Nie byłabym w stanie drugi raz tego znieść. Siłą woli powstrzymałam się, żeby nie krzyknąć z bólu.

Meg zobaczyła mnie i warknęła. Jak wilczyca.

Dack im go dostarczył, a oni mieli się nim zająć. Potem, z kluczykami Bena w ręce, miał pewnie pojechać po mnie i zwabić mnie tu pod jakimś pretekstem. Może miał powiedzieć, że pomoże mi uratować Bena. To była pewnie część układu z Arturo - Carl i Meg mogli zatrzymać watahę, ale musieli się pozbyć mnie i Bena. A może to był pomysł Mercedes. Podobnie jak Rick, byliśmy za bardzo niezależni i sprawialiśmy zbyt wiele kłopotów. Wysłała swojego sługę, żeby się nas pozbył.

Tej samej nocy, której my postanowiliśmy ich zabić, oni podjęli decyzje o zabiciu całej naszej trójki

-  
mnie, Bena i Ric-ka. Wszystko zależało od tego, kto będzie pierwszy.

W krótkim przebłysku zobaczyłam wszystko, co mogłam powiedzieć Meg, całą litość, którą mogłam jej okazać - przestań, zostaw go, nie zmuszaj mnie do tego. Wynoś się z Denver, zaproponuję ci ten sam układ, który Carl zaproponował mnie, wyjedź stąd i nigdy nie wracaj.

Podeszła do mnie, zaciskając zakrwawione ręce i spinając ramiona, jakby jeżyła sierść, a ja wyczułam, że chce mnie zaatakować... napina mięśnie, przyspiesza kroku. Stałam w miejscu. Była

tak zaferowana, tak nabuzowana adrenaliną i zwycięstwem, że nie zauważyła pistoletu, który trzymałam przy boku, za udem, tak żeby go nie widziała.

Myślała, że to ona ma przewagę, ale nie miała. Ta świadomość dodawała mi sił.

Tym razem byłam spokojna i słyszałam w głowie instrukcje Bena. Zrób wdech. Złap pistolet obiema rękami. Wyceluj. Zrób powolny wydech. Wszystko zajęło jakąś sekundę. Jej oczy zarejestrowały moment zaskoczenia. Nie spodziewała się broni.

Wycelowałam w jej głowę. Wystrzeliłam. Potem jeszcze raz.

Jedna kula trafiła ją w ramię, druga w pierś. Trysnęła krew. Meg okręciła się i upadła. Nawet nie krzyknęła.

Carl uchylił się i przypadł płasko do ziemi. Pozbawiony podparcia Ben przewrócił się obok niego... nie ruszał się. Stłumiłam krzyk.

Meg skręcała się z bólu. Trzymałam się od niej w bezpiecznej odległości. Pistolet był rozgrzany od dłoni. Trzymałam go prosto przed sobą, opuszczając lufę. Rany jej nie zabiły. Będę musiała ją wykończyć. Nie chciałam tego robić, błagam, Boże, nie każ mi tego robić...

Nagle Meg zaskomlała. Powalona cierpieniem, wygięła plecy w łuk, wyrzuciła przed siebie ręce i złapała się trawy. Odchyliła do tyłu głowę, otworzyła szeroko usta i wrzasnęła. Wyczułam od niej coś chorobliwego i zgnięłego, co kłóciło się z jej zwykłym ludzko-wilczym zapachem. Jej rany nie pachniały zwykłą krwią. Z nich też sączyła się choroba, coś kwaśnego, palącego i coraz bardziej przytłaczającego.

Podeszłam bliżej.

Meg mnie nie zauważyła. Napięła wszystkie mięśnie i zwinęła się z drzeniem w kłębek. Zbryzgane krwią rany poczerniały. Żyłki na szyi robiły się czarne, znacząc ślad rozprzestrzeniającej się w krwiobiegu trucizny. Chwilę później palące ślady zatrucia srebrem pojawiły się na jej rękach i twarzy.

Pewnie niedługo obejmą ciało pod ubraniem.

Przestała się trząść. Zamarła z otwartymi oczami i ustami, jej palce stężały zwinięte na kształt pazurów. Teraz były zwykłymi palcami, nieszkodliwymi, pokrytymi krwią.

- O Boże - szepnął Carl. Odwróciłam się i spojrzałam na niego, a on odsunął się szybko. Bał się mnie.

Nawet do niego nie celowałam.

Och, od dawna czekałam na tę chwilę.

Podeszłam do niego, podniosłam pistolet i wycelowałam. Zmusiłam się, żeby iść powoli, emanując spokojem i siłą, choć tak naprawdę chciałam tylko paść obok Bena. Albo pozwolić wilczycy wyskoczyć i rozszarpać Carla na strzępy. Niemal czułam jego krew na języku.

Ben poruszył się i zaczął się podnosić do pozycji siedzącej... żył. Żył. Zacisnął szczęki, zazgrzytał zębami, zgięty

w udręczonej pozycji, co oznaczało, że próbuje przezwyciężyć swojego wilka, starając się uniknąć przemiany. Ból i wściekłość wywołały jego wilka, a on go powstrzymywał. Nie mogłam mu jeszcze pomóc.

Carl zdążył się już podnieść i ciągle się cofał.

- Kitty - powiedział zupełnie zmienionym głosem. Spiętym. Piskliwym. Przestraszonym. Na skraju paniki. - Nie... nie rób tego. Wiem, że nie chcesz tego zrobić. Kitty.

Coś się poruszyło za jego plecami, w krzakach, w miejscu, gdzie zaczynał się las u stóp wzgórza.

Wybiegł stamtąd wilk i skierował się w naszą stronę. Potem drugi. Oba były duże... za duże jak na dzikie wilki. To były wilkołaki, które zachowały masę swojej ludzkiej natury, jakieś siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilogramów. Duże, ale gibkie, zmierzające równym krokiem do celu.

Za nimi pojawiła się jakaś postać, naga kobieta, napinająca w znajomy sposób mięśnie rąk i dłoni.

Zaraz będzie się zmieniać.

Wzięłam głęboki wdech, próbując poczuć woń wiatru, którego nie było, wylapać zapachy niesione w porannym powietrzu. Zapach watahy. To miejsce zawsze pachniało watahą, tu się zbierała, tutaj był jej dom. Ten zapach był jednak żywy, nie był dawnym śladem czyjejś obecności w tym miejscu.

Wataha właśnie się zgromadziła.

Rozejrzałam się dookoła. Ze wszystkich stron nadchodzili ludzie. Naliczyłam czterech, potem sześciu, następnie dziewięciu i więcej. Wśród nich był Shaun, który nadchodził od strony ulicy. Skinął

głową, wyrażając swoje uznanie. Nie wszyscy zginęli. Znaleźli nas.

Carl też ich zobaczył. Na chwilę, jedną krótką chwilę, uśmiechnął się, niemal się zrelaksował. Myślał, że jest uratowany, że jego wataha go uratuje.

Ale to nie była już jego wataha i wszyscy ruszyli na niego. W ich wzroku widać było wściekłość. W zamian za całą agresję, którą im serwował, w imieniu tych, których zabił, chcieli jego krwi.

Na twarzy Carla odmalowała się panika.

Uniósł ręce w proszącym geście.

- Kitty, nie, nie, błagam! Wyjadę. Wyjadę z Denver, nie wrócę. Wszystko będzie twoje, wszystko będzie twoje.

- Już jest moje - zauważyłam.

Twarz Carla zwiotczała, jakby wszystkie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Dwunożne i czteronożne wilki podeszły bliżej.

- Puść mnie Kitty, proszę - mówił głosem małego chłopca. - Nigdy już nie będę ci sprawiał kłopotów.

Zaschło mi w ustach. Musiałam jednak zakończyć tę sprawę. Nie mogłam się odwrócić.

- Wyjedziesz z Denver i nigdy nie wrócisz? - spytałam. - Ten sam układ, który proponowałeś mnie?

Pokiwał gwałtownie głową.

- Tak, tak!

Dwanaście potworów żądało jego krwi.

- Przykro mi, Carl. Nie ja o tym decyduję.

Wataha go otoczyła. Jakiś wilk zacisnął szczękę na jego boku, drugi przejechał mu pazurami po plecach. Carl wrzasnął i zaczął się zmieniać. Jego wilk wyczuł niebezpieczeństwo i próbował

wydostać się na powierzchnię. Twarz mu się wydłużyła, zaczął formować się pysk. Na wyciągniętych rękach miał pazury, skóra połyskiwała mu od futra. Ale było już za późno. Pozostałych było za dużo, byli za silni. Przygnietli go, przytłoczyli swoją masą. Straciłam go z oczu, ale ciągle słyszałam jego wrzaski. Były gwałtowne i rozpaczliwe, piskliwe i skrzekliwe jak skomlenie psa, aż nagle ucichły z bulgotem. Wilki go rozszarpały. Rzuciłam broń i podbiegłam do Bena.

- Ben! Ben, trzymaj się, proszę... - Kitty!

Ben podniósł się już do pozycji siedzącej i wpadł mi w ramiona. Przyłgnęliśmy do siebie, jakbyśmy bali się, że utoniemy.

Objęłam go mocno rękami. Jego krew moczyła mi ubrania, rozmazywała się na mojej twarzy, a ja powtarzałam ciągle, szlochając:

- Nie umieraj, nie zostawiaj mnie, nigdy mnie nie zostawiaj.

Mimo wszystkich swoich ran, odwzajemnił się równie mocnym uściskiem. Nie mogłam oddychać,



ale to mi nie przeszkadzało.

- Nic mi nie jest - powiedział słabym głosem. - Nic mi nie będzie. Nigdzie nie odejdę.

- Kocham cię. Kocham cię, Ben.

Pocałował mnie. Trafił tylko w moje ucho, bo tak mocno do niego przylgnęłam, wtulając twarz w jego szyję. Odwróciłam się, żeby moje usta mogły się zetknąć z jego wargami. Przytrzymał moją głowę, zatapiając palce w moich włosach, i zaczęliśmy się całować. Czułam smak krwi na jego ustach i twarzy. Nie chciałam się od niego oderwać nawet po to, żeby zaczerpnąć powietrza.

Ben opadł na mnie bezładnie, a ja przeżyłam chwilę grozy. Może wcale nie czuł się dobrze, może umierał, może...

Oparł głowę na moim ramieniu. Rozluźnił się, wtulił we mnie. Nie miał zamiaru się zamieniać, nie miał zamiaru umierać.

- Powtarzała ciągle: „Oddamy jej ciebie w kawałkach. Pokażemy jej twoje szczątki, a potem ją też rozszarpimy” - mruknął. - A ja myślałem sobie tylko: Nie róbcie jej krzywdy. Błagam, nie róbcie jej krzywdy. Westchnęliśmy jednocześnie. Świat się na chwilę zatrzymał, a my skorzystaliśmy z podarowanej nam chwili.

- Na pewno nic ci nie jest? - Spróbowałam go obejrzeć i ocenić jego obrażenia. Ale nie chciałam się ruszać. Chciałam mieć go blisko.

- Czuję się do dupy - odparł i zachichotał. - Dack trzyma z nimi, jest po ich stronie.

- Wiem. Ale już go nie ma, uciekł.

- Zwyciężyliśmy? Czy nasi zwyciężyli?

- Tak, nasi zwyciężyli. Zobaczmy teraz, co z tobą. Krzywił się, kiedy się prostował, po czym oceniliśmy jego

obrażenia: wszędzie siniaki, rany cięte na rękach. Koszulę miał

tak porozdzieraną, że praktycznie z niego zlatywałam. Prawie na całym ciele miał ślady pazurów. Na twarzy, szyi, klatce piersiowej, brzuchu. Rozcięcia wyglądały na głębokie i sączyła się z nich krew.

Kiedy oddychał, skóra wokół ran się rozchylała. Meg chciała zrobić to powoli, za co chyba powinnam być jej wdzięczna. Dzięki temu przeżył.

- O Boże - szepnęłam ze współczuciem. Pokręcił głową.

- Już jest lepiej. Kiedy przestała, od razu zrobiło się lepiej.

- Powinieneś poleżeć chwilę spokojnie.

- Pod warunkiem że dotrzymasz mi towarzystwa. Uśmiechnęłam się.

- Nie ma sprawy.

Ucichły odgłosy wydawane przez watahę - okropne, młasz-czące odgłosy. Wilki zostały na miejscu.

Większość zamieniła się w swoje czworonożne postacie, nie mogąc się powstrzymać wobec krwi i przemocy. Ale wszystkie byty teraz spokojne, leżały, lizały się po łapach albo nawzajem po pyskach.

Wśród nich siedziały dwa wilkołaki w ludzkiej postaci i obserwowały pozostałych. Miały zakrwawione ręce. Po Carlu nie było ani śladu.

Wilki zebrały się wokół mnie i Bena. Cała wataha, ponad dwanaście osobników, zgromadziła się wokół nas. Kiedy zauważyły, że na nie patrzę, odwróciły się, pochyliły łby, położyły po sobie uszy, skuliły ogony. Okazywały uległość. Ich język ciała mówił: „Teraz ty jesteś naszym przywódcą”.

- Nie jestem na to gotowa - szepnęłam Benowi w kark. - A nie mówiłaś, że chcesz mieć dzieci?

Ale nie takie. Może jedno. Własne dziecko, z krwi i kości. A nie... tuzin zabójców. Mimo to roześmiałam się piskliwym, nerwowym śmiechem.

- O alfo, moja alfo - zazartował Ben, a ja szturchnęłam go w ramię... bardzo delikatnie. Pocałował mnie w czoło.

Shaun nie przyłączył się do pozostałych podczas mordy. Trzymał się z tyłu, blisko mnie. Czuwał nad nami.

- Nic ci nie jest, Ben? - zapytał.

- Dochodzę do siebie. - Ben nie wykazywał szczególnych chęci, żeby podnieść się na nogi, ale to nie miało znaczenia. Mogliśmy zostać przez chwilę w tym miejscu. Byliśmy już bezpieczni.

- Co ty tutaj robisz? - spytałam, czując gulę w gardle. - Wy wszyscy. - Dwa wilki zastrzygły uszami, przysłuchując się nam.

- Mick pilnował domu, ale kiedy zjawił się policjant, pobiegł na wzgórze. Stracił zasięg telefoniczny, więc Becky i Wes poszli go poszukać. Wyczuli zapach Carla i Meg i ruszyli ich tropem. Potem zadzwonił do mnie Rick i powiedział o Benie i Dacku. Mówił, że posłał tutaj też policję. Powinni zaraz się pojawić.

Zaśmiałam się gorzko. Rick myślał pewnie, że wysyłając nam zbrojny oddział, odwdzięczy się za to, że naraził Bena na niebezpieczeństwo.

- Dziękuję - powiedziałam, zamiast skłąć go na czym świat stoi.

- Ale wyglądałaś, jakbyś świetnie sobie radziła - dodał Shaun.

Wzruszyłam ramionami. Szczerze mówiąc, cieszyłam się, że ostatecznie to nie ja musiałam zastrzelić Carla. Nie żałowałam, że nie pociągnęłam za spust.

- Wilki polują w stadzie - odparłam, kończąc temat.

Rozległo się wycie syren policyjnych, na początku w oddali, potem coraz bliżej. Wyglądało na to, że jechały tu trzy albo cztery radiowozy.

Westchnęłam zrezygnowana. Nie wiedziałam, jak to wszystko wyjaśnię.

- Wes! - zawołał Shaun do jednego z wilkołaków, który pozostał w ludzkiej postaci. Mężczyzna wstał, odsuwając dwa wilki, które ułożyły się obok niego. Podbiegł do nas. - Pomóż mi posprzątać.

Shaun ruszył tam, gdzie leżała Meg, mówiąc:

- Zajmiemy się tym.

Mężczyźni podnieśli Meg z ziemi i zarzucili jej ramiona na swoje barki. Długie, ciemne włosy opadły do przodu,

zasłaniając jej twarz. Szybko zaciągnęli ją na wzgórze i ukryli. Istniały miejsca, w których ciała po prostu znikają. Wataha umiała po sobie sprzątać. Patrzyłam, jak ją wynoszą, i byłam zdumiona, ile nienawiści wzbudza we mnie ciągle jej widok. Musiałam sobie powtarzać, że już jej nie ma, że to prawda. Nie mogła teraz nas skrzywdzić. Ben sprowadził mnie na ziemię.

- Miło, że nas ostrzegają - zauważył. - To Hardin, prawda?

- Pewnie tak.

- Może powinniśmy wyjść jej na spotkanie? Co zrobiłaś z bronią? Ech... - Spróbował podnieść się na nogi, ale opadł z powrotem, powalony przez ból.

- Upuściłam ją gdzieś. Zaraz jej poszukam. Hardin da sobie radę.

I rzeczywiście, pięć minut później od strony ulicy, wychodząc zza topoli, zjawiła się Hardin z szóstką policjantów. Szli szpalerem, jakby spodziewali się napotkać opór. Wszyscy mieli pistolety w pogotowiu.

Wilki z watahy zniknęły, rozpierzchły się na wzgórzach. Zostaliśmy z Benem sami, pokryci zasychającą krwią, leżąc na wysuszonej letniej trawie, wilgotnej od porannej rosy.

Podniosłam ręce do góry, starając się nie wyglądać jak cel.

- Dzień dobry, pani oficer.

- Kitty? Co się tutaj dzieje? Wszystko w porządku? O Boże!

Zobaczyła nas. Wyglądaliśmy strasznie.

- To koniec. Już po wszystkim - odparłam. Zawahała się, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć.

Nie mogłam mieć jej tego za złe. Szczerze mówiąc, mało mnie obchodziło, co o tym wszystkim myśli.

Sama mogłaby dojść do jakichś wniosków.

- Trzeba cię zabrać do szpitala? - odezwała się w końcu, skupiając się na kwestii, która wydawała się w tej chwili najbardziej paląca.

Ben uśmiechnął się złośliwie. Albo czuł się już lepiej, albo zupełnie zwariował.

- Nie. Muszę tylko poleżeć jeden dzień w łóżku z moją dziewczyną w roli pielęgniarki.

Ach, to było słodkie. Dzień w łóżku... brzmiał świetnie. Zaczęłam się zastanawiać... czy miał za dużo obrażeń na przytulaniu?

- Musimy złożyć jakieś zeznania czy możemy jechać do domu? - spytałam.

- Powinnam was zamknąć - stwierdziła. Zatrzepotałam niewinnie rzesami. Błagam, niech to będzie już koniec, pozwólcie mi spać...

- Jedźcie - westchnęła - ale później do was zadzwonię.

- Dzięki. Aha, Dack ciągle jest na wolności - powiedziałam.

Hardin pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Jeden z moich ludzi, którego zostawiłam przed ich domem, zatrzymał go w samochodzie, który według moich podejrzeń jest kradziony. Zamknęliśmy Dacka.

- W srebrnej celi?

- Zgadza się..

- I wszyscy żyli długo i szczęśliwie - dodał Ben, uśmiechając się głupawo.

Rany, trzeba go zabrać do domu, zanim do końca ześwi-ruje.

- Chodź, mój ty książę na białym rumaku. - Wspierał się na mnie i poruszał się bardzo wolno, ale udało mu się wstać. Skrzypiał jak staruszek.

- Nie zapomnij o pistolecie - powiedział Ben.

Hardin spojrzała na mnie. Obserwowała mnie cały czas, kiedy przeszukiwałam trawę. W końcu odnalazłam broń po zapachu prochu.

- Masz pozwolenie? - zapytała stanowczo.

- Mam - odparłam szybko, wracając do Bena. Otworzyła usta i wycelowała we mnie palcem, jakby chciała

coś powiedzieć. Potem jednak pokręciła głową.

- Nie ładuj się w żadne kłopoty. Postaraj się. Uśmiechnęłam się.

- Dziękuję, pani oficer. - Położyłam sobie rękę Bena na ramionach, żeby mógł się na mnie wesprzeć.

Nie miałam pojęcia, co Hardin i jej ludzie z tym wszystkim zrobić!. Na ziemi znajdą mnóstwo krwi, kilka pustych łusek po nabojach, ale żadnych ciał. Żadnego tropu do dalszego śledztwa. Ślad się tu urywał. Chyba wreszcie w tym miejscu się kończył.

Doszliśmy z Benem do ulicy i zaprowadziłam go do bmw.

- Wow. Awansowałaś - powiedział.

- Pożyczone.

- Nie chciałbym pobrudzić krwią tej ślicznej skórzanej tapicerki.

Za późno. Już otworzyłam drzwi i pomogłam mu wsiąść do środka od strony pasażera.

- To samochód Ricka. Ucieszy się.

Kiedy wyjechaliśmy na drogę i ruszyliśmy w stronę domu, Ben mruknął:

- Świat wygląda lepiej za dnia, nie sądzisz?

Ranek był bardzo ładny. Na wschodzie słońce zupełnie już wzeszło, a niebo w końcu zrobiło się błękitne. Zerknęłam na Bena. Przymknął oczy i zaczął głęboko i miarowo oddychać. Zasnął.

Uśmiechnęłam się.

- Sądzę.

## Epilog

Jakiś tydzień później, o zmierzchu, pojechałam do domu Carla i Meg. Był opustoszały, przesycony atmosferą nawiedzonego miejsca. Nie byłam pewna, co się z nim stanie. Ben powiedział, że bank pewnie go zajmie, kiedy nie wpłyną dwie kolejne płatności. Zorientują się, że został porzucony. Może ktoś zgłosi zaginięcie Carla i Meg, o ile już nie zostało to zrobione, a jeśli zostawili testament albo mieli jakąś bliską rodzinę, dom trafi w jej ręce. Jeśli nie, zostanie wystawiony na sprzedaż i tyle.

Postanowiłam znaleźć dla watahy inną siedzibę. Nie byłam jeszcze pewna gdzie. Kilka dni temu spędziłam ostatnią pełnię - naszą pierwszą pod nowymi rządami - w lesie państwowym na zachód od Denver, przy drodze 1-70. Na naszym nowym terytorium. Wataha pożarła jelenia, wyspała się i obudziła w spokoju. Ciągle jeszcze przyzwyczajałam się do tego, że wszystkie wilki kulły się w mojej obecności i spuszczały wzrok.

Czułam ulgę, że udało mi się zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. To było teraz moje zadanie: zapewnić im bezpieczeństwo i pokój.

Nie byłam przekonana, czy chcę zrobić to samo co Carl i Meg - kupić dom, który byłby mieszkaniem zarówno dla mnie, jak i dla mojej wilczycy. Ani czy chcę znaleźć jeszcze bardziej odludne miejsce i przeznaczyć je dla wilków. Dla watahy. Może poddam to pod głosowanie.

Tymczasem musiałam przyjechać tutaj po raz ostatni. Po drodze kupiłam kwiaty, mieszany bukiet, nie za wielki. Lilie, margerytki, gipsówka. Wesoła, kolorowa wiązanka.

T.J. nie miał pogrzebu. Nie miał grobu. Pamiętałam jednak, w którym miejscu zginął, jakieś trzydzieści metrów od domu, w kierunku wzgórz, wśród trawy preriowej i kilku sosen. Przynajmniej miałam nadzieję, że pamiętałam. Strasznie chciałam zapamiętać, gdzie to było, ale tamtego wieczoru nie myślałam zbyt jasno.

Znalazłam miejsce, które pasowało pod względem ukształtowania terenu, rozstawu drzew, odległości od domu i linii wzgórz. Krew i zapach T.J.-a zniknęły, zmyte przez śnieżną zimę i deszczową wiosnę.

Wyczułam watahę, nasze wilki, które biegały tu i oddychały. Ale nie jego.

Usiadłam na ziemi i położyłam obok kwiaty.

- Cześć, T.J.

Nie minął nawet rok od jego śmierci, ale czasem miałam wrażenie, że upłynęła już cała wieczność.

T.J. wydawał mi się tylko odległym wspomnieniem. A potem, ni z tego, ni z owego, znów czułam w sercu przeszywający ból. Usłyszałam jakąś smutną piosenkę, wypłam nie dobrą kawę w całodobowej knajpie - do takich miejsc zwykle chadzaliśmy z T.J.-em po mojej zmianie w Pokrętle - i znów czułam wściekłość, że nie ma go przy mnie.

Był piękny, letni wieczór. Niebo przybrało ciemny, głęboki odcień granatu, a chłodny wiatr rozwiewał

dzienny skwar. Owionął mnie zapach wzgórz.

Nie przestawałam mówić. Wyjaśniać.

- No cóż. Dopadliśmy ich. Zemściliśmy się. Źle mi z tym, bo nie o to mi chodziło. Nie chciałam jej zabijać, nie...

Zamilkłam, przełknęłam ślinę, zamknęłam oczy. Zabiłam ją. I te dwa wampiry, o których nie mogłam zapomnieć, bez względu na to, jak łatwo byłoby uznać, że to nieludzkie, nic nieznaczące potwory. Ale były też ludźmi. To nie było moje pierwsze zabójstwo, ale za pierwszym razem zrobiła to wilczyca, działając instynktownie, w obronie własnej, a na

dodatek do wszystkiego doprowadził ją inny wilk. Wszystko to wydawało mi się snem. A dwa wampiry Arturo zginęły, bo broniłam siebie i Hardin. Wszystko nastąpiło tak bardzo szybko, że wydawało się niemal nierealne. W przypadku Meg jednak byłam w pełni sobą, zupełnie świadomie pociągnęłam za spust. Mimo że strasznie jej nienawidziłam, i tak zostawiło to we mnie jakąś pustkę.

Zrobiłam coś, czego normalna, cywilizowana osoba nie powinna być w stanie zrobić. Ciągle miałam przed oczami wyraz jej twarzy.

Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś będę musiała to zrobić. Na samą tę myśl czułam zmęczenie.

Spróbowałam jeszcze raz. Musiałam porozmawiać z T.J.--em.

- Nie wróciłam dlatego, że chciałam się zemścić. Ale może powinnam była. Może od początku powinnam chcieć ich dopaść i... - Otarłam oczy. Chyba już zawsze będę płakać, co? - No i jestem. W

miejscu, w którym wszystko się zaczęło. Strasznie bym chciała, żebyś też tu był. Wydaje mi się, że nie dam sobie rady. Nawet z Benem, po prostu nie jestem pewna.

Nagle wiatr ustał na moment i zrobiło się bardzo spokojnie. Cicho, jak na chwilę przed westchnieniem. Jakiś czas temu, pewien spirytualista - prawdziwe medium, nie żaden oszust

-powiedział mi, że T.J. się mną opiekuje. Że jakaś jego część nade mną czuwa - nie żaden duch czy anioł, nic z tych rzeczy. Po prostu... obecność. Głos. Przypominający napominanie mojego sumienia.

Prostujący moje ścieżki. Usłyszałam go teraz.

*Jestem z ciebie dumny, Kitty. Poradzisz sobie. A może tylko go sobie wyobraziłam. Nie miało to większego znaczenia. Gdyby T.J. tu był, powiedziałoby to samo. Uśmiechnęłam się.*

- Dzięki.

Wróciłam do samochodu i odjechałam.

Oficer Hardin zaprosiła mnie na lunch. Nic wymyślnego, do zwykłej knajpy z hamburgerami niedaleko komisariatu.

Ale i tak się zestresowałam. Zastanawiałam się, czego ode mnie chce.

Kiedy złożyłyśmy zamówienie, a kelnerka nie mogła już nas słyszeć, Hardin wyciągnęła z teczek szarą kopertę. Wiedziałam. Błagam, byle nie trupy, byle nie krew, byle nie morderstwa, byle nie śmierć. Nie chciałam już pomagać w żadnym śledztwie.

- Było jeszcze jedno włamanie - zaczęła. Potrzebowałam chwili na zastanowienie. Ja spodziewałam się śmierci i bestialstwa, a ona mówiła o włamaniu? A tak... w zeszłym miesiącu pracowała nad jakąś sprawą, zanim zaczęło się całe to gównno.

- Jakież nowe tropy?

- Tak mi się zdaje. - Podała mi kopertę. Otworzyłam ją i znalazłam dwa zdjęcia. Były podobne do czarno-białych fotek z kamery dozorowej o niskiej rozdzielczości. Zrobiono je w zwykłym sklepie całodobowym z napojami i papierosami. Może to było miejsce napadów Hardin? Tym razem zamiast rozmazanych konturów wyraźnie było widać znajomą postać ładującą towar. Był to brunet w ciemnych okularach. Jego partnerka, kobieta z długimi włosami zebranymi w kucyk, patrzyła prosto do kamery i machała ręką. Charlie i Violet.

Nie mogłam się powstrzymać. Zakryłam usta i stłumiłam śmiech. Wszystko to tylko kwestia gry światła.

Hardin dźgnęła palcem w zdjęcia.

- Wiedziałam, że skądś ich znam. Nigdy wcześniej nie udało nam się zrobić wyraźnego zdjęcia, ale ja po prostu wiedziałam. Jeszcze ich złapię. Wiesz, że mam zamiar wydać rozporządzenie, zalecające sklepom całodobowym rozwieszanie w drzwiach czosnku i krzyży? Sama nie wierzę, że to zrobię.

- Jeśli ta wiadomość poprawi pani humor, większość wampirów nie zniża się do kradzieży. Myślę, że oni po prostu traktują to jak świetną zabawę. Dla nich - uzupełniłam szybko. Tak naprawdę, im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym zabawniejsze mi się to wszystko wydawało. Wampiry oszustami?

Cudownie. Po prostu cudownie.

- I tak ich złapię. - Odłożyła kopertę. - Nie wiem jak, ale ich złapię.

To był następny punkt na jej liście - miała już wilkołaki w areszcie. Teraz musiała rozgryźć wampiry.

A jeśli ktokolwiek byłby w stanie to zrobić...

Zaczęłam się zastanawiać.

- Co się stało z tymi wilkołakami, które pani aresztowała? Podczas ostatniej pełni?

Westchnęła.

- Zarekwirowałam trochę cel w całym hrabstwie. Pomalowałam je farbą ze srebrem, wsadziłam każdego do odrębnej celi. Posłałam tam moich ludzi i kazałam im obserwować wszystko przez kamery. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. - Pokręciła głową, a wzrok jej się zamglił i przeniósł w inne miejsce, jakby przypominała sobie jakiś koszmar. Pewnie tak było. - Jeden z wilkołaków cały czas rzucał się na kraty. Myślałam, że się zabije. Rano na całym ciele miał pręgi, od srebra, nie od uderzeń. Inne warczały przez dwadzieścia minut, a potem przez całą noc krążyły po



celi.

Mieliśmy swoje małe zoo. Ale udało się. Chyba można je trzymać tak długo, jak będzie trzeba.

- Następnym razem niech im pani da coś do zjedzenia. Surowe mięso. Powinny się uspokoić.

- Dobrze. Dzięki. Byłam ciekawa.

- A co pani sądzi o Dacku?

- Musiałam sprawdzić w encyklopedii, kim właściwie jest. Likaon? Skąd się u nich wzięło to gówno?

Wzruszyłam ramionami. Któż mógł wiedzieć? Dowodziło to tylko tego, że kiedy człowiek myślał, że już go więcej nic nie zdziwi, coś go zaskakiwało.

- Wpadłam po uszy - przyznała Hardin. - Zastanawiam się, który z nich mnie w końcu dorwie. Jeśli będę dalej tak postępować, coś mnie w końcu dopadnie.

Nie mogłam zaprzeczyć. Hardin była taka sama jak ja. Kiedy mi się to przytrafiło, zaczęłam czytać.

Drażyc. A to był tylko wierzchołek góry lodowej.

- Pamięta pani Cormaca? - spytałam.

- Tego mordercę? Gościa, który chciał cię zabić? Jasne.

- Powinna z nim pani porozmawiać. Siedzi w więzieniu w Cañon City...

Hardin parsknęła i wtrąciła:

- Najwyższa pora. Ten facet jest groźny. No tak...

- Jego rodzina od wielu pokoleń zajmuje się takimi sprawami. Wie o rzeczach, o których nie ma w żadnych książkach. Będzie umiał pani pomóc. Może coś pani doradzi.

- A więc mam z nim pogadać, przyjąć kilka wskazówek, może zmniejszyć mu wyrok o kilka miesięcy za współpracę z policją?

Ożywiłam się.

- Mogłaby pani to zrobić?

Teraz to ona wyglądała na poirytowaną.

- Zastanowię się.

To już było coś. Chociaż raz poczułam się po spotkaniu z Hardin lepiej, a nie gorzej.

I była to równie dobra pora jak każda inna, żeby zadać kluczowe pytanie:

- Nie wystąpiłaby pani w audycji? Strasznie bym chciała przeprowadzić z panią wywiad. Jedna z pierwszych policjantek do spraw nadnaturalnych w kraju...

- Nie - odparła, spoglądając na mnie z wściekłością i nabijając widelcem frytkę na talerzu, który właśnie się przed nią pojawił.

No cóż. Pewnie nie można mieć wszystkiego.

Mercedes Cook wznowiła trasę koncertową. Odzew publiczności na wieść o tym, że jest wampirem, był bardzo różny. Została zdjęta z obsady *Anything Goes*. Producenci dość otwarcie powiedzieli, że nie chcą narażać się na potencjalną

ironię, która wiązałaby się z powierzeniem wampirzycy roli ewangelizującej szansonistki, Reno Sweeney.

Ale bilety na dalsze koncerty zostały wyprzedane. Mercedes postanowiła dodać do trasy dwanaście kolejnych występów, na które też już nie było biletów. Była popularna.

Miałam przecucie, że wszystkie te występy były dla niej tylko działalnością dodatkową i niespecjalnie się martwiła, czy ktoś ją wyrzuci z obsady musicalu czy nie ani czy jej popularność gwałtownie wrośnie. Dla niej to były tylko środki do celu.

Zaczęłam się zastanawiać, w ilu miastach znajdujących się na jej trasie koncertowej wywoływała zamieszanie? Do ilu rewolucji zdołała doprowadzić?

I ile podobnych jej wampirów przemieszczało się z miejsca na miejsce tylko po to, żeby przesuwac pionki na swoich szachownicach?

I w końcu, po długich oczekiwaniach, ukazała się moja książka.

Można odhaczyć kolejną pozycję na liście spełnionych marzeń. Miałam podpisywać książki w księgarni Tattered Cover. Cudownie.

Spotkanie autorskie odbywało się wieczorem i zostało zorganizowane na ostatnią chwilę. Nie planowałam go, bo kiedy ustalaliśmy strategię marketingową, nie myślałam, że będę w Denver. Ale jak to często bywa, plany się zmieniają. I oto wyszła książka, w twardej okładce, z wypisanym wielkimi literami tytułem *Podskórna* i tandetnym podtytułem *Życie i likantropia*, który faktycznie wszystko wyjaśniał. Zdjęcie z okładki zrobiono podczas mojego pobytu w Waszyngtonie zeszłej jesieni, kiedy przedzierałam się przez tłum podczas ostatniego dnia przesłuchań w Senacie, unosząc wysoko głowę, wyglądając na zdeterminowaną i gotową na bitwę. Wcale się wtedy tak nie czułam. Miałam raczej wrażenie, że tonę. Obok mnie szedł Ben w swoim eleganckim prawniczym garniturze, spokojny, gotowy na wszystko. Pomógł mi przez to przejść.

Co jeszcze ciekawsze, na spotkanie przyszli ludzie. Ustawiła się cała kolejka. Ekstra, nie? Ogonek ciągnął się przez całą salę. Zgromadziła się tam naprawdę interesująca mieszanka osób. Niektórych

się spodziewałam, na przykład tych ubranych na czarno, w rajstopach w prążki, gorsetach, z farbowanymi włosami, kolczykami w brwiach i całą resztą. Stali zaraz obok osób, które świetnie by się czuły w klubie sportowym, do którego należeli moi rodzice. I było też sporo ludzi będących czymś pomiędzy.

Wyczułam nawet kilka wampirów i likantropów.

Dlatego nie byłam zaskoczona, kiedy kolejka przesunęła się, a przede mną stanął Rick.

Przyglądaliśmy się sobie przez dłuższą chwilę.

Ja odezwałam się pierwsza:

- Samochód dotarł w całości? ,

- Tak. Powstrzymałem się nawet od odesłania ci rachunku za czyszczenie tapicerki.

- Chcesz powiedzieć, że nie...

- Ależ nie. Zostały mi jeszcze resztki godności. Uśmiechnęłam się do niego szeroko. Lubiłam wampiry z poczuciem humoru.

- Chciałem ci podziękować - powiedział. - Nie dokonałbym tego bez twojej pomocy. Cieszę się, że się udało. - Co znaczyło: cieszę się, że Ben nie zginął. Ja też się cieszyłam.

- A więc jesteś moim dłużnikiem, tak? - Uśmiechnął się tylko. - Mogę cię o coś spytać?

- Możesz.

- Co to jest Długa Gra?

Zamyślił się chwilę i rozejrzał szybko po czekających na autografy ludziach, szukając tych, którzy mogliby podsłuchiwać. Nie sądziłam, że mi odpowie. Ale zrobił to ściszym głosem.

- Wampiry żyją długo. Mają dobrą pamięć. Nie opracowują strategii na lata czy dziesięciolecia, ale na stulecia. Od początku zadawały sobie pytanie, jaką władzę mogą zdobyć. Jak dużo mogą kontrolować: ile istnień, ile miast. Czy ktoś może mieć

kontrolę nad wszystkim? A co się stanie, jeśli jedna osoba, jedna istota, będzie potrafiła zyskać całkowitą kontrolę? To jest właśnie Długa Gra.

- Kontrola nad wszystkim - powiedziałam zdumiona, że można tworzyć plany wychodzące poza najbliższy tydzień. A my mówiliśmy o całych stuleciach. - Po co? Kto mógłby tego chcieć?

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał poznać odpowiedzi na to pytanie. - Rick wydawał się zmęczony. Może smutny. W jego uśmiechu krył się ból. - Niektórzy z nas nie chcą w tym uczestniczyć. Wolimy żyć w naszym małym bałaganie.

- To jeszcze nie koniec, co? Pokręcił głową.

- Zawsze będziemy musieli się pilnować.

Przed uzurpatorami, przed intruzami, przed skrajnym złem, które mogłoby nas dopaść i skraść nasze dusze. Przed wszystkimi tymi rzeczami naraz. Nie chciałam o tym wiedzieć.

Zmieniłam temat.

- Kiedyś będziesz mi musiał opowiedzieć o Coronado. Chciałabym, żebyś mi opowiedział, skąd pochodzisz i jak się tu znalazłeś. Całą historię. Bez żadnych wykrętów.

- Dobrze. Kiedyś to zrobię.

Potem podał mi książkę, którą trzymał schowaną za plecami. Spojrzał na mnie łobuzersko.

- Czy ja też mogę dostać autograf?

Wzięłam ją od niego z radością i napisałam najbardziej kwiecistym pismem, na jakie mnie było stać:

„Dla Ricka: zawsze idź w stronę słońca. Kitty”.

Potem wpadliśmy z Benem na pewien pomysł. A właściwie ja wpadłam... to znaczy zapożyczyłam od Ahmeda, wilkołaka, który mieszkał w Waszyngtonie i nie popierał watah ani walki. Ben jednak doprowadził do jego realizacji. Znalazł odpowiednie miejsce, odwalił całą robotę papierkową, żeby wszystko mogło ruszyć.

Zgodził się, żebym powiedziała o tym Shaunowi.

Odebrałam Shauna po pracy i pojechaliśmy do wschodniej części centrum. Do miejsca, które kilka miesięcy temu było grill-barem i przy odrobinie szczęścia mogło znów się nim stać - albo czymś podobnym. Shaun znał tę knajpę. Popatrzył na mnie niespokojnie, kiedy wyciągnęłam klucze.

- To twój lokal? - spytał.

- Wynajęliśmy go z Benem. - Wprowadziłam go do środka. Meble zostały wyniesione, ale mnie to nie przeszkadzało,

bo chciałam urządzić go od nowa. Bar i regały pozostały na miejscu, ale poza tym była tylko wielka, pusta, drewniana podłoga. Czysty potencjał.

Opowiedziałam mu o Waszyngtonie.

- Jest taki jeden lokal, który prowadzi Ahmed, wilkołak. Nie należy do czyjegoś terytorium. Każdy jest tam mile widziany, o ile zachowuje się pokojowo. Wilki, lisy, jaguary, lwy, każdy. Ludzie przychodzą do tej knajpki, żeby pogadać, spotkać się, napić czegoś, posłuchać muzyki, zrelaksować.

Żadnych napięć, żadnych zagrożeń. Rozumiesz?

Skinął potakująco głową i uśmiechnął się powoli.

- U Ricka. Pokręciłam głową.

- Nie, to nie ma nic wspólnego z... Uśmiechnął się wtedy jeszcze szerzej.

- Nie u tego Ricka. U Ricka z *Casablanki*. Ach, tego Ricka.

- Tak. Właśnie. Ahmed utrzymywał swoją knajpę z dochodów z restauracji, ale to musi być prawdziwy biznes. Musi zarabiać na sobie, a w okolicy nie ma aż tylu likan-tropów. Zatem to ma być prawdziwy lokal, otwarty dla wszystkich, a przy tym musi być portem dla ludzi naszego pokroju.

Potrzebujemy kogoś, kto go poprowadzi. Myślisz, że dasz radę?

- Pewnie - powiedział bez chwili wahania, co nappełniło mnie nadzieją. - Oczywiście. Tam... tam będzie scena dla muzyków. - Podeszedł do kąta i odwrócił się, zataczając rękami okrąg. Oczy rozjaśniły mu się od planów. -1 żadnych telewizorów. Nienawidzę telewizorów w barach. I może moglibyśmy mieć prywatną salę dla watahy z tyłu.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Będzie dobrze, czułam to.

- Wiecie już, jak chcecie nazwać to miejsce? - spytał.

- Mam kilka pomysłów. A ty masz jakieś sugestie? Ciągle się rozglądał, zerkał w każdy kąt, przyglądał się

wszystkim ścianom.

- Księżyc w Nowiu - powiedział.

Już prawie słyszałam płytę Billie Holiday. Czułam zapach piwa i świeżych przekąsek, słyszałam syk ekspresu do kawy gdzieś w kącie. Czułam ścisk wokół siebie. Widziałam uśmiechniętych ludzi.

Nieagresywnych.

- Podoba mi się - odparłam.

- Będziemy mieć otwarte przez całą noc - mówił dalej. -Będziemy karmić weekendowych imprezowiczów. Potrzebna nam będzie licencja na alkohol i...

Kontynuował, roztaczając przede mną plany, a ja z radością pławiłam się w świadomości, że dobrze dobrałam sobie pomocnika.

W końcu mama miała rację. Cały czas miała słuszość, za każdym razem, kiedy dzwoniła do mnie, gdy byłam w drodze, i pytała, kiedy przyjadę do domu, czyniąc mi wyrzuty. Ona to wiedziała i ja też

powinnam była wiedzieć, że w końcu tu wrócę.

Na urodziny mamy wyprawiliśmy wielkie przyjęcie w domu rodziców. Świąteczny nastrój uderzył nam do głowy mocniej niż zwykle. Świadomi, że w któreś urodziny może jej zabraknąć wśród nas, chcieliśmy w pełni wykorzystać tę chwilę. Cheryl ozdobiła duży pokój serpentynami i balonami - dzieciaki nie mogły odlepić od nich swoich łapek. Potem Jeffy zaczął płakać, bo Nicky przebiła mu tuż przed nosem balon i... Cheryl schowała wszystkie balony do szafy, a tata odwrócił uwagę dzieci papierem ozdobnym i pudełkami, najlepszymi zabawkami pod słońcem. Ja przywiozłam wielki tort lodowy. Zebrała się cała rodzina, wpadali krewni, których nie widziałam od lat, a w domu pachniało zdecydowanie za słodko wszystkimi tymi ciastami, przekąskami i napojami.

Specjaliści stwierdzili, że rak mamy był w drugim stadium zaawansowania. Mimo to rokowania ciągle były dobre, jak powtarzała mama. Dochodziła do siebie po drugiej chemioterapii. Postaraliśmy się wybrać datę przyjęcia tak, żeby miała już z grubsza za sobą efekty uboczne leczenia, i wyglądało na to, że się udało. Mama była ożywiona, uśmiechnięta i w dobrej formie. Nadal miała swoje włosy, ale brakowało jej apetytu. Zapełniliśmy dom jej ulubionymi potrawami, a ona i tak nic nie jadła. Jednak nie narzekała. Postanowiła udawać przed gośćmi, że wszystko jest okej.

Czułam wiszący nad nią cień, pamiętając, co powiedział Arturo w szpitalu. Utrzymywał, że jest wciąż chora, że rak ciągle w niej siedzi i czeka przyczajony. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć jej, że może coś z tym zrobić, że może go zaatakować i naprawdę powstrzymać. Ale nie powiedziałam jej tego. Bez względu na to, co byśmy zrobili, nie mogliśmy mieć pewności, że rak całkiem zniknie.

Arturo mógł przecież kłamać. Mogliśmy tylko czekać... nie było innego wyjścia.

Cheryl i ja znów się przyjaźniłyśmy. Nie żebyśmy w którymś momencie przestały. Ale byłyśmy siostrami i różnie między nami bywało. Wiedziałyśmy, że zawsze możemy na siebie liczyć.

Siadłyśmy obok siebie na kanapie, żeby sobie ponarzekać.

- Super było mieć siostrę didżejkę - powiedziała Cheryl, wydymając lekko wargi. - Brakuje mi tego.

Zawsze wynajdywałaś najlepsze kawałki.

- Akurat mnie słuchałaś - odparłam. - Zawsze brałam nocki.

- A ty myślisz, że czego słuchałam, kiedy wstawiałam do dzieciaków o północy?

Punkt dla niej. Poczułam miłe ciepło komplementu. Moja siostra, moja starsza siostra słuchała mojej audycji.

- Zawsze uważałam, że to ty masz najlepsze nagrania. Myślę, że dzięki tobie w ogóle zainteresowałam się muzyką.

Zmrużyła oczy.

- Czy ty mi w ogóle oddałaś tamtą kasetę Smithsów?

- O nie, tylko znowu nie zaczynajcie... Mama jak zwykle interweniowała.

- A ty, Ben, jakiej muzyki słuchasz?

- On nie lubi muzyki - odpowiedziałam i spojrzałam na niego.

Ben siedział w fotelu obok, skubał kawałek ciasta i próbował wtopić się w otoczenie. Popatrzył na mnie z udawanym zdumieniem i urazą. A przynajmniej mnie się wydawało, że były udawane.

- Nigdy tego nie powiedziałem - odparł. - Wychowałem się na MTV, jak wszyscy.

- A jest wystarczająco stary, żeby pamiętać czasy, kiedy w MTV leciała prawdziwa muzyka - dodała Cheryl.

Przewróciłam oczami.

- A, tak. Okrzyk wojenny generacji X. - Teraz oboje spiorunowali mnie wzrokiem. Podałam się.

Wstałam i poszłam do kuchni. - Ktoś chce coś do picia?

Mama przyglądała się całej scenie rozpromieniona niczym królowa. Przechodząc obok niej, zatrzymałam się, żeby ją przytulić. Ciągle była obolała, ale odwzajemniła się mocnym uściskiem.

Wydrowieje, wiedziałam, że wyzdrowieje, bez względu na to, co mówił Arturo.

Kiedy zamknęłam lodówkę, podniosłam głowę i zobaczyłam, że Ben przyszedł za mną do kuchni.

- Możemy chwilę porozmawiać? - spytał.

- Co się dzieje? - Coś poważnego, pomyślałam. Na pewno. Miał taką dziwną minę, zbyt poważną i skupioną, jakby przygotowywał się na coś trudnego. Jakby miał bronić klienta, o którym wiedział, że jest winny. Jakby miał zerwać z dziewczyną.

Staliśmy przez chwilę, patrząc sobie w oczy, opierając się obok siebie o blat kuchenny. Miałam skrzyżowane ramiona, on trzymał ręce w kieszeniach. Zbierał się w sobie, żeby coś powiedzieć, a ja chciałam, żeby już to z siebie wydusił. Zaczęłam się denerwować.

- Mogę ci zadać pytanie? - spytał.

- Chyba już się zgodziłam, prawda?

Wyjął rękę z kieszeni i wyciągnął ją w moim kierunku. Trzymał w niej pudełeczko. Jedno z tych małych, czarnych, aksamitnych pudełek ze sklepów jubilerskich. Wstrzymałam oddech. Przysięgam

na Boga, że przestałam oddychać.

- Pomyślałem, że skoro najwyraźniej wyjaśniliśmy już sobie nasze wilcze sprawy, może byś chciała nadać nieco bardziej formalny charakter sprawom ludzkim. - Otworzył pudełeczko i dobrze zrobił, bo ja byłam tak oniemiała, że mogłam się tylko na nie gapić. I rzeczywiście, był tam. Pierścionek z brylantem.

Popatrzyłam na niego.

- Ty... żartujesz.

- Daj spokój, nawet ja nie jestem aż takim palantem. Nie, nie żartuję. Kitty, wyjdź za mnie.

A ja w dalszym ciągu nie mogłam oddychać. Oczy mnie piekły. Wiedziałam, co chcę odpowiedzieć.

Przenikliwy, okropny wewnętrzny głos - głos didżejki, jak zawsze go nazywałam - krzyczał: „Powiedz tak, idiotko! Tak!”

To była najbardziej surrealistyczna rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. I nagle uświadomiłam sobie, że była to jednocześnie jedna z najfajniejszych rzeczy w moim życiu. Emocje mnie rozsadzały i dlatego nie mogłam mówić.

Coś jednak było nie tak. Przełknęłam ślinę, myśląc, że musiał zająć jakiś błąd.

- Ale to srebro.

- Nie. Białe złoto. Pomyślałem, że będzie zabawnie. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie najbardziej zmieszanym, uroczym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam.

I owszem, to było zabawne. Roześmiałam się i rzuciłam się w jego ramiona, przywierając do niego, a on uściśnął mnie tak mocno, jakby chciał mi połamać żebra.

- Tak, tak, tak.

- Co się tu, do cholery, dzieje?

Odsunęliśmy się z Benem od siebie. W drzwiach stała moja siostra. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że nie czuję się wcale, jakby mnie na czymś przyłapano, jak to zwykle bywało. Przeciwnie, byłam z siebie strasznie zadowolona. Cheryl w dalszym ciągu mierzyła nas tym swoim ostrym spojrzeniem starszej siostry. Ben patrzył na nią przez chwilę. A potem teatralnym gestem wyjął pierścionek z pudełka, uniósł go w górę, żeby jej pokazać, ujął moją lewą dłoń i wsunął mi go na palec. Po czym znów popatrzył na nią z zadowoleniem. Ja natomiast uśmiechałam się jak idiotka.

Cheryl wrzasnęła tak, że mogły od tego pójść szyby w oknach. Ben się wzdrygnął.

- O Boże! - Pobiegnęła do pokoju obok i znów wrzasnęła: - O Boże! Nie zgadniecie, nie zgadniecie, nie zgadniecie...



Przynajmniej zostawiła nas samych. Przyłgnęłam do Bena i wtuliłam się szczęśliwa w jego ramiona.

Objął mnie tak, jakby w najbliższym czasie nie zamierzał mnie puszczać, co w zupełności mi odpowiadało.

Poczułam, jak wzdycha głęboko. Chyba się domyślałam, co sobie myśli: to będzie moja szwagierka?

- Masz za dużą rodzinę, wiesz? - odezwał się.

- Niemożliwe - odparłam. - Nie można mieć za dużej rodziny.

## Podziękowania

*Podziękowania za tytuł należą się w całości Barry'emu Fishle-rowi. Jo Anne Vaughn i Mike Bateman zechcieli przeczytać pierwszą wersję książki. Max Campanella nadzorował treści związane z bronią i zabrał mnie na strzelnicę. Brian Whitehead ciągle do mnie wydzwaniał, żądając krwi - mam nadzieję, że ta ilość go zadowoli. W 2005 roku Jean Hortman w ciągu niecałych dwóch godzin przeczytała na imprezie moją pierwszą książkę i od tego czasu nie przestaje mnie dopingować i sprawdzać mojej poczytalności, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna.*

*Mój redaktor, Jaime Levine, jak zwykle sprawił, że niniejsza książka stała się lepsza. Dziękuję również Ashley Grayson i spółce za ciężką pracę nad Kitty.*

## Play lista

Billie Holiday *They Can't Take That Away From Me*

Shonen Knife *Milky Way*

Pretenders *Talk o f the Town*

The Clash *Clash City Rockers*

Creedence Clearwater Revival *Commotion*

Stephen „Tisntin" Duffy *Kiss Me*

Sinead O'Connor *You Do Something to Me*

Peggy Lee *Fever*

Front 242 *The Untold*

The Dresden Dolls *Missed Me*

The Supremes *Where Did Our Love Go*

The Beatles *Hey Bulldog*

Depeche Mode *Home*